

Peter S. Beagle

Olbrzymie kości
Giant Bones

Przełożyła Brygida Kaliszewicz.

Julie Fallowfield, agentce, podobnie jak ja miłośniczce okropnej poezji, drogiej koleżance, z pozdrowieniami
Przedmowa

Nie piszę ciągów dalszych.

Chociaż z całego serca lubię Judy-Lynn del Rey, która wymyśliła ten termin, ciągów bliższych też nie piszę. Nigdy nie wracam ukradkiem na miejsce zbrodni, przez żadne okno.

Zwłaszcza nie tworzę trylogii epickich, w których pełno elfów, karłów, czarnoksiężników i mężczyzn walczących z Armagedonem, wymachujących magicznymi mieczami, różnorodną zaczarowaną biżuterią i w desperacki sposób rzucających wyzwania temu czy innemu Mrocznemu (a w każdym razie Brudnemu) Władcy. Niemniej jednak uwielbiam J.R.R. Tolkiena od czasu, gdy przypadkiem natknąłem się na jego dzieło w Carnegie Library of Pittsburgh w 1958 roku, ale on, podobnie jak jego świat, to już przeżytek. Jego mapy, wykresy, genealogie, historie opowiadane nocą w na wpół wymyślonych językach nie mają większego znaczenia. W przeszłości uwielbiałem i bezwstydnie naśladowałem wielu pisarzy od Thorne Smitha po T.H. White'a i Lorda Dunsany, od Jamesa Stephensa po Jamesa Thurbera i Jamesa Branch Cabella, od Jessamyn West po moją żonę Padmę Hejmadi, ale naprawdę nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby małpować Tolkiena. Wydawało mi się to pozbawione sensu.

Od początku, od czasu gdy napisałem „A Fine and Private Place”, chciałem, aby moje powieści jak najbardziej różniły się od siebie, oczywiście w granicach moich umiejętności i wyobraźni. Gdy umieściłem więcej niż jedną w tym samym świecie, wydawało się, że warunek ten będzie niemożliwy do spełnienia – przynajmniej dla mnie. Zawsze uwielbiałem bardzo dobre opowiadania pełne mrocznych miejsc, nie wykorzystanych do końca tonów, opowiadania, których sens można w pełni pojąć dopiero po zamknięciu książki: nigdy, ani przez chwilę nie odczuwałem najmniejszej potrzeby dociekania, jak się wiodło panu Rebeckowi i pani Klapper, po tym jak on opuścił swoje schronienie B na cmentarzu w Yorkchester, ani co się stało z Molly Grue i czarnoksiężnikiem Schmendrickiem, albo czy Joe Farrell kiedykolwiek znowu zmierzyła się ze starą boginią znaną w pewnym kalifornijskim miasteczku jako Sia. Oni mają swoje życie, a ja mam swoje. Wystarczy, jeżeli raz na jakiś czas dadzą o sobie znać.

Ale tak było, zanim napisałem „Pieśń karczmarza”. Wiele czasu zajęło mojemu przyjacielowi, Edgarowi Pangbornowi, uświadomienie sobie, że akcja wielu jego opowiadań toczy się wciąż w epoce holokaustu i bomby nuklearnej, gdzie została osadzona również jego powieść „Davy”. Tak samo było ze mną, nie uświadamiałem sobie, że w „Pieśni karczmarza” tworzę pewien świat, wiedziałem tylko, że każdy artysta tworzy pewien rodzaj kontinuum – coś w rodzaju pola energii – w którym opowiadanie, taniec, obraz albo czterominutowa piosenka magicznie oddziałuje na odbiorcę. Świat opisany w „Pieśni karczmarza” miał istnieć tylko tak długo, jak długo potrzebowały go do swoich przygód postacie tam ukazane. Mój Lal, mój Nyatenari, Lukassa, Rosseth, Tikat, lis, stary czarodziej; mój tłusty, gburowaty, uparty Karsz, którego głos usłyszałem na samym początku – ludzi tych nigdy nie spotkałem. Rozkwitali i śpiewali we mnie jeden po drugim, wszyscy tak oddani opowiadaniu swojego fragmentu długiej opowieści, że nawet zacząłem śnić ich sny. Nie wymyślałem świata, tylko słuchałem moich bohaterów. Dopóki świat „Pieśni karczmarza” dawał im grunt pod nogami, urozmaicony wspólny folklor i przyrodę, do których się mogli odwoływać, nie troszczyłem się o to, czy miał jakąś nazwę, a tym bardziej o położenie geograficzne. Oczywiście chciałem, aby był przekonujący i jak najbardziej rzeczywisty, to przecież moja praca; ale nigdy nie miał być niczym więcej niż dekoracją, teatralną scenografią. Nie miał przetrwać.

Ale chciał przetrwać. Głosy, które przez dwa lata rozbrzmiewały w moich myślach, pochodziły z autentycznego miejsca, dobrze im znanego, nawet jeżeli ja go nie znałem. I wreszcie, kiedy książka była już skończona i poprawiona, zatytułowana i oddana do druku, zacząłem tęsknić za ich światem tak bardzo jak za nimi. Zbudowałem ten świat napędce, byle jak, zapełniłem wymyślonymi przyjaciółmi, z których każdy miał opowiadać jakąś historię, i teraz ten świat się oddalił – albo ja się od niego oddaliłem – i dziwnie zaczęło mi go brakować. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

Dlatego powstały te opowieści. Pięć z nich nie ma nic wspólnego z „Pieśnią karczmarza”: wydarzyły się w innych zakątkach mego bezimiennego świata i równie dobrze mogły mieć miejsce przed „Pieśnią karczmarza” albo po niej. Warto wspomnieć, że główna postać „Ostatniej pieśni Sirit Byara” jest wzorowana, dosyć luźno i z oznakami dawnej miłości, na wielkim francuskim pieśniarzu i autorze piosenek, Georges'u Brassensie; możliwe również, że cała fabuła „Olbrzymich kości” wyłoniła się, gdy pewnego ranka brałem prysznic. Łatwo mi się tworzy, gdy biorę prysznic.

„Tragiczna historia komediantów Jirila” tak naprawdę wcale nie jest zmyślona, może to potwierdzić każdy dyrektor teatru. Co do „Lal i Soukayan”, jedyne opowiadanie, w którym występują postacie z „Pieśni karczmarza” – no cóż, miło mi było spotkać tych dwoje, to wszystko. Szczególnie mi ich brakowało i bardzo się cieszyłem, że jeszcze raz mogę być razem z nimi i delectować się ich współuczestnictwem w całym tym przedsięwzięciu, ich irytującą czułością w stosunku do siebie. A teraz brakuje mi ich jeszcze bardziej, bo tym razem wiem, że nigdy już ich nie zobaczę.

Ponieważ naprawdę nie piszę ciągów dalszych. Z pewnością umieścić więcej opowiadań w świecie „Pieśni karczmarza” (do niego na pewno się odwołam; Edgar Pangborn nie odwołał się do niczego ze swojej twórczości, z wyjątkiem „Świata Davy'ego”), ale już inne postacie będą snuć opowiadania, inne strzępy ich historii i legend zostaną tam pokazane. Jestem w takim samym stopniu archeologiem fikcji, jak jej bardem – może nawet bardziej archeologiem. Trudno to stwierdzić, przynajmniej teraz.

Z drugiej strony może się jeszcze okazać, nawet na tym etapie mojej pracy zawodowej, że tak naprawdę piszę ciągi dalsze. Skąd mogę wiedzieć? Czterdzieści lat spędziłem na dochodzeniu sensu wiersza z Chaucera „Żywoć taki krótki, tak

długo trzeba się uczyć”, i oto taki jestem, wciąż jeszcze zaskakuję sam siebie, wciąż jeszcze próbuję z siebie szydzić, grając szyderczo na nosie i robiąc osłe uszy nad własną głową. I wciąż jeszcze zapewniam sam siebie, że któregoś dnia, gdy będę nieco starszy, naprawdę, naprawdę będę wiedział, co robię. Mam nadzieję, że się myślę.

– Peter S. Beagle Davis, Kalifornia 9 grudnia 1996 r.

Ostatnia Pieśń Sirit Byara

Ile? Ile będzie kosztowało spisanie jednej marnej opowieści, która zmusi twoją słabą rękę do co najwyżej godzinnego wysiłku? Na śmierdzące pachy bogów, gdybym wcześniej wiedziała, że aż tyle można zarobić siedząc na placu targowym i bazgrząc o życiu i uczuciach innych ludzi na kawałkach skóry, sama poświęciłabym kilka deszczowych popołudni na naukę czytania i pisania. Dwanaście miedziaków, umowa stoi? Dwanaście i dorzucę coś na osłode, ponieważ jestem cywilizowaną kobietą, choć tak wyglądam. Obiecuję, że nie rozbiję ci nosa, chociaż odczuwam wielką pokusę, by cię nauczyć, że nie wykorzystuje się obcych, nawet gdy wyglądają tak jak ja i ledwo mówią w twoim trudnym do wymówienia języku. Ależ nie, nie, usiądź. Zgoda, słowo się rzekło. Nie rozbiję ci nosa. Siadaj.

Otóż... chcę, abyś spisał tę historię nie dla mnie – czy mogłabym, do cholery, zapomnieć człowieka, który jedyny coś dla mnie znaczył, nie tak jak inni, którzy byli niczym przekleństwo i bździna? – ale dla ciebie i dla tych, co jeszcze śpiewają pieśni Sirit Byara. Ach, to do ciebie dotarło, prawda? Tak, tak, Sirit Byar, ten sam, który zaśpiewał jakiemuś królowi, aby go doprowadzić do upadku jedną kpiącą melodią, a potem dzięki czarom wydostał się z więzienia, śpiewając ballady o dzielnych kochankach głuchoniemej córce kata. Sirit Byar, „biały sheknath”, jak go nazywano za plecami – wielki, powłóczyący nogą, siwowłosy mężczyzna, który potrafił wydobyć cztery dźwięki ze staroświeckiego osiemnastostrunowego *kiit*, podczas gdy inni zaledwie potrafili go podnieść, nie mówiąc o wydobyciu jakiegokolwiek dźwięku. Sirit Byar. Sirit Byar, który swoją muzyką potrafił zmieniać lot strzał, wzywać skalne *targi*, aby go przewoziły przez górskie rzeki, sprawiać, by starzy generałowie z bokobrodami tańczyli niczym dzieci. To wszystko bzdury, wodniste koźle gówno, jak każda inna historia, jaką o nim opowiadają. Zanotuj to. Czy piszesz?

Trzydzieści lat... więcej, więcej minęło, jak umarł, a pomyśleć by można, że sto, słuchając tych zaszranych wszytkowiedzących, którzy zupełnie przeinaczają jego pieśni i tak je dalej przekazują głupcom, a oni wierzą, bo nigdy nie słyszeli, jak ten człowiek grał. Ludzie przypuszczają, że grając opowiadał, ale bogowie wiedzą, że śpiewał – uwierz, on nawet gdy sikał, śmiał się, słysząc takie pełne namaszczenia kapanie. A potem zazwyczaj patrzył na mnie, możliwe, że dostrzeżałam wtedy skurcz w prawym kąciuku jego ust pod poplamionymi winem białymi wąsami, i mówił, z tym barbarzyńskim, charakterystycznym dla południowego wybrzeża akcentem, którego się nigdy nie wyzbył: „Co ci zawsze powtarzam, duża dziewczynko? Nigdy nie zakładaj się, nie stawiaj na nic, z wyjątkiem ludzkiej głupoty”. I kuśtykał dalej.

Poznałam Sirit Byara, kiedy miałam jedenaście lat, a umarł, kiedy miałam siedemnaście. Nie, nie skonał na moich rękach – kim ty jesteś, do cholery, bardem i mizdrzącym się gryziopiórkiem w jednej osobie? Tak, wiem, nikt nigdy nie dowiedział się, co się z nim stało. Dojdę do tego kiedy, do cholery, przyjdzie na to czas. Nie gap się tak na mnie, bo pozbawię cię tych ospowatych uszu i odeślę je twojej matce, bez względu na to w jakiej psiej budzie jest teraz. Pisz – przesiedzimy nad tym cały dzień, jeżeli wciąż będziesz się tak gapić. Bogowie, co za miasto – same głupki i półgłówki. Jak w domu.

Nazywam się Mircha Del. Urodziłam się niedaleko Davlo, które leży może sto mil na południowy zachód od Fors na’Shachim. Mój ojciec był rolnikiem w górach, próbował uprawiać coś na kamieniach i piasku, jak każdy kto mieszkał na tych skałach. Matka miała tyle rozumu, że uciekła niedługo po moim urodzeniu. Nigdy jej nie spotkałam, nie wiem nawet, czy jeszcze żyje. Ojciec mawiał, że była piękna, ale wystarczy popatrzeć na mnie, żeby upewnić się, jak było naprawdę. Prawdopodobnie była jedyną kobietą, która zgodziła się z nim zamieszkać na tych jałowych kamieniach, ale nawet ona nie mogła długo tego wytrzymać. Nie ma potrzeby o tym wszystkim pisać – ta historia nie jest ani o niej, ani o nim. Aha, ojciec umarł na moich rękach, jeżeli to cię interesuje. Jedyny raz, jaki pamiętam, gdy go tak trzymałam.

W wieku jedenastu lat wyglądałam tak samo jak teraz. Ojciec powiedział kiedyś, że powinnam się urodzić mężczyzną, nie sądzę jednak, abym była mniej brzydka z jajami i brodą, chociaż może miał rację. Opuść to również. Ważne jest tylko, że już wtedy byłam silna jak mężczyzna, w każdym razie w wystarczającym stopniu, aby zbierać plony z naszej parszywej ziemi i kierować zaprzęgiem koni z Karakosk – wiesz, tych wielkich, które hoduje się na mięso – żeby zorać naszą ziemię. A kiedy syn naszego sąsiada, idiota – tak, prawdziwy idiota, któż inny mógł być towarzyszem moich zabaw dziecięcych? – został przygnieciony przez padające drzewo, mnie wezwano, abym je podniosła. Umarł i tak, ale ludzie przez jakiś czas nazywali mnie „Davlo sheknath”. Powiedziałam kiedyś o tym Sirit Byarowi, o podobieństwie w naszych przezwiskach, a on tylko parsknął gniewnie. Powiedział: „Nie znosiłaś tego”. Skinęłam potakująco głową. Sirit Byar stwierdził: „Ja również, zawsze”, więc może tu tkwiło nasze prawdziwe podobieństwo. W każdym razie poczułam się wtedy lepiej.

Tak, tak... W pobliżu Davlo był kiedyś szynk, nazywał się Radość Młynarza. Od dawna już go nie ma, ale wtedy była to najweselsza knajpa w okolicy, z kartami i bijatykami, i każdym rodzajem rozrywek od walk kogutów po walki *shukri*. Bywały tam prawdziwe tancerki Leishai. Czasem nawet można było zobaczyć jednego z tych kruszących skały siłaczy z nizin, z południa. Ojciec spędzał tam wieczory, a gdy się postarzał, również i ranki, więc często schodziłam do Davlo, by go przyprowadzić do domu – najczęściej musiałam go wlec. A mówię to wszystko po to, żeby wyjaśnić, jak spotkałam Sirit Byara.

Którejś nocy przywędrowałam do Radości Młynarza po ojca – wściekła, ponieważ nasza jedyna mizerna *rishu* miała się właśnie cieleć i ojciec przyrzekał, że na pewno będzie tego wieczoru w domu. Odebrałam cielątko sama, nie było problemów, ale mogły być i teraz zamierzałam ojcę dopieć przed jego kolegami z szynku. Już ulicę dalej słyszałam, jak hałasowali, i jego wydzierającego się i śmiejącego wśród innych. Ileż to razy odciągałam go od stołu i wywlekałam z gospody w chłodną noc, na spacer do domu. Wydaje mi się, że najczęściej był mi za to wdzięczny – świadczyło to bowiem o tym, że ktoś się jeszcze o niego troszczy i być może, odbierał to jako miłość, nie wiem. Czuł się samotny, kiedy odeszła moja matka, był zbyt biedny, żeby pić albo chodzić na dziwki, więc musiał znosić, jak na niego wrzeszczałam.

Ale tamtej nocy jeszcze jeden dźwięk dochodził z tej starej spelunki. Najpierw gwałtowne uderzenie w struny *kiit*, czemu towarzyszyły gorsze niż zazwyczaj przekleństwa, a potem ten głos, ten głos – ten szorstki, ochrypliwy, południowy głos, gdzie zawsze oddech następował po takcie, ten głos śpiewający pieśń, pierwszą, jaką kiedykolwiek słyszałam:

Nie zaprzeczaj, gdybyś dawniej wiedział to co teraz, i tak spieprzyłbyś całe swoje życie niejedną raz...

Tak, poznajesz to, prawda, nawet gdy tak zawodzę? Wtedy nie wiedziałam, co to jest, nigdy w życiu nie słyszałam niczego, co byłoby podobne do tej muzyki, nigdy w życiu nie słyszałam barda. Bardowie zazwyczaj nie przybywają do Davlo. Nic tam nawet po brzdąkajle grającym w zapusty, nie mówiąc już o kimś takim jak Sirit Byar. Ale to był właśnie on.

Gdy otworzyłam drzwi, podniósł wzrok. Siedział na stole po turecku i trzymał *kiit* na kolanach. Pomiędzy nami kłębili się pijani brudni wieśniacy – kilku go słuchało, gdy grał; większość złapała czerwone piwo i wykrzykiwała swoje piosenki – ale Sirit Byar mnie zobaczył. Stałam w drzwiach – jedenastoletnia, wielkości wozu siana, brzydka i brudna jak podłoga w tej knajpie. Nie uśmiechnął się ani nie skinął głową, ani nic w tym rodzaju.

– Jesteś, duża dziewczynko – powiedział, przekrzykując hałas. Jak gdyby czekał na mnie. A potem wrócił do swojej piosenki.

Nie zaprzeczaj, gdyby zgłupiał na tyle, żeby zostać teraz, tym samym podłym tępym sukinsynem byłbyś jeszcze niejedną raz...

Jakiś mężczyzna płakał, walił głową w stół i jęczał głośniejszym głosem niż śpiewał Sirit Byar. A inny, górnik z Grebak, po prostu siedział cicho, z zaciśniętymi dłońmi, szarpiąc i ściskając wielkie, pokryte strupami stawy palców. A co do mego ojca i całej reszty – pili, bili się i rzygali na wszystkich dookoła jak każdego innego wieczoru w Radości Młynarza. Gospodarz sam był na wpół pijany i wciąż próbował wyrzucić małego Desh Jakani, kowala, tyle że ten nie chciał iść. Trzy szynkarzy umawiały się z każdym, kto wyglądał na takiego, że jeszcze utrzyma się na nogach i zostaną mu choć dwa miedziaki po zamknięciu gospody. Ale Sirit Byar nie przestawał patrzeć na mnie pomimo tego hałasu i smrodu, i śpiewał:

Nie zaprzeczaj, gdybyśmy nawet stali się bogami teraz, takie same pomyje wylalibyśmy na siebie niejedną raz...

Jak wyglądał? Był wielki. Wysocy, postawni mężczyźni są ciągle rzadkością w górach – nie sprzyja temu rodzaj wyżywienia, zbyt mało mięsa, w dodatku teren po prostu sprawia, że karłowacieją – a Sirit Byar był największym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. Ale nie mówię tu o jego wzroście czy tuszy – mówię o jego rozmiarach. Nie był bezbarwny pomimo swoich zbielałych włosów, wypłowiałych spodni i znoszonej bluzy rybaka; znać było po nim siłę, kiedy tak siedział śpiewając, i siła ta sprawiała, że wszystko i wszyscy w tym rozwrzeszczanym szynku wydawało się małe, zamglone i odległe, tyle pamiętam. Był zarośniętym starcem – w każdym razie na pewno minęła mu pięćdziesiątka – który chropawym głosem śpiewał sprośne piosenki i nazywał mnie „dużą dziewczynką”. W pewnym sensie takiego znalazłam go zawsze.

Nie wszystkie piosenki były sprośne i nie wszystkie były smutne i cyniczne jak „Nie zaprzeczaj”. Tamtego wieczoru śpiewał również balladę „Duch babki”, która jest po prostu zabawna, „Zamki na piasku” – znasz to? – i „Żeglarkę Lal”, która nawet pijanych wieśniaków zmusiła do walenia w stoły i chóralnego wydzierania się w refrenie. I jeszcze piosenkę o człowieku, który poślubił lisa na księżycu – to moja ulubiona, do tej pory, mimo że nie śpiewał jej często. Zapomniałam o ojcu, zapomniałam nawet usiąść. Po prostu stałam w drzwiach z otwartymi ustami, kiedy Sirit Byar mi śpiewał.

Naprawdę potrafił wydobyć ze starego sponiewieranego *kiit* cztery dźwięki, jakby niezależnie od siebie, to nie bajka. Przeważnie żeby się popisać, tak, na końcu – ale mnie najbardziej podobało się, kiedy zaśpiewał jakiś wers w jednym rytmie, a *kiit* odpowiadał mu w innym i nie można było uwierzyć, że w końcu spotkają się razem, nawet jeżeli się wiedziało, że tak będzie. Sześć lat wędrowałam razem z Sirit Byarem i nigdy nie miałam dość słuchania tego, co śpiewał i grał.

Kłopoty pojawiły się przy „Dobrych ludziach”. Zawsze tak było, szybko się o tym przekonałam. Ta piosenka potrafi rozjuszyć nawet dziś, łząc każdego, od wielkich panów do sklepikarzy, od duchownych po przedstawicieli władzy i policji krajowej; ale gdy była nowa, nie można było nawet dojść do połowy, nie wzniecając jednocześnie rozruchów. Nie sądzę, aby Sirit Byar to rozumiał wtedy, w Radości Młynarza. Chociaż może... To było do niego podobne.

Tamtej nocy nawet nie doszedł do połowy „Dobrych ludzi”. Jak sobie przypominam, właśnie zaczął trzecią zwrotkę – nie, nie, drugą – kiedy mężczyzna, który głośno płakał, wstał, otarł oczy i zwał go ze stołu. Ponieważ Sirit Byar wcale nie widział wymierzonego weń ciosu, nie miał szans się obronić. Nawet gdy już leżał, kulił się wokół *kiit*, chronił instrument przed zniszczeniem, więc nie mógł oddawać ciosów i kopniaków, które zaraz na niego spadły. Potem Kluj, tak mu było na nazwisko, włączył się do bójkę – zwykle rzucał się na każdego – a potem mój ojciec. Dasz wiarę? Zbyt był spity, żeby wiedzieć, co się dzieje, potraktował to jak zabawę. On i płaczący wcześniej mężczyzna potknęli się o siebie nawzajem, upadli i przekoziolkowali przez Sirit Byara wprost pod nogi wielkiego górnika i zwalili cały stół na siebie. No cóż, górnik zaczął ich kopać, a buciory miał ciężkie, i Mouli Dja, stary towarzysz ojca przy kieliszku, poczuł się sprowokowany. Zaczął wrzeszczeć, kłąć i gryźć. Dalej nie warto nawet opowiadać, wierz mi na słowo. Trochę krwi, mnóstwo smarków i jeden wielki bajzel. Zwykła bijatyka w szynku.

Jak już mówiłam, w wieku jedenastu lat byłam prawie tak silna jak teraz. Jedną ręką wyciągnęłam ojca spod bijających się pijaków, drugą – Mouli Dja. Dzisiaj bez zastanowienia roztrzaskałabym im głowy, ale wtedy byłam dzieckiem, więc tylko cisnęłam ich do kąta. Potem zaczęłam ściągać ludzi z Sirit Byara. Gdy już raz ich postawiłam na nogi, zazwyczaj nie włączali się znowu do walki, więc szło coraz łatwiej.

Nie był bardzo ranny. Takie sytuacje zdarzały mu się już wcześniej; wiedział, jak ochraniać zarówno głowę i jaja, jak i *kiit*. Nic złego mu się nie stało, miał trochę krwi na białych wąsach, jedno oko spuchnięte i podbite. Popatrzył na mnie tym drugim i powiedział znowu:

– Jesteś, duża dziewczynko.

Wyciągnęłam rękę, żeby mu pomóc, ale wstał o własnych siłach.

Z bliska wyczułam, że pachniał jak dzikie zwierzę – wiesz, jak futro, żywe futro, takie, które jest jeszcze na *shukri* albo na *jarilao*. Był jak wyciosany z jednej bryły: szerokie ramiona, prawie nie zaznaczony pas, grube nogi i szyja. Duża twarz, ale nie sflaczała, nie obwisła – kości policzkowe tak wielkie, że można by z nich zbudować dom i płot. Duże oczy, osadzone szeroko, częściowo ocienione przez kości policzkowe. Bardzo spokojne oczy, ciemne, przy białych włosach wyglądały jak czarne. Nieczęsto się uśmiechał, ale zazwyczaj sprawiał wrażenie, jakby właśnie miał zamiar to zrobić.

– Pora iść – powiedział, spokojny jakby nigdy nic, stojąc tam wśród szczątków stołu i nie zwracając uwagi na ludzi, którzy wokół nas wrzeszczeli, krwawili i potykali się o siebie nawzajem. – Zamierzałem spędzić tę noc tutaj, ale jest za głośno. Znajdziemy gdzieś jakąś szopę albo zagrodę.

Co ja na to? Po prostu powiedziałam:

– Muszę zaprowadzić ojca do domu. Idź drogą na Fors, aż dojdiesz do świątyni Azdaka, będzie po prawej stronie. Tam się spotkamy.

Sirit Byar skinął głową i odwrócił się, żeby wygrzebać swój żeglarski worek spod Dorduna, handlarza koni, którego właśnie dusił jakiś nieznamy w żółtym kapeluszu. Zabawne, jakie rzeczy się pamięta. Jeszcze widzę ten kapelusz, a minęło trzydzieści lat, albo i więcej.

Odprowadziłam ojca do domu, jak zwykle. Ale potem musiałam posadzić go na beczce i ocucić – aby później nie powtarzać wszystkiego jeszcze raz – i powiedzieć mu, że odchodzę z Sirit Byarem. A to nie było łatwe. Po pierwsze, ojciec był pijany jak bela, a po drugie, nie byłam w stanie podać żadnego racjonalnego powodu, dla którego ja, druga kobieta w jego życiu, chciałam go opuścić. Nigdy nie był okrutny dla mnie, choć okoliczni wieśniacy bez skrupułów wykorzystywali córki, a potem śmiali się z tego w Radości Młynarza. Nigdy nie wyrządził mi żadnej krzywdy oprócz tej, że spłodził mnie w tym wysoko położonym, zimnym, odludnym, nędznym końcu świata. I oto uciekałam z bardem pięciokrotnie starszym ode mnie, z człowiekiem, którego wcześniej nigdy nie widziałam ani o którym nawet nic nie słyszałam. Och, to się będą z ojca natrzęsać Mouli Dja i inni sąsiedzi.

Myślę, że w końcu nie starałam się niczego wyjaśnić. Powiedziałam tylko, że nie będę mu już pomagała w prowadzeniu gospodarstwa i nie musi się troszczyć o pożywienie dla mnie. Nic nie odrzekł, tylko nie przestawał mrugać, próbując skupić wzrok. Nawet nie wiem, czy zrozumiał choćby słowo. I nie wiem, co czuł, gdy obudził się następnego dnia i zobaczył, że odeszłam.

Wzięłam ze sobą niewiele rzeczy. Nóż, hubkę z krzesiwem, mój najlepszy płaszcz. Musiałam wrócić się po przynoszący szczęście zagraniczny pieniążek – patrz, to ten, do tej pory nie udało mi się za niego kupić choćby piwa. Mój ojciec spał na ziemi, z głową opartą o ścianę. Okryłam go kocem – możliwe, że już drugi raz – i po raz drugi wyszłam.

Droga do Fors na 'Shachim biegnie w pobliżu świątynki Azdaka prosto, więc w świetle księżyca zobaczyłam Sirit Byara z daleka. Nie rozglądał się za mną niecierpliwie, lecz kłęczał przed kupką szkarłatnych kamieni. Na najwyższym wyryta była twarz Azdaka z wystającymi zębami. „Azdak” w moim języku znaczy po prostu obcy. Nikt z nas nawet nie znał prawdziwego imienia tego boga, nikt nie wiedział, czym zasłynął ani kto zbudował tę świątynkę, kiedy mój ojciec był jeszcze dzieckiem. Nie zburzyliśmy jej, żeby nie sprowadzić nieszczęścia, a niektórzy wyznawali go nawet, bo dla czegoż by nie? Nasi bogowie z gór byli gównem warci, to oczywiste, inaczej nie staraliby się tak usilnie, podobnie jak my, przetrwać wśród tych skał. Natomiast istniała szansa, że jakiś bóg, który przywędrował z nieznanych stron, potrafi to i owo.

Sirit Byar nie składał Azdakowi w ofierze jedynie szybkiego skinienia głowy i listy próśb, jak inni wyznawcy. Kłęczał, a jego duża biała głowa była na tym samym poziomie co głowa boga, patrzył mu w oczy. Poruszał ustami, jednak nie mogłam rozróżnić słów. Gdy do niego podeszłam, podniósł się w milczeniu, wziął *kiit* i żeglarski worek, i ruszył drogą na Fors. Pobiegałam za nim.

– Nazywam się Mircha! Dokąd idziesz! – wołałam.

Nawet na mnie nie spojrział.

– Dlaczego modliłeś się do Azdaka w taki sposób? Czy to bóg twego narodu? – zapytałam.

Przeszliśmy kawał drogi, zanim odpowiedział.

– Znamy się. Nie nazywa się Azdak, a ja się nie modliłem. Rozmawialiśmy.

– Będzie padać nad ranem – zauważyłam. – Czuję to. Gdzie się schronimy?

– W pałacu albo na strychu z sianem, na co się najpierw natkniemy – mruknął zaledwie i nie dodał ani słowa więcej.

Znaleźliśmy nocleg pomiędzy dwoma starymi osłami, w starej szopie, na bardzo starym sianie. Właśnie zagrzebywałam się w nim, próbując przysunąć się do jednego ze zwierząt, żeby mi było cieplej, gdy Sirit Byar nagle odwrócił się do mnie.

– Będziesz nosić *kiit*. Nie powinien być dla ciebie za ciężki.

I usnął, chyba od razu. Nie mogłam zmrzyć oka przez całą noc, częściowo z powodu zimna, ale przede wszystkim dlatego że to, co zrobiłam, w końcu – zauważ, w końcu – zaczęło do mnie docierać. Oto znalazłam się tak daleko od domu jak nigdy wcześniej, leżałam na zapleśniałym sianie, a obok chrapał obcy mężczyzna. Jakim głupim kłosem wtedy byłam, myślałam, że tylko mój ojciec chrapie, nikt inny. Nie bałam się, nigdy w życiu się nie bałam, a swoją drogą, szkoda... ale z pewnością byłam speszona, przynajmniej to. Nic mi nie pozostawało, jak tylko leżeć i czekać rana. Zastanawiałam się, czy ciężko będzie nosić przez cały dzień na ramieniu *kiit*. Ani razu nie przyszło mi do głowy, żeby wrócić do domu.

Okazało się, że *kiit* jest piekielnie ciężki – a byłam silna – i co gorsza, nieporęczny jak pług. Nie można go było dobrze uchwycić, nie można go też było w żaden sposób wygodnie nieść, chyba że zmieniałam sposób noszenia przez cały czas: to na plecach, to w rękę, to przyciskając oburącz do piersi albo pozwalając, by zwiślał luźno z barku i uderzał o wszystko, czego mógł dosięgnąć. Pod koniec pierwszego dnia wędrówki zaczęłam utykać jak Sirit Byar.

I tak się zaczęło. Zatrzymaliśmy się po zachodzie słońca w pierwszej napotkanej gospodzie. Sirit Byar grał i śpiewał dla wieśniaków brudniejszych i nawet gorzej spitych niż ci, których widywałam w Radości Młynarza. W ogóle nie zwrócili uwagi na balladę „Żeglarka Lal”, a gorąco klaskali i głośno wiwatowali po usłyszeniu „Dobrych ludzi”, nawet kazali mu to zaśpiewać dwa razy, żeby się jej nauczyć. Nigdy nie wiadomo, co się słuchaczom spodoba albo co zrobią.

Po dwóch takich wieczorach i jeździe na wozie druciarza jedliśmy obiad i spaliśmy na Fors na 'Shachim – tak, w samym czarnym zamku, gdzie damy dworu królowej nalewały nam herbatę, a komnata, w której Sirit Byar zawsze

sypiał, była już dla niego przygotowana. Czterem damom dworu kazano, aby mnie wykąpały i znalazły coś odpowiedniego do ubrania, zanim stanę przed władczynią. Kąpiel zniosłam cierpliwie, ale gdy zaraz potem chciały spalić moje łachy, wypchnęłam baby z pokoju. Uciszyłam w ten sposób chichoty. A więc dwór królowej martwił się tym, jaką koszulę mam włożyć przed snem. Takiego zaszczytu nigdy nie doznałeś, mimo że umiesz czytać i pisać. Swoją drogą, ciebie chyba też by wykąpały.

Dwa dni później znowu byliśmy w drodze, ja z powrotem w łachmanach, które nosiłam prawie że od urodzenia (damy dworu prawdopodobnie spaliły pożyczoną mi sukienkę i koszulę nocną), a Sirit Byar w tym, co zwykle nosił – nie skusiły go na tyle, aby zechciał co dzień śpiewać królowej. Ale miał w kieszeni złote monety, trzydzieści nowych strun do *kiit* i jedwabną chustkę na szyi, którą królowa własnoręcznie zawiązała swoimi pięknymi rękami. Kuśtykał więc teraz, żeby śpiewać swoje piosenki na skrzyżowaniach dróg w każdym miasteczku pomiędzy Fors i Chun tylko za nędzne posiłki i nocleg na posłaniu pełnym robaków *dai*. W tamtym czasie byłam stworzeniem cichym i potulnym, ale musiałam tę sprawę wyjaśnić.

– Chciała, żebyś został, one też – zagadnęłam.

Sirit Byar chrząknął tylko.

– Byłbyś królewskim bardem – ciągnęłam – i mógłbyś mieć pokój w pałacu do końca życia. Musiałbyś tylko układać piosenki i od czasu do czasu śpiewać je królowej.

– Robię to – powiedział Sirit Byar. – Od czasu do czasu. Podnieś *kiit* wyżej, szoruje o drogę.

Przyglądał mi się, jak z trudem usiłuję utrzymać instrument w równowadze na ramieniu i po raz pierwszy zobaczyłam, że lekko się uśmiecha.

– Liczy się śpiewanie, duża dziewczynko – powiedział. – A nie dla kogo.

W milczeniu przeszliśmy kawałek drogi, potem rzekł:

– Żeby robić to, co robisz, muszę chodzić pieszo, nie mogę jeździć. Gdy jadę, piosenki do mnie nie przychodzą. Tak to już jest.

– A gdybyś sypiał w łóżku? – spytałam. – Gdybyś śpiewał dla ludzi, którzy nie są pijani, nieszczęśliwi i głupi? – Miałam jedenaście lat, poranione stopy i chętnie spędziłabym jeszcze kilka dni w czarnym zamku.

– Daj mi to – rzekł Sirit Byar.

Podalam mu *kiit* zadowolona, że pozbyłam się go na kilka minut. Myślałam, że chce mi pokazać, jak go wygodnie nieść, ale on nastroił kilka nowych strun – nie współgrały jeszcze z innymi, co doprowadzało go do szału – i gdy tak szliśmy, zaczął grać. Zaśpiewał „Żonglera”.

Nie, tej piosenki nie znasz. Chyba nikt jej nie zna. Sirit Byar rzadko ją grał – może trzykrotnie w ciągu tych sześciu lat, kiedy byliśmy razem, ale nauczyłam się jej na pamięć od razu, jak wszystkich jego piosenek. Jest o chłopcu pochodzącym z wioski równie nędznej jak Davlo, który nauczył się żonglować, bo się nudził i był samotny. I okazało się, że jest w tym dobry, ma talent. Żongluje wszystkim – kamieniami, jedzeniem, narzędziami, butelkami, meblami, co jest pod ręką. Ludzie go uwielbiają; przybywają z daleka, żeby zobaczyć, jak żongluje, niebawem król się o nim dowiaduje i chce, aby zamieszkał w pałacu i był jego nadwornym żonglerem. Ale w piosence chłopiec mu odmawia. Mówi królowi, że gdy raz zacznie żonglować koronami, nigdy już nie będzie umiał żonglować czym innym. Zapomni, jak to się robi, zapomni, dlaczego na początku chciał to robić. „Więc dziękuję ci, najjaśniejszy panie, ale nie chcę”. Piosenka ma ten sam ostatni wers w końcu każdej zwrotki: „Królowie chcą mieć żonglerów, żonglerzy nie chcą mieć królów”. Nie potrafię tego dobrze zaśpiewać, ale tak to słoto.

Zaśpiewał mi ją właśnie tam, na drodze, gdzie byliśmy tylko my dwoje, i nigdy nie dowiedziałam się o nim tak dużo za jednym razem. Nigdy się nie tłumaczył, ani mnie, ani nikomu innemu. Tego dnia spytałam go też, czy się martwi, gdy ludziom nie podobają się jego piosenki. Sirit Byar wzruszył lekceważąco ramionami.

– To nie moja sprawa. Królowej się podobają, twojemu ojcu nie. W obu przypadkach nic mnie to nie obchodzi.

I rzeczywiście, to go nie obchodziło. Zapisz te słowa, tak jak mówię, bo nawet jeżeli sknocisz całą resztę, to jest ważne. Dopóki Sirit Byar mógł układać piosenki i je śpiewać, po prostu nie dbał o to, gdzie śpi, co je, komu śpiewa. Nie masz pojęcia, ile spraw traktował jak nieważne. Gdy miał pieniądze, wydawał je na nasze posiłki i nowe struny – stary *kiit* wiele ich potrzebował – co jakiś czas na nocleg w gospodzie, byśmy mogli się umyć i przeprać ubrania. Kiedy nie mieliśmy pieniędzy, jedzenie i nocleg i tak nam oferowano, zazwyczaj nie gorsze. Chociaż Sirit Byar potrafił przez cały dzień powiedzieć nie więcej niż kilka słów, miał przyjaciół na takich odludziach, gdzie spodziewałam się, że nie znajdzie nawet wroga. Żebraczka z Rivini – zawsze się u niej zatrzymywaliśmy, tak samo regularnie jak w czarnym zamku. Mieszkała w opuszczonym kurniku. Zaklinaczka wiatru z Leishai, gdzie cieszyła się dużym szacunkiem, bo mieszkają tam żeglarze. Dwaj tkacze spod Sarm – bracia, od czasu do czasu zajmujący się również wykradaniem z cmentarza świeżych trupów, które później sprzedawali lekarzom do badań. Zbójca na drodze przed Cheth na’Deka – ten zawsze chciał, żeby mu śpiewać przez całą noc, domagał się to tej piosenki, to tamtej. Żona dostawcy zaopatrzenia dla okrętów w Arkakli...

Zawsze mnie będzie zastanawiać ta kobieta. Jej mąż miał skład w pobliżu rzeki i zwykle pozwalała nam tam spać, pod warunkiem że będziemy na tyle ostrożni, by nie pozostawić po sobie żadnych śladów. Nie była ładna – ciemnowłosa, niska, trochę za pulchna. Tyle pamiętam. Miała miły głos. Nigdy się nie dowiedziałam, czy coś było między nią a Sirit Byarem, choć gdy któreś nocy wstałam, żeby się wysikać, słyszałam ich rozmowę. Chyba żartowali, ale zbyt cicho, żebyśmy mogły rozróżnić słowa. Siedzieli nad wodą, odbity w wodzie księżyc błyszczał im na twarzach i rozświetlał białe włosy Sirit Byara. Wysikałam się za składem i poszłam spać, to wszystko.

Mieliśmy coś w rodzaju stałej trasy. Założmy, że Fors na’Shachim był początkiem, stamtąd kierowaliśmy się na wybrzeże przez przełęcz Dungaurie, dochodziliśmy do portu Grannach, a potem podążaliśmy na północ. Sirit Byar śpiewał w tawernach, kuchniach, we wspólnych salach i na placach targowych we wszystkich portowych miastach aż do Leishai. Och, te porty! Ten zapach, sól i przyprawy, i diegieć, czuło je na mile, zanim jeszcze zobaczy się miasto. Jakie przysmaki czekały tam na nas na straganach – świeżutka *courel*, *jeniak*, zupa *boreen* z mnóstwem kociego ziela. Sznury małych chrupiących ryb *jai* – można je było wkładać po dwie do ust. I to światło odbijające się w wodzie, i dzieci chlapiące się przy brzegu, i ludzie głośno witający nas w różnych językach. Nazywali Sirit Byara „biały *sheknath*”. Ach, to uczucie, że

wszystko jest możliwe, że możesz stąd pójść, dokąd zechcesz, z wyjątkiem Davlo. To było najlepsze, lepsze niż jedzenie, lepsze niż zapachy. To uczucie.

Nie, wiem, co sobie myślisz, ale rzadko śpiewaliśmy piosenki o morzu w portowych miastach. Jedną, może dwie, takie jak „Kapitan Szalupa i syrena” czy „Ciemna woda w dole”. Resztę Sirit Byar zostawiał dla miast położonych w głębi kraju, gdzie ludzie marzą o odległych wyspach i nie wiedzą, co to jest syrena. W portach śpiewał... hm, „Stary kapłan i stary bóg”, „Mój jedyny smutek”, „Ballada o kapitanie Litość”, „Dobrzy ludzie”. W portach uwielbiali „Dobrych ludzi”, tak, tak...

Z Bitawy kierowaliśmy się w głąb kraju, wciąż na północ, ale nie dalej niż Karakosk, nigdy. Słyszałam, że często śpiewał w Corcorua. Być może, ale nie wtedy, gdy ja z nim byłam. Nie miał najmniejszego zamiaru kuśtykać przez Barreny, w ogóle nie znosił górzystej północnej części kraju, bo tam podają złe wina, a mieszczanie są grubi i skąpi. Tak więc nie szliśmy dalej, tylko przez góry Durli podążaliśmy z powrotem na południe do Suk'kai i docieraliśmy w końcu do Fors przed Dniem Złodziei. Tam czekała kąpiel i ciepłe łóżko, kilka dni śpiewania dla królowej i próby „przerabiania nas” przez damy dworu... i wszystko zaczynało się od początku. Tak żyliśmy przez sześć lat.

Obowiązki? Jakie były moje obowiązki? Jak zgrabnie to ująłeś, słaba ręko. No cóż, nosiłam *kiit*, parzyłam herbatę i gotowałam, kiedy było coś do ugotowania. Kilka razy, głównie w Leishai, przepędziłam kieszonkowców, których on nie zauważył, a pewnego wieczoru złamałam ramię, wymachując siekierą przed nosem golibrody z Bitawy, któremu nie podobają się „Zamki na piasku”. Poza tym dotrzymywałam mu towarzystwa, najczęściej milcząc, rozmawiałam, kiedy chciał rozmawiać, zbierałam do kapelusza datki, gdy skończył śpiewać, i pilnowałam go przed ohydny trunkiem z zachodu kraju, który nazywano Silną Śmiercią. Straszny zajzajer, niszczy dziaśła od środka, ale Sirit Byar go uwielbiał, poza tym na wschód od Fors trudno to kupić. Pił ten trunek jak wodę, ale nie pamiętam, żeby widział go pijanego. Chociaż może widziałam, i to wiele razy, tylko nie przyszło mi do głowy, że jest pijany. Z Sirit Byarem nigdy nic nie było wiadomo.

Kiedyś go zapytałam:

– Co byś zrobił, gdybyś nie był bardem? Gdybyś nagle nie mógł już układać piosenek?

Myślałam, że znamy się wystarczająco dobrze, żeby mogła o to zapytać, ale on zatrzymał się na drodze i zaczął się na mnie gapić, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział. Był to jedyny raz, gdy widziałam go tak zdumionego, tak wstrząśniętego.

– Nie wiem – wymamrotał.

Wtedy ja wytrzeszczyłam oczy ze zdumienia.

– Oczywiście, do cholery, nie mam najmniejszego pojęcia, co to znaczy być bardem ani jak to jest, nigdy o tym nie mówiłeś. Wiem tylko, co lubisz jeść, gdzie chcesz siedzieć, gdy śpiewasz. Pewnie myślisz, że tylko tyle dziewczyna z gór Davlo potrafi zrozumieć. Możliwe, że tak jest. Ale tego z kolei ty się nie dowiesz.

Sirit Byar uśmiechnął się wtedy prawdziwym uśmiechem, nie prawie uśmiechem, jaki miał zwykle dla każdego.

– Słuchaj piosenek, duża dziewczynko. Jest w nich wszystko, cokolwiek mógłbym ci powiedzieć.

Przez jakiś czas szliśmy przed siebie w milczeniu, w końcu powiedział:

– Bard zawsze ma w zapasie jedną ostatnią pieśń, na taki dzień, gdy wszystkie inne odejdą. To się przytrafia każdemu z nas, wcześniej czy później, budzisz się pewnego dnia i koniec. Zostawiły cię, nie potrzebują cię już więcej. Bez uprzedzenia. Nie uprzedzają cię, gdy się pojawiają, nie uprzedzają, gdy odchodzą. Dlatego trzymasz w zapasie tę ostatnią pieśń.

Odchrząknął, splunął na drogę, potarł nos i popatrzył w bok, na mnie.

– Ale trzeba być bardzo ostrożnym, bo ostatnia pieśń barda ma wielką moc. Dlatego bard nigdy nie mówi, jaka to pieśń, nigdzie jej nie śpiewa; zachowuje ją na ten dzień, kiedy będzie to jedyna pieśń, jaka mu zostanie. Ponieważ ostatnia pieśń nigdy nie pozostaje bez odpowiedzi.

Potem prawie się nie odzywał do końca dnia.

Nauczył mnie trochę gry na *kiit*. Jestem pewna, że zrobił to, ponieważ nigdy nie znalazł nikogo, kto potrafiłby choćby podnieść ten instrument. Nie jestem muzykiem – nie potrafię robić tego, co robił Sirit Byar, ale wiem, jak grał. Kiedyś chciałabym to komuś pokazać, aby ta wiedza nie umarła wraz ze mną. Nie chodzi o to, że zobowiązał mnie do przekazania czegoś ze swej gry, po prostu chcę to zrobić.

Zdarzyło się, że przypadkiem trafiliśmy na konkurs pieśni, walkę bardów, popularną zwłaszcza na południowym zachodzie kraju – tradycją stało się dyktowanie poetom jakiegoś tematu, aby mogli nawzajem prześcigać się w dobieraniu rymów. Sirit Byar nienawidził takich imprez. Choćby w jakimś mieście zazwyczaj goszczono nas hojnie, unikał go, jeżeli tylko słyszał, że odbywa się tam konkurs. Gdy raz został rozpoznany, nie miał wyboru – nieważniliby zawody, gdyby nie wziął w nich udziału. Zawsze wygrywał, ale zawsze potem był wściekły przez wiele dni. A ja lubiłam te turnieje pieśni – jedliśmy wtedy dobrze, piliśmy lepsze wino i trochę z tego uwielbienia, jakim tłum darzył Sirit Byara, przypadało mi, w każdym razie tak to odczuwałam. Byłam dumna niczym dama dworu królowej, gdy szłam ulicą obok niego, trzymając *kiit* w taki sposób, aby ludzie mogli zobaczyć kwiaty wplecione w struny. I ilekroć w tym zamieszaniu Sirit Byar spojrzął i mrugnął do mnie, prawie jak bard do barda – cóż, możesz sobie wyobrazić, co wtedy czułam, słaba ręko.

Nie. O nie. Wybij to sobie z głowy raz na zawsze, dla własnego dobra. Miałam jedenaście lat, gdy taszczyłam *kiit*, a potem dwanaście, trzynaście, czternaście, gdy spałam obok barda na polach, w stodołach, szopach i izbach ulicznych dziewczek i nigdy między nami nic nie było, przez cały ten czas. Nigdy. Ani razu. Nie przyszłoby mu to do głowy.

Mnie przyszło. Opowiem ci o tym. Ha, możesz się na mnie gapić, właśnie tak. Inaczej byłabym zawiedziona. Słuchaj, miałam dużo więcej mężczyzn niż ty kobiet. Jakie to ma znaczenie? Myślisz, że mężczyźni zwracają uwagę na gładką skórę, piękne zęby, śliczne małe noski? Nie tam, gdzie byłam – nie w kopalniach, nie na płaskodennych barkach, na łodziach pływających po kanałach, nie w karawanach handlarzy przekradających się przez Barreny Północne. Tak, musiałam nawet mówić: „Nie, nie teraz, wynoś się” – czy potrafisz to sobie wyobrazić, drżąca słaba ręko? Spróbuj.

Pierwszy był jeszcze wtedy, gdy wędrowałam z Sirit Byarem. Nie miałam nawet czternastu lat, ale zerkałam ukradkiem na własne odbicie w każdej sadzawce, każdym błyszczącym czajniku, właśnie z braku nadziei, że coś mogło się zmienić, od kiedy patrzyłam na siebie po raz ostatni. Och, gdybym miała matkę... ale cóż, zresztą co mogłaby mi powiedzieć nawet najbardziej kochająca matka, czego by mi nie powiedziało błyszczące dno garnka? Co mógłby powiedzieć

Sirit Byar, który nie patrzył w lustro nigdy, jak rok długi? Bardzo wątpię, aby pamiętał, jakiego koloru ma oczy. Jeżeli o mnie chodzi, to wiedziałam, że jestem na tyle brzydka, aby zwarzyć mleko, zakwaszyć piwo i wystraszyć niemowlęta, ale nie miało to wielkiego znaczenia, dopóki nie spotkałam tamtego chłopca na jarmarku w Limsattu.

Och, bogowie, tamten chłopiec na targu! Widzę go jeszcze teraz, po trzydziestu latach, choć nie pamiętam, z kim spałam w zeszłym tygodniu. Był naprawdę piękny, o lawendowych oczach, skórze przypominającej brązowy batyst i kościach twarzy delikatnych jak żebra kani. Sprzedawał solone mięso – nie do wiary, prawda? – i kiedy Sirit Byar i ja przechodziliśmy obok, popatrzył na mnie przez chwilę, a potem grzecznie odwrócił wzrok. Wtedy dowiedziałam się, że mam serce, bo czułam w nim wielki ból. Nie mogłam uwierzyć, że wciąż jeszcze idę, że od razu nie padłam martwa. Mieliśmy rozbić obóz na polu, o milę od targowiska i przypuszczam, że szłam patrząc za siebie przez całą drogę. Sirit Byar musiał schwytać mnie za ubranie i wlec za sobą niczym łódź.

Była tam mała zatoczka i miałam nałapać trochę ryb na obiad. Każde dziecko z gór potrafi to zrobić, ale ja leżałam na brzuchu i płakałam, tak jak nie płakałam nigdy w życiu, ani wcześniej, ani później. Beczałam jak dziecko. Opuść to. Nie, nie, zostaw. Co mi szkodzi...

Sirit Byar prawdopodobnie od dawna siedział przy mnie, zanim poczułam jego dłoń na mojej szyi. Nigdy mnie nie dotykał, no wiesz, chyba żeby pomóc mi w drodze albo przypomnieć, jak trzymać ten cholerny *kiit*. Kiedyś, gdy miałam tak wysoką gorączkę, że aż zbieleły mi usta, dźwigał mnie i *kiit* przez parę mil, aż doniósł mnie do sławnej znachorki, która wiedziała, co robić. To było inne, to było – nie wiem, opuść to, po prostu to opuść.

– Już dobrze – powiedział.

Zdjął jedwabną chustkę królowej, którą zawsze nosił na szyi, i wytarł mi oczy.

– Podaj mi *kiit* – polecił, ale ja jedynie szlochałam, więc musiał powtórzyć: – Daj mi go, duża dziewczynko.

Stroił *kiit* tak uważnie, jakby się szykował do występu w czarnym zamku. Potem oparł się plecami o drzewo i zaczął śpiewać. To nie była pieśń, jakie dotychczas słyszałam, nie brzmiała jak jedna z nich. Rym był mi nie znany, muzyka się rwała, a słowa nie miały żadnego sensu. Powiedziałam ci, że zazwyczaj uczyłam się jego piosenek na pamięć, jak tylko je usłyszałam, ale nie tej. Pamiętam tylko kawałek, brzmiał tak:

Jeśli nie czujesz, zimny pozostań jak teraz, jeśli nie płoniesz, serce miej niczym głaz, jeśli nie pragniesz, nie zaspokoisz pragnienia, jeśli nie zechcesz, nie doznasz nigdy spełnienia...

Ten wers wciąż na nowo powracał – „jeśli nie zechcesz, nie doznasz nigdy spełnienia”. Pieśń była długa, słuchałam i czułam się coraz bardziej nieswojo. Leżałam i wycierałam nos, a Sirit Byar nie przestawał śpiewać, słońce zaszło i zapadł zmierzch, wolno, w takt pieśni. W końcu usiadłam, wytarłam twarz chustką królowej i przypomniałam sobie o rybach. Ruszyłam nad zatoczkę, gdy nagle muzyka ucichła jak z bicza trzasnął, odwróciłam się i zobaczyłam chłopca ze straganu z solonym mięsem.

Nadal był piękny aż do bólu, ale coś się zmieniło. Miał w wyrazie twarzy jakiś rodzaj nieokreślonej bezradnej złości, jak u kogoś, kto nie był ślepy na tyle długo, aby się do tego przyzwyczaić. Ale podszedł do mnie od razu, wziął mnie za rękę i staliśmy tak, wpatrując się w siebie przez nie wiem jak długo. Kiedy zaczął mnie prowadzić, obejrzałam się za siebie, ale Sirit Byara już nie było. Nie wiem, co jadł tamtego wieczoru ani gdzie spał.

Jeżeli o mnie chodzi, to było tak jak w starych balladach, spałam w ciepłe na zimnym stoku wzgórze, a obudziłam się trochę za wcześnie. Chłopak ze straganu z solonym mięsem był już na nogach, pośpiesznie się ubierał. Patrzył na mnie z takim zakłopotaniem i pogardą – nie dla mnie, ale dla siebie – jakiej nigdy w życiu więcej nie widziałam. Uciekł z butami w rękę, a ja leżałam tam jeszcze przez chwilę, żeby dać mu czas. Nie płakałam.

Sirit Byar był nad zatoczką, jadł śniadanie – suchy chleb, ser i ostatki naszego cierpkiego wina z Dylee. Wystarczyło dla dwojga. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa, dopóki znowu nie ruszyliśmy w drogę, chyba do Derridow. Wtedy się odezwałam:

– Ta pieśń go sprowadziła.

Sirit Byar odchrząknął, odwrócił wzrok i coś wymamrotał. Zatrzymałam się, a on przeszedł dobre kilka kroków, zanim zauważył, że nie idę obok.

– Dlaczego zaśpiewałeś tę pieśń? – spytałam. – Powiedz teraz.

Długo wyjaśniał. Staliśmy na drodze pierś w pierś – prawie tak samo, jak stałam z chłopcem ze straganu z solonym mięsem, wydawało się, całe lata temu. W końcu Sirit Byar otarł dłonią usta i mruknął:

– Jesteś dużą dziewczynką i byłaś taka smutna.

I tak dowiedziałam się, że mnie lubił, rozumiesz. Prawie trzy lata dźwigałam jego instrument, przyrządzałam mu posiłki, zbierałam monety z podłóg w szynkach i nigdy nie powiedział mi ciepłego słowa. Potem odwrócił się i ruszył na przód szybko, na ile pozwalała mu chora noga, a ja popędziłam za nim, nie zważając, że *kiit* wali mnie w kolano. Długo nie rozmawialiśmy, dopóki nie zaczęło padać. Schroniliśmy się przy stogu siana, by przeczekać deszcz.

– Jak to możliwe? – spytałam wtedy. – Jak piosenka może sprawić, że ktoś do ciebie przychodzi?

– Tam, skąd pochodzę, są pieśni, które przyprowadzają zwierzynek do myśliwego – ryby, ptaki. Właśnie jedną z nich trochę dla ciebie zmieniłem.

Chciałam poprosić: „Nigdy więcej tego nie rób”, ale się rozmyśliłam. Nieważne, co stało się nad ranem, w nocy dostałam to, czego najbardziej pragnęłam, i to nie jego wina, że obudziłam się zbyt szybko. Więc tylko spytałam:

– Czy potrafisz swoimi pieśniami wpływać na bieg innych rzeczy?

– Małych rzeczy, tak – odparł Sirit Byar. – Wielcy, którzy szli tymi drogami przede mną, Sarani Elsu, K’lanikh-yara – (nie, ja również nigdy o nich nie słyszałam, słaba drżąca ręka) – oni potrafili wyśpiewać zmiany, przywoływać rzeki, bogów, błyskawice, umarłych, a co dopiero niemądrych kochanków. – Pamiętam, że poklepał mnie niezdarnie po ramieniu i dodał: – Każda pieśń ma swoją magię. Widziałas, jak rozpałałem ogień w czasie deszczu, jak wyleczyłem psa, gdy zjadł truciznę. W moich pieśniach jest trochę magii, to wszystko.

Zapisz to, pamiętaj, że tak właśnie powiedział. Pamiętaj to, gdy następnym razem usłyszysz, jak ktoś papie o wspaniałych mocach Sirit Byara. Trochę magii. Nigdy nie przypisywał sobie niczego więcej. Nie musiał.

Na czym to skończyłam? Deszcz zelżał i znowu ruszyliśmy w drogę. Niebawem Sirit Byar zaczął śpiewać nową piosenkę, której jeszcze nie skończył; gdy szliśmy, pisał ją dłonią w powietrzu, tak jak to zawsze robił.

Dawno temu, zanim na świecie byli panowie – dawno temu, zanim na świecie byli królowie, żyła pewna dama z kwiatów stworzona sama, i z miodu, i z promieni księżycy, i z tego co równie zachwyca...

Tak, oczywiście, że to znasz, tę piosenkę można usłyszeć wszędzie – słyszałam ją na północy, w Trodai, nie dalej jak w ubiegłym roku. Wtedy zaśpiewał mi ją po raz pierwszy, gdy oboje dygotaliśmy na deszczu. Nigdy więcej żadne z nas ani słowem nie wspomniało o chłopcu ze straganu z solonym mięsem, chociaż bywaliśmy jeszcze nieraz na targowisku w Limsatty.

Coś się między nami zmieniło. Staliśmy się sobie bliżsi, nie wiem – może było nam po prostu łatwiej. Powiedziałam Sirit Byarowi o wiosce, w której mieszkałam, i o tym, jak tamtego wieczoru przez przypadek znalazłam się w Radości Młynarza, i jak się niepokoiłam o ojca – nie byliśmy w Davlo od trzech lat. Wypytywałam o niego, ilekroć spotykaliśmy kogoś, kto tamtędy przechodził albo przejeżdżał, ale niczego się nie dowiedziałam. Mógł umrzeć tego samego dnia, gdy odeszłam. Za dnia zazwyczaj nie myślałam o nim wcale, ale w nocy śnił mi się coraz częściej.

Sirit Byar mówił czasem o miasteczku na południowym wybrzeżu, skąd pochodził – niewiele większym od Davlo – i o starszej siostrze, która go wychowała po śmierci rodziców. Nawet teraz nie mogę wyobrazić sobie Sirit Byara jako dziecko. Kiedyś złamał nogę, a siostra go uleczyła. Usztyniła nogę łupkami, ponieważ w promieniu kilku mil nie było nawet zielarki. Wyszła za męża, potem została zabita podczas Rewolty Rybaków. Sirit Byar nigdy nie wrócił w rodzinne strony. Czy znasz jego piosenkę „Ty”? Ludzie uważają, że pieśń mówi o jakimś bogu, ale to nieprawda; jest poświęcona jego siostrze. Wiem to od niego.

Pewnej nocy, gdy właśnie ułożyłam się na słomie w oborze, obok starej *rishu* i jej cielaka, zapytałam Sirit Byara dlaczego, gdy po raz pierwszy mnie zobaczył w Radości Młynarza, powiedział: „Jesteś, duża dziewczynko”. Skąd wiedział, że miałam z nim iść jako pomocnica i służka? Skąd ja wiedziałam? Siedział wyprostowany naprzeciwko mnie, próbując wydobyć idealną harmonię dźwięków z *kiit*, który nigdy nie spełniał jego wymagań.

– On mi powiedział – odparł, nie podnosząc oczu. – Ten, którego w twoich stronach nazywają Azdakiem.

Nie zrozumiałam, więc dodał:

– Gdy przyszedłem do Davlo, zobaczyłem go przy drodze i zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział mi, żebym cię odnalazł.

– Azdak – powiedziałam. – Azdak. Dlaczego Azdak miałby się o mnie troszczyć?

– Jest bogiem wędrowców – odparł Sirit Byar. – Zna ich. – Dźwięki wydawane przez *kiit* wciąż go nie zadowalały, odłożył instrument do pustego żłobu. – Twój Azdak powiedział mi, że ciebie i mnie czeka podróż. Wtedy nie wiedziałem, co miał na myśli.

– Tak i podróżujemy, bez wątplenia – stwierdziłam. – Gdzie tu tajemnica?

Sirit Byar roześmiał się wtedy.

– Nie sądzę, aby Azdak mówił o przemierzaniu dróg, duża dziewczynko. Bogowie prawdopodobnie nie zwracają sobie głowy takimi sprawami.

– A powinni, do cholery! – powiedziałam, ponieważ on utykał ostatnio bardziej niż zwykle, a ja miałam od kilku dni ranę na pięcie. – Nie ma z niego większego pożytku niż z naszych rodzimych bogów, jeżeli tylko tyle zdołał ci powiedzieć.

Sirit Byar wzruszył ramionami.

– Wiem tylko, czego nie miał na myśli. Tak to już jest z bogami. – Wyciągnął się po drugiej stronie *rishu*, zagrzebał w sianie, aż pozostał widoczny tylko jego duży nos i białe wąsy. – Nasza prawdziwa podróż jest jeszcze przed nami. – I zasnął.

Nie wiem, czy sprawiły to jego słowa, czy ton, jakim je wymówił, ale tej nocy nawiedziły mnie koszmary. Za każdym razem, kiedy ta sakramencka *rishu* prychnęła przez sen, kolejny potwór przychodził do mnie. Ostatni musiał być samym pięknym, bo obudziłam się obok Sirit Byara, tuląc się do niego mocniej niż do chłopca ze straganu z solonym mięsem. Jego dziki leśny zapach był wtedy bardzo pokrzepiający.

No cóż, znalazłam pociechę. Opowiem o tym krótko – nie ma potrzeby wprawiać nas obojga w zakłopotanie za dwanaście miedzaków. Obejmował mnie przez chwilę, poklepując po włosach, jakby się obawiał, że mogę go ugryźć. Potem zaczął mnie odsuwać od siebie łagodnie, ale nie chciałam na to pozwolić.

– Jest ciemno – mówiłam. – Jest ciemno, nawet mnie nie zobaczysz. Tylko ten jeden raz. Proszę. – Tak go błagałam.

Biedny Sirit Byar, prawda? Biedny jest mężczyzna, kiedy próbuje odepchnąć taką kwilącą wielką babę, nie raniąc jej uczuć. Ach, takiego potrafisz go sobie wyobrazić, widzę to w twoich małych różowych oczkach. Tak, no cóż, za każdym razem, kiedy wstawał, z powrotem go przewracałam, a kiedy powiedział, „Duża dziewczynko, nie, nie, jesteś za młoda”, nie przestawałam go całować i mówiłam: „Nie dbam o to, nikomu nie powiem”. Och, biedny Sirit Byar!

Zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić. Odepchnął mnie od siebie brutalnie – był wielki, ale ja byłam silniejsza; to zdumiewające, co można zrobić w chwili desperacji, prawda? – i skoczył na równe nogi, bez tchu, jak gdyby już się to stało. Przez chwilę nie mógł wymówić ani słowa. Cofnął się w daleki kąt zagrody; żeby się tam dostać, musiał mnie minąć. Nie płakałam, nie śmiałam się, nie podeszłam do niego, nie zrobiłam nic.

– Mircha – powiedział, i był to pierwszy z dwóch razy, kiedy nazwał mnie po imieniu. – Mircha, nie mogę. Jest pewna pani.

Pani, zauważ. Nie zwykła kobieta, pani.

– Do diabła z nią! – Myślę, że nie krzyczałam, ale kto to pamięta? – Trzy lata spędziliśmy razem, nigdy nie tracił się z oczu na dłużej niż dziesięć minut. Jaka pani? Co ty gadasz?

– To dawne dzieje – rzekł Sirit Byar cicho. – Bardzo dawne, duża dziewczynko. Ostatni raz ją widziałem, zanim się urodziłaś.

Mniejsza z tym, co mu wtedy powiedziałam. Chociaż w moim życiu jest niewiele rzeczy, które warto pamiętać, jeszcze mniej jest tych, których naprawdę się wstydzę, z wyjątkiem tego, co mu powiedziałam w następnej chwili. Zapisz,

że zapytałam go, co jego wielka miłość robi, podczas gdy on włóczy się po kraju, bezgranicznie jej wierny. Zapisz tylko tyle – tak, i dajmy temu spokój.

Sirit Byar zniósł to wszystko, słuchał pokornie i czekał. Kiedy zabrakło mi słów, powiedział, a sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego:

– Nazywa się Jaiily Doura. Jest obłąkana.

Usiadłam na słomie. Sirit Byar mówił dalej:

– Jaiily Doura. Było również dziecko. Rodzina wydała ją za mąż za człowieka, który zaadoptował dziecko, ale ono umarło. – Kołysał głową na boki, tak czasem robi zwierzę, które nie potrafi wydostać się z pułapki. – Umarło – powiedział. – Nasze dziecko. Od tego czasu jest obłąkana, piętnaście lat. Jaiily Doura.

Dwa „i” w imieniu, dobrze zapisałeś?

– Jest w Credevek – domyśliłam się. – Tam mieszkają bogaci. Zawsze z daleka omijamy Credevek. Nie chcesz nawet przekroczyć bram miasta, nie mówiąc o śpiewaniu.

– Raz byłem – wyszeptał Sirit Byar. Był szary jak nasz stary kamienny Azdak, pokryty pyłem drogi, nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak wyglądał. – Śpiewałem dla niej raz w Credevek.

– Raz na piętnaście lat. Nawet w Davlo lepiej traktuje się kobiety. No cóż, może łatwiej jest być wiernym komuś, kogo nie musi się oglądać. – Spłynął na mnie jakiś spokój, co było równie nowe i niezwykle jak łzy, które wcześniej wylałam nad chłopcem ze straganu z solonym mięsem. Poczulałam się bardzo stara. – Usiądź tu obok. Nie będę cię atakować, obiecuję. No, zbliż się.

Miałam czternaście lat! Taka smarkuła wydawała rozkazy Sirit Byarowi jak koniowi pociągowemu! Ale przyszedł i usiedliśmy blisko siebie, ponieważ noc stała się paskudnie zimna. Sirit Byar położył mi nawet rękę na ramieniu. Czulałam się normalnie. Nie wiem, co się ze mną stało wcześniej, dlaczego tak się zachowałam. To się już nigdy nie powtórzyło. Ani z nim, ani z nikim innym.

– Czy wiedziałeś o dziecku? – spytałam.

Sirit Byar potakująco skinął głową.

– Co mogłem zrobić? Jej rodzice woleliby ją żywcem zamurować, niż pozwolić, aby wędrowała ze śpiewakiem z południowego wybrzeża, bez grosza i bez oglądy. Oto trafia się zamożny mężczyzna, który chce ją poślubić i zabrać do Credevek, a co grajek może dać dobrze urodzonej dziewczynie i dziecku? – Zadygotał, mocno, na całym ciele, czulałam to. – Odszedłem.

– Co się z nią stało? – Milczał, więc powtórzyłam: – Co się z nią stało? Gdzie jest teraz, kto się nią opiekuje? W Davlo mieszka Matka Choy. Przygarnia wszystkich potrzebujących i bez opieki – zwierzęta, dzieci, również pomylnych, każde żywe stworzenie, które nie ma dachu nad głową, nie ma co jeść ani w co się przyodziać.

– Mąż Jaiily Doura jest dobrym człowiekiem – odparł Sirit Byar. – Inny by ją odprawił, ale on nadal z nią mieszka, na północ od Credevek. Byłem w tym domu.

– Raz – powiedziałam. Sirit Byar zacisnął rękę na moim ramieniu, mocno, przez jego twarz przebiegł skurcz. Nie potrafię powiedzieć, co mnie bardziej zabolalo.

– Nie weszła do pokoju – rzekł. – Śpiewałem przez całą noc do pustych drzwi, czułem jej zapach, czułem falowanie powietrza, gdy się poruszała, ale nie wyszła do mnie. Nawet jej nie zobaczyłem. Nie wróciłem tam więcej. Nie zniósłbym tego znowu.

Wiedziałam, że nie powiedział jeszcze wszystkiego. Znałam go na tyle dobrze. Siedzieliśmy w zagrodzie, obok chrapiącej *rishu* i jej cielaka, patrzącego na nas sennie. Wokół robiło się coraz jaśniej i zimniej. Po długim milczeniu Sirit Byar odezwał się cicho:

– Myślałem, że potrafię jej pomóc. Byłem pewien.

– Wszystkie pieśni mają magię – przypomniałam jego własne słowa.

– To prawda, ale moje pieśni są dla wieśniaków i ich psów. Zrozumiałem to dawno, zanim się jeszcze urodziłaś, w tym domku w Credevek. – Westchnął ciężko. Wyglądał jak zgrzybiały starzec. – Wielcy, oni mogliby ją uzdrowić. Sarni Elsu mógłby ją powrócić światu. Ja... – urwał, głowa mu opadła na piersi.

Wiedziałam, że nic więcej nie doda, choćbym nie wiem jak długo czekała.

– Więc próbowałeś śpiewem wyleczyć ją z obłądu, i nie udało się – stwierdziłam. – I nie spróbowałeś ponownie. Piętnaście lat.

– Jej mąż zabronił mi wracać – wymamrotał Sirit Byar. – Zostawiłem ją w gorszym stanie, niż zastałem, co mogłem mu powiedzieć? Jest dobrym człowiekiem, co mogłem powiedzieć? – Popatrzył na mnie pustym wzrokiem. Po chwili głowa znowu mu opadła na piersi. Wierciłam się na wszystkie strony, dopóki jego głowa nie spoczęła wygodnie na moim ramieniu, a potem siedziałam tak do późnego ranka. On wciąż spał, a ja po prostu siedziałam.

Następnego dnia i potem można było pomyśleć, że w ogóle się to nie wydarzyło. Wędrowaliśmy jak zwykle, rozmawiając nieco więcej, ale nigdy nie mówiliśmy o tej nocy w oborze i nigdy, do cholery, nie padło ani jedno słowo o jego Jaiily Doura. Och, mogłam zapytać, i może by mi odpowiedział, ale nie chciałam wiedzieć nic więcej o nich i ich dziecku. Nie, nie byłam zazdrosna – chyba nie mówisz poważnie – ale miałam czternaście lat i on był mój, to wszystko, cokolwiek to znaczy, kiedy ma się czternaście lat. Nie był moim ojcem ani kochankiem, po prostu był mój. I mogłam być zazdrosna, do cholery, miałam do tego prawo, tyle że nie byłam. On, taki wielki i brzydki, taki jak zawsze.

Jednak coś się zmieniło. W nocy, kiedy myślał, że śpi, ćwiczył nową pieśń. Choć może była to jedna z jego starych, nie jestem pewna. Śpiewał cicho i niewyraźnie, rozumiałam piąte przez dziesiąte. Nawet gdy naprawdę już spałam, ta snująca się na granicy słyszalności cicha muzyka zapełniała moje sny twarzami, których nigdy nie widziałam, zwierzętami, których nie potrafiłam nazwać. Brzmiała jak kołysanka z dalekiego obcego kraju, była niczym mój pieniążek na szczęście, który gdzieś ma jakąś wartość, w to nie wątpię. Nigdy później nie śniłam takich snów.

Tej wiosny dotarliśmy do Davlo – Sirit Byar zboczył ze zwykłej trasy. Nie miał tam nic do roboty; ani razu nie śpiewał w Radości Młynarza, zatrzymał się u jakiegoś wieśniaka, podczas gdy ja poszłam dalej sama. Kowal Desh Jakani

mi powiedział, że ojciec nie był w Radości Młynarza od ponad miesiąca. Nawet się zastanawiał, czy nie wpaść do niego któregoś dnia.

– To już nie ten sam człowiek – mówił. – Zmienił się, kiedy go opuściłaś, wszyscy to przyznają.

Desh Jakani był urodzonym łgarzem, ale mimo wszystko wdrapałam się na górską ścieżkę tak szybko, że nawet żyjące na skałach *targi* by mi nie dorównały, naprawdę się cieszyłam, że oto wracam do domu, a jednocześnie pragnęłam z całego serca, aby się teraz znaleźć w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi.

Droga zarosła kompletnie. Zawsze ścinałam chwasty, a teraz wszystko – ścieżka, pastwisko, kilka naszych ubogich zagonów – wszystko było pokryte lisim zieleń, lodowymi jagodami i drumakiem. Rozejrzałam się za naszą *rishu* i dwoma końmi z Karakosk, ale ich nie znalazłam. Drzwi domu wisiały na jednym zawiasie. Mój ojciec, nagi, siedział skulony w drzwiach.

Nie był obłąkany, jak Jaaily Doura Sirit Byara, ani nawet bardzo pijany. Poznał mnie od razu, ale było mu wszystko jedno. Zabrałam go zziębniętego – wychudł na szkielet – i wprowadziłam do domu. Nie ma sensu rozwodzić się nad tym, jak wyglądał dom; był to dom człowieka, który się poddał dawno temu. Jak dawno? Wtedy, gdy odeszłam? Możliwe. Desh Jakani prawdopodobnie miał rację.

Byłam z ojcem dwa dni, a przez ten czas nie powiedział ani słowa. Położyłam go do łóżka, ugotowałam zupę – nie jestem dobrą kucharką i szczyć się tym, ale potrafię przyrządzić przyzwoitą zupę – i nakarmiłam ojca. Opowiadałam o moich podróżach z Sirit Byarem, co widziałam, jakich ludzi spotkałam, jakich pieśni się nauczyłam. Myślę, że zaśpiewałam mu wszystkie piosenki Sirit Byara, nawet „Dobrych ludzi”, tę samą, która dawno temu rozpętała bijatykę w Radości Młynarza. Słuchał. Nie wiem, ile usłyszał, bo wyraz oczu mu się nie zmieniał, ale słuchał, wiem na pewno. Mogłabym przysiąc, że słuchał.

Powiedziałam mu nawet o chłopcu ze straganu z solonym mięsem. Stało się to rankiem trzeciego dnia, przytrzymałam ojca, gdy siedział na nocniku. Wtedy umarł. Cichutko, nie wydał ani jęku, ani szepu, ani najmniejszego pierdnięcia – umarł mi na rękach, tak po prostu. Pochowałam go pod progiem domu, bo taka jest tradycja w Davlo, zostawiłam drzwi otwarte dla zwierząt i winorośli, i ostatni raz zesłam do miasteczka, do Sirit Byara.

Ha! Powinieneś zobaczyć wyraz swojej twarzy – nie możesz się doczekać, tak bardzo chcesz usłyszeć, czy w końcu poszliśmy razem do Credevek, by po raz drugi zaśpiewać Jaaily Dourze i wrócić ją światu. No cóż, na wszystko przyjdzie czas.

Przez następne dwa lata Sirit Byar robił wszystko, żeby nie przewędrować nawet w pobliże Suk'hai, nie mówiąc o Credevek. Już w Chun żądał, abyśmy zawracali na południe. Kiedy zapytałam, czy nikt go nie oczekuje, tylko mamrotał, że jest już za stary, by iść piechotą taki kawał pod górę, poza tym ludzie na północy są zbyt skąpi, aby warto było dla nich nadkładać drogi. Nie spierałam się.

To były dobre lata, te dwa ostatnie, jakie spędziliśmy razem. Stałam się taka silna, że mogłam nosić *kiit* przez cały dzień w paru palcach. Przewędrowaliśmy każdą drogę pomiędzy przylądkiem Dylee a Karakosk, i pomiędzy portem Granach a Derridow. Gdy szliśmy, on pisał w powietrzu nowe pieśni, a ja przypatrywałam się każdemu ładnemu chłopcu w każdym miasteczku, mierząc ich wzrokiem tak śmiało, jak gdybym była niezwykle piękną, do której zawsze należy wybór. Nie było wśród nich tak pięknego jak mój chłopak ze straganu z solonym mięsem i nie wszyscy przychodzili do mnie w nocy, ale wiedz jedno: Sirit Byar nigdy nie musiał nikomu śpiewać, żeby poszedł ze mną do łóżka, o nie! Jesteś słodki, gdy się rumienisz, słaba drżąca ręko, czy wiesz o tym? Słodki.

Tak. Tak, poszliśmy do Credevek razem. I ja to sprawiłam, jeżeli cię to interesuje. Nie chcę powiedzieć, że nigdy by tam beze mnie nie poszedł; jedynie stwierdzam, że nie był tam od – w sumie od ilu? – siedemnastu lat, rozumiesz. Co mnie do tego skłoniło, to zupełnie inna historia. Chciałam ją zobaczyć, i już. Zaczęło się od jednej myśli, od przelotnego zainteresowania – jak ona wygląda? – a potem tych myśli robiło się coraz więcej i już nie mogłam się ich pozbyć. Możliwe, że chciałam również zobaczyć, jak on się zachowa, zobaczyć go z nią, po prostu żeby wiedzieć, jak to było. Możliwe, że o to właśnie chodziło, kto by pamiętał?

Otóż następnego ranka po naszym pobycie w Chun – pamiętam, że to było w Chun, ponieważ tylko tam Sirit Byar publicznie śpiewał „Zonglera” – znowu poszliśmy na rozstaje dróg, skąd mieliśmy iść do Fors na' Shachim.

– Pamiętasz tego kramarza, od którego kupiliśmy wczoraj nowy czajnik? – powiedziałam niedbale. – Mówił, że mogą być kłopoty na drodze do Fors. Bandyci. – Sirit Byar wzruszył ramionami. Jedną z bajek o Sirit Byarze jest prawdziwa – nie było w kraju rzezimieszka, który tknąłby go palcem albo wziął od niego choćby jednego miedziaka. Czasem wychodzili z lasów, trwożliwi niczym kozły z grzezawisk i trochę za nami szli. Trzymali się z tyłu, jakby tylko chcieli posłuchać ćwiczonych po drodze piosenek. Nie potrafili go określić, nie wiedzieli, co to za jeden, rozumiesz. Myślę, iż czuli, że był w jakiś sposób jednym z nich, chociaż nie potrafiliby wytłumaczyć dlaczego. Tak uważam.

– Zaraza – powiedziałam. – Ognista zaraza wybuchła w dolinie, na południe od Fors, pomiędzy nami i Dushant. Kramarz mówił, że jedyną bezpieczną drogą na południe jest gościniec na Snowhawk. Możemy nim dojść aż do Cheth na' Vaudry, a potem skrócić na zachód do Fors.

Sirit Byar długo patrzył na mnie. Czy wiedział, że kłamałam? Nie mam pojęcia, podobnie jak ty. Wiedziłam tylko, że zaraza ta pojawia się na południowym wybrzeżu, w jego rodzinnych stronach, przynajmniej raz na dziesięć lat; ludzie mrą wtedy jak muchy.

– Będziemy musieli przejść przez Credevek – rzekł w końcu. Nie odpowiedziałam. Staliśmy w milczeniu na skrzyżowaniu dróg, słuchając owadów, ptaków, wiatru poruszającego zeschnięte liście.

– Azdak – powiedział Sirit Byar. I ani słowa więcej. Wyjął mi z ręki *kiit* i zaczął iść w kierunku Credevek, nie oglądając się do tyłu. Chociaż utykał, musiałam bieć, żeby go dogonić.

W taki oto sposób trafiliśmy do Credevek, miejsca osobliwego, w którym pełno jest wspaniałych trawników, wysokich kamiennych domów, brukowanych ulic i służby. Nie ma żebraków, nie ma druciarzy ani kramarzy. Kilka wiejskich furmanek, kilkoro dzieci. Cisza. Ta cisza aż przylega do skóry.

Sirit Byar maszerował prosto główną ulicą, a ja wlekłam się za nim, nie wiedząc co robić ani nawet jak iść, gdy nie niosłam instrumentu. Ludzie podchodzili do okien, żeby nam się przyjrzeć, ale nikt nie rozpoznał Sirit Byara. Szedł prosto przed siebie, nie rozglądał się. Brukowane ulice i domy z kamienia pozostały w tyle, pojawił się ogromny obszar nie

skoszonych łąk i brązowe góry Durli w oddali. Jeden wielki drewniany dom stał osłonięty dwoma pagórkami – można go było przeoczyć.

– Jeżeli będziemy iść nocą, dotrzemy do gościńca jutro przed południem – powiedział Sirit Byar.

– Tu mieszkają, prawda? – domyśliłam się. – Tu mieszka Jaiily Doura.

Sirit Byar skinął głową.

– Jeżeli jeszcze żyje. – Nagle wyciągnął rękę i położył mi ją na szyi, z boku, o tu. Zrobiło mi się zimno aż po koniuszki włosów. – Kres naszej podróży jest w tamtym domu. Powiedział mi to bóg wędrowców. Cokolwiek się w tamtym domu wydarzy, jest powodem, dla którego spotkaliśmy się, ty i ja. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie ty. Dziękuję, Mircha. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– No cóż, chciałam wyrwać się z Davlo, to wszystko – bąknęłam i spróbowałam odebrać *kiit* z powrotem, ale mi nie pozwolił. Przewiesił go przez ramię i ruszyliśmy przed siebie.

A była to dłuższa droga, niż mogło się zrazu wydawać. Do południa dom u podnóża wzgórz, do którego powinniśmy już byli dojść, wydawał się równie odległy jak wtedy, gdy zobaczyliśmy go po raz pierwszy. Dopiero przed zachodem skończyliśmy nasz powolny marsz przez puste kamienne wąwozy i weszliśmy na ostatnią stromą drogę, która biegła pomiędzy dwoma ogromnymi głazami. Czekał tam jakiś mężczyzna. Niski i stary, prawie łysy, gruby, lecz jakiś taki sflaczały. Ale patrzył nam w oczy dumnie, tarasując drogę naszym jeden z tych głazów.

– Sirit Byar – powiedział. – Spodziewałem się, że to będzie dzisiaj.

Otóż to. Resztę muszę opowiedzieć powoli. Muszę być uważna, przypomnieć to sobie dobrze, abyś mógł zapisać dokładnie, jak było.

– Aung Jatt – rzekł Sirit Byar, i nic więcej. Po prostu patrzył na tego drugiego mężczyznę, a przed nimi stał wysoki ocieniony dom.

Aung Jatt w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi, o co raczej trudno.

– Nie możesz jej widzieć, Sirit Byar. Nie pozwolę na to.

– Minęło piętnaście lat... – zaczął Sirit Byar, ale Aung Jatt mu przerwał.

– Nawet gdyby minęło pięćdziesiąt, nie wyleczy się z ciebie ani z twojej muzyki. Mówiłem ci, byś tu nigdy nie wracał.

Wiesz, kiedy schwyci się coś zbyt mocno, wtedy zaczyna to drzeć i wymykać ci się, jakby żyło własnym życiem. Tak samo działo się z głosem Aung Jatta.

– Muszę zaśpiewać jej jeszcze raz, tylko raz – rzekł Sirit Byar.

– O tak, raz jeszcze! A kiedy zaśpiewasz swoje pieśni o miłości i duchach, smokach i żeglarzach, i pójdziesz znowu swoją drogą, kto tutaj zostanie, żeby pomóc jej na powrót stać się człowiekiem?

Zaczął naśladować głęboki ochryply głos Sirit Byara z takim szyderstwem, że zachichotałam. Nic nie mogłam na to poradzić. Aung Jatt nie odrywał wzroku od Sirit Byara.

– Kiedy odszedłeś, nie poznawała mnie przez trzy lata – wyszeptał. – Trzy lata. Co mnie opętało, że jej pozwoliłem ciebie słuchać? Czemu przypuszczałem, że muzyka ojca jej dziecka może ją powstrzymać od próby podążenia za maleństwem? Przez trzy lata płakała. Nie wychodziła z ciemnego pokoju. Jedzenie musialem jej podsuwać za próg. Przez następne dwa lata nie mówiła nic, tylko powtarzała imię dziecka, ciągle, wciąż od nowa. Przez następne pięć lat... – urwał. Nie wiem, co słyszałam. Szloch? Zgrzytanie zębami? Sirit Byar milczał, mrużąc oczy w zachodzącym słońcu. – Piętnaście lat – podjął Aung Jatt. – Nawet teraz zdarza się, że bierze mnie za ciebie. – Na jego twarzy pojawił się martwy uśmiech, jak u nieboszczyka. – Mógłbyś pomyśleć, że mnie to boli, i w pewnym sensie tak jest, ponieważ potem czasem próbuje mnie zabić. Muszę się zawsze mieć na baczności.

Sirit Byar przymknął oczy, potrząsnął głową i mijając Aung Jatta, ruszył drogą w górę, w kierunku domu. Aung Jatt próbował zatrzymać go, łagodnie wyciągając dłoń.

– Przestała wzywać dziecko. Najczęściej śpi teraz po nocach i od jakiegoś czasu muszę ją karmić. I nienawidzi cię o wiele bardziej niż ja.

Nie miałam pewności, ponieważ promienie słońca odbijały się od okien, ale odniosłam wrażenie, że za jednym z nich ktoś się poruszył. Widziałam to tak, jak się widzi nagle pojawiające się i zaraz potem znikające uczucie w czyichś oczach.

– Nienawidzi cię – ciągnął dalej Aung Jatt – ponieważ jest przekonana, że dziecko by żyło, gdybyś postąpił wbrew woli jej rodziców i został z nią. Nie wierzę w to, ale ona... – Zachichotał i poklepał koniuszkami palców pierś Sirit Byara. – Czy mówiłem ci, gdy tu byłęś poprzednio, że to był chłopczyk? Starzeję się, zapominam o wielu rzeczach.

Sirit Byar odsunął Aung Jatta z drogi.

– Chodź, duża dziewczynko – rzekł, nie patrząc na mnie i ruszyliśmy drogą do domu.

Aung Jatt nie protestował. Wciąż się nieco uśmiechał, gdy patrzył, jak go mijamy. Mówię „my”, ale on w ogóle na mnie nie spojrzał, ani przez chwilę. Nie poszedł za nami ani nie odezwał się, dopóki nie stanęliśmy na kamiennych stopniach prowadzących do frontowych drzwi. Wtedy zawołał za nami:

– Strzeż się! Na piętrze są jej włości. Poczujesz się tam jak na księżycu. Służący nigdy nie wchodzi na górę, a jeżeli zdarzy się, że ona zejdzie na dół, pierzchają po kątach, dopóki nie przejdzie. Strzeż się jej!

Tuż obok mnie usłyszałam pogardliwe chrząknięcie Sirit Byara – po sześciu latach dokładnie wiedziałam, co znaczą jego chrząknięcia i pomruki. Ale ja nie czułam pogardy, to pewne. Powiedziałam, że nigdy się nie bałam, to prawda, ale wariaci – wariatki – niepokoją mnie szczególnie. Sirit Byar energicznie otworzył drzwi. Zanim jeszcze weszliśmy, spojrzał do tyłu na Aung Jatta. Stał w miejscu, gdzie go zostawiliśmy, i śmiał się bezgłośnie.

Dom był piękny, wspaniały, o tak, a pamiętaj, że spałam w pałacu. W jakiś niewytłumaczalny sposób wydawał się większy od środka niż na zewnątrz i miękki – było tam mnóstwo grubych dywanów z Tahirak i draperii, i poduszek w kolorze masła, jakie szyją w Fors ze starych koców pod siodła, używanych przez kupców. Prawie nie było widać podłogi czy ściany: przypominało to kołyskę albo specjalne pudełko do przechowywania czegoś cennego i kruchej. Służba prze-mykała obok nas jak duchy. Nie słyszałam kroków – ani ich, ani naszych. Nie słyszałam, jak zamykają się frontowe drzwi, ani potem żadnego innego dźwięku z zewnątrz. Słyszałam natomiast, jak ktoś oddycha. Nie był to Sirit Byar i nie byłam to

ja – wątpię, aby któreś z nas choćby odetchnęło, odkąd weszliśmy do tego domu. Sirit Byar dotknął mego ramienia i ruchem głowy wskazał na lewo, w kierunku schodów. Spodziewać by się można, że taki dom ma imponującą klatkę schodową, ale ten miał wąską i ciasną, nie wystarczało miejsca, abyśmy oboje mogli iść ramię przy ramieniu. Sirit Byar musiał trzymać *kiit* mocno przy sobie, by nie uderzał o balustradę. Szłam za nim, nie czując lęku, dlaczego zresztą miałabym się bać? Przecież chciałam tam iść.

Na piętrze było inaczej. Dominował tam chłód morskich głębin i gęsty półmrok, zatechły, gąbczasty półmrok napelniający nam oczy, uszy i nozdrza, jak podczas snu, gdy człowiek zaczyna się dusić, a potem już tylko o tym potrafi śnić. Ten oddech był teraz wokół nas, nie głośniejszy, ale szybszy. Na całym świecie nie było żadnego innego dźwięku. Sirit Byar zatrzymał się na górze schodów.

– Jaiily Doura – powiedział wyraźnie, głośno.

Oddech nie zmienił się ani na chwilę.

– Jaiily Doura – powtórzył Sirit Byar. – Jestem tu.

Nikt mu nie odpowiedział. Zdołałam dostrzec krzesło, ścianę, jeszcze jedno krzesło, szarą twarz unoszącą się w powietrzu, szary wylot korytarza. Sirit Byar rozejrzał się na prawo i lewo, próbując zlokalizować oddech. Powoli moje oczy zaczęły się przyzwyczajać do półmroku – zobaczyłam, że unosząca się twarz jest obrazem wiszącym na ścianie, zobaczyłam inne obrazy i kosze do ognia kokosowego, mojej wielkości, wyższe, żaden nie oświetlony i wielki żyrandol kołyszący się w górę. Prosto przed nami był korytarz, z wysokimi dwuskrzydłowymi drzwiami po obu stronach.

– Tędy – rzekł Sirit Byar i poszedł przodem, jak człowiek, który chodzi po własnym domu w środku dnia. Pospieszylam za nim. Nie chciałam zostać z tyłu, sama na księżycu.

Nie spojrział na żadne drzwi, tylko kroczył przed siebie, dopóki korytarz nie skręcił w prawo i rozszerzył się w rodzaj – hm, jak to nazwać... był to dziedziniec wewnątrz domu. Musiało być jakieś okno w dachu, bo mrok stał się mniej gęsty, chociaż wciąż nie widziałam ścian. Poczulałam na twarzy cieplejszy nocny wietrzyk i zaczęłam się zastanawiać, czy tu w ogóle są ściany. Było tam parę ławek, były jasne posągi w niszach i... drzewo. Wyrastało prosto z podłogi, w środku pokoju. Myślę, że było to *sesao* albo czerwone *mouri*, zresztą co ja wiem o drzewach? Nie mam pojęcia, jak Aung Jatt je podlewał, ale wracajmy do tematu. Pień drzewa niknął w mroku, a gałęzie prawie sięgały ławki, na której spokojnie usiadł Sirit Byar i zaczął nastrojać *kiit*. Ja stałam. W takim domu chciałam stać twardo na nogach, czułam się pewniej.

Oddech wciąż był bardzo bliski, miałam wrażenie, że czasem czuję go na skórze, a mimo to nie potrafiłabym określić, skąd pochodził. Sirit Byar popatrzył w górę, na gałęzie drzewa.

– Czy pamiętasz tę pieśń, Jaiily Doura? – Dotknął instrumentu nasadą dłoni, aby wydobyć ze wszystkich strun coś w rodzaju głębokiego westchnienia, i zaczął śpiewać.

Znałam tę pieśń. Ty też ją znasz – ta pieśń Sirit Byara jest znana wszędzie, od razu wpada w ucho. „Gdzie mój but”. Tak, ta zabawna, niedorzeczna pieśń o człowieku, który ciągle coś gubi – but, perukę, okulary, sztuczne zęby, jaja i żonę – i w taki sposób śpiewa się ją w szynkach. Ale melodia jest smutna, gdy wolno się ją zagwizdże, a ludzie nie zawsze śpiewają ostatnie zwrotki, ponieważ mówią one o braku zaufania, o złamanym sercu. Nikt nigdy nie śpiewał jej tak jak Sirit Byar tamtej nocy, cicho i delikatnie, podczas gdy muzyka grana na *kiit*, dźwięczna i radosna, zataczała kręgi wokół słów. Nie mogę teraz tego słuchać, nie mogę od tamtego czasu.

Znowu przemówił do drzewa:

– Czy pamiętasz? Zawsze lubiłaś tę pieśń. Posłuchaj jej teraz.

I jego głos, ten ochryply pomruk rybaka, zadźwięczał niczym głos chłopca, pomyśleć było można, że nigdy wcześniej nikomu nie śpiewał.

Potem była „Żona drwala”, ta dziwna pieśń o staruszce, która nie chce umierać, dopóki jej ktoś nie powie: „Jesteś moim przyjacielem, kocham cię”. Więc chodzi od męża do dzieci, potem do braci i siostr, a w końcu słyszy te słowa od zmęczonej wiejskiej kurwy, która powie wszystko dla pieniędzy. I mimo że mówi to dla pieniędzy, w jakiś niewytłumaczalny sposób okazuje się, że to prawda, i staruszka umiera szczęśliwa. Nie taką pieśń bym wybrała, gdybym to ja chciała przywołać obląkaną, ale on wiedział, co robi. Jeżeli chodzi o pieśni, zawsze wiedział najlepiej.

Potem byli „Dobrzy ludzie”, a potem „Stary kapłan i stary bóg”. Na osobliwym dziedzińcu zrobiło się tak ciemno, że nie widziałam drzewa, nie widziałam też Sirit Byara. Ale on wyjął hubkę i krzesiwo z jednej kieszeni, ogarek świecy z drugiej i wykrzesał mały ogieniek. Zapaloną świeczkę postawił obok siebie na ławce. Zaśpiewał pieśń o damie z kwiatów, i zaśpiewał „Ty”, tę, którą zadedykował siostrze, i nawet moją ulubioną, tę o człowieku i lisie na księżycu. Ani razu nie ruszył się z miejsca, ja również nie. Stałam w bezruchu i słuchałam. Stare pieśni przeplatały się z nowymi, jedna po drugiej. Słyszałam w pobliżu bicie serca Jaiily Doury, podobnie jak jej oddech, szybki jak u ptaka – albo *shukri* – a raz byłam nawet pewna, że czuję jej zapach, podobny do zapachu odległej wody. Sirit Byar poprosił, by mu się pokazała, ale daremnie. Więc dalej śpiewał komuś, kogo nie widział, roztaczając magię i, poprzez ciemność, wciągając w ten zaklęty krąg także i ją, wolno, tak jak to się czasem zdarza, gdy urzeczeni jakimś snem próbujemy go zapamiętać. To również magia.

Potem zaśpiewał kołysankę. Tę, którą ćwiczył każdego wieczoru od dwóch lat. Pamiętam kawałek, niewiele.

Nie zasypiaj, nie zamykaj oczu – wszystko dzieje się nocą. Nie zasypiaj – gdy tylko się zdrzemniesz, strumień, który cicho szmerze, swoje historie opowie ci chętnie...

Wydała dźwięk. Nie jęk, nie krzyk, trudno to nazwać, ale coś usłyszałam.

Kiedy go uderzyła, wypuścił z rąk *kiit*. Tym razem nie zdołał go uchronić – choć wokół były miękkie dywany, słyszałam, jak instrument upadł i pękł, słyszałam, jak zawył w zetknięciu z kamienną posadzką. Przez moment zobaczyłam ją w świetle świecy: rozrzucone matowe siwe włosy, oczy niczym szramy na martwym ciele, wychudzone ramiona, machające bez opamiętania, którymi biła Sirit Byara i siebie. Coś błyszczącego zamigotało jej w rękach, gdy sięgnęła mu do gardła. Świeca przewróciła się i zgasła.

Ciemność była tak gęsta, że aż przygniatała.

– Jaiily Douro, nie rób mu krzywdy. Proszę, nie rób mu krzywdy – powiedziałam. Słyszałam, jak struny *kiit* nadal cicho dzwonią i pobrzękują, ale nic więcej, nawet tego straszego oddechu. Nic więcej, dopóki Sirit Byar nie zaczął śpiewać znowu.

Nie zasypiaj – kozły śpiewają wśród bagien, ryby tańczą lawicami, rzeka mówi zagadkami...

Nie wiem, czym go ugodziła – sztyletem, kawałkiem potłuczonego szkła czy czymkolwiek innym, co chowała na tamtą chwilę. Lecz on śpiewał tak jak zawsze – grubym głosem, z typowym dla południowego wybrzeża akcentem, trochę wolniej niż wymagał tego rytm, nie dbając o nic na świecie poza piosenką. Tak jakby był z powrotem w Radości Młynarza, siedział na stole i śpiewał wrzeszczącym opojom; jak gdyby śpiewał ją sobie, tak jak nieraz wieczorem, gdy z trudem posuwaliśmy się drogą naprzód, szukając miejsca do spania.

Zaśpiewał kołysankę do końca, więc wiedziałam, że jeszcze go nie zabiła, ale tylko tyle. Niczego nie widziałam, niczego nie słyszałam, jedynie kroki, które wolno zbliżały się do mnie. Ktoś szurał, jakby próbował naśladować utykanie Sirit Byara. Uciekłabym – tak, do cholery, oczywiście, bym uciekła, nie ze strachu, po prostu każdy rozumny człowiek by uciekł – ale w tej przyniatającej ciemności kroki dochodziły zewsząd, tak jak na początku oddech. Kolana ugięły się pod mną. Usiadłam i czekałam.

Z bliska nie pachniała rzeką. Pachniała jak każdy stary człowiek z gór, jak mój ojciec. Był to zapach zmęczenia całego życia, brudu całego życia, zapach ubrań, w których się pociła i spała, aż w końcu umarła, rozumiesz mnie? Znam ten zapach. Urodziłam się i wyrosłam w nim, i teraz bym pachniała tak samo, gdybym nie uciekła z Sirit Byarem. Zaskoczyło mnie, że szalona, ale zamożna kobieta, mieszkająca we wspałym domu, wśród przerażonej służby, może mieć taki zapach.

Stała za mną, sztywne, zimne końce jej włosów przesuwają się z tyłu po mojej szyi.

– Jestem Mircha Del, z Davlo – odezwałam się. Próbowałam odgadnąć, co ma w ręku. – Powinnaś znać moje imię, jeżeli chcesz mnie zabić.

Jej oddech na moim policzku był nieświeży, cierpki i zatechły, był to oddech chorego zwierzęcia. Zamknęłam oczy, nawet w ciemności jest to dobry sposób, aby przed drapieźnikiem uchodzić za martwego. Byłam przygotowana na to, że zaatakuję mnie zębami, długimi połamanymi paznokciami... a ona mnie wzięła w ramiona i zaczęła kołysać.

Kołysała mnie, słaba drżąca ręką. Jaiily Douro trzymała mnie na swoich żalonych wychudłych ramionach i przyciskała do piersi, huśtając w przód i w tył, jak gdyby chciała rozchwiać pień drzewa. Pewnie nie pamiętała, jak się kogoś kołysze, ale ja z kolei nie pamiętałam nikogo, kto by mnie kołysał, więc nie wiedziałam, jak to się powinno robić. Co prawda wydawało mi się, że powinnam czuć jakąś przyjemność, ale nie było źle. I oddech też nie był taki okropny, mogłam wytrzymać, ani te włosy zakrywające twarz. Rzeczywiście przykry natomiast był dźwięk podobny do łkania, tak cichy, że go nie słyszałam, lecz czułam swoim ciałem to, co nigdy nie stało się w pełni płaczem, ale wciąż drżało na granicy łez. To było przykre, ale oczy miałam mocno zamknięte i pomagałam jej w tym kołysaniu, a Sirit Byar zaczął znowu śpiewać.

Nie miało znaczenia, co śpiewał. Niektóre jego pieśni do dnia dzisiejszego mam we krwi – chyba je dobrze znam mimo wszystko – ale były i takie, których nie słyszałam nigdy wcześniej i nigdy później. Nieważne. Śpiewał całą długą noc, siedząc przy strzaskanym *kiit* i mając zamiast poklasku boleść obłąkanej kobiety. Jaiily Douro nie przestawała kołysać mnie w ramionach, a Sirit Byar śpiewał o syrenach i zonach wieśniaków, i wędrownych druciarzach, i niech mnie licho, jeżeli nie drzemałam – tylko trochę, na chwilę, od czasu do czasu – jak gdyby byli naprawdę moimi rodzicami kładącymi mnie do łóżka, jak co wieczór. I tylko kamienny Azdak wie, co zdaniem Aung Jatta działo się wtedy na górze.

Świt przyszedł nagle, choć możliwe, że znowu się zdrzemnęłam. To było jak patrzyenie przez strugi deszczu, ale widziałam dziedziniec wokół nas – zobaczyłam ściany i kilka wąskich okien, a drzewo nie było aż tak wielkie – i widziałam Sirit Byara. Wyglądał na trochę mniejszego niż zwykle i w tym deszczowym świetle był biały jak jego włosy. Jaiily Douro wciąż mnie tuliła, ale już nie kołysała, a wcześniej, jeszcze w nocy, przestała wydawać ten straszny cichy dźwięk. Gdy bardzo powoli i ostrożnie odwróciłam głowę, zobaczyłam prawie w całości jedną stronę jej twarzy – szczupłą, pokrytą zmarszczkami, zniszczoną, ale nos miała wydatny, a usta wcale nie były martwą kreską, były pełne i miękkie. Jej włosy wyglądały jak opuszczone ptasie gniazdo, całe w nieładzie, podobnie jak moje teraz.

Sirit Byar wstał. Ochrypl, ale powiedział głośno, tym razem nie do Jaiily Douro ani do mnie. Do kogo? Nie potrafię powiedzieć, gdzie patrzył ani co widział.

– To moja ostatnia pieśń – powiedział. – Weźcie ją. Dedykuję ją wam ja, Sirit Byar.

Przez chwilę stał w milczeniu, a potem skinął głową, jeden raz, wolno, jak gdyby w odpowiedzi. Och, słaba drżąca ręką, jeszcze go widzę. Nie będę ci śpiewać całej piosenki, tej ostatniej. Mogłabym, ale nie będę. Umrze wraz ze mną, przynajmniej powinna. Ale oto jej zakończenie:

Nie ma znaczenia, kto czym się trudzi, w jakim kto domu rano się budzi, dwie rzeczy tylko czynią z nas ludzi, współzucie i miłość, współzucie i miłość.

Pieśń i sława to czcze pragnienia, dwie rzeczy tylko godne wyśnienia, dwie rzeczy tylko warte wyśnienia – współzucie i miłość, współzucie i miłość.

Gdy skończył, było na tyle widno, że spostrzegłam Aung Jatta stojącego u wejścia dziedzińca. Za mną Jaiily Douro poruszyła się i westchnęła, a gdy odwróciłam się, spostrzegłam, że otworzyła oczy. Ale to nie były te same oczy. Teraz były szare, szeroko otwarte, pełne zdziwienia i ciekawości, i czego tylko chcesz – były to oczy młodej kobiety w zmęczonej, starej twarzy. Możliwe, że też miałam takie oczy, kiedy po raz pierwszy wędrowałam z Sirit Byarem, choć wątpię w to.

– Jesteś – powiedziała cicho, w taki sposób, jak on kiedyś powiedział do mnie, a Sirit Byar odparł:

– Tak, jestem.

Teraz oboje musimy być bardzo ostrożni, słaba drżąca ręką, ty i ja. Jaiily Douro spojrziała na mnie, nadal trzymała mnie w ramionach, i zapytała:

– Czy jesteś moją córką, malutka?

– Nie – odpowiedziałam. – Nie jestem. Chciałabym być.

Bardzo się przestraszyłam, że mogę ją znowu stracić, wpędzić z powrotem w szaleństwo, ale ona się uśmiechnęła i dotknęła moich ust.

– Ach, wiem – szepnęła. – Po prostu przez chwilę miałam nadzieję, ten ostatni, ostatni raz. Masz słodką twarz.

Nie mam słodkiej twarzy. Odrażające typy mają słodkie twarze, dzięki którym potrafią wiele zyskać na tym świecie. Ja mam taką twarz, jaką chcę mieć, lichą twarz dzikiego zwierzęcia, która sprawia, że ludzie dają mi spokój. I właśnie o to chodzi. Nie chciałabym mieć innej. Ale gdybym kiedykolwiek w życiu pragnęła mieć słodką buzię, to właśnie wtedy. Wstałam zdrętwiała i pomogłam się podnieść Jaiily Dourze.

Była niska, drobna, szara. Jej poplamiona i podarta suknia musiała kosztować kilka złotych lotis, a teraz nawet żebrak nie wytarłby w nią nosa. Jaiily Doura stała na nogach chwiejnie jak nowo narodzone jagnię, ale nie była obłąkana. Próbowałam skinieniem głowy przywołać Aung Jatta do niej, ale utkwiał wzrok w Sirit Byarze, który potknął się i upadł. Jaiily Doura była przy nim przede mną. Uklękła, wzięła jego twarz w ręce.

– Nie tak prędko – powiedziała. Pamiętam. – Nie tak prędko. Nie. Nie, mój drogi. Czy słyszysz mnie, Sirit Byarze?

Widzisz, lepiej wiedziała ode mnie, co zrobił. Swoją ostatnią pieśń poświęcił bogom, temu Innemu Ludowi, jak ich nazywają. A ostatnia pieśń barda ma siłę, ostatnia pieśń nigdy nie pozostaje bez odpowiedzi – a ta była ostatnia – ale co się staje z bardem, kiedy pieśń jest skończona? Twarz Sirit Byara wyglądała jak skurczona biała maska, ale oczy miał otwarte i przytomne.

– Przebac mi, Jaiily Doura – rzekł.

– Nie przebaczę, jeżeli mnie opuścisz – odparła. – Jeżeli ośmielisz się teraz nas opuścić.

W jej głosie nie było ani gniewu, ani nadziei. Sirit Byar chrząknął wymownie, jak zwykle gdy ludzie zaczęli żądać od niego zbyt wiele.

– No cóż, więc mi nie przebacysz. Jesteś zdrowa, a ja zrobiłem to, co miałem zrobić. Teraz jestem zmęczony.

Chciałam podejść. Chciałam go objąć, tak jak Jaiily Doura obejmowała mnie przez całą noc, ale tylko stałam z palcami w ustach, jak przestraszone dziecko. Sirit Byar uśmiechnął się do mnie.

– Przykro mi, że *kiit* się roztrzaskał, duża dziewczynko – wyszeptał. – Chciałem, żebyś go miała. Żegnajcie.

I tak umarł. Aung Jatt sam mu zamknął oczy i zaczął szlochać. Pamiętam. Jaiily Doura nie płakała i ja też nie, ale Aung Jatt łkał długo.

Sama go pochowałam, a szczątki instrumentu wraz z nim, pod progiem domu, tak jak zrobiłam to z moim ojcem. Chcieli mi pomóc, ale ja nie pozwoliłam. Gdy skończyłam, wryłam wizerunek Azdaka, boga wędrowców, na kamiennym stopniu schodów i odeszłam. Więc teraz już wiesz, gdzie leży Sirit Byar.

Nie ma nic więcej do opowiadania. Aung Jatt i Jaiily Doura chcieli, abym z nimi została na zawsze, ale spędziłam tam tylko parę dni. Najbardziej utkwilo mi w pamięci, jak szorowałam długie, siwo-czarne włosy Jaiily Dourze podczas kąpieli. Kiedy mnie robiły to damy dworu królowej, byłam wściekła i nieszczęśliwa, lecz ta kąpiel się odbyła zupełnie inaczej. Nie można zmyć szesnastu lat szalonej rozpaczki w ciągu trzech dni, ale gdy odchodziłam, Jaiily Doura mogła śmiało patrzeć w lustro i zaczęła wyglądać, jak przystało dostojnej pani wspaniałego domu, ze służbą gotową na każde skinienie i mężem, który patrzy w nią jak w obraz. Nie zazdroścę jej tego – za wszystko zapłaciła podwójną albo i poczwórną cenę. Ale chciałabym, żeby Sirit Byar zobaczył ją taką, chociaż raz.

Kiedy ruszyłam w drogę, zesłała ze mną na dół do tych dwóch wielkich kamieni, gdzie po raz pierwszy spotkaliśmy Aung Jatta. Nie naprzykrzała się zaprosinami, a ja nie zwracałam głowy obiecywaniem, że przyjdę. Wzięła mnie za rękę i zaczęła nimi kołysać, tak jak to robią dzieci w zabawie, i po prostu powiedziała:

– Szkoda, że nie jesteś moją córką. Byłabym z ciebie dumna.

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Całowałam ją po rękach, czego nigdy nie robiłam. No owszem, kilka razy pocałowałam dłoń królowej, ale tak trzeba. Potem przewiesiłam przez ramię stary żeglarski worek Sirit Byara i dalej poszłam sama. Nie oglądałam się za siebie, ale Jaiily Doura wołała za mną:

– On byłby dumny. Pamiętaj, Mircho Del!

I pamiętam, dlatego chciałam, żeby ktoś to zapisał, jedyną prawdziwą opowieść o Sirit Byarze. Nie, mówiłam ci, nie chcę jej; co by mi przyszło z twojej bazgraniny? Nie umiem czytać – a ponadto ja tam byłam. Zatrzymaj ją sobie, zatrzymaj i powtórz wszystkim, którzy chcą się dowiedzieć, kim był. Niech już nie przeinaczają jego pieśni. Żegnaj, słaba drżąca ręko – oto dwanaście miedziaków, jak było umówione, i masz jeszcze jeden za to, że tak słodko się rumienisz.

W Grebak zacumowała barka z rudą i czeka na kogoś, kto by się uporał z szorowaniem pokładu. W sam raz coś dla mnie, o ile tam zdążę do jutra.

Czarodziej z Karakosk

Co, co takiego? Czy teraz moja kolej? Nie, nie spałem – nie jestem tak źle wychowany, żeby zasnąć, gdy ktoś inny opowiada. Zastanawiałem się tylko, zastanawiałem się, ile to już czasu minęło, odkąd siedziałem z przyjaciółmi tak jak teraz – och, doprawdy z kimkolwiek – słuchając przy kominku na przemian o dziwach i niedorzecznościach. Miałem osobliwe życie i obawiam się, że gdybym zaczął dokładnie opowiadać, zanudziłbym obecnych tu młodych i wzbudził sprzeciw starszych, a tego za żadne skarby nie chcę. Proszę o pobłażliwość – obiecuję mówić krótko i pozostawić resztę wieczoru do dyspozycji siedzących tutaj Gri, Chashi i pani Kydry. I równie entuzjastycznie jak inni powitam koniec mego mamrotania bez związku.

A zatem... pewnego razu, bardzo dawno temu, w kraju, z którego pochodzę, żył czarodziej, który był zbyt dobry w czarach. Och, patrzycie zdziwieni, spoglądacie na siebie nawzajem, chichocząc, ale tak, to całkiem możliwe, że jest się w czymś zbyt dobrym, szczególnie w czarach. Zastanówcie się tylko – jeżeli potrzebujecie przelotnego deszczyku, który by przywrócił soczystą zieleń waszym spragnionym polom, na co mógłby się wam przydać czarodziej sprowadzający jedynie burze, które zmywają wszystko z powierzchni ziemi? Jeżeli prosicie o mały zwykły urok, aby mąż pozostał wam wierny, jaki pożytek z zaklęcia, które sprawi, że będzie warował przy was niczym pies, przez cały czas nie odstępując ani na krok,

aż zaczniecie błagać choćby o najkrótszą chwilkę samotności? Nie, nie, w sprawach magii najlepsza jest niepozorna przeciętność. Uwierzcie mi, wiem, co mówię.

Otóż czarodziej, o którym opowiem, był człowiekiem niepozornym pod każdym względem. Niskiego stanu, syn pastucha *rishu*; jego zdolności ujawniły się w młodym wieku, tak jak to bywa u większości czarnoksiężników, lecz nigdy nie miał możliwości się kształcić. Nawet gdyby w przyszłości zdołał dotrzeć do zwojów Am-Nemil albo Kirisinja, przechowywanych we wspaniałej bibliotece magii w Cheth na Bata, wątpię, czy zdołałby je przeczytać. Był utalentowanym wieśniakiem, nikim więcej. Nazywał się Lanak.

Jak wyglądał? No cóż, jeżeli wyobrażacie sobie czarodzieja jako kogoś wysokiego, szczupłego, majestatycznego i wymachującego czarną peleryną, byłibyście rozczarowani Lanakiem. Niski i korpulentny, jak wszyscy mężczyźni w jego rodzinie, wcześniej zacząłłysiec, ale miał ładne oczy i duże przyjazne dłonie. Potrafił też grzecznie się zachować.

Zwróćcie uwagę, to ważne: Lanak był skromnym człowiekiem, bez wysokich aspiracji – co jest prawie niespotykane wśród czarnoksiężników, bez względu na pochodzenie. Mieszkał w Karakosk, miasteczku znanym jedynie z koni pociągowych i ciemnego piwa, co odpowiadało naszemu Lanakowi w zupełności, ponieważ istotę zarówno jednego, jak i drugiego znał doskonale. Prawdę powiedziawszy, pierwsze skuteczne zaklęcie, jakie wypowiedział, miało zwiększyć poziom alkoholu w wodnistym piwie warzonym przez ojca, a drugie – uspokoić szalejącego z bólu ogiera, którego ugryzł pająk żyjący na piaskach. Gdyby pozostawić Lanaka samego sobie, prawdopodobnie nigdy nie użyłby czarów do niczego bardziej ambitnego. Czasem pokazywałby jakąś kuglarską sztuczkę, a na co dzień byłby zwykłym zjadaczem chleba, jak mleczarz czy łątacz obuwia w tym miasteczku – o tak, to by mu odpowiadało w zupełności.

Ale czary już takie są z natury, że nie pozostawiają nikogo samemu sobie, nawet jeżeli czarodziej chce inaczej. Nasz Lanak żył sobie szczęśliwie przez wiele lat, lubiany i szanowany przez sąsiadów – nawet ożenił się, z kobietą z Karakosk, a mogę policzyć na palcach jednej ręki czarnoksiężników, którzy wzięli ślub. Oni po prostu się nie żenią; żyją przeważnie sami, tak to już jest. Ale widzicie, Lanak nigdy nie uważał się za czarnoksiężnika, lecz za człowieka z Karakosk, nikogo więcej.

I gdyby jego zdolności były równie skromne jak on sam, prawdopodobnie wiódłby spokojne życie, rzucając zaklęcia z podwórza za domem na pola, ogrody, piece, odszukiwałby zarówno zbłąkane dzieci, jak i żywy inwentarz, i tak samo błogosławiłby łoża nowożeńców jak grządki z melonami – o tak, dlatego by nie? Sprowadziłby od czasu do czasu trochę deszczu. Ale miało być inaczej.

Był po prostu zbyt dobry w czarach. Czy teraz zaczynacie mnie pojmować? Gdy kładł dłonie na starych szkapach, które miały kolkę, i szeptał do nich cicho, nie tylko odzyskiwały zdrowie, lecz stawały się dwakroć silniejsze, a sady, na które rzucał urok, rodziły tyle owoców, że drobni wieśniacy z okolic Karakosk zaczęli je eksportować do takich miast jak Bitava, Leishai, a nawet Fors na Shachim, pierwszy raz w historii miasteczka. Pamiętam, była kiedyś ciężka zima i Lanak rzucił zaklęcie, aby złagodzić opady śniegu ze względu na dzieci, by nie niszczyły tak szybko butów – i jaki był skutek? Wiosna przyszła do Karakosk co najmniej dwa miesiące wcześniej niż do innych zakątków kraju. Tego trudno nie zauważyć.

I rzeczywiście zostało to zauważone, najpierw przez tamtejszego dygnitarza – nie pamiętam, jak się nazywał, zaraz to sobie przypomnę – który pewnego dnia zjechał do Karakosk wraz ze swoim parszywym oddziałem. Znacie takich ludzi, sami zapewne mieliście do czynienia z tego typu nieproszonym nocnym gościem albo opiekunem, czy mam rację? Zatem możecie sobie wyobrazić, co się działo w Karakosk, gdy ten zbój i jego zgraja buńczucznie wjechali na rynek po swój coroczny haracz o kilka miesięcy wcześniej niż zwykle. Było ich czterdziestu: wszyscy rozwrzeszczani, okrutni i głupi, oprócz dowódcy, który głupi nie był, ale za to najbardziej z nich okrutny. Nazywał się Bourjic, teraz sobie przypominałem.

Otóż ten Bourjic stwierdził, że chce się widzieć z wielkim czarnoksiężnikiem, o którym krążą opowieści od jakiegoś czasu, a gdy ludzie z miasteczka ociągali się ze sprowadzeniem Lanaka, bandyta porwał na siodło synka naczelnika i zagroził, że poderżnie mu gardło, jeżeli zaraz ktoś nie przyprowadzi czarnoksiężnika. Nie było rady. Bourjic już w przeszłości rzucał podobne groźby i zawsze je wykonywał, więc naczelnik sam pobiegł na skraj miasteczka i odszukał Lanaka, który w stodole obmyślał pokaz ogni sztucznych na święto Dnia Złodziei. Mimo że jego sztuczne ognie sływały w promieniu dwudziestu mil, był pewien, że przy odrobinie wysiłku potrafi je jeszcze ulepszyć.

Kiedy zorientował się, jakie niebezpieczeństwo grozi synkowi naczelnika, poczerwieniał z wściekłości niczym krzak *taiya*. I chociaż z natury miał różową cerę, dotychczas nikt nigdy nie widział u niego takiego odcienia czerwieni. Objął naczelnika, wymówił trzy słowa – i oto znaleźli się na rynku, twarzą w twarz z przestraszonym Bourjicem, próbującym zapanować nad jeszcze bardziej przestraszonym koniem. Tutaj Lanak wymówił imię chłopczyka i jeszcze jedno słowo. Chłopczyk zniknął z siodła Bourjica i ponownie znalazł się w ramionach ojca, wychodząc bez szwanku z całej przygody, której szkolni koledzy zazdrościli mu przez następne pół roku. Lanak wsparł się pod boki i czekał, aż koń Bourjica się uspokoi.

Mówiłem już, że wszyscy ludzie Bourjica byli głupi jak osły? Tak, otóż jeden z nich naciągnął kuszę i wypuścił bełt, celując prosto w lewe oko czarodzieja, akurat pochylonego nad chłopcem. Lanak, nawet nie podnosząc wzroku, schwycił strzałę w powietrzu, pocałował – niewiarygodne, prawda? – i cisnął nią w kusznika, któremu owinęła się wokół szyi niczym stryczek i zacisnęła mocno. Nie uduśliła go, ale zwałił się z konia i leżąc na ziemi kopał i rzeził. Bourjic tylko raz spojrzął na niego.

– Właśnie tego człowieka chciałem widzieć – stwierdził, pokazując białe zęby w szerokim uśmiechu. Bourjic odebrał staranne wychowanie i potrafił się właściwie zachować, gdy mu to odpowiadało. Potem dodał: – Mam dla ciebie wspaniałe wiadomości, młody Lanaku. Masz jechać do zamku i pracować dla mnie.

– Nie jestem młody – odrzekł Lanak – a twój zamek to walcząca się świńska zagroda, poza tym pracuję dla ludzi z Karakosk, dla nikogo więcej. Zostaw nas w spokoju.

Bourjic sięgnął po miecz, ale się opanował.

– Porozmawiajmy – rzekł. – Wydaje mi się, że gdybym mógł wybierać, wolałbym być osobistym czarnoksiężnikiem jakiegoś pana wielkiego rodu, niż oglądać moje miasto, pola i przyjaciół zwęglonych na popiół... no cóż, muszę przyznać, że posłuchałbym głosu rozsądku. Ale to tylko moje zdanie.

Lanak skinął znacząco w kierunku mężczyzny wijącego się na ziemi. Bourjic roześmiał się głośno.

– Ach, widzisz, to sprawia, że jeszcze bardziej mi na tobie zależy. A ja po prostu muszę mieć to, co chcę, dlatego jestem tym, kim jestem. Więc przenieś się na moje siodło, o tu, za mną albo wyczaruj sobie konia, jak wolisz, i jedźmy już.

Lanak potrząsnął głową i chciał odejść. Bourjic nic na to nie powiedział, ale dał znak swoim ludziom, by jęli krzesać ogień i zapalać sztywne od łożu pochodnie, które mieli przymocowane do siodła. Ludzie z miasteczka zaczęli lamentować, kilku odważnie schyliło się po grudki ziemi, żeby rzucić nimi w napastników. Lanak utkwilił swoje łagodne błado-niebieskie oczy w Bourjicu.

– Mówiłem, żebyś nas zostawił w spokoju.

– I tak zrobię – odparł wesoło dygnitarz. – Odjadę stąd z tobą albo bez ciebie. Masz dziesięć minut na podjęcie decyzji.

Lanak nagle znieruchomiał.

– Niech i tak będzie. – Bourjic westchnął ostentacyjnie. Odwrócił się w siodle, żeby wydać rozkaz swoim ludziom.

– Wracajcie do domów – nakazał Lanak mieszkańcom Karakosk. Ze wszystkich sił starali się go usłuchać, choć nie było to łatwe, bo szczerzący w uśmiechu zęby żołdacy Bourjica wzniesli pochodnie. Lanak skłonił się nisko, do samej ziemi, i zaczął śpiewać coś, co brzmiało jak niedorzeczny dziecienny wierszyk. Bourjic, nagle zaniepokojony, krzyknął do swoich ludzi:

– Palcie! Teraz!

Ale akurat gdy wypowiadał te słowa, ziemia przed nim zaczęła się podnosić i wydawać pomruki niczym starzec, który w końcu zdecydował się zrzucić kołdrę i wstać z łóżka. Gdzie się podniosła, tam rozwarła się i zapadła w szczelinę, a już kilka kroków dalej wyrzuszała się do wysokości fal morskich, rozbijających się o brzeg w czasie sztormu. Koń Bourjica stanął dęba i cofnął się od przepaści, która właśnie powstała pomiędzy nim a Lanakiem. Pozostali bandyci próbowali zapanować nad przerażonymi wierzchowcami, a mieszkańcy Karakosk przyłgnęli do swoich dzieci, do siebie nawzajem, do czegośkolwiek, co wyglądało stabilnie. Ziemia nadal się rozstępowała na prawo i lewo, jak gdyby zrzuciła z siebie skórę: świeże czerwone kaniony powstawały wszędzie i widać było ogień rozpelzający się w ich głębinach. Domy i sklepy wokół placu przewracały się i rozpadały, a gniewny drżący pomruk stawał się coraz głośniejszy. Nawet Lanak zatkał sobie uszy.

Blady strach padł na Bourjica i jego zgraję. Szarpnęli za końskie uzdy i już ich nie było, znikli szybciej, niż się pojawili na placu, i trudno było stwierdzić, kto krzyczał głośniejsz, człowiek czy natura. Ziemia zaczęła się uciszać stopniowo, a mieszkańcy miasteczka zdumiewali się, jak bezgłośnie rany w ziemi zamykają się na ich oczach, blizny goją się bez śladu, budynki z powrotem wracają na swoje miejsce, a rynek w Karakosk znowu jest zakurzonym, swojskim skrawkiem ziemi, jak zawsze. Na środku rynku stał Lanak, dogaszał kilka tłących się pochodni, ocierał pot z czoła i siąkał nos.

– Już dobrze – powiedział. – To tylko złudzenie, jak widzicie, ale zdoła zatrzymać Bourjica z dala od nas na jakiś czas. Cieszę się, że mogłem pomóc, zresztą musiałem, bo inaczej i ja nie miałbym teraz gdzie mieszkać. – Rozejrzał się wokoło po oniemiałych sąsiadach i powtórzył: – To złudzenie. Nic więcej. A teraz pora na ogień sztuczne, te są prawdziwe.

Ale wszyscy mieszkańcy Karakosk widzieli, jak jeden z żołnierzy Bourjica – ten ze strzałą wokół szyi – wpadł prosto do szczeliny w ziemi, która otworzyła się pod nim i zamknęła chwilę później. I to miało być złudzenie?!

Możecie sobie wyobrazić, jak jeszcze skomplikowało się życie biednemu Lanakowi. I chociaż Bourjicowi również musiało zależeć, aby się ta historia nie rozniosła, to jednak rozniosła się i głośno było o niej w miastach i miasteczkach daleko od słynącego z ciemnego piwa Karakosk. Wydaje mi się, że Sirit Byar ułożył o tym pieśń. I Lissi Jair, to wiem na pewno – co więcej, była to dobra pieśń. Śpiewali o tym i inni.

A królowa w czarnym zamku w Fors na'Shachim słuchała pieśniarzy.

Niewiele wiecie o królowych z Fors, prawda? Tak myślałem, bo i dlaczego miałyby być inaczej? No cóż, co może nas obchodzić jakaś królowa, która w rzeczywistości jest kimś więcej niż tylko dziedziczną władczynią samego Fors na'Shachim i rozrzuconych prowincji i miasteczek – włączając w to Karakosk – a nawet poszczególne dwory. Przez długie lata większość królowych okazała się całkiem nieszkodliwa; jedna czy dwie – zadziwiająco łaskawe i niepraktyczne, a zaledwie kilka było naprawdę niegodziwych. Ta, o której mówię, niestety, należała do tych ostatnich.

Co wcale nie oznacza, że była głupia. Wręcz przeciwnie, była niewątpliwie najbardziej inteligentną królową, jaka kiedykolwiek panowała w Fors na'Shachim, a jest to bardzo stary zamek. Słuchała nowych pieśni z równym zainteresowaniem, co słów swoich ministrów i szpiegów; mówiono, że często spacerowała wśród poddanych w różnych przebraaniach i w ten sposób dowiedziała się o wielu rzeczach, które inni woleliby przed nią ukryć. A kiedy usłyszała wystarczająco dużo ballad o czarnoksiężniku Lanaku z małego Karakosk, powiedziała do głównodowodzącego, lorda Durgha:

– Właśnie tego człowieka chcę widzieć. Przeprowadź go do mnie.

Otóż Durgh nie był głupcem i też słyszał pieśni o Lanaku. I wcale nie miał ochoty, aby ludzie śmiali się z niego, tak jak śmiali się z Bourjica. Więc kiedy wyruszył do Karakosk, pojechał nie uzbrojony, mając za towarzyszy jedynie dwóch najbardziej dyskretnych poruczników. Poprosił grzecznie, aby wskazano mu dom pana o imieniu Lanak, i jechał tam wystarczająco długo, by pogłoski o jego przybyciu i celu podróży dotarły przed nim. On też urodził się na wsi, więc wiedział, jak to się odbywa. A kiedy stanął przed Lanakiem w jego ogrodzie przed domem, zsiadł z konia, uklonił się uroczyście i nakazał, aby jego ludzie zrobili to samo.

– Panie – rzekł – przybywam od królowej z poselstwem wielkiej wagi. Czy zechce pan służyć władczyni?

Tak, oczywiście, był to podstęp i każdy z nas spostrzegłby to od razu. Ale wcześniej żadna ważna osobistość nie przemawiała do Lanaka w taki sposób.

– Czy mogę wiedzieć, czego chce ode mnie Jej Królewska Mość? – zapytał czarodziej.

– Nie mam zaszczytu tego wiedzieć – odparł lord Durgh i z pewnością była to prawda.

Wtedy z kolei uklonił się Lanak i wszedł do domu, żeby powiedzieć Dwyl, swej żonie, że został wezwany do pomocy królowej i wkrótce wróci – na pewno na długo przed Księżycem Kapłanów, kiedy to lud spod Karakosk zaczyna obsiewać wiosną pola. Dwyla spakowała trochę odzieży i pocałowała go na pożegnanie, wymógłszy obietnicę, że przywiezie z Fors coś ładnego ich córeczce.

Z rynku w Karakosk do czarnego zamku wiódł bity trakt, a mimo to podróż trwała trzy dni. Durgh nieśmiało próbował podsunąć myśl, że może czarodziej chciałby wezwać wiatr, który zaniósłby ich tam w jednej chwili, ale Lanak

odparł, że to wystraszyłyby konie. Jechał wierzchem za lordem Durghem i niezmiernie cieszył się podróżą, bez względu na to co myśleli o niej inni. Musicie pamiętać, że dotychczas Lanak nie oddalił się od Karakosk choćby na pięć mil.

Jadąc klusem po brukowanych ulicach Fors na'Shachim, ten gamoniowaty wieśniak, który potrafił przepłoszyć zimę i sprawić, by ziemia rozwarła się pod stopami bandytów, o mało nie zwichnął szyi, obracając nią na wszystkie strony. Bo i widział wiele cudów – rynek tak wielki jak całe jego miasteczko; legendarny Szklany Sad; gwardziści w srebrnych mundurach, którzy salutowali, gdy lord Durgh przejeżdżał cwałem obok... Tak był zajęty zapamiętywaniem wszystkich cudośności, aby móc potem zadziwić Dwylę, że o mało nie przeoczył czarnego zamku.

Usłyszał jednak źle skrywane przez lorda Durgha westchnienie ulgi, gdy zsiadli z koni i oddali je stajennym.

Czy ktoś z tu obecnych zna Fors? Ach, pani ojciec znał, pani Kydro! Otóż jestem pewien, że nie zmieniło się bardzo od czasów Lanaka, kiedy pani ojciec je widział, a i dziś powinno wyglądać tak samo. Tak naprawdę Fors na'Shachim nigdy się nie zmienia. Te barwy, i ten zgielek, grajkowie, akrobaci i tancerze na każdym rogu ulicy, szalbierze i uliczne dziewczki, wózki z towarami, na których można kupić wszystko – od *n amph*, jeszcze mokrych, prosto z pól, do parujących pasztecików z morskiego minoga – jakie one smaczne. I nie można uciec od wszechobecnego wojskowego przymusu i pracy w nadmiarze, maskujących obojętne oblicze władzy. Nawet gdyby ta władza nie rzuciła cienia poza mury miasta, zapewniam was, że jest dotkliwie wyczuwalna w samym Fors na'Shachim. Bywałem tam na tyle często, żeby się o tym przekonać.

Ale Lanak po raz pierwszy w życiu zobaczył Fors. Podekscytowany maszerował schodami z obsydianu wraz z lordem Durghem, który przytrzymał go delikatnie powyżej lewego łokcia, a ubrani na srebrno gwardziści podążali w szeregu za nimi. Nie od razu stanął przed obliczem królowej – nikt nigdy natychmiast jej nie widział. Byli tacy, którzy siłą dostawali się przed jej oblicze; ale to był inny rodzaj ludzi, różniący się bardzo od naszego skromnego Lanaka. Większość z nich skończyła też zupełnie inaczej niż on.

Lanak był całkiem rad, gdy mu pokazano jego mieszkanie w wieży, którą dawniej nazywano Wieżą Wzgórz, ponieważ z jej okien można dostrzec zarys gór Ghost. Teraz nazywają ją Wieżą Czarodzieja. Czekał tam już na niego obiad i gorąca woda, więc wykorzystał ten czas, aby się posilić, umyć, zmienić brudne podróżne ubranie i zacząć długi list do Dwyli. Wciąż jeszcze pisał, gdy wieczorem lord Durgh przyszedł po niego.

Jaki jest naprawdę czarny zamek? Tak wspaniały, jak go sobie wyobrażasz, Hramathu, choć może nie wyobrażasz go sobie we właściwy sposób. Z początku był fortecą, jak wiecie, dawno temu, kiedy Fors było tylko wojskową forpocztą; jest czarny, ponieważ został zbudowany z ociosanego *almuri* z kamieniołomów spod Chun. Każda królowa przez ostatnie pięćset lat próbowała dodać zamkowi przepychu – przez wzgląd na siebie, lub uczynić go mniej odpychającym – przez wzgląd na swoich poddanych. Więc jest tam mnóstwo okien, wspaniałe dywany i niezliczone żyrandole, w miejscach, gdzie nie należałoby się spodziewać niczego więcej niż lichtarzyka z jedną świeczką. Zawsze gra muzyka i zawsze słyhać ją tuż przy tobie, nawet jeżeli grający są oddaleni o długi ciąg arkad – to zasługa *almuri*, żaden inny kamień nie jest w stanie się z nim równać pod tym względem. Naturalnie, ściany każdego pokoju i każdego korytarza są obwieszane prawdziwymi obrazami, a nie zardzewiałymi tarczami i częściami zbroi, jak bywa w innych zamkach; obrazy są malowane na prawdziwym płótnie, a nie na korze i deskach, jak malujemy tutaj. Potrawy i wino podawane gościom królowej są niewątpliwie najlepsze spośród tych, jakie można spotkać na południe od gór Durli, jej damy dworu noszą na co dzień jedwab z Stimezst; łóżka są prawie że za wygodne, mam nadzieję, że mnie rozumiecie? Och, świetnie, Hramathu, wiesz, jak sobie wyobrażać czarny zamek w Fors.

Pomimo to zamek, podobnie jak samo miasto, jest przede wszystkim kamienną fortecą, i zawsze tak było. Stale gdzieś w pobliżu kręca się gwardziści w srebrnych mundurach, a Lanak nie był aż takim prostakiem, żeby tego wkrótce nie zauważyć. Nawet nie w tym rzecz, żeby się zaczął jakoś szczególnie pilnować, gdy lord Durgh poprosił go przed oblicze królowej – myślę, że raczej próbował od początku zobaczyć swoją zdumiewającą przygodę oczami żony, a Dwyla była kobietą przenikliwą, której rozumu nie brakowało. Lanak dobrze się ożenił.

Ach tak, tak, królowa. Przyjęła go w swoich prywatnych apartamentach, tylko w obecności lorda Durgha, którego odpawiła z jakimś poleceniem, zanim jeszcze Lanak skończył się kłaniać. Mówiono mi, że była raczej niska, drobnej budowy, z burzą ciemnych włosów, słodko zarysowanymi ustami, skórą gładką jak aksamit i oczami tak zimnymi jak ściany jej zamku. Wydawało się, że nie jest starsza od Lanaka, ale oczywiście z królowymi nigdy nic nie wiadomo.

Przywitała Lanaka bardzo grzecznie, mówiąc do niego nawet nieśmiało:

– Panie, nigdy dotąd nie gościłam w tych komnatach wielkiego czarodzieja. Proszę mi wybaczyć, jeżeli nie wiem, jak mam się zachować.

Dokładnie takie były jej słowa, jak mi powiedziano, i oczywiście nie musiała nic więcej mówić, licząc, że zdobędzie serce Lanaka, który naprawdę był bardzo skromny. Z trudem przychodziło mu słuchanie tych pochlebstw, w końcu zdobył się na odpowiedź:

– Wasza Królewska Mość, nie jestem wielkim czarodziejem, lecz zwykłym mieszkańcem małego miasteczka. Wyświadczyłaś mi wielki zaszczyt, pani, choć nie pojmuję, dlaczego mnie wezwwałaś, skoro możesz wybierać wśród mistrzów.

I tak myślał naprawdę, a królowa spostrzegłszy to, uśmiechnęła się tak, jak kot uśmiecha się we śnie.

– Muszę przyznać, że poczyniłam pewne badania na temat czarnoksiężników. Wiem bardzo dobrze, kto jest w tym królestwie mistrzem, a kto czeladnikiem, i wiem, kto rości sobie prawo do biegłości w sztuce, choć trudność mu sprawiają najprostsze rzeczy. Ale żadne pogłoski nie dorównują temu, co słyszałam o tobie, dobry Lanaku. Nawet nie ruszając się ze swego miasteczka, którego nazwy ciągle zapominam, sprawiłeś, że zazdrozczą ci czarodzieje, których imion, tego jestem pewna, nawet nie znasz. Co mi na to odpowiesz?

Lanak zupełnie zapomniał języka w gębie. Popatrzył na swoje ręce, utkwił wzrok w bladuróżowym baldachimie wiszącym nad łóżkiem królowej i w końcu wymamrotał:

– Niedobrze być obiektem czyjejś zazdrości. Ale też nie mogę wprost uwierzyć własnym uszom. Jak to, wielki Rhyssa, K'Shas czy Tombry Dar zazdrości Lanakowi z Karakosk? Wasza Królewska Mość musi się mylić, na pewno.

– Królowe nigdy się nie mylą – odparła królowa wyniośle – o czym powinni pamiętać nawet wielcy czarnoksiężnicy. – Uśmiechała się łaskawie, choć wydawała się zamyślona. – A zatem sprawdź twoje umiejętności, oczywiście byś ty się mógł o nich upewnić, nie ja. Jak wiesz, woda w moich posiadłościach nie należy do najlepszych...

Lanak istotnie o tym wiedział. Ale na pewno nikt z tu zebranych, nawet najstarsi spośród nas. W czasach, o których opowiadam, woda w Fors na'Shachim i pobliskich wsiach była znana z cierpkiego smaku. Nadawała się do picia, lecz smakowała jak miedziane monety w połączeniu z pastą do czyszczenia uprząży i odrobiną wosku. Uprane w niej ubrania pokrywały się blade-żółtymi plamami, dzięki którym, ku uciesze obcych, łatwo można było odgadnąć, skąd pochodzą właściciele; mieszkańców Fors często wtedy nazywano: „zasikane spodnie”. Nazywa się ich tak od czasu do czasu nawet dzisiaj, chociaż nikt w mieście już nie wie dlaczego.

– Prosiłam różnych czarnoksiężników – mówiła królowa – aby ulepszyli wodę w Fors na'Shachim. Nie będę wprawiać w zakłopotanie tak skromnego człowieka jak ty, wymieniając ich po imieniu. Dość powiedzieć, że żadnemu się nie udało, chociaż wszyscy okazali się zadziwiająco utalentowani w znikaniu, gdy okazałam swoje niezadowolenie. – Dotknęła szorstkiej, opalonej ręki Lanaka. – Jestem pewna, że zupełnie inaczej będzie z tobą.

– Zrobię co w mojej mocy, Wasza Królewska Mość – odparł bezradnie Lanak. – Jednak obawiam się bardzo, że zawiodę, tak jak moi koledzy.

– W takim razie mam nadzieję, że dorównasz im w znikaniu. – Królowa zaśmiała się, aby dać mu do zrozumienia, że to tylko żart, i wstała. Rozmowa była skończona. Gdy Lanak cofał się do wyjścia (Dwyła przeczytała gdzieś, w jaki sposób należy opuszczać monarchów), władczyni dodała: – Śpij dobrze, przyjacielu. Ja zaś nie zmrużę oka przez całą noc, wyobrażając sobie zdziwienie i radość moich poddanych, gdy będą parzyć herbatę jutro po południu.

Ale Lanak nawet się nie położył we wspianym, miękkim łożu, jakie przygotowano mu do snu. Przemierzał pokój w świetle księżyca, usiłując wyobrazić sobie, którzy czarnoksiężnicy próbowali tu już swoich umiejętności i jakich zaklęć mogli użyć. Albowiem w magii, jak wiecie, istnieje wspólny język, jak w muzyce – tylko pewien określony pieśniarz potrafi tworzyć pieśni, tylko pewien określony czarnoksiężnik potrafi tworzyć zaklęcia. Lanak całą noc chodził w kółko, mamrocząc do siebie, aż w końcu stanął bez ruchu, utkwivszy wzrok w pogrążonym w mroku dziedzińcu za oknem. A kiedy nadszedł ranek, zjadł pokaźne śniadanie, które mu przyniósł lokaj samej królowej, popił je wodą do przemywania oczu, która nadal uchodzi za piwo w Fors, potem beknął, przechylił się do tyłu na swoim krześle i przemienił wodę, czyniąc ją słodszą od wszystkich, jakie można znaleźć na naszych ziemiach aż do oceanu. I taka jest do dzisiaj dnia, choć najwyraźniej nie potrafił ulepszyć piwa.

Królowa była zadowolona. Wyprowadziła Lanaka na balkon i przedstawiła swemu ludowi jako cudotwórcę, który zrobił dla nich to, czego nie zdołali uczynić, pomimo obietnic, najpotężniejsi czarodzieje, czym speszyła Lanaka ogromnie. Ludzie wiwatowali na jego cześć, nie posiadając się z radości, wysławiali go cały ten dzień i następny, i ogólnie rzecz biorąc byli bezużyteczni jako poddani, dopóki Srebrna Straż nie zapędziła ich z powrotem do pracy. Starła się działać wtedy, gdy Lanak nie widział, ale nie zawsze jej się udawało.

– Czy namyśliłeś się już? – zapytała królowa. – Czy przekonałeś się, że jesteś na tyle wielkim czarodziejem, aby mi służyć?

– Wasza Królewska Mość, to jedynie szczęśliwy traf, że rozumiem wodę – odparł Lanak. – Woda już taką ma naturę, że nie lubi cuchnąć; wzbrania się przed zanieczyszczeniami, tak jak my się wzbraniamy przed pić brudnej wody. Ja jedynie musiałem pozwolić wodzie z Fors na'Shachim być sobą, wyczuć drogę do źródła jej gorzkiego smaku i zmienić je tak, aby również mogło być sobą. Inni czarnoksiężnicy z pewnością nie pochodzili ze wsi, inaczej też by to wiedzieli. Na wsi zaklęcia i uroki są jedynie częścią magii, prawdziwą magią jest zrozumienie i takie działanie, aby coś mogło stać się sobą. Moja królowo, potrzebujesz czarnoksiężnika, który zrozumie świat królowych, ministrów, wodzów i kampanii wojennych. Wybacz mi, ale nie jestem odpowiednim człowiekiem.

– Nie mów mi o tym, czego potrzebuję – rzekła królowa, a głos jej nagle stał się twardy. – Ważne jest to, czego pragnę i co ci każe. – Ale szybko ukryła swoje zniecierpliwienie i znowu poklepała Lanaka po rękę. – Dobrze więc, dobrze, pozwól, że wyznaczę ci jeszcze jedną, tym razem ostatnią próbę. Wiem ponad wszelką wątpliwość, że trzech wysokich rangą oficerów mojej nieprzekupnej Srebrnej Straży jest na żołdzie obcego władcy, mniejsza z tym jakiego. Nie potrafię tego udowodnić, ale to też nie jest istotne... Chcę wiedzieć, którzy to są. Zdemaskuj tych zdrajców, a na zawsze możesz być pewien mojej przychylności.

Dotychczas nawet w Karakosk Lanak opierał się staraniom wszystkich, którzy chcieli wykorzystać jego czarodziejskie umiejętności do pomocy szeryfom, posterunkowym czy tropiącym złodziei. Nie chciał spełniać tego życzenia, ale nie widział żadnego sposobu, jak by tu grzecznie odmówić królowej, nie obrażając jej jednocześnie. Więc w końcu powiedział:

– Niech tak będzie, ale i tym razem chciałbym spędzić noc na rozmyśleniach.

Właśnie to królowa chciała usłyszeć, a nie jakieś gadanie o zrozumieniu i takim działaniu, aby coś mogło stać się sobą; uśmiechnęła się najcieplej jak umiała i zostawiła Lanaka samego. Ale tamtej nocy postawiła dwóch zaufanych strażników pod jego oknem, ponieważ z czarodziejami również nic nigdy nie wiadomo.

I tak minęła kolejna noc naszemu biednemu Lanakowi, który był przyzwyczajony do tego, że mógł się przytulić do Dwyli, objąć ją i własnym ciałem grzać jej zziębnięte stopy. Rozmyślał i rozmyślał, głośno planując, co ma zrobić, i za każdym razem przerywał, aby to wyśmiać, traktując siebie jak głupca. Ale w pewnej chwili, gdzieś pomiędzy północą a świtem, podobnie jak poprzednio, zupełnie znieruchomiał, tak jak potrafią znieruchomieć tylko czarnoksiężnicy; i niebawem zaczął kreślić dziwne linie na zakurzonej parapecie okiennym, a potem wypowiadać jakieś słowa. Nie miały większego sensu niż skreślone przez niego znaki; wcale nie brzmiały złowieszczo. Niebawem przestał mówić i tylko wychylił głowę przez okno, tak jak dziecko w czasie deszczu, wpatrując się w milczeniu w dziedzińiec. Myślę, że nawet trochę spał z na wpół otwartymi oczyma, był przecież bardzo zmęczony.

Jak przypuszczacie, co się wtedy stało? Oto końskie kopyta zadzwęczały na bruku i jeździec w błyszczącym uniiformie Srebrnej Straży przemknął galopem przez dziedzińiec, minął stróżówkę, z której się nawet nie wychylił zaspany wartownik, i odjechał w kierunku bramy. Nikt w czarnym zamku nie zareagował na to, zwłaszcza Lanak.

Minęła godzina, może mniej i – na wszystkich morskich bogów straszliwego ludu Góro! – oto następny jeździec wyjeżdża co koń wyskoczy z Fors. Tuż za nim jedzie trzeci, a w bladym świetle księżycy jego twarz jest skamieniała ze strachu. Po nich już nikt nie jedzie, ale Lanak nadal wychyla się z okna, aż do świtu.

Rano udał się do królowej, która przyjęła go w sali tronowej, i oznajmił, że powinna zwołać Srebrną Straż na inspekcję. Zdziwiła się, ponieważ taka inspekcja nie odbywała się częściej niż raz w tygodniu, ale zrobiła tak, jak powiedział. A gdy się okazało, że trzech najwyższych rangą oficerów jest nieobecnych i nigdzie nie można ich odnaleźć, z niepomowanym gniewem zwróciła się do Lanaka:

– Ostrzegłeś ich! Pomogłeś im uciec!

– Nie zrobiłem tego – odparł spokojnie Lanak. Nawet nieobyty wieśniak trafnie ocenił panującego władcę, gdy mu się da na to czas, a Lanak zdążył już wyrobić sobie zdanie o królowej. – Pragnąc dowiedzieć się, kim są zdrajcy, rzuciłem klątwę lęku na cały garnizon, klątwę winy i panicznego strachu przed zdemaskowaniem. Tych trzech przeraziło się i w nocy uciekło, na pewno więcej nie będą już szkodzić.

– Chciałam ich dostać w swoje ręce. – Królowa twarz miała bladą, a głos bardzo cichy. – Chciałam ich widzieć z połamanymi kośćmi, odartych ze skóry, zwisających z mego balkonu, ale wciąż jeszcze żywych, czerniejących na słońcu. Jestem bardzo zawiedziona, Lanaku.

– No cóż – wymamrotał przepraszając Lanak. – Mówiłem przecież, że nie jestem odpowiednim czarnoksiężnikiem dla królowej. – Z twarzy i zachowania wyglądał na smutnego, nawet, przygnębionego, ale z trudem hamował radość. Królowa na pewno natychmiast zwolni go ze służby, będzie mógł wrócić do domu na drugie śniadanie, huścić córeczkę na kolanach i opowiadać Dwyli, jak się w czarnym zamku jada obiad, do którego przygrywiają muzycy. Ale królowa pokrzyżowała jego plany.

– Rzeczywiście nie jesteś odpowiednim czarnoksiężnikiem – odparła, a jej głos był całkowicie pozbawiony wyrazu. – Żaden czarnoksiężnik nie jest odpowiedni. Zrozumiałam to już dawno, tak jak zrozumiałam, co muszę zrobić, żeby osiągnąć swój cel.

Zamyślona utkwiała w nim swoje ciemne błyszczące oczy; a Lanak – który nie należał do lękliwych – spojrzął w te oczy i poczuł strach.

– Będziesz mnie uczył – oznajmiła królowa. – Nauczysz mnie czarów. Każdego zaklęcia, każdego gestu, każdego uroku, każdego wersu dającego władzę. Rozumiesz? – Lanak spróbował przemówić, ale ruchem głowy nakazała mu milczenie. – Rozumiesz? Nie opuścisz tego miejsca, dopóki nie nauczysz mnie wszystkiego. Wszystkiego.

– Zajmie mi to całe życie – wyszeptał Lanak. – Nie w tym rzecz, aby się nauczyć tego czy innego zaklęcia. Chodzi o to, czy jest się czarnoksiężnikiem.

– Więc uczyni mnie czarodziejką – oschle i z pogardą odparła królowa. – Nie każę ci mnie uczyć filozofii magii, pragnę jedynie samej magii, i zdobędę ją, bądź tego pewien. – Tu złagodziła ton głosu, mówiła z udanym spokojem, tak jak wtedy, gdy witała go po raz pierwszy. – Wcale nie będzie to tak długo trwało, dobry Lanaku. Jestem pojętną uczennicą, uczę się szybko, gdy coś mnie interesuje. Zaczniemy jutro i obiecuje, że już pod wieczór cię zadziwię. I jeszcze jedno, Lanaku – tu jej głos znowu stał się stanowczy i twardy – niech nawet cień myśli o rozstaniu ze mną nie pojawi się w twojej głowie. Żona i córka w małym Karakosk będą ci za to wdzięczne.

Lanak, który właśnie miał wypowiedzieć dwa krótkie zwroty i tupnąć nogą, aby zniknąć i w jednej chwili przenieść się do domu, poczuł, że ogarnia go przerażenie. Własny głos wydał mu się bardzo odległy i równie beznamiętny jak jej, gdy przemówił:

– Jeżeli ich skrzywdziłaś, zniszczę ten zamek, pozostanie z niego kupa kamieni, które utworzą dla ciebie kurhan. Potrafię to zrobić.

– Mam nadzieję – ucieszyła się królowa. – Nie chciałabym uczyć się u czarodzieja, który by tego nie potrafił. Bez wątplenia dużo wcześniej dotarłbyś do swej ukochanej rodziny, niż ja zdołałabym przesłać jakikolwiek rozkaz ludziom, którzy tak życzliwie ich pilnują, odkąd wyjechałeś. I mógłbyś unicestwić tych ludzi jednym ruchem ręki, gdyby nawet tysiąc takich jak oni powstało przeciwko tobie, i jeszcze tysiąc po nich... to wszystko wiem, wierz mi, wiem. – Jej uśmiech śpiącego kota stawał się coraz szerszy i cieplejszy, w miarę jak mówiła. – Ale jak długo, Lanaku? Jak długo mógłbyś zapewniać im bezpieczeństwo, jak myślisz? Mniejsza o legiony, nie jestem tak nierozsądna, aby pokładać zaufanie w kopiach i zbrojach, gdy mam do czynienia z czarodziejem. Mówię o ukradkowym pchnięciu nożem na placu targowym, o powozie, którego konie poniosły na zatłoczonej ulicy, o strzale wypuszczonej o zmroku w przykuchennym ogródku. Czy będziesz potrafił uchronić rodzinę w każdej minucie, do końca życia? A ja jestem bardzo cierpliwa. Nie znuży mnie oczekiwanie na dogodną sposobność, i nie zapomnę. Zastanów się nad tym dobrze, czarnoksiężniku, zanim się ze mną pożegnasz.

Lanak długo jej nie odpowiadał. Stali naprzeciw siebie, twarzą w twarz, sami w wielkiej zimnej sali tronowej obwieszanej tarczami i chorągwiemi, używanymi podczas państwowych uroczystości przez sto poprzedniczek królowej, utkwili w siebie oczy i co powiedziały ich spojrzenia, nie wiem. Ale w końcu Lanak odparł:

– Niech tak będzie. Nauczę cię tego, co sam umiem.

– Jestem wdzięczna i bardzo zaszczycona – odrzekła królowa, prawie że bez cienia kpiny. – Kiedy wypełnisz swoje zadanie, będziesz mógł odejść w pokoju, obładowany darami królowej dla swoich najbliższych. Do jutra więc. – I łaskawie pochyliła głowę, aby Lanak kłaniając się mógł już wyjść z sali.

Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, pominię, co Lanak myślał tamtej nocy, co czuł i robił, gdy został sam. Czy spał? Mam nadzieję, że tak. Wątpię, czy ja lub ktokolwiek z tu obecnych mógłby spać w takiej sytuacji, ale czarnoksiężnicy bardzo się od nas różnią. Na tym polegało nieszczęście królowej – choć była mądra, nie potrafiła pojąć tej różnicy.

W każdym razie wcześniej rano zjawiła się w komnacie Lanaka, tak jak każdy gorliwy uczeń, który pragnie zrobić dobre wrażenie na swoim nauczycielu. I prawdę powiedziawszy, wcale się nie przechwalała, gdy nazwała siebie pojętną uczennicą: do południa zapoznał ją już z podstawowymi regułami magii, które z pozoru są proste jak dziecinny wierszyk, lecz niebezpieczne jak cienki lód. Wielu czarnoksiężników powie wam, że nic w ich nauce nie jest bardziej skomplikowane niż zrozumienie podstawowych reguł. Samej Kirisinni zajęło to osiem miesięcy – tak przynajmniej mówi.

Królowa tego dnia bardzo zadziwiła Lanaka, gdy przedstawiając szóstą zasadę sprawiła, że późnojesienne jabłko zniknęło, a potem, szybko wykonując gesty w odwrotnej kolejności, przywołała je z powrotem. Sprawa elementarna, z pewnością; ale ponieważ szóstą zasadą wymaga przywołania nie samego przedmiotu, który zniknął, lecz ostatniej chwili, w której ten przedmiot istniał, łatwo zrozumieć, dlaczego Lanak był zdziwiony. Mnóstwo ludzi jest, przynajmniej w pewnym stopniu, uzdolnionych do magii, ale większość z nich nigdy się o tym nie dowiaduje. Królowa też miała talent.

A muszę wam opowiedzieć, jak przerażające było dla Lanaka odkrycie, że uczenie jej sprawia mu przyjemność; co więcej, nawet oczekiwał tych lekcji z niecierpliwością. Nigdy wcześniej nie nauczał swojej sztuki ani nie miał okazji, aby podyskutować na ten temat z innymi czarnoksiężnikami. Dwyla wiedziała jedynie, jak na co dzień obcować z magią, lecz była równie nieświadoma jak królowa wszystkiego, co kryło się za narysowanymi kredą kołami i pentagramami, które często zmywała, szorując rano podłogę. A królowa była chciwa wiedzy o każdym elemencie, od którego zależy urok czy powodzenie choćby najbłahszego zaklęcia. Czasami Lanak czuł się winny, że praca z nią sprawia mu tyle przyjemności, ponieważ nie miał złudzeń, jaki użytek królowa zrobi z czarów, których się od niego nauczy. Często powtarzała:

– Ten cały obszar na południe od gór Durli powinien być monarchią, prawdziwym imperium – a czym jest? Zlepkiem rozrostłych ponad miarę majątków rodowych, którym brak energii do przeprowadzenia przyzwoitej wojny. Kiedy już będę czarnoksiężnikiem, zmienię to.

– Wasza Królewska Mość nigdy nie będzie czarnoksiężnikiem – szczerze odpowiadał Lanak. – Gdy skończymy, możesz mieć, pani, takie umiejętności jak czarnoksiężnik, to prawda. Ale to nie to samo.

Królowa zazwyczaj śmiała się wtedy: wybuchała dziecięcym chichotem, który jednak nigdy nie zdołał w pełni ukryć żądzy władzy, która się za nim kryła.

– Posłuszaj mi równie dobrze, mój drogi Lanaku. Już wkrótce. To „już wkrótce” miało nastąpić aż nazbyt szybko, z czego Lanak zdawał sobie sprawę, gdyż królowa nadal uczyła się w zadziwiającym tempie. Przystawiała wiedzę z ogromną łatwością, poszerzając ją o nowe sztuki magiczne, tak jak zamierzała poszerzyć swoje królestwo o miasta, państwa, prowincje i księstwa, z których szydziła. Lanak nie miał najmniejszych wątpliwości, że to zrobi: każdy czarnoksiężnik w pełnym tego słowa znaczeniu potrafiłby tego dokonać, ale czarnoksiężników w ogóle nie obchodzi ten rodzaj władzy. Nawet tacy, którzy uosabiali samo zło, nie będą zainteresowani podbijaniem terenu choćby największego, zdobywaniem bogactw czy wielkiej sławy w świecie śmiertelników. To gra właściwa królom i królowym – czarownicy pożądamy czegoś zupełnie innego.

Ta powiastka mogłaby zakończyć się inaczej, gdyby Lanak nie miał żony. Jak już wspominałem, czarodzieje obojga płci prawie nigdy nie wchodzi w związki małżeńskie; gdy w nocy nie mogą usnąć, zazwyczaj jest to spowodowane intensywnymi rozmyślaniami nad etyką zaklęć, logiczną podstawą iluzji, wpływem gwiazd na efekty użycia magii. A Lanak nie mógł zasnąć z powodu niepokoju o Dwylę i maleństwo (od wielu tygodni nie śmiał przesłać jej jakiegokolwiek wiadomości, nawet przy użyciu czarów, z obawy że rozgniewa tym jej stróżów) oraz z powodu narastającego gniewu. Należy się wystrzegać silnego gniewu, niezależnie od tego, czy ma się do czynienia z czarnoksiężnikiem czy też nie. Ale królowa na to nie zważała. Nie bardziej niż Lanak, jeśli się nad tym zastanowić.

I tak królowa uczyła się kolejnych zaklęć; co więcej, uczyła się ich niewiarygodnie szybko. Przechodziła przez ściany zamku, strasząc służbę i żołnierzy, którzy brali ją za ducha; sprawiła, że potrawy przygotowane dla niej w królewskiej kuchni unosiły się i szybowały majestatycznie przez sale wprost na jej stół; czasami pozostawiała swój uśmiechnięty królewski cień, aby mógł debatować z ministrami i doradcami, a sama niepostrzeżenie wymykała się, aby z najwyższej wieży przypatrzeć się terenom, które zamierzała przejąć pod swoje władanie. Istnieje nawet legenda – tylko legenda – że gdy nabyła więcej umiejętności, zaczęła o północy grasować po uliczkach miasta, tych od strony Barrensów, przybrawszy postać *lourijakh* o ludzkiej twarzy. Mówi się też, że często w tej postaci zaspokajała głód, ale w to nie wierzę. Lanak nigdy by na to nie pozwolił. W końcu Lanak stwierdził:

– Wasza Królewska Mość, dotrzymałem umowy. Wiesz tyle co ja, znasz każde zaklęcie, każdy gest, każdy urok, każdy rym. Może z wyjątkiem... – i nagle zakaszła i popatrzył w bok, próbując odwrócić jej uwagę od zdradzieckiego słowa. Ale było już za późno.

– Z wyjątkiem? – powtórzyła królowa. Głos miała beztronski, zgodnie z etykietą do pewnego tylko stopnia zaciekawiony, ale oczy jak kamień. – Z wyjątkiem czego, mój mistrzu? Czarodziej milczał, więc ponagliła go ostro: – Mów!

Westchnął ciężko.

– Chodzi o przesłania – wymamrotał, wciąż uciekając spojrzeniem na boki. – Nie nauczyłem cię, pani, przesłań, ponieważ sam ich nie używam. Nigdy nie posługuję się przesłaniami, bez względu na okoliczności. Nigdy.

– Ale wiesz, jak ich użyć.

– Tak, tak – odparł Lanak. Mocno potarł ręce i zadygotał, chociaż dzień był gorący. – Przesłanie to śmierć. Bez względu na to czy dosięga ofiary, zabija. Może objawić się jako mężczyzna albo kobieta, albo jakieś zwierzę, poczynawszy od zmii, a na *shukri* albo skalnym *targi* skończywszy, ale naprawdę powstaje z samej istoty czarnoksiężnika, który je wywołuje. Jednak nie do końca. – Mówił coraz bardziej niecierpliwie i patrzył już wprost na królową. – Wasza Królewska Mość, czary same w sobie nie są ani dobre, ani złe, ale przesłanie jest złem z natury, zawsze. Jak użyjesz tego, czego cię nauczyłem, pani, to twoja rzecz, ale nie pytaj mnie więcej o przesłania. Błagam, nie pytaj mnie więcej.

– Co takiego?! – zdziwiła się królowa. – Wzbudziłeś moją ciekawość. Musisz mi wszystko o tym powiedzieć, dobry Lanaku. – Myślę, że było coś w spojrzeniu Lanaka, co sprawiło, że królowa dodała: – Oczywiście nie mam najmniejszego zamiaru ich używać. Przecież jesteś moim mistrzem i twoje słowa traktuję bardzo poważnie. Dlatego chciałabym usłyszeć wszystko. Wszystko, Lanaku.

I tak Lanak nauczył ją przesłań.

Zajął mu to ponad dwa tygodnie; znowu nauka trwała o wiele krócej, niż trwa zazwyczaj, nawet gdy się pomija kłopotliwe rytuały, zbieranie ziół i sporządzanie cuchnących odwarów, bezlitosne ćwiczenie swego umysłu – a wszystko to dla jednego przesłania! Ale królowa pojmowała to tak szybko, jak gdyby chodziło o przepowiedzenie płci dziecka albo ustalenie najlepszego miesiąca do zasiewów. Naprawdę była niezwykłą kobietą, bez dwóch zdań.

Wreszcie nauka dobiegła końca. Królowa powiedziała do Lanaka:

– Dotrzymałeś umowy, więc i ja nie złamię danego słowa. Możesz wrócić do domu i rodziny już teraz, jeżeli tego pragniesz, choć byłabym wielce zaszczyczona, gdybyś tego wieczoru zechciał zjeść ze mną obiad po raz ostatni. Pewnie się już nigdy nie spotkamy, więc jeżeli się zgodzisz, chciałabym ci okazać swoje uznanie. Możliwe, iż czasami trochę wymiślałam się z ciebie, ale nie wtedy, gdy nazywałam cię mistrzem. – Wyglądała tak ujmująco, kiedy to mówiła, i była tak pełna wdzięczności, że Lanakowi nie pozostało nic innego, jak tylko się zgodzić.

Tego wieczoru sama królowa podawała do stołu, a obiad był taki, że Lanak nigdy potem, w całym swoim życiu, nie jadł równie wspaniałego, choć dożył późnej starości i zdobył większą sławę, niż sobie tego życzył. Oboje pili mnóstwo wina – tak, ma pani rację, pani Chasi, winnice tej prowincji zawsze zaopatrywały czarny zamek w wino – i oboje się śmiali; Lanak zaśpiewał nawet kilka taktów starej pieśni, którą lud w Karakosk śpiewa o swoich władczyniach w Fors na Shachim, co wprawiło królową w tak dobry nastrój, że ze śmiechu rozlała wino. Niemniej jednak Lanak, gdy szedł do swego pokoju, był najzupełniej trzeźwy i wiedział, że królowa również nie jest pijana. Odwrócił się w progu i powiedział do niej:

– Przede wszystkim, pani, nie wolno zapomnieć ostatniego słowa przesłania. To niezawodne zabezpieczenie, gdyby coś się nie udało.

– Pamiętam je doskonale – odparła królowa. – Ale wątpię, bym kiedykolwiek go potrzebowała.

– Nie wolno zapomnieć również i o tym, że przesłania nie mają pana.

– Dobranoc, Lanaku – powiedziała królowa.

Czarodziej jednak nie położył się spać tamtej nocy. Przy świetle świecy pieczołowicie złożył ubrania, które Dwyla mu za pakowała – jakże dawno temu! – i włożył je z powrotem do torby podróżnej, razem z prezentami, które kupił jej i córeczce, i darami od królowej. Kiedy skończył, księżyc znajdował się nisko na wschodzie i słychać było wartowników idących ciężkimi krokami na posterunki na murach zamku. Lanak wciąż nie kładł się spać.

Gdybyście tam wtedy byli, obserwowalibyście ze zdumieniem, jak splata ramiona na piersi; może byście usłyszeli, co mówi półgłosem, zobaczylibyście, jak staje na palcach – trochę za wysoko, pomyślelibyście pewno – a potem zaczyna obracać się dookoła w dziwny sposób, coraz szybciej, unosi się w powietrzu aż do sufitu i znika w rogu, gdzie nie dochodzi światło świecy. W jaki sposób udało mu się tam pozostać i na jak długo, nie wiem.

Wkrótce, gdy wszystkie świece prócz jednej wypaliły się i w czarnym zamku zapadła głucha cisza, dało się słyszeć słabe skrobanie pazurów o kamienną posadzkę korytarza tuż za drzwiami. Nie zaszczekała gałka ani nie zgrzytnął zamek – w którym Lanak nie przekreślił klucza – ale coś weszło do pokoju. Na początku skrywał je cień drzwi i choć niewidoczne, czaiło się tam.

Zrobiło krok do przodu i znalazło się bliżej drgającego światła świecy. Stało na dwóch kończynach, ale wyglądało tak, jak gdyby w każdej chwili gotowe było z powrotem opaść na cztery. Nogi miało zbyt długie, a zginały się w niewłaściwych miejscach, podczas gdy ręce – czy może przednie łapy – sprawiały wrażenie grubych i bez stawów, a pazury jeszcze je optycznie skracały. Pokryte było rdzawo-zieloną błyszczącą łuską, na brzuchu i piersi miało wielką narośl – podobnie jak *sheknath*, masz rację, Gri, ale żaden żywy *sheknath* nie robi wrażenia tak niezdrowo miękkiego. To coś nie było martwe ani żywe i miało zapach mokrych, gnijących liści.

Zrobiło następny krok i światło świecy zadrgało mu na twarzy. Była to twarz królowej.

Niezupełnie jej twarz, nie, gdyż delikatne rysy zamazały się, jak gdyby przykryte zostały warstwą starej pajęczyny, a rdzawa skóra wydawała się odpływać spod oczu jak woda goniona przez wietrzyk. Ale widać było łzy, kilka łez, które złoto lśniły, gdy padało na nie światło.

W ciemności Lanak przemówił bardzo cicho:

– Zrobiłem rzecz straszną.

Królowa – albo to coś, co z niej zostało – odwróciła się ciężko w kierunku, skąd dobiegł głos czarodzieja, szukając go pustymi czarnymi oczyma.

– Nie miałem innego wyjścia – powiedział Lanak.

Stwór uniósł głowę w jego kierunku, usta wykrzywił okropnie, ukazując brązowe łupliwe zęby, a oczy nagle otworzył szeroko, błyszczące jak u umierającego.

– Zrobiłem rzecz straszną – powtórzył Lanak. – Niepotrzebnie wspominałem o przesłaniach. Mogłem się spodziewać, że rozkażesz, pani, abym cię nauczył je przywoływać i skorzystasz z tej umiejętności, jak tylko się oddalę. Dla kogo było przeznaczone pierwsze, nie mam pojęcia. Może dla Zgromadzenia w Suk'kai za wzgórzami, może dla Jirila z Derridow, może dla mnie, dlaczego by nie? Przecież przesłania nie mają panów i mogłabyś, Wasza Królewska Mość, dojść do wniosku, że bezpieczniej byłoby mnie uciszyć. Czyż nie tak?

To, co zostało z królowej, wydało dźwięk. Mógłby on rozmiękczyć wasze kości i moje na skutek przerażenia, albo złamać nam serca, kto wie? Lanak ciągnął dalej:

– Ostatnie słowo przywołania. Nie kłamałem, no, niezupełnie. Rzeczywiście chroni ono przed przesłaniem... ale nie tego, kto je wysłał. Prawdę powiedziawszy, udaremnia i anuluje cały czar, chroniąc sam cel przed złymi zamiarami. Tak więc napięłaś łuk i wypuściłaś strzałę, ale chybiła, gdy wciąż działało to samo zaklęcie. To moja wina.

Mówił wolno i z wyraźnym znużeniem.

– Przesłanie nie ma pana. Nie dosięgło celu od razu, więc zwróciło się z ogromną gwałtownością w kierunku swego źródła, swego jedyne go domu – ciebie. A kiedy nie było w stanie samo się zniszczyć ani połączyć się z istotą, z której powstało, zlało się z twoim ciałem. O tak. Tak.

Gdzieś w mieście zapiał kogut, chociaż nie było jeszcze świtu. To, co pozostało z królowej, poruszało się ociężale tu i tam, patrząc na Lanaka wzrokiem, w którym mieszała się wściekłość i błaganie.

– W przesłaniu tkwi tylko zło – powiedział czarodziej ze smutkiem. – Nie ma w nim niczego dobrego. Chyba nie będę potrafił opowiedzieć o tym Dwyli. Wasza Królewska Mość, nie czuję do ciebie miłości, ale nie potrafię również nienawidzić, widząc cię w takim stanie. Nie mogę unieważnić tego, co razem zrobiliśmy, ale spróbuję ulżyć twej doli.

Wymówił kilka słów chrapliwym głosem, wypowiadając je z wielką starannością. Może towarzyszyły temu jakieś gesty, nie wiem.

To, co pozostało z królowej, zaczęło się jarzyć. Płonęło coraz jaśniej, najpierw na konturach, a potem w środku, aż Lanak musiał zamknąć oczy. Ale obraz bezlitośnie wyrył mu się pod powiekami. Widział zarysy królowej i jej przesłania, rozdzielone, ale i razem – ją, dumną, piękną, przebiegłą, i to coś, obejmujące ją w ogniu. Potem wszystko zniknęło, ale myślę, że Lanak nigdy naprawdę nie przestał tego widzieć. A może się mylę.

W pokoju było teraz nieco jaśniej, a do dźwięków dobiegających z kuchni dołączyło zawodzenie jakiegoś Nounouri, odmawiającego ranne modlitwy. W Fors jest wielu Nounos, przynajmniej dawniej tak było. Do ciszy w pokoju, która nie była pustką, Lanak powiedział:

– Nikt więcej ciebie nie zobaczy, pani. Nie potrafię położyć kresu twemu cierpieniu, ale nie musisz cierpieć na oczach wszystkich. A jeżeli ktoś większy ode mnie potrafi coś jeszcze zdziałać, przyślę go tutaj. Proszę o wybaczenie, Wasza Królewska Mość, i żegnam.

Uf! Skończyłem, choć trwało dłużej, niż przypuszczałem, za co proszę o wybaczenie. Lanak wrócił do domu do Karakosk, do Dwyli i córeczki, do swoich pól i ciemnego piwa, i ognia sztucznych; i zrobił co w jego mocy, aby zniknąć ze wszystkich innych opowieści i wspomnień. Niezupełnie mu się to udało – po prostu był zbyt dobry. Jednak nic już więcej o nim nie opowiem, co z pewnością by go ucieszyło, gdyby się o tym dowiedział.

A co do królowej... Kiedy ostatnio byłem w Fors na Shachim, niezbyt dawno, wciąż jeszcze kilku ulicznych sprzedawców oferowało talizmany każdemu, kto miał być gościem w czarnym zamku. Podobno chronią przed smutnym i mściwym duchem, który wciąż błąka się po salach. Swoją drogą, proceder ten jest całkowicie nielegalny – kupno talizmanu jest karane utratą ręki, a za sprzedaż płaci się głową. Sam spędziłem kilka nocy w zamku bez takiej ochrony i nic złego mi się nie stało.

Nie licząc przykrych snów, oczywiście.

Tragiczna historia komediantów Jirila

Do dnia dzisiejszego Lisonje twierdzi, że tego, co wydarzyło się w Derridow, można było uniknąć, gdybym tylko okazał trochę przezorności i zdecydowania. A słyszę to od kobiety, która od trzydziestu lat bezustannie narzeka, że jestem wręcz opętany pilnowaniem wszystkich spraw dotyczących naszej trupy, począwszy od kontaktów aktorów z ludźmi spoza sceny, a skończywszy na tym, ile razy w tygodniu robimy próbę „Niewidomego króla” czy „Komedii o trzech duchownych”. Skoro prawie cały czas spędzam na dwóch rozhuśtaných deskach, umieszczonych na dwóch zabłoconych kozłach stojących na podwórzu, wykrzykując wiersze i próbując je interpretować w sposób jak najmądrzejszy i najbardziej profesjonalny, nie pojmuję, jak można mnie nazywać zrzędlwym, kapryśnym, złośliwym, apodyktycznym tyranem. Zapytaj Lisonje, może ona to wie.

A w dodatku wcale nie dostrzega sprzeczności oświadczając, że powinienem być bardziej stanowczy dwadzieścia lat temu w Derridow! Trudno dojść do ładu z tą kobietą, a jeszcze trudniej dowieść jej, że się myli; ale bogowie wiedzą, że nie dałoby się z nią żyć ani pracować, gdyby nie była – gdy ma właściwą rolę i jest w odpowiednim nastroju – prawie tak dobra, jak jej się to wydaje. Dlatego muszę opanowywać gniew, bo wiem, że nikt inny – przynajmniej w Leishai – nie zagra lady Viggie ani Su Pyaraki tak dobrze jak ona. Co więcej, wyznam ci w tajemnicy, że i teraz, w jej wieku, potrafi cztery razy na pięć bezbłędnie zagrać panią Haya. Jej tego nie powiem nigdy, nawet na łożu śmierci; ale sam jesteś człowiekiem teatru, wiesz, jak to wszystko wygląda.

Znasz moją trupę? Ach, no tak, ja twojej też nie znam. Smutne, naprawdę godne ubolewania, gdy się o tym pomyśli – proszę, członkowie dwóch grup teatralnych, obaj doświadczeni dyrektorzy, dwaj weterani zaprawieni w boju z utalentowanymi histerykami i histeryczkami wlekącymi się w wozach z miejsca na miejsce, zmuszeni do schlebiania i oszukiwania bez końca, aby wygzekkować od nich to, do czego i tak są zobowiązani. A jednak nasze drogi nigdy się nie zeszły, nawet nie słyszeliśmy o sobie aż do dzisiejszego wieczoru. Smutne, naprawdę smutne, dzisiaj jest już niewiele takich jak my. Twoje zdrowie, kolego.

Nie, nie, boli mnie to, że nie wystawiamy repertuaru klasycznego tak często, jak byśmy chcieli. Niestety, ale co możemy zrobić – nie znajdziesz nikogo w tej trupie, aż po najmłodszego adepta, kto nie znałby na pamięć partii Jurai albo Shaska, każdej sceny, każdego wyjścia. Nie chciałbym, aby było inaczej, i oni o tym wiedzą. Możliwe, że nie najlepiej nam się ostatnio wiedzie, możliwe, że kolejny już sezon objeżdżamy te same, nad wyraz ponure prowincjonalne miasteczka, gdzie żyją barbarzyńcy niezdolni do refleksji, ale stać nas na więcej, zapewniam cię. „Tragedię kawalerzysty” mogliśmy zagrać nawet dzisiejszego wieczoru, wystarczyłoby dziesięć minut na przygotowanie, nawet Lisonje to przyzna. Tak, na pewno.

Ale nikt nas nie poprosi o „Tragedię kawalerzysty” ani o inne arcydzieło, nie na tym parszywym odludziu. O tak – od czasu do czasu angażuje nas ten czy inny cech, zgromadzenie, a nawet jakiś pomniejszy lord, żebyśmy wystawili „Bunt rybaków” czy „Małżeństwo niegodziwego lorda Hassidanya”, a potem znów wędrujemy dalej, wystawiamy na prowincji nasze farsy o księżach i cudzołóżnikach, zdumiewająco nieściśle dzieje historyczne, doprowadzone do absurdu sagi o wydumanych bohaterach. Tak naprawdę tylko Lisonje i ja – no cóż i Trygvalin, nasz młody amant od wielu sezonów, i Nususir, która gra stare żony, niańki i sybille, ponieważ Lisonje takich ról nie tknie – tylko my czworo z całej trupy pamiętamy lepsze czasy. Nie mam za złe tym, którzy odeszli, o nie, nie zrozum mnie źle. Każdy żyje, jak potrafi, kto o tym wie lepiej niż ja? Lojalność, przyjaźń, pewna wspólnota interesów – czy takie wartości mogą stać na przeszkodzie, gdy ma się szansę zagrania niewidomego króla Bel'ryak albo czarownika Khyra na czymś choć trochę większym niż kilka stołów zsuniętych razem? Kim jestem, żeby ich osądzać? Ale jestem z siebie dumny, bo nie porzuciłem towarzyszy, kolegów aktorów, przy łada niedogodności, przy pierwszej nadarzącej się okazji. Mniejsza o to, wszystkim życzę powodzenia i niech się nim cieszą z czystym sumieniem. Wszyscy.

Derridow, Derridow. Nie znasz tego miasta, oczywiście... Nie, nie, wcale nie mówię, że powinieneś je znać, szczególnie teraz. Ty i twój zespół macie teatr Stara Baszta tu, w samym Fors na Shachim, i wybieracie się w objazd tylko wtedy, gdy macie na to ochotę... coś takiego! Otóż Derridow jest i dziś ładnym miastem – sklepienie przejścia i ogrody, to się z pewnością nie zmieniło – ale ciekaw jestem, czy i teraz poczułbym dreszcz idąc główną ulicą, odniósł wrażenie, że wszystko jest możliwe, że życie może się nieoczekiwanie zmienić w każdej chwili. Nie w tym rzecz, że Derridow mogłoby

w jakiś sposób wpłynąć na przebieg kariery, jak Fors czy Bitava – ale mimo to nie można go pomylić z żadnym innym miastem, a gdy już tam jesteś, nie pragniesz być nigdzie indziej. Drogie, drogie Derridow. Miło byłoby tam wrócić...

Prawdopodobnie nie wiesz, że ponad dwadzieścia lat temu sprawy w Derridow miały się zupełnie inaczej. Żył jeszcze stary Jiril, to jedno, i wciąż jeszcze potrafił powstrzymać swoich czterech klótliwych synów przed wzajemnym rozszarpaniem się, a i zburzeniem miasta przy okazji. Przyzwoity człowiek był z tego Jirila – zabijał ludzi tylko wtedy, gdy już nie miał innego wyjścia, i nigdy ich nie torturował, niewiarygodne. Aż trudno sobie wyobrazić, czego by więcej można oczekiwać od szlachetnie urodzonych. A był przy tym z niego prawdziwy miłośnik teatru, szczodry dla każdej trupy przejeżdżającej przez Derridow. Akrobaci, tragicy, tancerki Leishai, błaznujący klowni, wszyscy grali dla przyjemności, a potem jedli z nami wspaniałe obiady – jego kucharz Dek'hai był niezrównany, nigdy nie spotkałem lepszego – we wspaniałej sali jadalnej, przy wysokim stole. Prawdziwy wielbiciel sztuki, niech bogowie mają w opiece jego kiepskie zęby i farbowaną czarną brodę. W najmniejszym stopniu nie winię go za to, co stało się w Derridow.

„Jedli z nami?” Czy tak to powiedziałem? Och, wybac mi, myślałem, że już się wyzbyłem tej głupiej nostalgii. Ale tak, to prawda. Byliśmy osobistą trupą Jirila, mieszkaliśmy na stałe w Derridow – przez pełne sześć lat, jako komedianci Jirila, mieliśmy umowę – i zawsze pokazywano nas na bankietach wydawanych na cześć artystów przejeżdżających przez miasto. Oczywiście występowaliśmy, gdy nam kazał, ale naszą główną troską w czasie tych sześciu sezonów był taki dobór sztuk, aby Jiril chciał przyrowadzić na nie rodzinę. Jego żona, Jirelle, niezmiennie zasypiała na każdym przedstawieniu oprócz najgłośniejszych i najbardziej sprośnych fars; ale co dziwniejsze, wszyscy jego czterej dumni, pyszałkowaci, awanturujący się synowie tak kochali teatr jak on sam. Gdybym wiedział – nie, nie, znowu musisz mi wybaczyć, zabrzmiało to niczym prolog jakiegoś melodramatu, a ja nie znoszę prologów. Nie wiedziałem i wiedzieć nie mogłem, zrobiłem to, co wtedy wydawało mi się najśluszniejsze, a stało się... Hm, tak, dziękuję, dlaczego nie? Twoje zdrowie.

Dramatis personae: Jirila już znasz, ale jego synowie wymagają opisu. Najstarszy miał na imię Gol – dziwne, ale był z nich najmniejszy, to znaczy nie większy niż byk *rishu*. Gustował w tragediach, w których dokonywano zemsty, im więcej krwi, tym lepiej. „Spiskowcy”, „Powrót Tumuraka”, takie sztuki lubił najbardziej. Choć w sposób konwencjonalny, był jednak urodziwy, ale jego urodę psuły blade, chytne oczka błazna. Całkiem bystry: jeden z tych, którzy nie proszeni zostają suflerami. Wystarczyło, że któryś aktor choć na chwilę zapomniał kwestii, a on już wykrzykiwał następny wers na całe gardło. Lisonje wrzuciła mu kiedyś do piwa naprawdę coś okropnego.

Drugim synem był Javeri – albo trzecim? Nie, na pewno drugim, z czego wcale nie był zadowolony. Olbrzymi, czerwony na twarzy, często dręczył innych, już wtedy zaczął łysieć – wydawać by się mogło, że to ostatni człowiek, który poświęciłby wieczór na oglądanie komedii filozoficznych K'daro-darafy. Sam całkiem je lubię, ale są wyszukane w smaku i pozna się na nich tylko wyrafinowana publiczność. Ku memu zdumieniu nieokrzesany Javeri nigdy nie opuścił żadnego przedstawienia, nawet gdy musiał zrezygnować z obiadu albo kobiety. Pewno nie uwierzysz, ale wciąż mnie tyranizował, abym wystawił „Szewskie poszukiwania prawdziwej mądrości”. Bogowie, nawet ja nie rozumiem tej sztuki i nie jestem pewien czy zdołałaby mi coś wytłumaczyć sama K'daro-darafa, a Javeri był zachwycony. Głupi człowiek, ale nie aż tak głupi, na jakiego wyglądał. Nielatwo było o tym pamiętać, ale zmuszała do tego rzeczywistość.

Syn trzeci, Torleg. Och, to był prawdziwy klejnot, że się tak wyrażę, prawdziwy wybraniec losu. Pieszczoch rodziny, wzrostu Javeriego, inteligencji Gola – a już nie wspomnę, że dużo przystojniejszy niż tamci obaj razem wzięci – uprzejmy jak ojciec, ale w ukropie kapany. Tak, Torleg mnie przerażał pomimo swego uroku; wystarczyło, abym w trakcie przedstawienia spojrzął na niego, a już zaczynałem się pocić i mamrotać, i zmieniałem miejsce na scenie, aby go nie widzieć. Lisonje też przerażał, a nie jest to łatwe. Uwielbiał romantyczne komedie, wszystkie – od „Szaleństwa pasterza” do „Miłość to czy nie miłość”. Tę lubił najbardziej – nie potrafię zliczyć, ile razy kazał nam zmieniać sztukę na tę właśnie, bez najmniejszego uprzedzenia i bez względu na to, co akurat wystawialiśmy. Czasem też nalegał, żeby dostać jakąś małą rolę: zwykle była to partia Numiego, rozumnego i dowcipnego klowna, który miał najwięcej mądrych kwestii. Grał całkiem dobrze jak na amatora. Ja byłem starym poetą Chanirem, który nie pojawia się na scenie razem z Numim, za co zawsze byłem wdzięczny autorowi.

Następny jest Davao. Davao, dzieciaczek, który nigdy nie dorósł. Sprawiał nieprzyjemne wrażenie – młodzieniec o wysokim płacziwym głosie, wiecznie zasmarkany, mający zupełnie słuszne uczucie, że nikt na całym bożym świecie go nie lubi. Ale nawet on miał swoich popleczników, dzięki pochodzeniu i bezkrytycznemu przyjmowaniu pochlebstw. Podobnie jak matka, nad inne sztuki przekładał głośnie farsy: gdy tylko akcja na scenie osiągała punkt kulminacyjny, na przykład trzaskano drzwiami, kochankowie chowali się pod łóżko, klowni zaczęli wykrzykiwać sprośne niedorzeczne wiersze – w takich chwilach Davao pełen zachwyty rechotał ze śmiechu, a słyhać go było, jak mi doniesiono, aż na łodziach przepływających rzeką. Trygvalin zaklinał się, że często też moczył krzesło, ale to chyba nieprawda. Trygvalin mówi, co mu ślina na język przyniesie.

Zatem znasz już obsadę głównych ról. Pamiętaj, że każdy – jak się o nich powszechnie twierdzi – nienawdził braci od dzieciństwa, a powody tej nienawiści były aż zanadto widoczne. O jej skutkach ponuro żartował Jiril mówiąc, że nie lęka się rebelii wywołanej przez któregokolwiek z synów, gdyż trzej pozostali donieśli o spisku natychmiast, jak tylko by się o nim dowiedzieli. Współdziałanie było w ich przypadku zupełnie niemożliwe; potrafili zdobyć się jedynie na to, aby w porze podwieczorku nie wypatroszyć się wzajemnie nożami do smarowania masła. Ojciec regularnie trzepał im skórę i wtrącał do więzienia, aby nie zapomnieli, że wciąż jeszcze jest władcą Derridow. Zwlekał również z ustanowieniem któregokolwiek z nich swoim następcą, uważając, że w ten sposób przyspieszyłyby tylko swój koniec. Bez wątplenia miał rację.

Minęły trzy kwartały naszego szóstego sezonu w Derridow i mieliśmy powody przypuszczać, że znaleźliśmy na stałe dom w wielkiej starej garbarni, którą Jiril tak łaskawie kazał dla nas wyremontować. Smród już wywietrzał i z łatwością mogliśmy tam pomieścić siedemset osób, a jeszcze nie ziewaliśmy z braku powietrza ani nie pluliśmy podczas wypowiedzania kwestii na rozwalonych wokół sceny notabli. Wspaniałe oświetlenie, mnóstwo kinkietów – na samą myśl o tym chce mi się płakać – galeria dla orkiestry taka, że mogłem wynajmować tylu muzyków, ilu chciałem, i wystarczająco dużo przestrzeni za kulisami, aby móc tam zgromadzić dekoracje do całego naszego repertuaru, i jeszcze mieliśmy pomieszczenie dla koni, których używaliśmy w ostatnim akcie „Obrońców Bitawy”. Nie chcę powiedzieć złego słowa na Starą

Basztę, ale skoro nigdy nie grałeś w Derridow, w tej garbarni, po prostu nie wiesz, jak było tam pięknie. Bogowie, chyba się rozplacę.

Lisonje nadal się upiera, że to był mój kaprys, aby wystawić sztukę Surjka „Tragedia wyklętego króla Vilnanasha”, którą wcześniej graliśmy tylko dwukrotnie, i to bardzo dawno temu. Możliwe, że to ja podjąłem taką decyzję, ogłędnie mówiąc, lecz zasugerował mi to sam Jiril. Nie, to nie był rozkaz, ale co mogłem zrobić? Jiril był z nas bardzo zadowolony, a my byliśmy o wiele bardziej niż zadowoleni z niego i naszego cudownego teatru. Odmówić jego prośbie i doprowadzić do zachwiania tej niezmaconej harmonii, którą tak rzadko można znaleźć w naszym zawodzie? Przez myśl *mi* to nawet nie przeszło. Dla naszego teatru warto było pójść na każdy kompromis, każde ustępstwo.

Po za tym co złego mogła wyrządzić przebrzmiała już sztuka o starym królu Vilnanashu? Przyznaje, nie pojmuję, dlaczego Jiril chciał ją zobaczyć: nie jest ani zła, ani szczególnie dobra, wymaga dużej obsady, długiego okresu prób i takiego mnóstwa rekwizytów, że większości grup teatralnych nie opłaca się jej wystawiać. Jest w niej trochę grzmiących przemów – typowe dla Surjka, Trygvalin uwielbiał je – i kilka scen pomiędzy skazanym przez los królem a jego patetycznie wierną żoną, granych przeze mnie i Lisonje, i to w taki sposób, że mogliśmy wycisnąć łyżę nawet z kamiennego muru. Poza tym jednak sztuka jest nudna i niewdzięczna dla aktorów. Ale, jak powiedziałem Jirilowi, sprawienie mu przyjemności było dla nas wystarczającą nagrodą. Możesz mnie nazwać hipokrytą.

Przy okazji, jeżeli dotychczas przedstawiłem Lisonje jako wieczne narzekającą sekutnicę, pozwól, że oddam jej sprawiedliwość. Prawdę powiedziawszy, jest tak mądrym pomocnikiem, jakiego dyrektor może sobie tylko życzyć, bezsprzecznie. Cały dzień będzie pracować z cieślą albo szwaczką, godzinami tłumaczyć rolę przestraszonemu adeptowi; potem natrze uszu jakiemuś bufonowi, któremu przewróciło się w głowie. Nie waha się przejąć na siebie obowiązków krawcowej albo suflera, nawet jeśli tego wieczoru sama występuje; a jej zapał, jej – co ja chciałem powiedzieć? – jej wesołość podnoszą zespół na duchu i pozwalają pokonać znużenie podczas przygotowywania przedstawienia, co mnie nie zawsze się udaje. Och, Lisonje zna się na swoim rzemiośle jak nikt, nigdy w to nie wątpiłem. Chciałbym tylko, aby od czasu do czasu powstrzymywała się od pouczania mnie, na czym polegają moje zadania. Niezależnie od tego, co mówi dzisiaj, wtedy uważała wystawienie „Tragedii króla Vilnanasha” za świetny pomysł i bezzwłocznie zabrała się do realizacji. Nie była to jedna z tych czterdziestu kilku sztuk, które każdy z nas znał na pamięć (w moim przypadku było ich sześćdziesiąt, zapewniał jednak, że wielki K’sharik, po którym odziedziczyłem tę trupę, opanował pełne dziewięćdziesiąt trzy role, mogę przysiąc); więc musiałem wyciągnąć z kufla jakąś spleśniałą jej kopię, którą skrybowie Jirila powielili, potem rozdzielono role i zaczęliśmy uczyć się ich na pamięć. Co gorsza, wystawienie „Króla Vilnanasha” wymaga prawie dwukrotnie tylu aktorów, ilu liczy sobie nasza trupa, i nie pomoże tu nawet obsadzanie tych samych osób w dwóch albo trzech mniejszych rolach. A to zawsze oznacza proszenie o pomoc artystów z innych trup, co pociąga za sobą horrendalne stawki. Traf chciał, że była w mieście wędrowna trupa – taka jak my teraz. Przyjechała nie na występy, ale żeby wyżebrać od właścicieli miejscowych lombardów i magazynów trochę używanych strojów i rekwizytów do scenografii. Ubiliśmy interes. Byłem z niego wtedy niezmiernie dumny.

W zamian za pełen asortyment szmat i resztek dekoracji ze sztuk, które wystawialiśmy nawet rzadziej niż „Króla Vilnanasha”, wypożyczyliśmy na dwa miesiące jedenastu wszechstronnych aktorów, którym Jiril zgodził się zapewnić nocleg i wyżywienie, równie szczerze jak nam. Dodam, że było to dowodem jego wielkoduszności, gdyż z tych jedenastu tylko dwóch zasługiwało na coś lepszego niż strych z sianem, zagroda dla koni, odgrzewane skwarki i kwaśne piwo, do których od dawna byli już przyzwyczajeni. A do których i my, niestety, jesteśmy teraz przyzwyczajeni od jeszcze dłuższego czasu, ale kto mógł to wtedy przewidzieć? Przydzieliłem im role, rozdałem tekst, zapoznałem ze wszystkim, co powinni wiedzieć o samym teatrze, i pouczyłem o manierach, jakich się oczekuje od wszystkich komediantów Jirila, nawet występujących czasowo. Potem zaczęliśmy próbę, na serio.

Powiedziałem, że „Król Vilnanash” to marna sztuka, niewarta czasu i wysiłku, jakich wymaga, ale nie jest to sztuka zupełnie do niczego. Nie spieraj się – to wyważony osąd człowieka zajmującego się teatrem przez całe życie, które w większości upłynęło mi na wydawaniu podobnych opinii. Jednak dwadzieścia lat temu powiedziałbym ci po tygodniu pracy nad nią, że borykam się z najbardziej napuszoną, szablonową, przeładowaną w treści i nudną w formie mieszaniną frazesów, od czasu gdy u zarania dziejów człowiek zabił pierwszego *sheknath* i przedstawił ten triumf swemu szczepowi. Widzisz, problem tkwił w poezji. Bardzo rzadko wystawialiśmy Surjka i dlatego zupełnie zapomniałem, że w przeciwieństwie do większości jego sztuk, które są pisane prozą, a mówiąc dosadnie – bardzo nie natchnioną prozą, w tej tragedii wszystkie wielkie przemówienia zostały napisane wierszem, i to jakim wierszem! Na przykład weźmy monolog króla, który odkrywa, że naraził się na gniew bogów, bo przez przypadek zabił w walce syna. Niestety, pamiętam z niego aż za dużo.

Co? Zabity? Zabity on?

Zabity i z mojej winy jego zgon?

Nie! Nie! Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie!

To być nie może! Nieszczęście byłoby to nie lada!

Ach, biada mi, biada!

A jednak to się stało – choć rozum tego nie ogarnia!

I mówisz, że skutkiem gniewu bogów ta moja męczarnia?...

Już dosyć? Tak szybko wołasz o litość? Jest jeszcze dużo więcej w tym stylu. Lisonje, jako królowa Noura, wygłaszała orację nad zwłokami Vilnanasha, którą będę zmuszony wyrecytować w całości, o ile nie postawisz następnej kolejki. Ach, dziękuję. Jak powiedziałem, nie wszystko jest aż tak złe, ale gdy na próbie słyszy się te wiersze na okrągło, dziesiątki razy dziennie, wypowiedane bezbarwnymi głosami znudzonych, zdezorientowanych wyrobników – no cóż, po pewnym czasie cała sztuka brzmi nawet gorzej niż to, co usłyszałeś. To był niełatwy dla nas okres.

Niemniej jednak powiodłoby się nam, łatwo moglibyśmy odnieść triumf nad tą ohydą sztuką, ku której pchnął nas kaprys Jirila. Nasza zguba, szanowny kolego, tkwiła nie w samym utworze ani w naszych przygotowaniach – na dwa ty-

godnie przed przedstawieniem moglibyśmy już zagrać, o tak, mieliśmy nawet w tym celu wypożyczone kostiumy. Nie, problemy zapoczątkował Gol, najstarszy syn Jirila. Zapoczątkował, a potem jeszcze się nasiliły.

Pewnego ranka przyszedł do mnie, akurat gdy grupa zbierała się na próbę, i żywo zapytał:

– No cóż, Dardisie, przyjacielu, jak nam idzie? – W palcach obracał jakiś kwiat i prawie nie patrzył na mnie, gdy mówił, natomiast był zaabsorbowany flirtującą Lisonje i dwoma podlotkami, które grały córki króla Vilnanasha. – Gotowi? Możecie zacząć choćby zaraz, prawda?

Szczególnie nie lubię, gdy nazywają mnie „przyjacielem” ci, którzy mymi przyjaciółmi nie są. Odpowiedziałem więc tak oziębło i z takim dystansem, jak gdybym grał złego ministra Glauma w „Tragedii kawalerzysty”.

– Zespół pracuje szybciej, niż początkowo zakładaliśmy, to prawda. Staram się, aby najlepszą formę zachowali na spektakl. A teraz proszę mi wybaczyć... – Minister Glaum to jedna z moich najlepszych ról.

Gdy się odwróciłem, Gol położył mi rękę na ramieniu. Miał ciężką, wilgotną dłoń – jak wszyscy w tej rodzinie, nawet stary Jiril.

– Chodź, przejdziemy się – powiedział. – Twoi aktorzy jeszcze kończą charakteryzację, a ja chcę omówić pewną sprawę. – Wziął mnie pod ramię i wyciągnął na zewnątrz.

Garbarnia stoi nad samym brzegiem rzeki Tomelley – tak naprawdę jest to tylko brudny strumyczek, który wartko przepływa przez Derridow, jak gdyby w nadziei że nikt go nie zauważy. Gol prowadził mnie w dół, nad wodę, uprzejmym uściskiem obezwładniając moje przedramię, rozmawiał o błahych teatralnych plotkach, często się jednak odwracał i rozglądał dookoła, czym do pewnego stopnia przypominał pełną zawirowań rzekę. Kiedy był pewien, że nikt nas nie obserwuje, zatrzymał się, obcesowo odwrócił mnie twarzą do siebie i powiedział:

– Dardisie, ta sztuka jeszcze czegoś potrzebuje, chyba się ze mną zgodzisz?

Muszę wyznać, że patrzyłem na niego z niedowierzaniem. Wszystkiego mogłem się spodziewać po jego zachowaniu, ale nie krytyki dramatu. Bez wątpienia Gol musiał to wiedzieć, bo puścił moją rękę, poklepał ją i uśmiechnął się, nawet dość sympatycznie jak na niego. W wybuchu pozornej szczeroci rzekł:

– Dardisie, ty jeden wiesz, jak cierpię, gdy widzę marny dramat, który bez trudu można by uczynić idealnym. Bardzo cię przepraszam, że się mieszam, ale tak niewiele potrzeba, żeby zmienić to biedne stare sztuczdyło w arcydzieło, którego mój ojciec nigdy nie zapomni. Jedna dodatkowa scena tego dokona, jedna przemowa. Oczywiście wiesz doskonale, gdzie jest ten słaby punkt.

– Nie mam pojęcia – odparłem. – A ty, lordzie Gol, musisz wiedzieć, że stanowczo sprzeciwiam się jakimkolwiek zmianom oryginalnego tekstu sztuki klasycznej. Zdaję sobie sprawę, że robi się to coraz częściej, aby dostosować sztukę do ograniczonych możliwości tego czy innego aktora albo obaw i kaprysów jakiegoś władcy... – Urwałem nagle, gdyż pewne przecucie, co Gol mógł mieć na myśli, zaświtało mi słabo i wkrótce zgasło. – Nie popieram tego. Bez względu na cel.

Gol ani na chwilę nie przestał się miło uśmiechać.

– Drogi Dardisie, zawsze podziwiałem, jak bezgranicznie jesteś oddany sztuce. Podobnie jak mój czcigodny ojciec, który niestety nie będzie żył wiecznie, co z pewnością okaże się dla niego wielkim zaskoczeniem. Zapewniam cię, że mam zamiar zatrzymać twoją małą trupę tu, w Derridow, gdy nadejdzie ten tragiczny czas; ale jeżeli zaczniemy od braku porozumienia w tak zasadniczej kwestii... no cóż, zawsze doceniam ludzi lojalnych, to jedna z moich zasad. Chyba rozumiesz mnie, Dardisie?

– Pomyślałem, że mnie sprawdza. Arystokracja zawsze to robi zauważyłeś? – a Gol zawsze badał, jak daleko może się posunąć, zanim zwierzę chwyci go zębami, kobieta spoliczkuje, stronnik odmówi wykonania polecenia. Środki utrzymania artysty, jeśli nie całe jego życie, zależy od tego, czy wie kiedy – i co jego pracodawca chce, aby grał.

– Jedna przemowa, tak uważasz? – mruknąłem.

– Osiemnaście wersów i ani słowa więcej – odparł Gol. – Proszę, mam je przy sobie. – Wcisnął mi w rękę złożoną kartkę kancelaryjnego papieru. – Zobaczysz, będą pasować idealnie w ostatniej scenie pomiędzy Vilnanashem a jego ministrami. Zdziałałsz tym cuda, zostały napisane specjalnie dla ciebie.

Zacząłem protestować – słabo, tak, z pewnością, ale czy słabi mogliby inaczej protestować? – tu jednak Gol grzmotnął mnie w ramię.

– Bogowie, jakże zazdroścę pewnemu artyście. – powiedział i odszedł, a ja stałem z otwartą gębą jak ostatni dureń. Ten miał wyjście, o tak. Prawdę powiedziawszy, od tamtego czasu też tak wychodzę.

Gdy wróciłem do teatru, próba, którą prowadziła Lisonje, była w toku. Nie miałem okazji spojrzeć na przemowę aż do obiadu. W tamtych czasach zwykle jadałem sam, aby w spokoju móc ocenić pracę całego przedpołudnia. Tym razem jednak, jeśli mam być szczerzy, nie chciałem być sam nawet z charakterem pisma Gola, nie mówiąc o jego poezji. Usiadłem z Lisonje i z jednym z wypożyczonych aktorów, z którym wtedy flirtowała, kłownem o imieniu Chachak. Był świetnie stepującym tancerzem, ale miał bardzo prostackie poczucie humoru.

– Dał mi to Gol – powiedziałem bez wstępu i rozłożyłem kartkę na stole.

Lisonje szybko przestudiowała tekst. Chachak wciąż jeszcze czytał cicho, poruszając wargami, i drapał się w głowę, kiedy popatrzyła na mnie i zapytała:

– Chce, żebyśmy wstawili ten kicz?

Skinąłem potakująco głową.

– Można to zrobić. Ta scena jest od początku nieudana, sama to mówiłaś. Wstawka Gola będzie pasować, doda jej dramatyzmu. Jestem pod wrażeniem, naprawdę.

Lisonje obdarzyła mnie spojrzeniem, które zazwyczaj zachowuje dla żółtodziobów, gdy zaczynają mieć za wysokie mniemanie o swoich improwizacjach.

– To robi na tobie wrażenie? – zapytała z dziwnym spokojem, i przeczytała głośno, o ile pamiętam, ten fragment:

Druhowie moi, panowie szlachta i wszyscy poddani, moja to wina, którą z własnej woli tu wyznaję.

Kłątwa, co na ten kraj tak ciężko spada, winna spaść na barki moje i nikogo więcej.

Bom tylko ja zawinił rządami zbyt długimi, co trwały mimo braku sił i braku zasług, na przekór rozsądkowi i wbrew woli bogów.

Dlatego teraz zrzekam się korony na rzecz tych, których młodość i mądrość przyozdabia, podczas gdy ja udam się do mojej samotni.

Patrzyła na mnie, wyginając wargę w taki sposób, jak gdyby chciała uniknąć parzącego ognia.

– Dardisie, to jeszcze gorsze niż oryginał, choć trudno temu dać wiarę. Nie możesz kazać Vilnanashowi abdykować; zniweczysz całe zakończenie...

– Lepsze to niż gdyby zakończenie miało zniweczyć nas – wtrąciłem. – Myśl sobie, co chcesz, ale ja nie zamierzam robić z Gola wroga. Ta scena zawsze przywodziła na myśl abdykację, a jeżeli Gol żąda, abyśmy uczynili ją bardziej wyrazistą, bez niedomówień...

– Bardziej niedelikatną, bardziej nietaktowną, bardziej niezgrabną – zaperzyła się Lisonje, ale Chachak jej przerwał – nie jednym ze swoich sprośnych żartów, jak zwykle, ale prychnął z twarzą zmarszczoną jak u dziecka, gdyż zastanawiał się, jak powiedzieć to, co ma na myśli.

– Wcale nie tego żąda Gol – wybuchnął w końcu. – Te słowa są skierowane do Jirila. To ostrzeżenie.

– Chachak, kochany – powiedziała Lisonje. – Idź tańczyć. Nie można porównywać Jirila z biednym starym królem Vilnanashem. Nikt nigdy sobie tego nie skojarzy.

Uniosłem rękę, żeby ją uciszyć, i sam odczytałem głośno ostatni fragment:

Przestrzegam tych, co teraz słyszają mnie, jeśli bym ja lub inny starczy król swą abdykację cofnął wraz, czyż nie bez żalu godzi się usunąć go? Bo też jakiego losu zdrada ta wymaga?...

Chachak pobladł jak płótno.

– Urodziłem się w tych stronach. Moi przodkowie znali przodków Jirila. Ta przemowa to żądanie jego abdykacji. Jeżeli ja to wiem, wszyscy będą wiedzieli. Jiril też. Nie możesz tego umieścić w sztuce.

Lisonje, jak to ma w zwyczaju, zmieniła front i stanęła po jego stronie, zupełnie się nie przejmując swym brakiem konsekwencji.

– Dardisie, on ma rację. Nie obchodzi mnie, co obiecywałeś Golowi...

– Niczego mu nie obiecywałem – warknąłem na nią. – To on obiecywał. Dał mi jasno do zrozumienia, że jeśli nie usłuchamy, nie będziemy mieli teatru, gdy Jiril umrze...

Nie będziesz miał nawet obsady, jeżeli to zrobisz – wybuchnął Chachak. – Możliwe, że stanowimy jedynie zgraję czwartorzędnych aktorów – och, wiemy, co o nas myślisz, Dardisie! – lecz nie jesteśmy głupi. Nie teatr stracimy, ale życie. Gdy tylko dowiedzą się, kto tę przemowę napisał...

– Ale się nie dowiedzą – powiedziałem. – Prawda, Chachaku?

No cóż, nie ma sensu wchodzić dalej w te mało szlachetne szczegóły. W zamian za łupieżcze wręcz wynagrodzenie Chachak ostatecznie przysiągł na nieznanne groby swoich niemytych dziadków, że nigdy nie wyjawia kumpłom, kto jest autorem nowej oracji, wygłaszanej w kulminacyjnym momencie dramatu. Prawdę powiedziawszy, nie tyle liczyłem na jego przysięgę, ile na moją groźbę, że jeżeli mnie zdradzi, postaram się, aby nie dostał pracy w żadnej cieszącej się poważaniem trupie po tej stronie Barrensów. Wtedy mogłem obiecywać takie rzeczy, miałem wpływy i kontakty.

Lisonje stwierdziła potem, że nie wiedziała, za którego z nas bardziej jej było wstyd. Nie zważałem na nią wówczas, tak jak nie zważałbym i dzisiaj. Ludzie tacy jak ty i ja inaczej myślą o sztuce niż ludzie tacy jak Gol. Dla nas pierwszą zasadą sztuki jest nakarmić swój zespół, potem zapewnić mu bezpieczeństwo i przeciwdziałać rozłamom, znaleźć im pracę i zapędzić ich do niej. I zawsze, zawsze upewnić się, że przed przedstawieniem mieli wystarczająco dużo prób. Reszta – honor, odwaga, przenikliwość umysłu, gusta – to luksus. To przychodzi później.

Przemowa została włączona. Ostatecznie to ja miałem ją wygłosić, a wiesz dobrze, jak mało uwagi poświęcają aktorzy nie swoim kwestiom. Musiałem tylko zmienić dwa czy trzy wersy w tej scenie, żeby przemowa do niej pasowała; po kilku dniach nie można było odróżnić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Żadna specjalna szkoda nie stała się zakończeniu, żaden z aktorów nie zainteresował się pochodzeniem nowego ustępu. Chachak trzymał buzię na kłódkę, tak jak przyrzekał, chociaż byłem pewien, że zbyt dużo zapłaciłem za jego milczenie. Trupa z pewnością nigdy nie wpadłaby w panikę na myśl o tym, że Gol niejasno sugeruje, iż ojciec powinien zrzec się stanowiska. Aktorzy znali Jirila i znali jego synów fanfaronów – najprawdopodobniej wysmialiby ten pomysł i zabrałoby się znowu do ćwiczenia ról i zmian kostiumów. Oczekiwałem nawet, że Lisonje ponownie zmieni zdanie i wyśmieje mnie, iż pozwoliłem się okpić takiemu głupcowi jak Chachak, ale w tej sprawie nigdy nie powiedziała ani słowa. Powinienem być to potraktować jak znak wróżebny.

Potem wizytę złożył nam Javeri.

W tydzień po Golu, jak mi się wydaje – może mniej. Zjawił się, podobnie jak jego brat, akurat gdy zaczynaliśmy poranną próbę; ale zamiast bezpośrednio zwrócić się do mnie, zajął jedno z okazałych krzeseł, zawsze zarezerwowanych dla rodziny Jirila, i siedział tak beznamytnie przez całą próbę, podobny do obrzmiałego, niebywale rozjątrzonego pryszczaka. Przeszkadzał mi – nie swym wyglądem, ten był dla niego typowy, ale swą cierpliwością, która typowa dla niego nie była. Javeri miał tylko tyle dobrego wychowania, ile Jirilowi udało się wpoić biciem, a i tę odrobinę z rzadka okazywał ludziom niższego stanu.

Niemniej zanim do mnie podszedł, zaczekał, aż aktorzy poczną się rozchodzić. Nawet próbował być grzeczny, burcząc, że widział już gorsze zespoły niż nasz. Zaciągnął mnie do kąta i wyjął z kieszeni kilka pogniecionych stron.

– Jak się domyślasz, nie jest to sztuka w moim guście – mruknął. – Staromodna, bez subtelnego dowcipu, prawdziwej filozofii, dokładnego równoważenia się nastrojów, jakie można znaleźć u K'darodara. – Tu spróbuj wyobrazić sobie *nishoru*, jeden z tych ośmiu rodzajów nie potrafiących latać, wysokich na osiem stóp ptaków, które żyją na północy kraju i żywią się ludzkim mięsem. Tak jak mówię, spróbuj wyobrazić sobie *nishoru* recytującego klasyczną poezję. Będziesz miał jako takie pojęcie o Javerim. A on ciągnął dalej: – Ale skoro ten stary tyran nalega, żebyście to wystawili, oto fragment, który doda siły tej ważnej scenie z bękartem Vilnanasha. Nie, nie, nie dziękuj mi.

W przeciwieństwie do Gola Javeri przeczytał mi tekst na poczekaniu. Jest to scena, w której ukochany syn króla, Sakha, nie może dojść do porozumienia z ojcem w sprawie zapewnienia wolności i niezależności zbiegłym niewolnikom,

chroniącym się wśród moczarów. Vilnanash odmawia, a Sakha pluje mu w twarz i odchodzi, aby przyłączyć się do zbiegów, i ostatecznie dzieli ich los. To chyba najlepsza scena w sztuce, Trygvalin i ja dobrze zrobiliśmy, że zdecydowaliśmy się grać ją na początku z pewnym wyciszeniem, wzmacniając stopniowo, aż do nieoczekiwanego buntu Sakhi. Nawet teraz trzeba pilnować Trygvalina przez cały czas, żeby nie wpadł w złą dykcję; ale akurat wtedy udało mi się go utrzymać w ryzach jak nigdy – niestety czasowo – i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była nowa melodramatyczna tyraada, którą by mu kazano wygłosić. Ale czy mogłem zrobić coś innego niż w przypadku Gola? Usiadłem i słuchałem.

Co mówisz?

I to twoje ostatnie słowo? A zatem nazwę cię nie królem, ale bestią. Nie ojcem, ale okrutnym zwyrodnialcem, bezlitosnym, mściwym i okrutnym lotrem, którego obalić ci, co honor cenią, powinni, zakończyć jego wstrętne panowanie, i uczcić upadek takiego szatana, zanurzając palasze w krwi haniebnej jego!...

Było tego dużo więcej, ale orientujesz się już, w jakim tonie zostało napisane. Gdy skończył, zdołałem tylko powiedzieć:

– Myślę, że plunięcie ojcu w twarz wyraża emocje bardzo treściwie. – Javeri stanął nade mną, wydając nosem jakieś nieprzyjemne dźwięki. Ciągnąłem: – Brakuje tu pewnej równowagi nastrojów, prawda?

– Tak jak tej całej choleryjnej sztuce, już ci mówiłem – warknął Javeri. – Ale wystarczy, że umieścisz w sztuce tę przemowę, a poderwiesz widzów, obiecuję. Przecież właśnie tego chcemy, czyż nie tak? – Kiedy ociągałem się z odpowiedzią, zamachał mi przed nosem swoją wielką pryszczatą pięścią, jak gdyby próbował obrać cel, i powtórzył: – Czyż nie tak, Dardisie?

Pomimo jego postury i agresywności, ludzie zazwyczaj bali się Javeriego mniej niż Gola, i zdecydowanie mniej niż Torlega. Nigdy nie odważyłbym się mówić do tamtych dwóch tak, jak temu odrzekłem:

– Javeri, dziękuję ci bardzo za troskę o naszą trupę i o przedstawienie, ale ta przemowa nie nadaje się do niczego. Jest zupełnie niepotrzebna w tej scenie, a poza tym niezgrabnie napisana. – Wydaje mi się, że dodałem to ostatnie, a potem chyba skinąłem głową i odwróciłem się, żeby odejść. Trudno to sobie przypomnieć po tylu latach.

Javeri, co dało się przewidzieć, zaczął bełkotać w podnieceniu, pryskając śliną naokoło.

– Głupcze! Ta przemowa jest idealna do tej sceny!

Teraz myślę, że po prostu miał tendencję do plucia, gdy mówił. Zerkałem na jego ręce, spodziewając się jakiegoś aktu przemocy, i usiłowałem tłumaczyć:

– Jest całkowicie niepotrzebna, przesadzona. Przejaskrawiona.

– Nieprawda! – ryknął Javeri. – Jest wyważona i oszczędna w słowach! Sprawia, że ta nudna scena ożywa!

– Ożywa?! Ależ to zatrzymuje w miejscu całą sztukę! – Jeśli weźmiesz pod uwagę fakt, iż mnie tym żądaniem zupełnie zaskoczył, musisz przyznać, że byłem nadzwyczaj stanowczy i opanowany.

Twarz Javeriego przybrała intensywny kolor, widywany głównie podczas zachodu słońca: cętkowany fiołkowo-różowy z prześwitującym odcieniem zielonego.

– A niech, do cholery, ją zatrzyma! Chcesz znać prawdę, Dardisie? Ta przemowa jest zbyt dobra dla takiej marnej sztuki!

– A może ty chcesz znać prawdę? To najgorsza przemowa, jaką w życiu słyszałem! – Nie mówiłem szczerze. Już wtedy zajmowałem się teatrem od dawna.

Javeri zbił mnie z tropu. Kiedy znowu zaczął mówić, głos miał cichy, co było nawet przerażające, bo przyzwyczałem się do głuchego ryku tyra. Powiedział:

– Jest moja.

Milczałem, a on spojrzał mi w oczy i dodał, wciąż tym samym miękkim, nienaturalnym, łagodnym głosem:

– Jest moja, Dardisie. Umieścisz moją przemowę w tej scenie i przypilnujesz, by została wygłoszona dokładnie tak, jak napisałem. Dokładnie. Ponieważ ja jestem panem, a ty służą, i tak jest świat urządzony. Rozumiesz?

Skinąłem głową. Javeri patrzył na mnie groźnie jeszcze przez chwilę, potem znowu wcisnął mi kartki, okręcił się płaszczem, zamachnąwszy się przy tym mocno, co skończyło się tak, że ciężka lamówka płaszcza uderzyła go w oko, i zataczając się odszedł. A ja? Miałem tylko czas na filiżankę gorącej *boreen*, żeby się trochę uspokoić, zanim znowu zwołam zespół do pracy. Kiedy przedstawiłem nową przemowę, Lisonje popatrzyła ostro, ale ani nie zaprotestowała, ani w ogóle nic nie powiedziała do końca dnia. Odebrało mi to odwagę. A co do Trygvalina, wyglądał tak, jak gdyby jakiś obcy zostawił mu majątek. Więcej wierszy. Nic nigdy nie sprawiło Trygvalinowi większej radości niż dodatkowy tekst.

Tego wieczoru Lisonje przyszła do mnie. (Powinienem o tym wspomnieć, że choć reszta trupy mieszkała razem, ja, dyrektor, miałem własny domek w końcu maleńkiej ukwieconej alejki odchodzącej od rynku). Nie było w tym nic nadzwyczajnego, że mnie odwiedziła, robili to i inni starsi rangą aktorzy, ale zdziwiło mnie, że nie krzyczała, nie robiła mi wymówek. Wydawała się wyciszona, zamyślona, nawet niespokojna – co nie jest w jej stylu – ale przeszła od razu do rzeczy.

– Co zamierzasz zrobić, kiedy Torleg wręczy ci przemowę, którą będzie chciał umieścić w twojej sztuce?

– Skąd wiesz, że wręczy? – Głupie pytanie, pomyślałem, a Lisonje na pewno to wyczuła.

– Torleg będzie następny – powiedziała – potem Davao... nie dlatego że jest najmłodszy, ale minie dużo czasu, zanim wpadnie na ten pomysł. Dardisie, każdy z tych czterech głupców ma swoich zwolenników, wszyscy czekają tylko na sygnał, żeby powstać przeciwko Jirilowi, a tym sygnałem będą przemowy. Ćwiczymy na próbach hasła do buntu, Dardisie, wezwania do broni. Taka jest prawda.

– Tego nie wiemy – odparłem nieprzekonywająco. – Nie mam zamiaru nawet przypadkiem rozłożyć któregoś z nich tylko z powodu twoich podejrzeń, że ten albo tamten planuje jakieś niedorzeczne powstanie. To nie nasza sprawa. Jesteśmy aktorami, Lisonje. Gramy.

– Gramy! – zaczęła mnie przedrzeźniać, a ma do tego dar, potrafi być autentyczna aż do bólu. – Dardisie, znamy się zbyt długo, więc nie oczekuję, że zrozumiesz. Chcę tylko, żebyś pamiętał, co teraz powiem. Na nas wszystkich się skrupi, jeżeli stanie się to, co ma się stać. Nas się obwini, choćby rebelia była dobrze przygotowana. Ale wciąż jeszcze możemy

tego uniknąć, jeżeli zdobędziesz się na odwagę i usuniesz ze sztuki każde ich słowo. Nie musisz im nawet mówić. Niech się dowiedzą, gdy zaczniemy. – Schwyciła mnie mocno za ramiona, a ja przestraszyłem się, bo poczułem, że drżą jej palce. – Jeśli to zrobisz, będziesz mi wdzięczny do tego stopnia, że dziękując co dziesięć minut staniesz się wręcz nieznośny.

Och, tak, tak, teraz łatwo powiedzieć, że powinienem być posłuchać jej rady. Ale wciąż jeszcze nie jestem pewien, czy wszystko potoczyłoby się lepiej, gdybym tak zrobił. Nawet lubiłem Jirila, ale lękałem się jego synów: w przeciwieństwie do ojca, każdy z nich wiedział, jak skutecznie pielęgnować urazę, tak jak się pielęgnuje roślinę. On najprawdopodobniej zapomniałby o mojej odwadze w ciągu paru tygodni, jego synowie nie zapomnieliby mi tego nigdy. Nazywaj mnie tchórzem, jeśli chcesz.

Więc nie zrobiłem niczego. Przemowa Javeriego została włączona do tamtej sceny i chociaż tym razem musiałem dokonać sporo przeróbek i zmian, zanim ją dopasowałem do tekstu, jednak w końcu tych szwów, że tak się wyrażę, prawie nie było widać. Prawdę powiedziawszy, wyglądało na to, że obsada woli zmienioną wersję. Trygvalin przyswoił nowy wiersz od razu, ani pytając, ani go rozumiejąc. Chachak wyglądał na przerażonego, ale nie powiedział ani słowa; nawet sam Jiril, który wywołał wśród nas panikę, pojawiając się na próbie bez uprzedzenia, prawie nie zauważał dwóch dodatkowych fragmentów. Chyba sobie pomyślał: „Zupełnie zapomniałem, że on abdykuje, tyle czasu minęło, odkąd to widziałem. Bardzo wzruszające, bardzo”. Kiedy wyszedł, wydałem głębokie pełne ulgi westchnienie i uśmiechnąłem się triumfująco do Lisonje. Udała, że tego nie widzi.

@Potem przyszedł Torleg.

Przepraszam, ale muszę wypić. Nie, teraz ja stawiam, nieodwołalnie. Nigdy nie byłem skąpy – nie, ani nie piłem na czyjś koszt. Wiesz, co we mnie najgorsze? Pewien rodzaj zawodowej próżności, który czasem każe mi przypuszczać, że ponieważ wiem dużo, wiem wszystko. Czasem. Tak. Ale w tym przypadku nie chodziło o tę słabość, bez względu na to, co mówi Lisonje. Nie pycha mnie zgubiła, ale strach; a nawet nie, raczej poczucie odpowiedzialności, które aż za często doprowadzało mnie do zguby. Może jest to trochę i twój problem? Aha, tak przypuszczałem.

Na czym to skończyłem? Prawda. Pojawił się Torleg, nie w teatrze, ale w dusznym, brudnym składzie blisko rzeki, gdzie wśród zardzewiałych rupieci szukałem strzały do kostiumu króla Vilnanasha do pierwszego aktu. Kto by się w takim miejscu spodziewał zobaczyć najbystrzejszego, najukochańszego i najbardziej niebezpiecznego syna Jirila? Akurat wychodziłem, gdy zderzyłem się z szeroką piersią Torlega i zobaczyłem tę przerażająco piękną twarz uśmiechającą się do mnie, te wesołe, błyszczące niebieskie oczy... Podszedłem do niego tak blisko, że aż zacząłem się pocić. Mówiłem ci, zawsze tak reagowałem w jego obecności.

– Co za spotkanie! – mruknął. Tylko on z nich wszystkich potrafił wyrazić aż tyle takim mruknięciem, chyba pomijasz, co mam na myśli. Gol to potrafił, owszem, lecz był to tylko cień tego ciepłego, a zarazem zdradzieckiego pomruku jego brata. Torleg powtórzył: – Co za spotkanie! Taki traf! Oto człowiek szukający sposobów, jak ożywić nudną starą sztukę, byle tylko dostarczyć rozrywki memu ojcu, i proszę, oto jestem, całkowicie do twojej dyspozycji. Tylko powiedz, jaką scenę chciałbyś uwydatnić, jaką przemowę zabarwić żartem, jakiemu wierszowi nadać współczesne znaczenie... na jutro zrobię to dla ciebie i podziękuję za tę sposobność. – Objął mnie ramieniem i pochylił w moją stronę niczym kochanek. – Powiedz, Dardisie, jak mogę ci pomóc. Czyż obaj nie jesteśmy pokornymi sługami Jirila?

Czy już go nakreśliłem jako tako? Jestem aktorem – czy już pokazałem choć trochę jego podstępnej siły? Widzisz, towarzyszyło jej przymrużenie oka – zawsze. Torleg jedyny w tej rodzinie miał poczucie humoru, Gol z kolei udawał, że też ma go trochę. Ponieważ Torleg zawsze budził we mnie strach, napomknąłem, że jego starsi bracia już złożyli mi taką samą propozycję. Wprawdzie wciąż uważam, że ani słowem nie wspominałem o wstawkach w sztuce, ale jednocześnie nie chciałem mu otwarcie kłamać. Być może, sam siebie oszukuję, jednak nie ma to znaczenia – Torleg był zbyt przebiegły, aby choć przez chwilę wierzyć, że Gol i Javeri odszukali mnie nie dla własnych korzyści, wiedział też, że nie mogłem im bezkarnie odmówić. Nadal mnie obejmował, ściskając z coraz większym animuszem, w miarę jak mnie zapewniał, że nie ma przygotowanych przemów, które chciałby wepchnąć do *moich* rąk i do mojej sztuki – ale tylko czeka, żeby usłyszeć, jak może mi pomóc.

Tak, no cóż, do cholery, nim się spostrzegłem, już go prosiłem – prosiłem, rozumiesz! – żeby poprawił nieco chropowatą scenę w drugim akcie, gdzie pijana czarodziejka przepowiada królowi Vilnanashowi, iż niebawem zostanie obalony przez przymierze drobnych kupców i terminatorów, gdyż bogowie go opuścili. Nususir potrafiła jak nikt inny wydobyć dramatyzm tej roli, ale jest w tym również trochę komedii, a droga Nususir po prostu nie nadaje się do komedii – to zadanie dla Lisonje. Powiedziałem Torlegowi, że chciałbym, aby ktoś z tej sceny usunął elementy humorystyczne, a pozostawił Nususir jedynie przepowiednię nieszczęścia, bo robi to najlepiej. Torleg mnie nie terroryzował, nie zmuszał i nie szantażował, abym przyłożył rękę do własnego upadku. Widziałem, co się dzieje, rozumiałem to doskonale i nic nie potrafiłem zrobić. Tak bywa.

Jak wcześniej obiecywał, spotkał się ze mną następnego dnia i z tą pełną niepokoju pychą, jaka towarzyszy każdemu młodzieńcowi, który marzy o ucieczce z trupą teatralną, wręczył zmienioną już scenę. Dostępnie postąpił z elementami komediowymi u czarodziejki, dodając je kpiącemu, sceptycznemu królowi Vilnanashowi, a pasowały tam wyśmianie. Na ironię losu, zupełnie przegapiłem trzy wersy, jakie dodał do tej roli, jak gdyby próbując to skompensować. Dopiero Lisonje je zauważyła:

I napisane jest: u brzegu sadzawki piorących niewiast, gdzie pewien despota padł, twoi wrogowie zgromadzą się w porze księżycy nowiu, by rozdzielić broń i czekać w pogotowiu...

Ta wzmianka nic nam nie mówiła, ale Trygvalinowi i owszem. Kilka dni wcześniej miał randkę z jakąś miejscową dziewczyną i spotkali się poza bramami miasta, w kotlinie od dawna wyschłej i tak zarośniętej mizernymi chwastami, że Trygvalin nigdy by jej nie spostrzegł, gdyby nie dziewczyna. Wiele lat temu, jak mu powiedziała, był to głęboki staw z wpływającym doń źródłem, gdzie zbierały się wszystkie praczki z Derridow. Potem źródło wyschło, praczki przeniosły się niżej, nad rzekę, a sadzawka została zapomniana przez wszystkich, z wyjątkiem kilku osób. Jedną z nich najwidoczniej był Torleg.

– A zatem już trzech – powiedziała Lisonje, wyraźnie znudzona. – Ciekawa jestem, gdzie Davao zechce zebrać swoich rewolucjonistów. Prawdopodobnie w kuchni Jirila – podczas obalania tyranów rośnie apetyt.

Już dawno przestała mi robić wymówki i wydawała się pogodzona z naszą sytuacją. Wspominam o tym, ponieważ nie miałem pojęcia, jak bardzo wpakowaliśmy się w kłopoty, Lisonje też nie, bez względu na to, co mówi teraz. Co to właściwie miało oznaczać, że trzech synów Jirila umieściło wiadomości dla swoich zwolenników w naszej nudnej sztuce? Możliwe, że wszyscy w tym samym czasie będą próbowali wywołać powstanie albo pójść się upić. W tamtych czasach Derridow znano jako oazę spokoju, nie masz pojęcia, jak niedorzeczne było przypuszczenie, że tę harmonię może zakłócić jakiś akt przemocy. No cóż, teraz wiemy lepiej, prawda? Hm, tak, dziękuję, dlaczego nie? Twoje zdrowie. Zdrowie wszystkich.

Nie. Nie, Davao nie był następnym, który mnie odszukał. Następną była dziewczyna.

Nie mówiłem? Och, przepraszam, ale widzisz... Nawet teraz wciąż zapominam o Firial, jedynej córce Jirila. Była starsza od Davao o rok czy dwa – cicha, miła istota; w tamtej rodzinie łatwo było zostać zapomnianym komuś cichemu i miłemu. Nawet Jiril czasami zapominał, że ma córkę, a matka zawsze Firial strofowała, jak gdyby dla zasady. Prawdopodobnie dlatego tak rzadko córka władcy chodziła do teatru – co może mnie nieco usprawiedliwiać, a potrzebuję usprawiedliwienia, gdyż jej nie poznałem, kiedy podeszła do mnie na ulicy. Właśnie szedłem, żeby odpocząć po koszmarze ostatnich prób – wiesz, wszyscy znają już swoje role aż za dobrze i są nimi śmiertelnie znudzeni. To się nam i teraz zdarza, mimo że tamten teatr mamy już dawno za sobą. Jesteśmy znudzeni wszystkim, co robimy, a znamy to na wskroś. Możliwe, że teraz jest lepiej niż w Derridow, choć wątpię w to.

W każdym razie Firial podeszła do mnie, gdy właśnie skręcałem w swoją uroczą alejkę, i minęła chwila, zanim ją poznałem. Wyglądała ładnie, oczywiście nie zrozum mnie źle: długie proste włosy blond, nieco krótkowzroczne brązowe oczy, twarz raczej okrągła, figura w sam raz, nie za szczupła i nie za pulchna. Prawdę powiedziawszy, w niczym nie za bardzo, i w tym cała rzecz. Biedne dziecko urodziło się w rodzinie, która we wszystkim była za bardzo; co więc jej zostało? Tylko łagodność, delikatność i dobre maniery. Nie, włosy miała brązowe, tak, brązowe, jestem tego prawie pewien.

– Dardisie – powiedziała, przechodząc od razu do sedna sprawy. Było to u niej niezwykle, zawsze widziałem ją nieśmiałą, rozdygotaną. – Dardisie, wyświadczyć mi przysługę.

– Co za odmiana! – zachnąłem się. Jak już wspominałem, miałem straszny dzień, w przeciwnym razie nigdy bym się nie ośmielił mówić do kogoś z jej sfery takim tonem. – Twoi bracia nigdy mnie o nic nie proszą, zawsze tylko żądają. Prawdę powiedziawszy, zależli mi za skórę, panienko.

Wtedy Firial się uśmiechnęła. Naprawdę miała ładny uśmiech, pamiętam.

– Mnie także – powiedziała. – Dardisie, czy mogę cię odprowadzić do domu?

Skinąłem głową, więc wzięła mnie pod rękę. I tak szliśmy razem, a ludzie z miasteczka witali Firial, gdy ich mijaliśmy, zawsze rozpoznając ją trochę za późno, aby uczynić coś jeszcze oprócz pospiesznego skinienia głową. Po kilku grzecznościach wych pytań o próby (rzadko kiedy przychodziła do teatru, a już nigdy z rodziną) powiedziała prosto z mostu, trochę się tylko rumieniąc:

– Dardisie, chcę wyjść za mąż.

– Życzę dużo szczęścia – odparłem. Tamtego lata wałęsało się na dworze dwóch czy trzech pomniejszych lordów z północnych prowincji; uznałem, że Jiril nawiązał już negocjacje z którymś z nich. – Gdybyś chciała, abyśmy zagraли na twoim ślubie, zrobimy to z ogromną przyjemnością. Mamy bogaty repertuar stosownych scen, pieśni, poezji, monologów...

Przerwała mi, potrząsając głową.

– Dziękuję, ale niewykluczone, że ten ślub odbędzie się w jakiejś stodole, udzieli go pijany wiejski kapłan, a gapowaci pa-stuchowie wystąpią w roli świadków. Mąż, którego sobie wybrałam, zdecydowanie nie spodoba się memu ojcu.

– Ach, ach! Ucieczka z ukochanym – wykrzyknąłem. Nie znoszę takich ucieczek. Rzadko traci się tylko niewiniątko, które znika nocą; najczęściej towarzyszy mu jakiś świetny muzyk albo komik. Zapytałem bardzo ostrożnie: – Przepraszam, łaskawa panienko, ale to musi być jakiś niezwykle człowiek, skoro Jiril poczuł się tak urażony, że zakazał tego małżeństwa. Czy mogę wiedzieć, jak się nazywa ten godny uwagi szlachetny człowiek?

Firial znowu uśmiechnęła się tym uśmiechem, który całkowicie odmienił jej pospolitą twarzyczkę.

– Ależ już go znasz, przyjacielu. To Dek'hai, nadworny kucharz ojca. Pokochaliśmy się, gdy jeszcze był pomocnikiem w kuchni i dostawał lanie, gdy kradł dla mnie ciasto. Przyrzekliśmy sobie, że się pobierzemy, i nie chcę innego.

Rozumiałem jej sytuację aż za dobrze. Chociaż młody, Dek'hai był mistrzem kuchni: nie tylko potrafił wykreować wspaniałe odmiany powszechnie znanych potraw regionalnych – znany wszystkim *soudrilak* nie jest niczym innym jak zmodyfikowaną przez Dek'haia wersją gulaszu, przyrządzanego zazwyczaj przez żony wieśniaków – stworzył również własne potrawy, które zaczynały cieszyć się popularnością poza granicami Derridow. Wierz mi, Jiril chętniej rozstałby się z każdym ze swoich dzieci niż z tym chłopcem. A jednocześnie z pewnością nie pozwoliłby córce pozostać w Derridow, gdyby poślubiła nawet takiego mistrza kuchni jak Dek'hai. Współczułem jej. Wtedy byłem młodszy.

Doszliśmy do mego domku. Miałem nadzieję, że nie będę zmuszony zaprosić jej do środka, gdyż to by oznaczało, że muTI-agfezna historia komedianów Jirila g«

siałbym naprędce przygotować jakiś stosowny posiłek, a nie miałem na to ochoty, marzyłem jedynie o kieliszku ciemnego wina i drzemce, ostrożnie więc zapytałem, jaką przysługę mógłbym jej wyświadczyć. Ledwo skończyłem mówić, gdy Firial kurczowo chwyciła się tych słów i wciągnęła mnie do środka – nigdy nie zamykałem drzwi.

– Zaplanowaliśmy ucieczkę na dzień premiery. Ojciec nalega, abym przyszła do teatru wraz z resztą rodziny, ale przestanie na mnie zwracać uwagę, gdy sztuka się rozpocznie. Muszę powiadomić Dek'haia, gdzie mamy się spotkać... ale widzujemy się tak rzadko, a nie mam odwagi napisać, więc chciałam cię poprosić... – ściszyła głos bardzo efektownie i popatrzyła w bok.

– Bym dodał w sztuce jakąś przemowę, której znaczenie tylko on by zrozumiał – dokończyłem.

Firial podniosła głowę, oczy jej błyszczały.

– Dardisie, gdybyś tylko mógł! To nasza jedyna szansa, nigdy nie będziemy mieli następnej. Ojciec nas podejrzewa, wiem, i na pewno zechce nas na zawsze rozłączyć. Każe mi poślubić jakiegoś głupiego barona, chyba że nam pomożesz. Och, proszę, proszę, Dardisie!

Urodzona szantażystka, jak widzisz, podobnie jak jej bracia. Tylko sposób działania zupełnie inny. Przynajmniej miała tyle subtelności i delikatności, żeby nie płakać.

– Zrobię co będę mógł – powiedziałem znużony. – Bez wątpienia masz tę przemowę ze sobą?

Tak było rzeczywiście, kilka ledwo czytelných wersów naprędcie skreślonych na marginesach podręcznika etykiety. Zupelnie ich nie pamiętam, dzięki bogom choć za to – ale w miarę dobrze pasowały do sceny w ostatnim akcie, w której umierający syn króla Vilnanasha mówi najdroższemu przyjacielowi, gdzie chce być pochowany. Pewien młodzieniec z Fors o imieniu Brij – z pewnością najwolniej uczący się aktor, jakiego w życiu spotkałem – grał tego przyjaciela i ogarniało mnie przerażenie na samą myśl, że będę musiał go nauczyć kilku nowych wersów. Mimo wszystko powiedziałem Firial, że może na mnie liczyć, i odeszła tak rozanielona, że przyprawiłaby o mdłości nawet skalnego *targi*. Tego popołudnia wypilem więcej niż jeden kieliszek ciemnego wina i nie zdrzemnąłem się w ogóle.

Więc to wszyscy z wyjątkiem Davao, czyż nie tak? Pokazał się dzień albo dwa później, a na jego widok jak zwykle z trudem oparłem się rozczarowaniu. Muszę przyznać, że czasami wzbudzał we mnie litość, gdyż takiej pozycji, jaką miał w rodzinie, nie życzyłbym nawet niektórym znanym mi dyrektorom teatralnym. Wtargnął do mojej garderoby – bogowie, samo wypowiedzenie tego słowa „garderoba” przywodzi na myśl czas, świat i życie, jakie tam wiodłem, a przez tak wiele lat próbowałem o nim zapomnieć dla własnego dobra. Być może, trzeba jednak raz na jakiś czas wypowiedzieć to słowo – „garderoba”. Tak, miałem kiedyś swoją garderobę, całą dla siebie, i nie w wozie. Miała prawdziwe lustro i specjalną półkę na przybory do charakteryzacji.

Wracajmy do tematu. Davao zastał mnie przy ćwiczeniu różnych min do króla Vilnanasha. Szukałem czegoś bardziej wystylizowanego, w rodzaju tych pełnych kontrastów wyrazów twarzy, jakie aktorzy w zachodnich prowincjach nad wybrzeżem nadają królewskim postaciom w sztukach scenicznych. Właśnie miałem orzec, że poprzedni wyraz twarzy był najlepszy, kiedy do mojej garderoby z hukiem wpadł Davao, bez pukania. Cerę miał w oplakany m stanie – ciekaw jestem, czy do dzisiaj ma trądzik – a jego rzadkie żółtawe włosy wyglądały jak wilgotna od moczu słoma, na jakiej sypia teraz zwykle moja trupa. Był wściekły i to uczucie wydawało się wcale nie zastarzałe, zupełnie jakby nie pielęgnował tej wściekłości z oddaniem od dnia narodzin.

– Dardisie! – krzyknął, a moje imię zabrzmiało w jego ustach tak obraźliwie, że powinienem wyzwąć go na pojedynkę. – Dardisie, co ja słyszę! Czy to prawda, że trzej moi bracia przekradają się chyłkiem, żeby zobaczyć się z tobą? Czego chcieli, co? Co im obiecałeś?

Widzisz, próbował mówić jak Jiril, wszyscy próbowali mówić tak jak ojciec. Ale Davao nigdy się to nie udawało, biedny chłopiec... – nawet Firial o wiele lepiej naśladowała ojca niż on.

– Zupelnie nic, panie – powiedziałem. – Przyszli, żeby popatrzeć chwilę na przedstawienie i życzyć nam szczęścia. Nic więcej, zapewniam cię.

Zerknął na mnie podejrzliwie, ale wypadło mu to tak słabo, że zdołałem przyoblec twarz w wyraz życzliwej i skromnej niewinności. Coś takiego nie udałoby mi się z Torlegiem.

– Być może – wymamrotał Davao w końcu – ale ja chcę czegoś od ciebie i nie dam się zbyć. Rozumiesz, Dardisie? Nie dam się zbyć!

I co miało być jego udziałem w „Tragedii wyklętego króla Yilnanasha”? Nie wiesz, nawet nie wskazówka rzucona ze sceny: Davao zapragnął umieścić dokładnie jedno słowo – mianowicie imię Riath. Mozolnie mi wyjaśniał, że było to imię jakiegoś zameczzonego patrioty, który, jak się okazało, był dalekim przodkiem jednego z jego najlepszych przyjaciół. Traf chciał, że nasze pierwsze przedstawienie wypada akurat w przeddzień urodzin jego drogiego przyjaciela.

– ...Chcę, abyś umieścił imię jego przodka w tej przemowie, gdzie Vilnanash zaczyna mówić o wielkich i szlachetnych ludziach, którzy umarli za ojczyznę. To będzie jego prezent urodzinowy, spodoba mu się. Tego chcę. Zrób to.

Kto by uwierzył naiwnie, że Davao miał jakiegoś najdroższego przyjaciela? Ale jego prośbę nietrudno było spełnić. Lison-je, do której mówię w sztuce te słowa, natychmiast zwróciła uwagę na nowe imię, ale tylko uniosła wydepilowaną brew. Kiedy potem wyjaśniłem, wzruszyła ramionami.

– Dlaczego nie, dlaczego nie, u licha, czy możemy mieć jeszcze więcej kłopotów? Chcę ci tylko przypomnieć, Dardisie, że te delikatne ręczniki do zmywania charakteryzacji są moje. Kiedy przyjdą po nas siepacze i będziemy mieli dziesięć minut, żeby się spakować i wynieść, pamiętaj o tym.

Lisonje pod niektórymi względami pasowałaby do rodziny Jirila.

I tak oto doszliśmy do części kulminacyjnej, jeżeli jeszcze słuchasz i nie usnałeś z tak uprzejmie otwartymi oczyma. Pięć wstawek, każda sama w sobie tak naprawdę nieszkodliwa – jedna czy dwie może nie do końca pasowały, ale w sumie nie było to nic zenującego... jednak każda stanowiła sygnał dla kogoś i spiskowcy mieli zostać zaalarmowani przez nas. Jeżeli nadal podchodziłem do tego zbyt lekko, zgodnie z tym, co twierdzi Lisonje – a tak, tak, tak, teraz już przyznaję, że tak było – ale we własnej obronie powiem, że miałem rolę, którą musiałem opanować, olbrzymi zespół, którym kierowałem – do tego musiałem zatrudnić muzyków, przymilać się specjalistom Jirila od oświetlenia, aby poszczególne sceny miały mieć taki nastrój, o jaki prosiłem. Ubożuchna wymówka, bez wątpienia, ale najlepsza, na jaką może sobie pozwolić ubożuchny artysta.

Wróćmy do tematu. W końcu nadszedł wieczór premiery. Przez cały dzień byłem okropnie zdenerwowany, jak zwykle przed spektaklem – podobnie jak ty, jestem tego pewien. To po prostu kwestia przewidywań, nad tym zwykły aktor się nie zastanawia – tak wiele może się nie udać, takie potężne wraz z przerażającymi konsekwencjami może być naciągające nieszczęście... Nususir pozostała spokojna, jak zwykle człowiek pozbawiony wyobraźni; Trygvalin był jak koń, który gdzieś blisko wyczuł pożar, a Lisonje... Lisonje była opanowana, ale bynajmniej nie spokojna. Cały dzień pakowała swoje rekwizyty, kostiumy i przybory do charakteryzacji, przygotowując się do nagłego wyjazdu; a za każdym razem, kiedy jej mówiłem, że traci tylko czas, pogardliwie wywracała oczyma, nie siląc się nawet na odpowiedź. Ktoś ją kiedyś uduśi, jeżeli nadal będzie robić takie miny. Mogę poczekać, chętnie to zobaczę.

Pozostali członkowie trupy zachowywali się jak zawsze przed występem: wymiotowali, pocili się, trzęśli, grali w karty, chwile przeraźliwego śmiechu przeplatały się z jakimś historycznym milczeniem, którego nigdzie poza teatrem nie można spotkać. Chachak, kłown, cały dzień pił, rozmyślnie – jestem tego pewien – doprowadzając się do stanu, w którym nie mógł ustać na nogach, a co dopiero mówić o tańczeniu czy śpiewaniu. Nie mieliśmy drugiego kłowna, więc byłem

zmuszony do rozdzielenia jego tekstu pomiędzy kilku innych aktorów i całkowitego usunięcia piosenek i płaśów. Jeżeli chodzi akurat o to przedstawienie, żadna strata, ale kłopotliwe dla obsady, która już i tak była wystarczająco zdenerwowana. Sam zajmowałem się, jak zwykle w takich chwilach, najbardziej pospolitymi sprawami – upewniałem się, czy kostiumy będą zmieniane na czas, czy grajkowie na galerii znają wszystkie sygnały do rozpoczęcia gry kolejnych partii muzycznych, czy nowe pochodnie zostały włożone w odpowiednie uchwyty, a maszyny do wytwarzania dymu, grzmotów i błyskawic są tam, gdzie być powinny. Lisonje przed przedstawieniem żartuje z przestraszonymi aktorami, dogadując im i pocieszając. A ja robię właśnie to.

Od czasu do czasu ten czy inny adept sztuki teatralnej ukradkiem wchodzi przed spektaklem na scenę, żeby zdekorażki zerknąć na widzów, co zawsze jest błędem. Za każdym razem są kompletnie oszołomieni i przerażeni zgiełkiem, jaki robi siedemset osób, gdy wchodzi do teatru, kłóci się o miejsca, woła znajomych, krzyczy do sprzedawców owoców, słodyczy i piwa, a ci z kolei zachwalają swój towar, dopóki nie uniesie się nasza licha kurtyna. Znam ten hałas od tak dawna, że trudno mi uwierzyć, jak bardzo był przerażający wtedy, gdy wszyscy, czego byłem pewien, wyli żądając mojej krwi. Ale pamiętam te chwile, tak, wciąż pamiętam.

Jiril i jego najbliższe otoczenie przyjechali dokładnie tak późno, jak powinni, i ani chwili później, zajęli miejsca, podczas gdy poddani wiwatowali na ich cześć dokładnie tak głośno, jak tego od nich oczekiwano. Cztery synowie władcy weszli po kolei, każdy uklonił się z lekka grupie prostaczków noszących jego dobrze znane barwy – Jiril udawał, że tego nie zauważa – a Fi-rial wlekła się z tyłu, oczy obowiązkowo spuszczone, nic w jej zachowaniu nie wskazywało na to, że jeszcze tego wieczoru ma zamiar uciec z kucharzem ojca. Rzeczonego kucharza, Dak'haia, widziałem na galerii przeznaczonej dla służby – przystojny chłopak, szczupły jak na kucharza. Ustawicznie wychylał się przez balustradę, żeby wypatrzeć ukochaną w dole i ani na chwilę nie odrywał od niej oczu. Pomyślałem... ach, wiesz, wiesz.

Odczekałem, aż wszyscy ludzie Jirila usiądą, i wtedy wyszedłem jako Chorus (aktor grający króla Vilnanasha zawsze jest też Chorusem, choć nic w sztuce do tego nie zmusza. Nie wiem, kto ten zwyczaj zapoczątkował). Przywitałem publiczność i zapewniłem ją, iż może oczekiwać niezwyklej przyjemności:

...opowieść nieszczęściu ponad wszelką miarę, o zniweczonej dumie, ambicjach, potędze, o końcu wielkiego domu jako w księdze dowiecie się siedząc tutaj. Poświęćcie zatem chwilę małą, aby zobaczyć oto rzecz całą.

Jak już mówiłem, nie przepadam za prologami i chórami, szczególnie gdy sam muszę w nich występować. A pierwszy akt, który ukazuje króla u szczytu władzy, jest jedynym w całej sztuce naprawdę udanym – jako akt oczywiście, a nie jako dobór luźno powiązanych scen. Właśnie dochodziliśmy do jego końca. Lisonje przez cały czas próbowała okraść mnie z każdej sceny, w jakiej razem występujemy. Uśmiechami, uboczną intonacją, gestami, zmieniającym się rytmem przemowy – wszystko, nawet dekoracje wykorzystywała w swym bezwstydnym uwodzeniu publiczności. A ja nie tylko pozwalałem, ale jej jeszcze w tym pomogłem – grałem w jej tle od samego początku, jak gdyby cała sztuka była o królowej Nourze, a nie jej wyklętym, godnym litości małżonku. Następnego wieczoru byłbym nawet gotów nastąpić jej na suknię, aby tylko powstrzymać od dominowania nade mną na scenie...

...ale wtedy myślałem, że do następnego wieczoru najgorsze będziemy już mieli za sobą i możliwe, że w ogóle nic się nie zmieni. Może żaden ze stronników synów Jirila nie okaże się gotowy na rozpoczęcie rewolucji; może staruszek już ich przekupił, tak jak kiedyś w podobny sposób zjednał kapłanów pewnej inwazyjnej barbarzyńskiej armii, wskutek czego przepowiedzieli swoim władcem całkowitą klęskę, jeżeli nie zaniechają ataku. Ale najbardziej liczyłem, jak zawsze, na ludzką bierność; na to, iż najczęściej w każdej sytuacji tak naprawdę pomiędzy ludźmi nic wielkiego się nie dzieje. Jesteś człowiekiem doświadczonym, znasz życie. Czy powiesz, że się mylę?

Tak, masz rację, no cóż, wtedy się myliłem. Dobre założenia, ale fatalne wnioski, stara historia. Oracja, w której Davao zapragnął umieścić imię Riatha, występuje w pierwszym akcie, i gdy tylko je wymówiłem, przenikliwy dźwięk, jak gdyby słabe wiwatowanie, dał się słyszeć z różnych miejsc na sali. Na początku zeszytniałem, ale potem musiałem z sobą walczyć, aby nie wybuchnąć śmiechem. Jeżeli ta garstka stanowiła całą kohortę Davao, Jiril powinien bardziej się obawiać kolki i zarazy kopyt u swych koni. To tyle, jeżeli chodzi o tamtych buntowników.

I to tyle, jeżeli chodzi o akt pierwszy, przeszliśmy do drugiego z widmem klęski zarysowującym się nad królem Vilnana-shem. Już wywarliśmy wrażenie na widzach (tych oczywiście, którzy przyszli, żeby zobaczyć sztukę) i nawet mnie wciągnął ten dumny, z góry skazany na zatracenie głupiec – wiesz, jak oddziałuje magia teatru – do tego stopnia, że zupełnie zapomniałem o trzech wersach, jakie Torleg dopisał czarodziejce. Kiedy Nususir je wypowiedziała, w najbardziej proroczym stylu, na jaki się potrafiła zdobyć, chciwy ryk podniósł się w całym teatrze. Tak bardzo się różnił – jeżeli chodzi o rodzaj, a nie jedynie o natężenie – od pomruku bandy Davao, jak skomlenie szczeniaka domagającego się mleka różni się od wycia głodnego skalnego *targi*. Nususir zupełnie zapomniała, co ma mówić dalej, i sufler musiał jej odpowiedzieć następną kwestię. Ja nie straciłem głowy – mnie się to nigdy nie przytrafia, ale dalszy ciąg sztuki o biednym Vilnanashu przepadł. Od tego czasu była już tylko sucha recytacja, puste gesty i żegnanie się za kulisami; aktorzy grali nie spuszczać oka z widowni, czekając na jej reakcję jak na następną wskazówkę w tekście. Było to chyba jedno z moich najgorszych przedstawień.

Nigdy już całkiem się nie uciszyli – ani ludzie Torlega, gdy już raz przyznali się do swego przywódcy, ani stronnicy Davao, chociaż nie zawsze było ich słyszeć. A w akcie trzecim, gdy Trygva-lin wykrzyczał swój sprzeciw ojcu w płomiennej tyradzie Jave-riego – wtedy włączyła się nowa frakcja, tupiąc i wykrzykując swoje poparcie tak, że aż zaczęły drżeć ściany naszej starej garbarni. Potem już nastąpił zupełny chaos, ze sporadycznymi przerwami zwykłej przawy. Na scenie z trudem słyszeliśmy się nawzajem, w ogóle było to możliwe tylko dlatego, że nie próbowaliśmy przekrzywić zgiełku, lecz mówiliśmy poniżej jego natężenia. A i wtedy zdarzało się dosyć często, że nawet najbardziej doświadczeni z nas – nie mówiąc już o zupełnie przerażonych adeptach i wynajętych aktorach – mogli tylko ruchem warg markować wypowiedzi, jeżeli ich nie zapomnieli z przerażenia, poruszać się tak, jak to wcześniej zostało przećwiczone, od wejścia na scenę do wyjścia, nie zderzając się w międzyczasie, i błagać bogów, żebyśmy się zupełnie nie pogubili. A zwróć uwagę, że nie doszliśmy nawet do połowy.

Za kulisami tumult był niewiele mniejszy. Zredukowałem przerwy pomiędzy trzecim, czwartym i piątym aktem prawie całkowicie, ponieważ widownia wyla i z pewnością każdego z nas szybko doprowadziłaby do szału. Jeżeli Lisonje zbiegła usta, zaczęła zderzać się z innymi i gubiła rekwizyty, możesz sobie wyobrazić, jak zachowywała się reszta. Wolałem, aby nie mieli czasu na strach, aby wzięli się w garść; nie chciałem też zostawiać czasu buntownikom na ocenę własnych sił i delektowanie się nimi. Jeden raz ukradkiem zerknąłem na widownię i zobaczyłem Jirila siedzącego spokojnie na swoim wspaniałym krześle, rozglądającego się z zainteresowaniem dookoła, podczas gdy stronnicy jego synów intonowali okrzyki bojowe, każda strona wyśmiewając i strasząc pozostałe. Sami synowie nie śmieli jeszcze ruszyć się pod okiem ojca, ani jeden. Jego żona wyglądała na tak zirytowaną, jak gdyby Firial znowu ją czymś rozczarował; a co do tej ostatniej, to ledwo podniosła oczy znad wykwintej robótki. Nawet podczas ostatniego aktu, gdy umierający Sakha wyszeptał słowa, które jej ukochanemu (jeżeli je usłyszał – gdyż Trygvalin nie zdołał) objaśniłyby miejsce spotkania, wydawała się nie zwracać na nic uwagi z wyjątkiem paciorków, które naszywała na elegancki kołnierzyk. Bogowie, czasami zastanawiam się, dlaczego w ogóle zatrudniam jeszcze mężczyzn w swoim zespole. Mężczyźni uważają, że gra artysty to udawanie; nigdy ich tego nie odczujesz, nawet najlepszych. Kobiety wiedzą, że życie jest teatrem, a teatr życiem.

Fragment Gola był ostatni, mowa, w której król Vilnanash abdykuje. Zdołałem ją wprowadzić tuż przed jego długim odkładaniem samobójstwem. Zdumiewające, ale na tę jedną chwilę widownia nieco się uciszyła, a ja mogłem wypowiedzieć całą kwestię, podejmując próbę jej interpretacji, uchwycenia niuansów. Wyobraź sobie, że naprawdę słuchali; było tak cicho, że dobiegł mnie zza kurtyny natarczywy szept Lisonje:

– Dardisie, umieraj jak najbliżej kulis! Wyciągnę cię i ucieknijmy. Padaj w pobliżu kulis!

To było miłe, ale czyż wyklęty król Vilnanash mógł umrzeć z lewej strony sceny? Niemożliwe, zupełnie niemożliwe, nawet w tak niezwykłych okolicznościach. Moi ministrowie zgromadzili się tuż poza proscenium, pochlipywali i jęczeli, próbując przedstawić żal ludzi oddanych, a ja wypowiedziałem ostatni dwuwiersz (zawierający sens moralny, nie drażnij bogów, nawet nieświadomie), zbliżyłem swój ozdobiony klejnotami sztylet ze składanym ostrzem, uderzyłem się nim śmiertelnie i umarłem w centralnym punkcie sceny, padając na proscenium – tak jak powinienem, do cholery! A widownia oszalała.

Gdybym chciał uwierzyć – prywatnie, tylko prywatnie, na własny użytek – że jakaś odrobina tego obłąkanego ryku i wiwatowania była wyrazem uznania dla mojego występu... więc dobrze, dobrze, i cóż z tego? Nikogo nie krzywdzę, siebie zadawałam, a temu opowiadaniu nie wyrządzam żadnej szkody. Zgoda, gros tych wrzasków składało się z wojennych okrzyków i nawoływań do zemsty, jako że połowa widzów natarła na drugą połowę – nie, nie były to połowy, raczej trzecie i czwarte części, i ósme. Morderczo ruszyły na siebie, z wszelką bronią, jaką spiskowcy zdołali przemycić pod płaszczykami. Były to głównie pałki, ale widziałem i sztylety, i widły do siana, i rzeźnicze topory także. Dasz temu wiarę? Każdy miał coś przy sobie, że się tak wyrażę.

Oczywiście ukłon nie wchodził w rachubę. Skoczyłem na równe nogi i wrzasnąłem: „Kapiele borowinowe dookoła!”, co w dalszym ciągu jest naszym hasłem do odwrotu. Dla reszty mojej trupy te zamieszki musiały się wydawać zupełnie nie planowanym atakiem spowodowanym napadem jakiejś dzikiej radości – ale Lisonje i ja wiedzieliśmy, jak było naprawdę. A już na pewno nie byłem na tyle nierozsądny, żeby ociągać się z opuszczeniem sceny, ale pomimo to zobaczyłem, jak niedobitki cher-lawej zgrai Davao zostały zaatakowane i przewracane kopniakami, głównie przez widzów kierujących się do wyjścia, podczas gdy bandy jego braci pędziły razem, prawie pod moim nosem, wyrzaskując plugawe hasła, roztrzaskując krzesła nawzajem sobie na głowach, trając w panice niewinnych. Ogólnie biorąc, widzowie w szale próbowali na wszystkie sposoby obrócić nasz biedny teatr w perzynę. Nad tą wrzawą słyszałem głosy Gola i Javeriego, jak ryczeli wściekle, aby ich poplecznicy przestali mordować się nawzajem i skoncentrowali uwagę na świetle Jirila. Równie dobrze mogliby błagać statystów, aby samowolnie nie przedłużali swoich ról dumnym stąpieniem, podskokami i wprowadzaniem innych elementów. Znam to uczucie.

Tylko partia Torlega była nadzwyczaj karna. Spodziewałem się tego; a jednak widok zbirów, którzy działali w tym chaosie z wręcz beznamiętną brutalnością, po prostu mroził krew w żyłach. Ani na chwilę nie stracili z oczu celu – było nim odizolowanie Jirila – i osiągnęli go łatwo, gdyż staruszek najwyraźniej nie zamierzał stawiać oporu. Prawie się nie poruszył, odkąd zaczęły się rozruchy, obserwując spokojnie spod podpuchniętych powiek, jak ludzie Torlega, miarowo tłukąc wszystkich dookoła, zbliżają się do niego. Jirelle była nie na żarty wytracona z równowagi zachowaniem synów, o czym pozwoliła sobie zakomunikować ponad tym całym zgiełkiem; a Firial, lekceważona jak zawsze, nadal poświęcała uwagę tylko robótkę. Myślałem, że przerażenie ją powstrzyma na miejscu i dlatego nie korzysta z tej wrzawy, żeby uciec z Dek'hai; ale wtedy podniosła wzrok, zobaczyła mnie ponad kłębówiskiem rozwalonych ciał i pogruchotanych wózków ze słodyczami... i mrugnęła. Nawet w obliczu śmierci gotów będę przysiąc, że mrugnęła.

Lisonje ciągnęła mnie już za ramię, próbując wywlec ze sceny, jak zwykle gdy myślała, że mam zamiar wygłosić jakąś chaotyczną przemowę po zakończeniu przedstawienia. Oddałem się w jej ręce, wzruszony okazaną mi troską, uświadamiając sobie i to, że ostatecznie mogła skorzystać z okazji i uciec z rękami do zmywania charakteryzacji, o których mówiła, gdy Torleg wrzaskliwym głosem wydał rozkaz i jego stronnicy nagle się zatrzymali, otoczywszy Jirila i jego frakcję. Torleg z uśmiechem na twarzy wysunął się do przodu. Powiedział:

– Cóż, ojciec...

– Cóż, chłopcze... – odparł Jiril. Czy już wspominałem, że jego głos miał w sobie jakiś dobitny chropowaty świst i nosowy akcent z gór? Tym bardziej akcent ten był wyrazisty na tle powszechnego prostactwa. – Napracowałeś się, dzieci. Rezultat jest niezły.

– I Pochwała z ust takiego ojca to prawdziwa pochwała. – Sens słów Torlega w znacznym stopniu przytłumiło brzmiące w jego głosie samozadowolenie. Można oszaleć, próbując pozbyć się tego dźwięku z kwestii wypowiedzianych przez bardzo wychwalanych aktorów. Potem Torleg rozłożył ręce i powiedział: – Mam nadzieję, że nie odbierzesz tego jako krytyki pod swoim adresem, ojciec. Po prostu moi przyjaciele i ja uważamy, że nadszedł czas, abyście oboje z matką zaczęli bardziej cieszyć się sobą. Korzystać z życia.

– Ja dotąd korzystam z życia wystarczająco. – Jiril był gbu-rowaty i niewzruszony jak zawsze. – Lecz najwyraźniej już wkrótce moi synowie zechcą skorzystać z mego więzienia. Mogłbym was wszystkich zamknąć w tej samej celi i przyjmować zakłady, który z was przetrwa pierwszą noc. Sam stawiałbym na ciebie, chłopcze.

Torleg roześmiał mu się w twarz i potrząsnął głową.

– Nie będziesz miał okazji, szanowny ojczu. Owszem, moi kochani bracia, tak, całkiem możliwe, że trafią do lochów, ale moi rodzice – i oczywiście słodka Firial – będą mieli zapewnione bezpieczeństwo i przewóz pierwszej klasy aż do Leishai, a tam przesiadą się na statek płynący na wyspę Lang-y-fydyss, gdzie spędzą jesień swego życia, rozkoszując się spokojem i pięknem przyrody. Solennie obiecuję odwiedzać was raz w roku. Co najmniej.

Ci, którzy mogli uciec, zrobili to już na długo przed tym, jak w naszym zniszczonym teatrze – z krzeseł zostały pochłapane krwią drzazgi, chodniki porwano, kotary wisiały w strzępach, pochodnie podeptano; nietknięta była, jak na ironię, scena – pozostały tylko nieliczne grupki zmaltretowanych powstańców, otoczone przez ludzi Torlega. Gol, Javeri i Davao, ranni, byli już w kajdanach. Lisonje przestała mnie ciągnąć za kulisy i stała w takim samym stopniu zdumiona wynikiem przedstawienia co ja. Nie, prawdopodobnie nie całkiem zahipnotyzowana – niechętnie przyznaję, że to ona bolesnym kuksańcem zmusiła mnie do zwrócenia uwagi na ludzi nie noszących niczyich barw i wyglądających na otumanioną grupę porządkową. Istotnie, kilku z nich niosło wiadra i miotły, o ile sobie przypominam. Możliwe, że Torleg rozpoznałby w nich legendarnych bezimiennych Jirila – mówi się, że mieli dewizę „Nigdy nie widziani, zawsze w pobliżu” – ale był zbyt zajęty, próbując zadziwić ojca swoją inteli-, icją. Tak, to uczucie znam również.

Wciąż jeszcze triumfował i kpił z pokonanych, ale jawna obojętność Jirila ostatecznie sprowokowała go do oświadczenia:

– Naprawdę cały ten plan, pominawszy nieznaczące modyfikacje, jest planem twojej własnej insurekcji, jaką prowadziłeś przed laty. Trochę się obawiałem, że mogłeś dostrzec podobieństwo.

– Insurekcja? – powiedział chrapliwym głosem Jiril. – Jaka, do cholery, insurekcja? Zostałem obwołany władcą zgodnie z prawem, pierwszego dnia, gdy postawiłem stopę w tym mieście, o czym ty i twoi bracia wiecie doskonale. I wciąż jestem tu panem, chłopcze, o czym sam wkrótce się przekonasz.

Było w jego głosie coś, po czym zorientowałbym się, nawet gdybym nie widział wchodzących bezimiennych, że to nie błaga, nie udawanie; ale Torleg nie miał w tych sprawach mego doświadczenia. Sądzę, że na tym właśnie polega różnica pomiędzy aktorem pracującym na dniówki a utalentowanym amatorem.

Torleg nie przestawał się pysznić i mleć językiem – wygłaszał tyradę „czasami mężczyzna musi odłożyć na bok względy rodzinne i działać dla dobra ogółu” – aż tu nagle dwóch z tych zwyczajnie wyglądających ludzi wykreśliło mu do tyłu ręce, a trzeci przyłożył sztylet, bardzo delikatnie, tuż pod lewym uchem. Nie mam pojęcia, co zrobili z wiadrami.

– Nie przerywaj, synu – powiedział Jiril. – Słucham cię bardzo uważnie.

Torleg nie stracił panowania nad sobą. Spojrzał na trzech otaczających go mężczyzn, zaśmiał się jakimś innym niż zazwyczaj śmiechem i rzekł:

– Mógłbym przysiąc, że byliście po naszej stronie.

– Wzięliśmy twoje pieniądze, panie – oświadczył uroczyście człowiek ze sztyletem. – Przez grzeczność.

– Aha – bąknął Torleg. – No cóż. Czy pozwolicie mi na wyrażenie ojców słów uznania? – Ludzie, którzy trzymali go za ręce, rozluźnili uścisk, a on z wdziękiem skłonił się władcy. – Zegnaj teraz, panie. Nigdy cię nie doceniliśmy, prawda?

– Za każdym razem – mruknął Jiril. – Do widzenia. Torleg skinął głową matce i siostrze, gdy wyprowadzali go bezimienni. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że jego buntownicy – triumfujący jeszcze przed chwilą, teraz oszołomieni i potulni, byli popędzani... dokąd? Któż to wie.

– Jak długo tym razem będziesz ich trzymał w więzieniu? – zapytała Jirelle tonem pełnym znużenia.

– I Rok – odparł Jiril. – Rok, na odbytnice naszych bogów, tym razem cały rok. – Wtedy dostrzegł Lisonje i mnie i zawołał: – Dardisie, przepraszam za zniszczenia! Zostaną naprawione.

– Nigdy nie wątpiliśmy w to, panie – bystro odparła Lisonje, jak gdyby nie miała już spakowanych bagaży i nie planowała ucieczki przez kulisy.

Jiril odwrócił się nagle i warknął na Firial:

– Dziewczyno, czy potrafisz cokolwiek zrobić oprócz tych cholernych wyszywanek? Twoi czterej bracia właśnie chcieli mnie obalić i zostali za to uwięzieni, a ty siedzisz z oczyma wlepionymi w te idiotyczne paciorki i nie mówisz ani słowa, nawet nie podniesiesz wzroku, gdy Torleg mówi, że zsyła nas na wygnanie. Nie dość, żeś tak mało urodziwa, to jeszcze jesteś głupia... – Powiedział jej więcej, ale dajmy już spokój. Jiril czasami złościł się w przykry sposób.

Wtedy Firial rzeczywiście podniosła wzrok. Nie wiem, co Jiril wyczytał w jej ładnych brązowych oczach, lecz zamknęło mu to usta od razu. Odłożyła robótkę i powstała.

– Ach, Barduinie, pozwól mi to zrobić! – szepnęła Lisonje u mego boku. – Pozwól mi zamienić się z nią miejscami tylko na dwie minuty, tylko na dwie minuty!

Uważa się powszechnie, że Barduin jest naszym bogiem, bóstwem opiekuńczym wszystkich aktorów, ale muszę przyznać, że nigdy nie odniosłem z jego opieki żadnego pożytku... może miałeś więcej szczęścia, tak? Jak zwykle nie zwrócił na Lisonje uwagi: była zmuszona do obejrzenia jeszcze jednej amatorskiej sztuki od sceny, którą chciałyby zagrać sama, bo wiedziała, że zrobiłaby to dużo lepiej. Współczułem jej, muszę to przyznać. Ale wtedy Firial przemówiła i wszystko się zmieniło.

– Wystarczy, ojczu – powiedziała.

Zdziwiony Jiril drgnął – podobnie jak my; oczywiście powodem były nie same słowa, ale sposób, w jaki wygłosiła swoją kwestię. Intonacja i odstępy w czasie, wszystko było bez zarzutu. Lisonje nie mogłaby zrobić tego lepiej, a spojrzenie kątem oka upewniło mnie, że w jednej chwili to zrozumiała. Firial robiła stosowne przerwy, dodała właściwy obrót ramion, a potem bezwzględnie doskonale nieznaczący uśmiech, gdy z nienaganną dykcją mówiła:

– Mój mąż będzie bardzo zirytowany, gdy się dowie, że mówisz do mnie w ten sposób.

Cóż, może była wtedy w teatrze jakaś szczerka, która nie opadła, ale śmiem wątpić. Z pewnością nigdy nie widziałem Lisonje tak zdumionej, ani wcześniej, ani potem. Twarz Jirila zmieniała odcienie wielokrotnie, gdy mówiąc w podnieceniu pryskał śliną niczym rozklekotana pompa. Jego żona zerwała się z krzesła.

– Zuchwała dziewczyno, nie wierzę, jak mogłaś!? – krzyknęła i z powrotem usiadła. Wtedy dał się słyszeć ciężki świszczący oddech wśród świty Jirila i pamiętam pewną wystrojoną babinę, która musiała być boną Firial, gdyż próbowała nakłonić ją do ponownego zajęcia się robotką. Firial odsunęła ją stanowczo.

– Dek'hai, mój mężu i panie, jestem tutaj! – zawołała. Rzadko kiedy słyszałem taką pogodę, jaka była w jej głosie, i nigdy takiego triumfu.

Nigdy też w życiu nie widziałem takiego zdziwienia, jakie odbiło się w każdym mięśniu twarzy Jirila, która przybrała barwę mgły z przylądka Dylee – przez co malowana broda wyglądała jak przyprawiona – kiedy zobaczył swoich ludzi, nieprze-kupnych, całkowicie lojalnych bezimiennych, witających jego kucharza jak swego pana. Ponieważ był to rzeczywiście młody Dek'hai, który powolnym krokiem szedł teraz w ich stronę, najbardziej nonszalancki, najmniej pretenjonalny zdobywca, jakiegokolwiek widziałeś, spokojnie pozdrawiając po imieniu zdrajców Jirila i kłaniając się z wielkim szacunkiem Jirilowi i jego żonie, zanim uściskał Firial.

– Proszę o wybaczenie i błogosławieństwo, drodzy rodzice – powiedział, opanowany tak jak wcześniej Torleg. – Sądzę, że mam słuszne prawo zarówno do jednego, jak i drugiego.

– Masz prawo do tego, aby dzieci na ulicy kopały twoją głowę niczym piłkę! – ryknął na niego Jiril. – Zabieraj swoje brudne ręce od mojej córki albo każę ci je poobcinać twoim własnym rzeźnickim nożem – tak, a razem z palcami kilka innych części ciała, ty przemądrzały parobku! Ty robaku z pomywalni, odmówiłem przyjęcia za ciebie sześciu koni... sześciu koni i rozplodowej pary *shukris* do polowań, a ty mi to robisz! Gwałcisz mi córkę, bałamucisz moją straż – na jaja bogów, czy jest na tym świecie coś, czego byś nie...!?

Firial wkroczyła pomiędzy nich i uderzyła Jirila w wilgotne usta. Zrobiłaby to znowu, ale zatrzymał ją Dek'hai, chwytając delikatnie za nadgarstki.

– Najukochańsze serce, najdroższa – uspokajał ją – nikt nie podniesie ręki na mojego teścia, nie pozwolę na to. Obiecuję ci, że z czasem zdobędę jego szacunek i miłość. W rzeczywistości zupełnie tak nie myśli, tylko teraz mówi w gniewie. Czy ty i matka zechcecie uprzejmie zabrać go do domu? My trochę tu posprzątamy.

I tak ją udobruchał, ją i Jirelle. Rzeczywiście wzięty Jirila pod ramiona – tak jak ci ludzie, co zaaresztowali Torlega – i odprowadziły go ostrożnie, w sposób, w jaki się przesuwa ciężką szafę, stawiając ją najpierw na tę nogę, potem na tamtą. Staruszek był w takim szoku, że prawie zdołały wyprowadzić go z teatru, ale w końcu wyrwał się im i podszedł do Dek'haia. Wzrok miał nieprzytomny z wściekłości, a w rękę trzymał mały ceremonialny sztylet.

Ludzie szybko ruszyli ku niemu ze wszystkich stron, lecz Dek'hai ruchem ręki kazał im się cofnąć i czekał, a oczy miał niezwykle przyjazne. Jiril zatrzymał się przed nim, rzucał spojrzenia pełne wściekłości niczym schwytyany w potrzask *shukri*.

– Co im zaoferowałeś? – spytał. – Moi synowie i wielu innych zdrajców próbowało przekupić bezimiennych. Nigdy, przynigdy im się to nie udało. Co im dałeś? Co zrobiłeś?

Upuścił sztylet i osunął się z płaczem do stóp Dek'haia, a młody kucharz pochylił się, aby go podnieść.

– Niczego im nie dałem, panie. Jak słusznie mówisz, za nic na świecie nie zdoła się kupić wierności takich ludzi. – Och, był dobry w tej roli, o tak! Gdybym mógł go uczyć, po roku, nawet po sześciu miesiącach grałby czarnoksiężnika Khyra albo nawet lorda Crociusa w „Tragedii kawalerzysty”. – Bezimiennym zasmakowała moja kuchnia – ciągnął dalej. – Kiedy tylko mogłem, zostawiałem dla nich resztki potraw z twojego stołu. Wkrótce stwierdzili, że chętnie jadaliby tak na co dzień. Doszliśmy do porozumienia.

Jiril wytrzeszczył oczy zdumiony.

– Obiad! Zdradzili mnie w zamian za obiad! – Upuścił sztylet na podłogę. – Przecież dawałem im jeść – wyszeptał. – Nie głodowali.

Po raz pierwszy Dek'hai wyglądał na trochę zarozumiałego, na odrobinę zbyt zadowolonego z siebie, jak na mój gust.

– Cóż, panie... ojczu, jest jedzenie i jedzenie, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli – rzekł z wielką skromnością.

Jiril po raz ostatni rzucił mu rozpaczliwe spojrzenie, odwrócił się w milczeniu i oddał z powrotem w ręce zdobywców. O ile dobrze pamiętam, zmarł mniej więcej w tym czasie, kiedy Dek'hai został nowym panem Derridow. Wdowa Jirelle spędziła dni, które jej pozostały, a było ich wiele, jako honorowy, ignorowany gość córki, zięcia i wnuków, a czterech jej synów zostało zesłanych na cztery różne wyspy. Żaden, o ile mi wiadomo, nigdy nie wrócił do Derridow. Oto cały epilog, sama zwyczajność życia i zrobiło się strasznie późno, za co przepraszam. Ty i twoi ludzie możecie się wyspać – gdy jutro zasiądziecie do śniadania, my będziemy daleko za Lis, gdyż jutro wieczorem mamy zagrać w Goliak. Dziadowskie miasto to Goliak. Bardzo dziękuję, że zechciałeś wysłuchać gadania starego kolegi.

Co? Och, oczywiście, jak się później okazało, wzięli ślub u jakiegoś prostego duchownego, zanim jeszcze Firial mnie odwiedziła. A co do naszego wyjazdu z Derridow na zawsze – no cóż, Lisonje tak naprawdę nigdy się nie rozpakowała, pomimo całej przyjaźni Dek'haia i miała rację. Możliwe, że mnie któregoś dnia zdręczy, gdy znowu mi zacznie o tym przypominać. Albo-’ wiem niedługo po objęciu urzędu Dek'hai wezwał nas do wielkiej sali, wraz z Trygvalinem, Nususir i jednym czy dwoma innymi aktorami. Jeszcze teraz potrafię powtórzyć dokładnie jego słowa i jestem pewien, że pozostali też.

– Darzę was wszystkich podziwem – rzekł – z tym większym żalem oznajmiam, że do jutra, do zachodu słońca musicie stąd odjechać bezpowrotnie. – Wciąż jeszcze był skromny i sympatyczny, ale już trochę przytył i zaczął zdradzać zamiłowanie do mundurów. Składając koniuszki palców razem, ciągnął: – Szczerze mówiąc, wiecie trochę za dużo o tym, jak doszedłem do swego stanowiska. W moim otoczeniu są i tacy, którzy woleliby, aby żadne z was nigdy nie opuściło tej sali.

Wtedy przypuszczałem, że mówi o którymś ministrze albo o bezimiennych, ale dziś się zastanawiam, czy nie miał na myśli Firial. Jak sądzisz? W tej cichej dziewczynie o okrągłej, łagodnej twarzy kryły się ogromne ambicje.

– Ja sam nie widzę takiej potrzeby – mówił dalej Dek'hai. – Cóż gałganiarska zgraja aktorów może wyrządzić złego panu na Derridow? Dlatego możecie odejść wolno i jeżeli będzie to dla was pewnym pocieszeniem, od dziś scena w garbarni pozostanie pusta. Mam powody sądzić, że nawet najbardziej domowy teatr odpowiednio pokierowany może wywołać rozruchy. Bądźcie tak uprzejmi i przekażcie każdej trupie, jaką napotkacie, że Derridow nie przyjmuje już aktorów. Jednak

możecie być pewni... – przypatrywał się nam wszystkim bardzo uważnie, ale te śmiejące się oczy najdłużej zatrzymały się na mnie – ...że moja żona i ja będziemy was wspominać z czułością i niekłamaną wdzięcznością. Żegnajcie.

No i masz, oto jak straciliśmy nasz piękny teatr. Następnego dnia wyruszyliśmy w drogę i tak to trwa do dziś, już ponad dwadzieścia lat. Dek'hai nadal jest panem Derridow – i słyszę, że rządzi w miarę dobrze, zakazał najsurowszych sankcji dyscyplinarnych, aresztu, banicji, ludzie przestali znikać w nie wyjaśnionych okolicznościach – ale dzisiaj nie przekracza jego granicy nawet zongler czy linoskoczek, choć mówi się, że lud wcale za nimi nie tęskni. Bo od czegoż jest teatr? Żeby ludzie odkryli, co myślą, co czują... Wiesz, Dek'hai miał całkowitą rację.

Czasem zastanawiam się, czy pamiętają nas w Derridow, kiedy mijają tamtą podwójnie opuszczoną garbarnię na brzegu To-melly. Daliśmy im parę świetnych przedstawień w dawnych czasach. W każdym razie życzę ci dobrej nocy i powodzenia w sezonie tu, w Starej Baszcie – zawsze pełnej widowni, trzeźwych reżyserów, pilnych adeptów, którzy gdy muszą, potrafią powiedzieć swoje kwestie, gwiazd, które przynajmniej potrafią zapamiętać swój tekst, nie najgorszych kłownów i błogosławieństwa boskiego Barduinna nad wszystkim. Ale co ono warte... Żaden z bogów nie lubi aktorów, żaden.

Lal i Soukyan

Wokół wybielonej wapnem jednoizbowej chaty rozciąga się jedynie pustynia. Czarna staruszka zobaczyła go z daleka, na długo zanim dotarł do celu i poznała, nim dziewczynka zdołała zauważyć jakikolwiek ruch na mlecznym horyzoncie. Położyła długie, młodzieńczo wyglądające ręce na biodrach, podniosła głowę i pokręciła nią wolno z boku na bok, bez słowa.

Ze skórzaną torbą w jednej ręce, koszykiem z szorstkiej plecionki w drugiej, mała dziewczynka obserwowała uważnie, naśladując milczenie staruszki, tak jak naśladowała u niej wszystko. W chacie nie było nikogo poza nimi i niczego, z wyjątkiem kilku misek, zagłębienia, w którym tlił się ogień, i dwóch mat do spania umieszczonych teraz w rogu izby.

– Czy mogę odejść, *inbarati*? – zapytała dziewczynka zaskakująco niskim szeptem.

– Nie – odrzekła staruszka. – Postaw wodę w cieniu, wiesz gdzie. I przynieś tu kosz. Jestem głodna. – Była niska, kompletnie siwa, o kociej trójkątnej twarzy i oczach koloru okopconego złota; a jej głos miał wyraźny wznosząco-opadający rytm, odmienny od monotonnego sposobu mówienia dziecka. Została w drzwiach, obserwując odległą postać zmierzającą w ich kierunku.

Dziewczynka postawiła koszyk u jej stóp i przykucnęła. W bystrych oczach czaiła się ciekawość. Niebawem staruszka westchnęła, wymamrotała coś niezrozumiałego i przysiadła na piętach. Wyjęła z kosza i położyła na ziemi kilka zawiniętych szerokich, grubych żółtych liści. Były w nich kawałki suszonego mięsa i małe serdelkowate warzywa, jedno zawiniątko kryło nawet przejrząły melon, purpurowy i lepki. Staruszka rozdzieliła ostrożnie jedzenie pomiędzy siebie i dziewczynkę, dając jej prawie cały melon.

– Nie jadam już słodczy – wyjaśniła beznamiętnie. – Nigdy nie marnuj rzeczy słodkich, dając komuś, kto ich nie je. Opowiedz mi jakąś historię podczas śniadania.

Dziewczynka wzięła długi oddech, przymknęła oczy i zaczęła recytować jak wyuczoną lekcję opowieść o potężnym władcy, niegodziwym ministrze, wieśniacze i jej córce, sprytnym złodzieju i śpiewającej rybie. Jej dłonie kreśliły ich wizjerunki w powietrzu, a głos stał się podobny do monotonnego śpiewu. Staruszka jadła, nie patrząc na nią, chrząkając od czasu do czasu w poszczególnych punktach zwrotnych historii, ale czy z przyjemnością, czy z dezaprobatą, tego dziecko nie potrafiło zgadnąć. Opowieść i posiłek dobiegły końca równocześnie, choć staruszka siedziała jeszcze w milczeniu przez jakiś czas. Potem wstała i poszła znowu do drzwi, mrużąc oczy w promieniach wschodzącego słońca. Usilne patrzenie na widnokrąg zamykający pustynię sprawiło, że oczy dziewczynki zaczęły łzawić i piec: nie wiedziała, czy małeńka postać w ogóle się zbliża, czy jest to kobieta czy mężczyzna, człek stary czy młody ani nawet konny czy pieszy. Czekala, czujna jak jaszczurka, gotowa na wszystko, nie myśląc o niczym.

– Musisz opowiedzieć tę powiastkę w ten sposób – odezwała się staruszka.

Jej stopy nie wydały żadnego dźwięku na twardym glinianym klepisku, gdy wróciła wolnym krokiem, kołysząc się z lekka na boki, i przykucnęła przed dziewczynką. Patrząc jej prosto w oczy, zaczęła powtarzać całą opowieść od początku. Powiedziała ją prawie tymi samymi słowami, jakich użyła dziewczynka, ale głosem przypominającym przytłumione dźwięki bębnow i zagli łopoczących na wietrze. To filuternie, to drżąc ze współczucia, zdumienia czy wściekłości, to przechodząc w pieśń, jej głos rozbrzmiewał i dźwięczał jakimś hipnotycznym rytmem, który utrzymywał dziewczynkę w całkowitym bezruchu, nawet gdy opowieść już się skończyła. Mała nie poruszyła się, dopóki staruszka nie przesunęła ręką przed jej oczyma, mówiąc zwyczajnym już głosem:

– Widzisz, tak mnie uczono opowiadać. Tak to się robi.

– Jeszcze jedną – wyszeptała dziewczynka. – Proszę, *inba-rati*.

Staruszka po raz pierwszy się uśmiechnęła. Zęby miała małe i zdumiewająco białe na tle śliwkowej, niemal czarnej skóry.

– Najpierw opowiesz mi jeszcze raz o złodzieju i śpiewającej rybie. Potem przyniesiesz trochę drzewa na opał, a w tym czasie zamiotę chatę, potem się zdrzemniemy. Potem... – pociągnęła małą delikatnie za gruby warkocz – potem usłyszysz o Zivinakim, który był największym łgarzem na całym świecie. Powinnaś dowiedzieć się o Zivinakim, jeżeli pragniesz być *inbarati*.

Dziewczynka popatrzyła niepokieszona w dół, na swoje małeńkie brązowe stopki.

– Do tego czasu twój gość przybędzie i mnie odeślesz.

– Mój gość? – Staruszka zaśmiała się otwarcie, wydając dziwaczne gardłowe dźwięki, a jednocześnie wydawała się nieco zdziwiona, jak gdyby ciągle, choć nieświadomie, bawiła się. – Dziecko, on nigdy nie będzie moim gościem. Poza tym jest sędziwy, słaby, zgrzybiały tak jak ja... zanim dotrze do domu, minie cały dzień. Opowiedz mi historię.

Słońce było już na zachodnim niebie i dziewczynka spała głęboko na słomianej macie, gdy staruszka wyszła przed dom, aby powitać przybysza. Spotkali się przy jedynym w okolicy drzewie – rosło karłowate, jak zwęglone, przypominało kształtem zaciśniętą pięść. Staruszka przemówiła pierwsza.

- Wyszczuplałeś.
- Mniej jest jedynie tego, co nieistotne – poważnie odparł przybysz. – Niczego z tego, co potrzebne, nie straciłem. – Był to wysoki starzec, same guzowate kości, brązowa skóra, trochę jaśniejsza od skóry staruszki. Niewiele miał na sobie – lekkie spodnie, skórzaną kamizelkę i proste, rozpadające się buty. Wykonał głęboki ukłon, schylając się w pół i obracając przez prawe ramię. Kamizelka rozchyliła się, ukazując kilka cienkich białych blizn na żebrach i jedną wielką i długą ząbkowaną szramę tuż nad pasem. Kiedy się uśmiechnął, jego oczy, które miały trudny do określenia, ciągle zmieniający się odcień, przybrały kolor lawendy. – No, no, wyglądasz kwitnąco – powiedział z uznaniem. – Miło cię widzieć, Lal.
- Witaj, Soukyanie – odrzekła staruszka. – Czego chcesz?
- Nie miałbym nic przeciwko filiżance herbaty. Filiżance herbaty, noclegowi i życzliwemu słowu, w tej chwili nie pragnę niczego więcej na świecie. – Lekko położył ręce na ramionach staruszki. – Wyglądasz kwitnąco – powtórzył. – Wiesz o tym?
- Nie. – Staruszka odsunęła się od niego. – W moim wieku nie szuka się luster ani portretów. Nie ma Lal w moim domu, Soukyanie, już nie.
- Uśmiech starca stawał się coraz szerszy.
- Nie? Więc kto tam na nas czeka?
- Szybko odwróciła się i popatrzyła na małą dziewczynkę stojącą w drzwiach chaty.
- To z pewnością Lal – powiedział Soukyan.
- Nie. – Odpowiedź była krótka i gwałtowna. – Nazywa się Choushi-wai. Gdy tu zamieszkałam i ludzie przywykli do mojej obecności, przysłali ją do mnie. „Kłamię przez cały czas”, mówili, „ale jest silna i umie gotować. Może ci się przyda”. Więc teraz jest moją gospodynią i moją uczennicą również, jedyną, jaką kiedykolwiek miałam. Ale to nie ja, Soukyanie, nie ja. – Długie paznokcie wbiła mu bezlitośnie w ramię. – Dziękuję wszystkim głupim bogom, którzy stworzyli mnie taką, jaka jestem i jaka byłam... ona nigdy, nigdy nie będzie musiała być Lal.
- Wielki starzec położył rękę na jej dłoniach.
- Och, wydaje mi się, że ludziom zdarzają się większe nieszczęścia niż dola Lakhamsin-khamsolal.
- Nie dla Lal. Soukyanie, przygotowuję ci herbatę i nocleg, ale chcę, abyś jutro sobie poszedł. Nie wiem, czego ode mnie chcesz, ale odpowiedź brzmi „nie”. Przyszedłeś, bo szukasz że-glarki Lal, samotnej Lal, Lal posługującej się laską z ukrytą wewnątrz szpadą, a znalazłeś starowinę z wiejskiej opowieści, zwiędłą i odpychającą, żyjącą na pustyni, by opowiadać różne historie barbarzyńskiemu plemieniu, które nie jest jej plemieniem, choć to akurat nie ma znaczenia. Przynajmniej jestem tym, kim zawsze zamierzałam być – cała reszta, cała, to był sen, jeden z moich dawnych snów. Pewnie pamiętasz moje sny.
- Tylko te, które śniłaś przy mnie. – Szli wolno w kierunku chaty, mrużąc oczy w promieniach zachodzącego słońca. – Jak sobie życzysz. Napiję się herbaty i będę wdzięczny za nocleg, a rano ruszę w drogę. Ale czy moglibyśmy pomówić o Lal? Mam dla niej wiadomość. To jej dotyczy.
- Staruszka nie odpowiedziała. Kiedy dotarli do drzwi, Choushi-wai trzykrotnie ukloniła się gościowi aż do ziemi, tak jak to było w zwyczaju jej plemienia, ale kiedy Soukyan uroczyście przykląkł, aby ucałować jej rękę, wtedy straciła odwagę i lamentując czmychnęła do chaty. Gdy potem znów się zaczął do niej przymilać, szybko stała się płochliwie kokieteryjna – nie przemówiła do starca ani słowem, ale pod koniec obiadu przechylała się przez jego ramię, na przemian jedząc z jego talerza i ofiarując mu kawałki z własnego. Lal nie zważała na to, dopóki dziewczynka nie wróciła do domu matki, gdzie wciąż jeszcze spędzała każdą noc. Wtedy powiedziała do Soukyana poirytowana:
- Teraz będzie bezużyteczna przez wiele dni. Zamiast uczyć się wiekopomnych kronik, pieśni pochwalnych i ballad, które musi znać, będzie snuła nic niewarte fantazje o tobie... i o sobie, oczywiście. Dlaczego tak brutalnie wkraczasz w moje życie?
- A ty nigdy nie snułaś takich fantazji, jedynie powtarzałaś te same wiekopomne opowieści, wciąż od nowa?
- Żadne z tych pytań nie wymagało odpowiedzi. Siedzieli w milczeniu, patrząc na siebie w świetle dwóch okopconych naftowych lampek. Mrok w chacie stawał się coraz większy. Po pewnym czasie Lal powiedziała:
- Ci ludzie są poniekąd spokrewnieni z moim narodem. Język mają bardzo podobny i wiedzą, kim jest *inbarań*, chociaż żadna nie żyła wśród nich. Teraz jedną mają. Jestem z tego zadowolona, Soukyanie.
- Widać po tobie, że jesteś zadowolona. Naprawdę, nie żartuję. – Starzec przeciągnął się i uśmiechnął krzywo, gdy zatrzeszczały stawy jak sosnowe sęki w ogniu. – Więc co się stało z laską z ukrytą szpadą?
- Lal skinęła w kierunku drewnianego pręta z palisandru, opartego o ścianę izby.
- Pokrywa ją tyle kurzu, że wystarczyłoby dla królewskiej biblioteki. Czasem jej używam do strącania owoców, do robienia na ziemi rysunków dla Choushi-wai. Dziecko nie ma pojęcia, co laska zawiera, a ja już zapomniałam. I to mi odpowiada.
- No i tak być powinno. – Soukyan był senny, przymknął oczy. – Ale czy odpowiada to lasce z ukrytą szpadą? Oto pytanie. – Zachichotał cicho. – Już trzy razy ta wykwinna broń uratowała mi życie, więc mam powody, aby się o nią troszczyć. Czy pojmujesz, co mam na myśli?
- Pojmuję doskonale – powiedziała Lal głosem bez wyrazu. – Właśnie o to chodzi. Nigdy nie znałam nikogo bardziej nieszczerzego, pomijając czarnoksiężników. Zrozum mnie raz na zawsze: miejsce tej laski i moje jest tutaj. Nie próbuj tego zmieniać. Możesz tu spać, na macie tej małej. Byłaby niezmiernie przejęta, gdyby o tym wiedziała. – Rozkładając i trzępiąc słomianą matę, rzuciła przez ramię: – Jeżeli o mnie chodzi, twój łuk ocalił mi życie co najmniej trzy razy, więc jesteśmy kwita. To tyle w tej kwestii. Zjedliśmy już, porozmawialiśmy, teraz zaśniemy, a rano pożegnamy się jeszcze raz. – Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz, a w jego oczach o złotym odcieniu wreszcie ożyły emocje. – Ile już razy się żegnaliśmy? Straciłam rachubę gdzieś w okolicach Arakli.
- To mnie nie dziwi – odparł staruszek. – Zniknął mi wtedy z oczu. Było to na placu targowym, pełnym pijanych żołnierzy, gdy połowa kramów stała w ogniu, a ty skuliłaś się nad tą biedną szaloną ulicznicą, jak *sheknath* nad młodym. – Wstał, oczy mu pociemniały, patrzył gdzieś w dal. – Byłem pewien, że nie żyjesz. Przez trzy lata byłem pewien. Słońce wschodzi, gwiazdy bledną, wietrzyk dzisiaj jest przyjemny, piwo w Chun marne, Lal odeszła.

– Szukałam cię – powiedziała z nagłą żarliwością. – Zostawiałam wiadomości wszędzie, gdzie mogłeś o mnie pytać. A wypatrzyłam cię na Gościńcu Królowej – zazwyczaj tamtędy jeździłeś, niepomny ostrzeżeń – wiedziałam dokąd zmierzasz, ale nie wiedziałam, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę cię żywego. Czym się to różniło? Czym się różniło od rozstania w Cheth na Bata? W Rhyak? Soukyanie, nigdy nie było nam pisane być przyjaciółmi, kolegami, towarzyszami, czy jak to jeszcze nazwać. Nigdy nie będziemy pewni, o co mamy prawo siebie zapytać, więc jesteśmy sobą wzajemnie zmęczeni i tych pożegnań wystarczy po czterdziestu latach. Zostało nam już niewiele życia i teraz nie pragniemy tego samego. Śpij dobrze i odejdz.

– A moja wiadomość dla Lal? – Siwy, wymizerowany i nieugięty, stał zbyt blisko niej, pachniał drogą biegnącą przez dawno już ścięte lasy, zapomnianymi opowiadaniem, miasteczkami i ludźmi, którzy dawno zostali za nim. – Czy Lal tej wiadomości już nie otrzyma?

– Włóż ją do butelki i rzuć do morza z przylądka Dylee. Zaczęli przypatrywać się sobie nawzajem z zażyłością prawie nie do zniesienia. Jedne wspomnienia gonili następne. W końcu Lal nieznacznie wzruszyła ramionami – uszłoby to uwagi każdego, z wyjątkiem tego starca.

– Niech to wszyscy diabli – powiedziała – chyba w ogóle dzisiaj nie zasnę.

– Nie wiadomo. – Soukyan usadowił się na macie do spania. – Gdzie jest twoja? Przyciągnij ją tu i porozmawiajmy. Tak jak dawniej w nocy rozmawialiśmy, gdy już znalazłaś odpowiednią gałązkę do czyszczenia zębów. Pamiętasz małą łódeczkę na Su-sathi?

Człowiek stary ma pewne przywileje – odrzekła Lal – a najcenniejszy z nich to przywilej pamiętania dokładnie tego, co chce się pamiętać, niczego więcej. – Ale uśmiechała się, gdy przynosiła z kąta swoją matę. – Proszę bardzo, porozmawiajmy o przeszłości. O czym tylko zechcesz, ale o niczym, co dotyczy choćby jutra. Zgoda?

– Zgoda i bardzo się z tego cieszę. – Starzec czekał cierpliwie, kiedy usadowiła się na macie, splatając swoje zadziwiająco długie nogi i podpierając podbródek na zaciśniętej sękatą pięści. – Długo się zastanawiałem, czy kiedykolwiek pojechałaś do domu.

– Nie – odparła gwałtownie. – Nie, nigdy. Wykradziono mnie i sprzedano, i ponownie sprzedano, a nikt się nie potęgił, aby mnie odszukać. Co to za dom? Soukyanie, jeżeli ktokolwiek na świecie wie lepiej... – Urwała i popatrzyła w bok. Kiedy znowu się odezwała, w jej głosie nie było emocji. – O tym też nie będziemy mówić.

– Zgoda. – Staruszek pochylił się do przodu, jakby chciał dotknąć jej twarzy, ale tego nie zrobił. – Pewnie, raczej powspominajmy jakieś miejsce, w którym byliśmy razem bardzo dawno temu. Pomówmy o Suriyat.

– Suriyat? – Lal się zdziwiła. – Suriyat. Ta śliczna mała miejscowość położona wysoko wśród gór Durli, dokąd konwojowaliśmy karawanę. Suriyat, tak, pamiętam.

– Teraz mówisz o Toshtiyk. W Suriyat byliśmy wcześniej niż w Toshtiyk. Akurat zesłała na ląd i spotkaliśmy się na nabrzeżu...

– Kulpai – powiedziała Lal. – Kulpai, ale to nie było na nabrzeżu, tylko w więzieniu. – Nieoczekiwanie zaśmiała się gardłowo. – Powiedziałam Choushi-wai, że jesteś równie zgrzybiały jak ja, i chyba miałam rację, skoro zapomniałaś o areszcie w Kulpai. Dostałam się tam razem z bandą przemytników. Nigdy nie dowiedziałam się, za co mnie zamknęli.

Soukyan uśmiechnął się szeroko, ukazując ciemne zęby.

– Może i tak. A zatem Kulpai. Ważne, że się tam spotkaliśmy, i co najważniejsze, uciekliśmy stamtąd następnej nocy. Pamiętasz to?

– Lepiej niż ty – cierpko odrzekła staruszka. – To było trzeciej nocy i nigdy nie śmiałybym tego nazwać ucieczką. Dozorca więzienny... – zawahała się na chwilę – dozorca więzienny zasnął, tak było. A ty odczepiłaś mu klucze od paska i otworzyłaś wszystkie cele. A widzisz? Pamiętam Kulpai.

Soukyan pochylił się jeszcze bliżej, ale się już nie uśmiechał. Spozobiegła bliźnę wzdłuż linii zuchwy, na wpół schowaną w siwej brodzie.

– Nie, nie, nie tak było. Opowiedziałaś dozorcę więziennemu jakąś historyjkę.

Lal usiadła prosto, była oburzona.

– Och, zaczynasz pleść. To nie było w Kulpai.

– Ależ tak – upierał się starzec. – Opowiadałaś mu historię o arystokracji, który gdy tylko chciał, zmieniał się w skalnego *targi*, i o damie, która się w nim zakochała, choć poznała go w tej postaci. A miała ona przyjaciółkę, zwykłą szwaczkę, która bardzo chciała jej pomóc. Opowiadałaś tę historię, a on podchodził coraz bliżej krat i słuchał, tak jak teraz słucha cię ta dziewczynka. Strażnik nie widział, że się skradam ku niemu, w ogóle mnie nie widział, dopóki nie złapałem go za gardło. Przypominasz to sobie teraz? – Pobladł, jego głos stał się chrapliwy.

Przez długi czas Lal nie odezwała się ani słowem. Starzec przyglądał się jej twarzy, jak w lustrze badałby własną. W końcu powiedziała:

– Był tam chłopiec. Widzę go, ale nie potrafię sobie przypomnieć... Mały chłopczyk.

– Syn dozorca więzienia. – Soukyan mówił teraz szybko, bez wyraźnej intonacji. – Tak, był tam, zapewne wcześniej zasnął w pomywalni. Obudził się zaraz potem, jak pojaliśmy jego ojca, i przybiegł mu z pomocą, machając mi przy nogach wiadrem na odpadki. Ty go powstrzymałaś.

– Ale nie zadałam mu bólu. – Głos Lal stał się ostry.

– Nie, nie, oczywiście, że nie. Uderzyliśmy tylko jego ojca. A on to widział.

Lal w mgnieniu oka była na nogach, dziwnie szybko jak na jej wiek.

– O czym ty mówisz! Chcieliśmy tylko zdobyć klucze i to się nam udało od razu. Bez wątplenia go nie uderzyliśmy.

– To było tak. – Soukyan nadal mówił beznamiętnie. – Lato miało się ku końcowi, w celach było bardzo gorąco, a jedzenie straszne. Najgorsze, jakie kiedykolwiek jadłem w więzieniu. Poza tym oboje mieliśmy gdzieś ważne zadanie, co nas dodatkowo irytowało. Być może, jest to częściowe usprawiedliwienie tego, co zrobiliśmy.

A co zrobiliśmy? Co zrobiliśmy? – Gniew nadal ujmował lat jej ruchom, gdy przemierzała krokami glinianą podłogę chaty, ścigana przez swój wielki pochylony cień. – Nie skrzywdziliśmy go, nigdy bym nie zapomnieli, gdyby było inaczej! Był powolny i głupi, tyle pamiętam, i mówił przez zęby, typowym dla nizin dialektem, i udawał, że w ogóle nie rozumie, co mówimy. Był zwykłym dozorcą więziennym i robił to co inni. Co z tego? Dlaczego o nim mówimy?

– Ponieważ upokorzyliśmy go na oczach syna – powiedział starzec. Lal zatrzymała się i utkwiała w nim wzrok. Soukyan wstał również, wskazał najpierw ją, a potem siebie. – My oboje. Podduszony, wciąż jeszcze walczył, aby nie oddać nam kluczy. Musiałaś zdjąć mu pasek, Lal, a kiedy to zrobiłaś, spodnie mu opadły i odsłoniły zwiotczałe białe nogi. Jednak nie przestał wymachiwać rękami niczym cepem, pamiętasz? – Lal przecząco potrząsnęła głową. – Nie spodziewaliśmy się aż takich kłopotów i to nas rozzłościło. Wykręciłem mu ręce do tyłu, przycisnąłem do krat i schwyliłem go mocno za podbródek, tak że wyglądał jak ptak czekający na rzeź. Ty wzięłaś klucze i otworzyłaś pozostałe cele. Ja zajęty byłem spoconym, śmierzdzącym, na wpół nagim głupcem, który nie wiedział, kiedy się poddać. Ugryzł mnie nawet w rękę.

Za drzwiami chaty, w zupełnej ciemności, lekki wietrzyk przesypywał z szelestem piasek. Dwie jaszczurki *mardiru* klóciły się zawzięcie nad martwą towarzyszką; *tharakki* skorzystał z okazji, że nocni myśliwi są zajęci, i cicho umknął na dwóch łapach zakończonych długimi szponami.

– Tak to się odbyło – rzekł Soukyan. – Kiedy więźniowie już byli wolni, każdy przebiegał obok dozorczy i pluł mu w twarz. A było ich wielu. – Starzec mówił cicho, ale wyraźnie. – Chłopiec to wszystko widział.

Wzruszyła ramionami.

– No i co z tego? Nigdy nie spotkałam dozorczy więziennego, któremu z chęcią nie zrobiłabym tego samego. Zapominasz, kim wtedy byliśmy i gdzie byliśmy.

– Nie. Nie zapominam o niczym. I pamiętam, że ten zachowywał się wobec nas przyzwoicie w miarę swych możliwości. To nie jego wina, że jedzenie było kiepskie i wody było za mało. Zwracał się do nas grzecznie. Naprawdę starał się być dobry. Nie mam pojęcia dlaczego.

– A ja nadal nie mam pojęcia, dlaczego wciąż o nim mówisz. To było dawno temu i cokolwiek się stało, zasłużył sobie na to. Nie ma niewinnych dozorców więziennych.

– To prawda, bez wątpienia. – Soukyan opadł ciężko na matę, patrząc na swoje duże zaciśnięte dłonie. – Ale chłopiec był niewinny.

Lal prychnęła, lecz nic nie odpowiedziała. Soukyan mówił dalej, jak gdyby do siebie:

– Jego miłość do ojca była niewinna. – Podniósł głowę i popatrzył na nią, jego twarz w zakłopotaniu wyglądała jak twarz małej Choushi-wai. – To nie daje mi spokoju, Lal.

Staruszka najwyraźniej chciała powiedzieć coś szyderczego, ale powstrzymała się i tylko stała w milczeniu.

– Minęło tyle lat i wciąż nie daje mi to spokoju – powtórzył – a teraz jeszcze dręczą mnie z tego powodu sny. Szara ślina spływająca po tłustej twarzy strażnika i wyraz oczu chłopca. Nigdy wcześniej mi się to nie śniło.

Lal usiadła po turecku i położyła rękę na jego kostce u nogi. Wkrótce brązowa dłoń Soukyana o wydatnych kłykciach dotknęła jej dłoni. Staruszka powiedziała cicho:

– Znam pewną piosenkę, która odpędzi takie sny. Jest dosyć długa i nużąca, ale skuteczna. Wierz mi, wiem, co mówię.

– Ale ja nie chcę pozbyć się tego snu! – krzyknął z gniewem i rozpaczą. – Potrzebuję go, chcę go pamiętać! – Urwał, gwałtownie pocierając ręką czoło. – Muszę tam wrócić. Do Kulpai. Żeby przeprosić.

– Żeby co zrobić?!

Następne dziesięć minut całkowicie należały do Lal, chociaż w połowie jej tyrady zaczął się śmiać. Wreszcie staruszce zabrakło tchu.

– Spodziewałem się tego – stwierdził Soukyan. – Mimo twego gadania o ludziach, którzy tu mieszkają, o tym, że znalazłaś wreszcie prawdziwy spokój, wiedziałem, że znalazłem moją dawną Lal. Mów dalej, nie pozwól, bym cię powstrzymał. Nie wyobrażasz sobie, z jaką ulgą słucham, gdy znowu wymyślasz mojej głupocie. Och, masz całkowitą rację! Nigdy nie powinniśmy byli robić niczego razem, ale jakie to ma znaczenie? Prawda, droga Lal?

– Cicho bądź! – krzyknęła staruszka. – Nie mówię do ciebie!

Znowu wstała i przeszła w drugi koniec chaty. Ze sponiewieranej drewniano-skórzanej skrzyni ukrytej w najciemniejszym kącie wyjęła szarą glinianą butelkę wina. Plomba na szyjce butelki była tak stara, że jej brzegi zaczęły się już rozsypywać. Soukyan zaśmiał się znowu, tym razem ze zdumienia.

– Cóрка Smoka, nie mogę uwierzyć! Tutaj?

Lal rozkruszyła resztę plomby ręką stołowego noża i wypila haust. Skrzywiła się, uważnie przypatrując się butelce.

– Chyba nie straciła mocy. Trudno ocenić tę lurę.

Podąła butelkę Soukyanowi.

– Cóрка Smoka – powiedział znowu. – Gospoda w pobliżu Corcoruy. To wywołuje zbyt dużą nostalgię u mężczyzny w moim wieku. – Wypił, otarł usta i skrzywił się zadowolony. – Okropne, jak zawsze, dzięki bogom. Więc jak? Idziesz ze mną?

W tej samej chwili Lal się odwróciła i laską z ukrytą szpadą wskazała butelkę.

– To dla ciebie. Otworzyłam ją po tylu latach nie przez sentyment, ale żeby się upić i żeby nie było już więcej gadania o Kulpai, a przynajmniej o tamtej nocy. Zatem pij.

Starzec uśmiechnął się cierpko.

– To na nic. Uwierz mi. – Mimo to znowu przechylił szarą butelkę. Gdy odsunął wino od ust, oboje długo milczeli, tylko patrzyli na siebie.

– Na nic mrzonki o Kulpai – powiedziała Lal w końcu. – To ty mi uwierz.

Soukyan skinął głową ponad butelką.

– Najprawdopodobniej masz rację.

– Najprawdopodobniej. Tak, no cóż, najprawdopodobniej ten dozorca więzienny nie żyje. A chłopak, kto to *wie*? Jeżeli nawet jest w Kulpai, chyba już o tym zapomniał. Jak wszyscy.

– Wszyscy z wyjątkiem jednego sędziwego najemnego żołnierza z wyrzutami sumienia. – Zaproponował jej butelkę, ale odmówiła. – Nie – rzekł – chłopak tego nie zapomni. Nigdy nie miałaś dzieci, Lal, dlatego nie rozumiesz.

– A ty nigdy nie byłeś dzieckiem. I nigdy nie miałeś sumienia, jedynie poczucie obowiązku. – Urwała nagle, kładąc dłoń na ustach. Starzec nie odpowiedział. Niebawem opuściła rękę i powiedziała, wyraźnie i bez drżenia: – Niech będzie. Zawsze znaliśmy swoje słabe strony. Jednak nadal uważam, że twoja pielgrzymka do Kulpai tylko po to, aby powiedzieć „przepraszam”, byłaby nierozsądna i bezużyteczna. Nie znajdziesz tam nikogo, kto by cię wysłuchał i przebaczył.

Soukyan odstawił butelkę, wyciągnął do Lal rękę. Po chwili podeszła i przyklekła przy nim.

– Masz rację – rzekł – jest to tylko dziwaczne poczucie obowiązku zamiast sumienia. Ale dręczy mnie wyobrażenie o samym sobie. Nie mogłem obok tego przejść obojętnie, choć trudno było mi się zdecydować, o czym dobrze wiesz, lecz teraz tylko to naprawdę się liczy. Zrozum mnie, proszę.

Lal nie cofnęła dłoni z jego uścisku, ale nie odpowiedziała. Bardzo długo siedzieli tak w migoczącym świetle lampy, a ich cienie drżały na ścianach.

Choushi-wai przyszła jak zwykle przed świtem. Chata była pusta, a dziewczynka dostrzegła, że kilka nowych glinianych garnków i laska zniknęły, zanim jeszcze zobaczyła wiadomość skreśloną na ciemnym spodzie liścia, w który zawinięty był wczorajszy posiłek. Poruszając ustami, długo odczytywała słowa – czytanie było jedną z ostatnio nabytych przez nią umiejętności i Lal nie zdążyła malej dostatecznie wyćwiczyć – potem podeszła do drzwi i stanęła w progu, nieświedomie przybierając postawę staruszki. Utkwiła wzrok w dwóch szlakach biegnących przez białą pustynię.

Była urodzonym tropicielem zwierzyny, jak wszyscy z jej plemienia, i prawie nieświadomie zdała sobie sprawę, że piasek na jednej z tych tras jest o kilka godzin świeższy. Gdyby ją zapytano, byłaby w stanie powiedzieć, w jakim miejscu i kiedy Lal dogoniła tego wielkiego starca, który ubiegłego wieczoru zawitał do chaty. Ale nikt ją o to nie zapytał. Po pewnym czasie odeszła od drzwi, sięgnęła po miotłę i zaczęła zamiatać podłogę. Będzie tu spać dzisiaj i przez wszystkie następne noce, dopóki Lal nie wróci.

Długo szli obok siebie, zanim któreś z nich przemówiło.

– Będą nam potrzebne konie – rzekł starzec. – Do Kulpai droga daleka.

– Wciąż jeszcze nie rozmawiam z tobą. – Stopy Lal równie cicho stąpały po piasku, jak po klepisku w chacie. – Nie chcę rozmawiać również ze sobą, dopóki nie odgadnę, czemu jestem teraz tutaj.

Pomimo upału ubrała się w skóry, miała zniszczone krótkie buty, obcisłe skórzane spodnie, skórzaną koszulę. Włosy przytrzymały jej czarne opaski, a laska z ukrytą szpadą zwiśla wzdłuż pleców, pomiędzy wystającymi łopatkami. Lal szła krokiem żeglarza i z łatwością dotrzymywała tempa Soukyanowi, ale ani razu nie popatrzyła na niego, kiedy podążali mozolnie w kierunku cienkiej ciemnozielonej wstążki, drgającej daleko na horyzoncie.

– Niestety, koni nie znajdziemy aż do Jahmanyar – rozważał Soukyan – w najlepszym razie będą to tylko churfy. Czy jechałaś już na churfie, Lal?

Nie odpowiadała, ale ciągnął pogodnie dalej.

– Są złośliwe, zupełnie nie można im ufać, śmierdzą, a co najgorsze, piekielnie trudno je ukraść. Czy przypominasz sobie te straszne chwile, gdy wyciągaliśmy konie ze stajen Stro Gandry, w drodze do Kashak? Ach, no tak, będzie to przyjemne wspomnienie po wypadzie o północy po churfy. Obawiam się jednak, że nie mamy wyboru. Czy potrzebujesz jeszcze jakiegos powodu, żeby ze mną porozmawiać?

Lal trwała niezmiennie przy swoim postanowieniu i ani słowem nie odezwała się aż do późnego popołudnia. Właśnie odpoczywali w korycie wyschłego potoku, korzystając z odrobiny cienia, jaki dawały poszarpane brzegi. Pozwalając sobie na bardzo małe łyczki z bukłaka, oznajmiła szorstko:

– Zdecydowałam, idę z tobą tylko dlatego, aby sobie uświadomić, że to już nie jest moje życie. Ubiegłej nocy miałeś rację. Zdarza się, że trochę niepokoją mnie wspomnienia dalekich miejsc, które razem widzieliśmy, osobliwego ludu, który znaleźliśmy, choć trudno mi w to teraz uwierzyć, zdarzeń, o których nie mogłabym porozmawiać z nikim, do cholery, z wyjątkiem ciebie. Mówiąc bez ogródek, najlepszym sposobem na pozbycie się tego niepotrzebnego bagażu będzie mój udział w ostatniej podróży, w najbardziej absurdalnej, bezcelowej, wyczerpującej wyprawie, jaką zniedołężniały stary głupiec mógłby przeżyć. – Ostrożnie zamknęła bukłak i uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia. – O tak, naprawdę lubię zdawać sobie sprawę z takich rzeczy.

Soukyan w czasie postoju zmieniał cięciwę w łuku. Nie podnosząc wzroku, zapytał:

– O jakim zniedołężniałym starym głupcu rozmawiamy?

Och, sam sobie odpowiedz – spokojnie rzekła Lal. Soukyan zgiął łuk, przymocował nową cięciwę i prawie w tej samej chwili podniósł się z ziemi.

– Przed zmrokiem powinniśmy dojść do źródła. Wydawało się, że wcale nie jest zmęczony drogą, jaką już przebyli, ani nawet nie jest stary. Twarzy nie miał pomarszczonej, skóra na niej nie zwiotczała, tylko ciaśniejsz opięła wydatne kości.

Pomógł dźwignąć się Lal, której dokuczał znany ból w lewym kolanie. Trzydzieści, trzydzieści pięć lat minęło od bójk w winiarni z tym... jak mu tam było na imię? – i od tego czasu nigdy już nie było zdrowe. Znowu zarzuciła laskę na plecy i poruszyła ramionami, by odpowiednio ją ułożyć.

Zazwyczaj podróżowali nocą. O świcie zielona wstążka horyzontu wcale nie była bliższa, ale zdarzało się, że widywali niezliczone miraży – podpływały do nich trwające chwilę rzeki, ukazywały się oazy, kusily skrawki ogrodów i wodospady w dżungli. W takich chwilach wygrzebywali zagłębienia w piasku i tam układali się do snu mimo jasnego dnia. Przez cały czas mieli zakryte głowy, co parę godzin zwilżali wargi i język, żeby przeżuć bezzębnymi dziąsłami kawałek suszonego mięsa czy owocu. W następnych dniach prawie w ogóle nie mówili.

Wreszcie lekki wietrzyk przywołał wspomnienie chłodu i zapach ogniska, na którym coś gotowano.

– To Doule. Mała miejscowość, ale na tyle duża, aby znaleźć w stajni kilka churf. Jutro o tej porze, jeżeli nie zwolnimy tempa, będziemy jechać jak jaśnie państwo.

Lal masowała spuchnięte stopy.

– Powinieneś wiedzieć – powiedziała nie podnosząc oczu – że nie jechałam konno dawno, od czasu gdy byliśmy w Kashak. Nie mówiąc już o kradzieży konia. Będiesz miał na swoich barkach bardzo starego żółtodzioba, kiedy ta wielka chwila nadejdzie.

– Nieważne, czy kiedyś już krałś konie. Absolutnie nic, co dotyczy koni, nie odnosi się do churf, każdy ci to powie. – Pogroził jej palcem żartobliwie. – Na szczęście znam pewną sztuczkę, którą niezawodnie się poskramia te zbuntowane bestie. Otóż trzeba churfie wsunąć rękę do pyska.

Wtedy Lal zaczęła mu się przyglądać podejrzliwie, trwało to dosyć długo. W końcu powiedziała bardzo uprzejmie:

– Wsuwam jej rękę do pyska. Rozumiem. Którą rękę?

– Och, jak wolisz. Ważne jest to, aby wpakować jej do pyska całą rękę, i to jak najszybciej. Zauważ, że nie natrafisz ani na jeden ząb trzonowy. Choćby były bardzo rozszoszczone – a rozszoszczone są zawsze – możliwość żucia czyjejs ręki natychmiast je uspokaja. Pewnie budzi słodkie wspomnienia dzieciństwa albo kojarzy się z miłymi chwilami, kiedy zjadały swoje młode.

– Wiedza o tym niezmiernie podnosi mnie na duchu. A co mam zrobić z drugą ręką?

Cieszę się, że o to pytasz. – Soukyan wstał i zaczął chodzić, nie patrząc jej w oczy. – Musimy powstrzymać je od ryku. Zapomnij o zębach, zapomnij o ich przykrym zapachu, zapomnij o tym, że wolałabyś spać w nocy, a nie kraść to bydłę. Uwierz mi, na pewno nie przypadłoby ci do gustu słuchanie ryku churf. Zatem gdy wepchniesz rękę jej do pyska, jednocześnie musisz wolną ręką ścisnąć zwierzęciu nozdrza. Ścisnij je mocno, bardzo mocno, a wtedy zwali się na kolana i będziesz mogła jej dosiąść. I nie pytaj mnie, Lal, dlaczego to powinno poskutkować, ponieważ po prostu nie wiem. Ale to zawsze działa, prawie zawsze.

– Prawie zawsze. No tak. – Lal z trudem wsunęła nogi z powrotem w buty i wstała. – Zbyt gorąco pragnę spotkać te zdumiewające stworzenia, abym mogła dłużej czekać. Więc jeśli jesteś gotów...

Następnego ranka o wschodzie słońca byli na tyle blisko Do-ule, aby słyszeć modlących się Nounouri i wyczuć świeże odchody *rishu* leżące na ulicach. Doule, choć zbyt ludne jak na wieś, nigdy nie było prawdziwym miastem. Pozostało otoczoną ciernistymi krzakami enklawą zabudowań, skupionych wokół coraz słabiej bijącego źródła. Były tu przysadziste i pokryte strzechą chaty, a gdzieś tam większe domostwa z dachami drewnianymi lub z dachówki i z prawdziwymi oknami. Domy te otaczały mizerne ogrody, a tu i tam nawet stały obory, z których wczesny wietrzyk przywiewał odór gorącego moczu i odgłosy skrobania pazurów o drewno.

Lal i Soukyan weszli do Doule przez boczną bramę w prowizorycznym ogrodzeniu, prawie nie zauważeni przez strażnika, który był zajęty wymuszaniem łapówki od grupy oburzonych kupców handlujących przyprawami. Dwoje starszków przeszło pomiędzy opalonymi, ubranymi w długie kaftany rolnikami i sklepikarzami, nie przyciągając niczyjej uwagi, pominąwszy sporadyczne spojrzenia kątem oka na wysokiego starca ze wspaniałym łukiem. Lal wskazała publiczną stajnię w centrum miasteczka, ale Soukyan przecząco potrząsnął głową.

– Za bardzo rzuca się w oczy. Dużo zwierząt, dużo hałasu. Zbyt wielkie ryzyko. Raczej jedna z tych. – Skinął w kierunku zamożniej wyglądających domów. – Teraz potrzebujemy miejsca do spania, kąpieli i przyzwoitego posiłku. Czeka nas ciężka noc. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Rad jestem z twego towarzystwa. Jak w starych czasach, prawda?

– Tak – odparła Lal. Szli dalej, wysoko podnosząc nogi, aby ominąć parujące łajno i kałuże. – Myślę, że tak naprawdę nie lubiłam starych czasów. Próbuję to sobie przypomnieć.

Gospoda wyglądała zdecydowanie gorzej od publicznej stajni, ale oboje byli zbyt zaprzętni innymi sprawami, żeby kaprysić. Umyli się w wiadrach z cynkowanej blachy, zalatujących zleżałym zbożem, zjedli obiad składający się z chleba, słabego piwa i polewki ze sfermentowanego mleka i sera, który jest podstawowym daniem tego regionu, a potem poszli spać i spali prawie do północy w łóżku tak niewygodnym, jakby zamiast słomy w sienniku były kości. Soukyan obudził się pierwszy. Usiadł powoli i oparł plecami o ścianę, przypatrując się śpiącej Lal. Obudziła się po minucie i położyła dłoń na lasce, zanim go rozpoznała.

– Nie cierpię tego – powiedziała. – Wiesz, że nie cierpię, jak mi się ktoś przygląda, gdy śpię.

– Wiem, przepraszam, ale nigdy nie byłem w stanie temu się oprzeć. Wybacz mi.

Lal wstała już z łóżka i wyrzała przez ciemne okno.

– Cholera, nic nie widzę – wymamrotała. – W każdym razie jest wystarczająco ciemno. – Odwróciła się do niego twarzą. – Więc jak wyglądam podczas snu?

– Ufnie.

Lal prychnęła lekceważąco. Energicznie przycesała rękami krótkie białe włosy.

– Myślałam, że zamierzamy ukraść parę wierzchowców, a nie siedzieć tu i gadać całą noc. Churfy nie mogą być bardziej nieznośne niż pluskwy w tym łóżku.

Wymknęli się z pogrążonej w ciszy gospody, nie budząc nawet dwóch Tazrów, pozostawionych na warcie przy tylnym wyjściu właśnie po to, aby witać takich uciekających przed świtem gości. Noc na pustyni była chłodna, prawie zimna i miała kwaśny posmak. Cienki księżyc dawał nikłą poświatę.

– Poradzilibyśmy sobie i bez tego – mruknął Soukyan – ale przynajmniej churfy będą spokojniejsze. W zupełnej ciemności są nie do zniesienia.

– Zapowiada się coraz ciekawiej – powiedziała Lal.

Soukyan ruszył naprzód. O dwa kroki od niej był już niewidoczny, ale podążała za nim bezbłędnie. Skręcił na nierówną drogę, która omijała centrum miasteczka, a potem wiła się jak wąż, okrążała mętny staw i w końcu pędziła, lekko się wznosząc, w kierunku jednej z prywatnych stajni. Lal poznała ją po zapachu i gardłowym sapaniu, które podobne było do odgłosu buchającego płomienia.

Soukyan przystanął nagle, czujnie nasłuchując.

– Dwie. Tylko dwie. Dzięki za to każdemu z łaskawych bogów! – Odwrócił się i lekko schwycił Lal za ramię. – Musimy działać szybko. Czy pamiętasz, co mówiłem o churfach? – Lal odpowiedziała cicho, krótko i bardzo sprośnie, a Soukyan wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu. – Oto moja dawna Lal, gotowa na wszystko. Dobrze więc, dobrze.

W drzwiach były dwie kłódki ciężkie jak kotwice. Soukyan otworzył je zadziwiająco szybko.

– Ta w następnej zagrodzie po lewej stronie – szepnął. – Nie kłopotz się siodłem ani uzdą, po prostu wyprowadź tę bestię i ruszaj. Szykuj się... teraz!

Lal przygotowała się na jęk zawiasów, gdy otwierali drzwi od stajni, ale prawdę powiedziawszy, własne sapanie brzmiało w jej uszach tak głośno, że zagłuszało inne dźwięki. Churfy zaraz skoczyły na równe nogi. Były odrobinę od koni

wyższe, ale o wiele masywniej sze, a zamiast kopyt miały pazury. Właściwie wszystkim różniły się od koni – pokrywała je gęsta sierść, która wyglądała na lepka, miały okrągłe uszy zwieńczone kępkami futra, łby nieproporcjonalnie szerokie i płaskie. Spod śmiesznie sflaczałych warg wystawały długie i ostre kły. Lal nie zdołała zauważyć niczego więcej, ponieważ churfy zaczęły otwierać ogromne pyski, szykując się do ryku.

Kątem oka zobaczyła, że Soukyan jedną ręką trzyma churfę za nozdrza, drugą wepchnął głęboko do oślinionego pyska. Już szykował się, by dosiąść zwierzę. Gwałtownym ruchem sięgnęła do wielkiej śmierzdzącej głowy, chwytając za kark i nos, ale churfa zdołała jeszcze wydać swój mrozący, przekreślający wszelkie nadzieje ryk, od którego Lal aż zadrżała na całym ciele. Zwierzę rzeczywiście zważyło się na przednie kolana i wdrapała się na jego mocny grzbiet, wciąż głębiej wpychając mu rękę do pyska. Churfa stała się niezwykle cicha, ale nadal młóciła wściekle głową na wszystkie strony, chcąc się pozbyć jeźdźca. Lal trzymała się jednak, systematycznie przeklinając Souky-ana, dozorcę więzienia i całą ludność Doule w trzech językach.

Churfa Soukyana wyleciała przez drzwi stajni, wściekle drapiąc pazurami ziemię. Druga bestia ruszyła jej śladem, a Lal miała zaledwie tyle czasu, żeby przysunąć się do jej splątanej grzywy i tym samym uniknąć roztrzaskania głowy o framugę. Potem byli już na zewnątrz, w ciemnościach i Soukyan prowadził – nie drogą, którą przyszli, ale tuż obok najważniejszego domu w tej osadzie. W kolejnych oknach zaczęły się ukazywać pochodnie, słychać było głosy budzących się ludzi.

Lal nie miała pojęcia, jak kierować churfą, ale na szczęście nie było takiej potrzeby. Stworzenie trzymało się na tyle blisko towarzysza ze stajni, że ten odwrócił się i kilka razy próbował capnąć je zębami. Jak Soukyan zdołał w drodze powrotnej przeprowadzić ich przez miasto bez wywołania alarmu i jak natrafił na nie strzeżony wyłom w ciemnym ogrodzeniu, tego Lal nie wiedziała ani nie chciała wiedzieć. Trzymała się kurczowo karku wierzchowca – teraz zdumiewająco uległego, choć zaryzykowała uwolnienie zdrewniałej ręki z jego pyska – i myślała tylko: Jestem na to zdecydowanie za stara!

Churfy były typowymi inochodami, obie nogi po każdej stronie ciała stawały jednocześnie. Soukyan pilnował, by aż do świtu jechali w szybkim tempie – na południowy zachód, mając stale księżyc z tyłu. Lal na przemian drzemała i budziła się, wybijana ze snu przez czkawkę wierzchowca i bolące sińce, na które żeglarka Lal by nigdy nie zważała. Instynktownie wyczuła w pobliżu wodę, po prawej stronie i zorientowała się, że teren zaczął się wznosić i grunt pod zakończonymi pazurami nogami churfy stał się bardziej miękkim. Pomimo ohydny smrodu zwierząt, często docierał do jej nozdrzy intensywny zapach purpurowych krzewów *calocali*, które zawsze występują na pagórkach. Dwukrotnie usłyszała samiec *desidro* nawołującą łagodnie swego towarzysza i młode, żeby im powiedzieć, że właśnie coś upolowała. *Desidro* są rzadko spotykane i piękne, i prawie nigdy nie widuje się ich poniżej granicy lasu. Soukyan odwrócił się i uśmiechnął. W świetle księżyca wyglądał jak młody mężczyzna, zupełnie obcy.

Nie było pościgu z Doule. Soukyan spodziewał się tego; jednak dla pewności przez następne dwie noce jechał po swoich śladach. Prawie nie zwolnił tempa, lecz gnał churfy przez pogórze, które nie przestawało się wznosić, ale też nie zamieniło się w prawdziwe góry. W niektórych miejscach droga była jednak naprawdę stroma, a nocami panował taki chłód, że Lal i Soukyan często spali na jednym pośłaniu, grzejąc sobie wzajemnie plecy. („Teraz jest tak, jak gdyby przeszłość znowu powróciła, nie uważasz?” „Stary, odsuń stopy ode mnie, jeżeli chcesz się jeszcze jutro obudzić!”); widywali wiele ptaków i zwierząt typowych dla pagórkowatego terenu, takich jak *desidro*, i drzew takich jak szkarłatny *hajyll*, którego strąki z nasionami potrafią wyleczyć niejedno schorzenie, a także mglistosrebrna *cromni*, która niczego nie leczy, ale raduje oczy swym pięknem. Łagodne wzgórza przypominały krągłe pośladki, były porośnięte krzewami, zaroślami i pomniejszą roślinnością, co cieszyło Lal i Soukyana. Churfy pewnie również cieszyły, chociaż z churfami nigdy nic nie wiadomo.

W całym swoim zaskakująco długim i pełnym przygód życiu Lal nigdy wcześniej nie spotkała stworzeń podobnych do churf. Z bliska, w świetle dnia, w swej brzydocie stawały się prawie ładne. Można się było przyzwyczaić nawet do przenikliwej woni ich moczu. Były jednak wprost nieznośne. Gryzły i wierzgały z sobą tylko wiadomych powodów albo bez powodu, ryczały niczym demony w bezksiężycowe noce i oddawały stolec w wielkich, półpłynnych pomarańczowo-brunatnych bryzgach z jawną złośliwością i znakomitą wyczuciem miejsca i czasu. Jadły wszystko, od trujących krzewów *royak* po korę drzew czy zbutwiałe kolczaste gałązki, a w podróży były niezmordowane. Pomimo jazdy na gołym grzbiecie, Lal z czasem przywykła do sposobu poruszania swego wierzchowca, nauczyła się nim kierować kolanami i stopniowo przyzwyczaiła się do smrodu; a co do gryzienia, wyleczyła churfę z tego narowu do pewnego stopnia, gdyż w odwecie sama ugryzła zwierzę we wrażliwe ucho. Tylko nocne wrzaski nadal stanowiły problem nie lada.

Z wyjątkiem kilku pierwszych dni mówili bardzo mało o Kul-pai. Długa jazda na tak niezwykłych zwierzętach przez nieznaną teren dostarczała im ciekawszych tematów do rozmowy. Zarówno Lal, jak i Soukyan szybko wrócili do dawnych sposobów porozumiewania się często bez słów, podobnie jak bez dyskusji zaakceptowali zadania obozowe, które każde z nich przyjęło tak dawno temu, za niepamiętnych czasów. Na początku Lal walczyła z tym powracaniem do dawnych obyczajów, dając upust swemu rozdrażnieniu; złościła się, gdy Soukyan zaczynał łowić ryby na obiad albo przygotowywał drwa na ognisko, jej pozostawiając inne zajęcia. Nogi Lal pamiętały, nawet po tylu latach, ten z wolna kołyszący się chód wytrwałego wędrowca; jej zmysły wyostrzyły się tak, że nie przestawała baczyć czujnie, czekając na ostrzegawcze znaki czy dźwięki, choć w tym samym czasie podziwiała, niczym Choushi-wai, poranną pieśń szarych ptaszków. Tak, jestem na takie wyprawy za stara, myślała, ale jak powiedział ten głupiec, kogo to obchodzi?

Soukyan zajmował się polowaniem, opiekował się churfami i badał ślady przed i za nimi każdej nocy. Choć osiwił i zdobył kilka nowych blizn, wcale się nie zmienił przez dwadzieścia lat, które przeżył osobno. Zawsze wolno się poruszał, na tyle wolno, że gdy zaczynał się poruszać szybko, nikt nie był na to przygotowany. Stała się nie zwracać na siebie uwagi, co było trudne dla wysokiego mężczyzny o nadzwyczajnych oczach. Lal wiedziała, że wszędzie potrafi pojawić się i zniknąć niepostrzeżenie – w lesie, w pałacu czy na miejskim rynku – gdy mu to odpowiada. Gotował to, co upolował, szybko i pomysłowo, mówił za dwóch albo wcale i narzekał jak zawsze na długie niemelo-dyjne epickie ballady jej narodu, które zazwyczaj sobie śpiewała, gdy jechali. A jednak to on zauważył, że churfy wydają się przy nich uspokajać, szczególnie w ciemności.

– Dlaczego uważałem, że mam lepszy gust niż churfa? – powiedział raz. – Poza tym już wszystko jest lepsze niż ich ryki. Śpiewaj. Proszę.

Na całym pogórzcu na południu kraju grasują bandyci; ale oni, odkąd uciekli z Doule, spotkali tylko troje ludzi: drwała, pustelnicę, która w zaciszu swojej groty robiła słabą i okropną w smaku nalewkę, i małego pastuszka, który poganiał ponuro ryczące *rishu*. Obie churfy tak się wtedy przestraszyły, że omal nie uciekły na drzewa. Pomimo panującego wszędzie spokoju Lal i Soukyan nadal stali w nocy na straży i nadal badali ślady kopyt, łajno czy niedbale przysypiane ogniska. Raz czy dwa, na krótką chwilę, wiatr przywiał w ich stronę głosy, odległe niczym zapamiętane sny.

– Tam – powiedziała Lal, na co Soukyan odrzekł:

– Możliwe. Możliwe.

Jesień już się szykowała do ataku na niziny, choć jej oznaki widać było tylko z rzadka na zboczu jakiejś skarpy albo w przełęczy między wzgórzami.

– Naokoło żyją wieśniacy – stwierdził Soukyan – nie znajdziesz nawet osady wielkości Doule. Dojedziemy do traktu Chu-ruch i skręcimy w kierunku wybrzeża. Stamtąd łatwo już będzie pozełgować do Jahmanyar i Kulpai.

– Kulpai... – Lal z goryczą pokiwała głową. – Prawie zapomniałam o Kulpai.

Soukyan dotknął jej ramienia.

– Prawdę powiedziawszy, ja też. Nie czekam z niecierpliwością na przyjazd do Kulpai. Choć to wszystko wydarzyło się dawno, trudno znaleźć powody do radości, gdy masz stanąć wobec własnego okrucieństwa. To jak koszmarny sen, ale nie możesz się przebudzić.

– Głupiec – wymamrotała staruszka. – Nigdy nie mogłam znieść głupoty. – Ale nie straciła jego ręki ze swego ramienia.

– Następne wyznanie. – Soukyan uśmiechnął się. – Gdybyś stanowczo odrzuciła propozycję towarzyszenia mi w tej bez wątpienia absurdalnej podróży, nie jestem pewien, czy dotarłbym dalej niż do twojej białej chaty na pustyni. Och, tak... – tu chciała się wtrącić, ale jej nie pozwolił – tak, rzeczywiście powiedziałaś „nie” i poszedłem sam. Ale wiedziałem, że pójdziesz za mną, ponieważ cię znam. Tak jak ty znasz mnie. Nikt na świecie nas nie zna tak dobrze. – Dotknął jej policzka, pospiesznie i nad wyraz nieśmiało. – Więc nawet z radością jadę do Kulpai, ponieważ jadę tam z tobą. Cokolwiek się wydarzy, nie będę żałował dni spędzonych razem. I dawnych lat.

Lal długo nie odpowiadała. Wietrzyk ze wzgórz przyniósł słaby zapach świeżo skoszonej trawy *kohi* i churfy zaczęły burczeć niczym puste żołądki. Wysokie, giętkie drzewa ze wzgórz stopniowo zaczęły ustępować miejsca pospolitym tu *harishi* z południa – wielkim gęstym krzakom dostarczającym doskonałego drewna i wybornych żółtych jagód o nieco cierpkim smaku. Strumyk, który towarzyszył im statecznie z prawej strony prawie przez całą drogę z Doule, teraz umknął dalej, żądny morza, spieszący do rzeki czyhającej poniżej. Lal słyszała krzyk kojarzący się ze słowami „pozwól mi być, pozwól mi być” – wołanie trawiastego jastrzębia, który żywi się małymi stworzonkami wyrzuconymi ze swoich kryjówek przez pług.

– Postarajmy się nie zgubić tym razem – powiedziała, i nic więcej.

Zbliżał się wieczór, gdy usłyszeli sapanie – zanim jeszcze dobiegły ich głosy. Sapanie przesunęło się w górę ścieżki, w ich kierunku, mieszając się z chrapliwym dźwiękiem, który powstaje wówczas, gdy płuca są zbyt zmęczone, aby wdychać powietrze. Churfy spłoszyły się nagle i Soukyan omal nie spadł. Gdy odzyskał równowagę, już miał w rękach łuk, a Lal trzymała łaskę w ukrytą szpadą. Oboje czekali niespokojni, czujni, spodziewając się rannego zwierzęcia. Z zarośli wysunął się chłopiec, a oni zrazu wzięli go za jakąś bestię, gdyż włókł się na czworakach. Churfy z niepokojem rzuciły łbami. Chłopiec zdołał wstać niepewnie, chwytając się gałęzi drzewa. Był w brudnej połatannej bluzie roboczej i spodniach rolnika z południa. Twarz miał zakrwawioną, a nos najwyraźniej złamany.

Pogoń zbliżała się szybko, coraz wyraźniejsze były ludzkie krzyki i ujadanie ogarów. Chłopiec z trudem ruszył na przód, ale upadł, gdy tylko puścił gałąź. Patrzył na dwoje starych ludzi bez nadziei i bez strachu. Soukyan przemówił do niego w dwóch językach, ale nie otrzymał odpowiedzi. Lal spróbowała w innej mowie, pokazując ruchem ręki, aby się schował za churfami. Nie zdążył, jego prześladowcy z hałasem wybiegli z lasu. Ogary były na przedzie: trzy rude kudłate psy z Metzari z morskozielonymi oczyma. Za nimi niespełna dziesięciu ludzi, wszyscy, z wyjątkiem dwóch, przyodziani jak chłopiec. Ci dwaj byli ubrani w nabijane ćwiekami skórzane ubrania i okazałe długie buty, mieli krótkie miecze o podwójnym ostrzu i nosili się z pychą nieokrzęsanych panów. Szerokie czerwone twarze skrywały im czarne brody.

Ogar na przedzie skoczył na chłopca, ujadając i wściekle warcząc. Zaszedł z boku wierzchowca Soukyana i zaatakowałby chłopca, lecz Soukyan obcasem zrobił coś, czego Lal nie widziała, ale churfa rzuciła się nagle w kierunku psa, złapała go uzbrogoną w pazury tylną łapą i cisnęła na dwadzieścia stóp, wprost w ciemny krzew nazywany „witaj przyjacielu”, z którego skamłająca ofiara nieprędko się wyłoniła. Drugi pies rozpatrzył całą sytuację na nowo i usiadł, rozglądając się w oczekiwaniu na rozkazy. Chłopiec przywarł kurczowo do buta Lal.

Wyższy z dwóch uzbrojonych mężczyzn prędzej zorientował się w sytuacji, przeszedł dużymi krokami do przodu i wsparł przyodziane w rękawice dłonie na biodrach, śmiało patrząc w oczy Lal i Soukyanowi. W szerokim uśmiechu ukazując żółto-czarne pozostałości zębów, odezwał się w drugim z języków, jakimi Soukyan próbował porozumieć się z chłopcem:

– Niech dzień będzie dla was dobry, babciu, dziadku.

– Niech słońce świeci na twojej drodze – uprzejmie odparł Soukyan. – Nie stałbym tak blisko na twoim miejscu. – Wtem churfa wysunęła głowę, mężczyzna odskoczył z podartym na strzępy rękawem, a Soukyan klepnął swego wierzchowca po karku. – Niegrzeczna!

Drugi nie tracił czasu na uprzejmości. Ignorując jeźdźców całkowicie, gwałtownie ruszył pomiędzy churfy i już schwycił chłopca, gdy wtem długie cienkie ostrze przyłgnęło z tyłu do jego szyi. Obrócił się szybko i zobaczył siwowłosą czarną kobietę uśmiechającą się do niego w zadumie.

– Ostrożnie – powiedziała. – Jest jeszcze młody. Mężczyzna nagłym ruchem ręki odrzucił ostrze szpady, lekceważąc broń trzymaną w starczych rękach.

– Jest młody, wiedzmo? Był na tyle dorosły, żeby się sprzeciwić swojemu panu. Był na tyle dorosły, aby nie usłuchać swoich zwierzchników i ich słusznych pragnień. Na tyle dorosły, żeby zbuntować się przeciw tym, których bo-

gowie postawili nad nim. Według mnie jest na tyle dorosły, żeby umrzeć. Odejdźcie, staruszkowie, nie kłopotcie swoich sędziwych głów z jego powodu, nie jest tego wart. Jego pan się o niego zatroszczy. Soukyan nie wykonał żadnego ruchu.

– To ciekawe. Muszę ci powiedzieć, że ja bardzo lubię się sprzeciwiać różnym panom. Wierzę, że lubi to również moja towarzyszką, chyba że się mylę? – Zmarszczył najeżoną szarą brew, patrząc na Lal.

Staruszka zastanawiała się, podczas gdy zbrojni i ich słudzy głośno rozmawiali, śmiali się między sobą, a chłopiec czekał z pozbawioną wyrazu twarzą na życie albo śmierć. Ogar wciąż jeszcze skamlał wśród ciernistych gałęzi krzaka.

– Oczywiście – rzekła wolno – można czasem dyskutować, ale zwykle się okazuje, że najlepiej powiedzieć „nie”.

Skinął potakująco głową, bez uśmiechu.

– Cieszę się, że tak sądzisz. – Spojrzał wprost na chłopca, po raz pierwszy odkąd Lal zaproponowała mu schronienie. – Jak cię nazywają?

Chłopiec kilka razy bezgłośnie poruszył popękany i pokrwawionymi ustami, zanim wymówił:

– Riaan. Riaan Cajlego.

– Riaan Cajlego – powtórzył Soukyan. – Ach, więc Cajli jest twoim ojcem. Mnie nazywano Soukyan Jamuraka, dawno temu.

Mężczyzna, którego rękaw churfa Soukyana nadal gryzła, parsknął rubasznym śmiechem i pyszniąc się, znowu podszedł do nich, nie spuszczać oka ze zwierzęcia.

– Jestem Cajli, dziadku. To plugastwo *to* mój Riaan i mam prawo rozporządzać nim zgodnie z własną wolą. Bez wątpienia pochodzisz z cywilizowanego kraju i to rozumiesz.

– Oczywiście – szepnęła Lal tak cicho, że tylko Soukyan ją usłyszał. – Oboje to rozumiemy.

Cajli mówił dalej:

– Nie chciałbym obrazić tak zacnych i sędziwych ludzi, ale od dawna zamierzałem połączyć tego nic niewartego tryka z małą jasnowłosą dziewczyną do pilnowania dzieci kolegi Boudrigala... – tu uderzył po ramieniu drugiego zbrojnego – i zobaczyć, co z tego wyniknie. No i co się dzieje? Jak myślicie, co się dzieje? Nie robi tego, wyobraźcie sobie! Ona jest pouczona i gotowa, a on odchodzi. Podobno nie chce sprawiać kłopotu, dziękuje i odchodzi. Jak gdyby, do cholery, miał głos w tej sprawie. Jakikolwiek głos, do cholery!

– Wcale nie gotowa! – zaprotestował chłopiec. – A nawet gdyby się zgodziła, i tak bym jej nie dotknął. Bogowie uczynili nas twoimi sługami, nie twoimi bydlętami!

W tym momencie Cajli zupełnie stracił mowę, a także resztki rozważań i ruszył po Riaana, wznosząc krótki miecz. Lal lekko trąciła swoją churfę kolanem, tak że Cajli wbiegł wprost w bok zwierzęcia, odbił się i rąbnął tyłkiem o ziemię. Belkotał jakieś polecenia i rozkazy do czterech poddanych. Boudrigal machnięciem ręki kazał odsunąć się Lal i Soukyanowi, lecz oni pozostali na miejscu.

Soukyan bez pośpiechu odwrócił się do Lal.

– Zapomniałem, jaki to kraj, przepraszam.

– Zwróć uwagę na tego po swojej lewej stronie – powiedziała staruszka. – Z tej strony zawsze łatwiej cię było zająć.

– To prawda.

Gdyby Lal nie spodziewała się tego, nigdy by nie spostrzegła, jak Soukyan zdejmuje z ramienia łuk i zakłada strzałę na cięciwę. Pierwszą celowo źle wycelował. Boudrigal wybuchnął głośnym śmiechem i wciąż jeszcze się śmiał, gdy następna dosięgła jego prawej nogi. Krew zaczęła tryskać, ale nie bardzo obficie – Soukyan wciąż jeszcze potrafił ominąć tętnicę, gdy tego chciał.

Czterech prostaków znieruchomiała, ale Cajli rzucił się do Lal.

– Zejdz tu do nas, babciu – belkotał z wściekłości. – Zejdz, stara suko, zejdz.

Kiedyś kopniakami zmusiłaby go do ucieczki, teraz zeskoczyła z grzbietu churfy i była na nogach wcześniej od niego, ze szpadą wycelowaną w jego serce.

– Niech i tak będzie – powiedziała desperacko. – Niech i tak będzie.

Cajli zaryczał i znowu rzucił się do ataku, a krótkim mieczem, którym z pewnością połamałby na kawałki jej szpadę, wciąż machał przed sobą. Lal nadal się cofała.

– Niech i tak będzie – ostrzegała stale. – Nie strój sobie żartów ze starych ludzi. Starzy ludzie są niebezpieczni; starym ludziom nie zależy na życiu.

Kątem oka zobaczyła poranioną twarz Riaana, poczuła odrażający oddech swojej churfy na karku i zadała cios. Ciało pamięta – wypad, pchnięcie, powrót do pozycji wyjściowej... ale nie mogła wyciągnąć ostrza z jego piersi i Cajli upadł, pozbawiając ją szpady. Dwóch poddanych zaatakowało Lal, niezdarnie wpadając na nią całym ciężarem. Schyliła głowę, odskoczyła na bok, upadła i przekoziółkowała, grzebiąc jednocześnie w prawym bucie w poszukiwaniu małego sztyletu, który wcześniej tam wetknęła. Boudrigal ze wściekłości i bólu wrzeszczał głośniejsze niż churfy; z okrzyków rozlegających się za nią poznała, że Soukyan, dzięki napiętemu łukowi, pozostałych dwóch mężczyzn trzymał na odległość i czekał, niezwykle cierpliwy, jak zawsze, by nie chybić. Nie zabijaj ich, Soukyanie, pomyślała. Nie tych, nie zabijaj.

Kamień świsnął jej obok ucha i uderzył w brudną skroń mężczyzny, niezdarnie próbującego ją udusić. Sługa upadł do tyłu, ogłuszony, i usłyszała ostry, chrapliwy krzyk Riaana:

– Grop, przestań! Chash, Stenyi, co wy robicie?! Zostawcie tych staruszków! Nigdy nie zrobili wam nic złego, a tych dwóch krzywdziło was przez całe życie! Dlaczego za nich walczyacie?

Sługa, nadal próbujący zaatakować Lal, zawahał się, wyraźnie zdezorientowany. Otarł ręką twarz, zdziwiony popatrzył na nią, na chłopca i Boudrigala, i nieruchome ciało Cajlego, i obrócił się w bok, żeby pomóc chwiejącemu się na nogach towarzyszowi. Tych dwóch, którzy atakowali Soukyana, również wyglądało na niezdecydowanych i przez chwilę Lal myślała nawet, że wszystko może się jeszcze dobrze skończyć. Ale Boudrigal, z trudem dźwignąwszy się na jedno kolano, pod wpływem wściekłości i bólu zaczął histerycznie wrzeszczeć:

– Zabijcie ich, plugawe robaki! Zabijcie ich, albo spalę wasze domy, przysięgam! Zabijcie ich teraz!

– Jest was czterech, a on jest sam! – krzyknął dziko Riaan. – Odmieńcie swoje życie. Czy zawsze musicie być niewolnikami?

Wahanie czterech prostaczków było krótkie: porozumieli się bez słów, porównując całą swoją przeszłość i gorzkie, choć doskonale rozumienie świata z majaczeniem szalonego chłopca i życiem dwojga starych ludzi. Potem z rezygnacją ruszyli naprzód dwojkami, rude psy ujadły tuż za nimi, a wyglądało, to tak, jak gdyby mieli polecenie uprzątać teren albo go zorać. Dwóch znowu zaczęło nacierać na Lal, spychając ją stopniowo w kierunku churfy, a pozostali osaczyli Soukyana, próbując go zmylić, by móc podejść bliżej. Było dla nich jasne, że starzec ociąga się ze strzelaniem, a byli przyzwyczajeni do wykorzystywania każdej, nawet najmniejszej sposobności, jaka im się nadarzała.

Boudrigal upadł, coraz bardziej bredząc, choć wciąż jeszcze wykrzykiwał rozkazy i groźby. Riaan strzelał kamieniami z pastuszej procy tak szybko, że często dwa znajdowały się w powietrzu jednocześnie – co miało taki skutek, że mógł uderzyć jednego ze swoich obrońców przynajmniej co drugim kamieniem. Soukyan w chwili rozdrażnienia obrócił się groźnie w jego kierunku i natychmiast został zaatakowany ze swojej słabej, lewej strony. Jego churfa zaczęła ryczeć i stawać dęba, a Soukyan upadł na ziemię i wypuścił z ręki łuk. Choć niezdarni, pachołcy byli już przy nim, zanim zdołał się podnieść.

Lal wyobraziła sobie, jak wygląda w walce, i sama była zdziwiona – szczupła staruszka kopnęła jednego z napastników w jądra, chwyciła drugiego za gardło i silnie uderzyła. Sztylet zamigotał o zmierzchu niczym świecący owad i jeden z napastników, siedzący okraciem na Soukyanie, wrzasnął, zanim upadł, a ozdobiona klejnotami rękojeść zanurzyła się w jego prawym oku. Jego towarzysz patrzył na to w osłupieniu, potem wrzasnął i lamentując uciekł do lasu. Staruszka schyliła się po sztylet, wytarła go o spodnie, potem poszła wyciągnąć szpadę z klatki piersiowej Cajlego. Bezwiednie nuściła coś pod nosem.

Boudrigal już wcześniej stracił przytomność, a Riaan wyglądał tak, jakby za chwilę miał zrobić to samo. Dwóch pozostałych pachołków próbowało wstać i widać było, że są bardzo zmęczeni. Stale oglądając się na Lal i Soukyana, z trudem podeszli do swoich panów: jeden z nich bojaźliwie zamknął Cajlemu oczy, drugi ukląkł przy Boudrigalu, bezskutecznie próbując wyciągnąć strzałę z jego uda i zatamować krew. Soukyan odsunął go na bok, odłamał zakończony piórami koniec strzały i pchnął ją głębiej, wyciągając z nogi drugim końcem. Boudrigalowi wróciły zmysły, nabrał powietrza, żeby krzyknąć, próbował splunąć i stracił przytomność ponownie.

Lal potrząsnęła głową, jeden raz, gwałtownie, jak gdyby budziła się z przykrego snu i przykucnęła na piętach przed Soukyanem. Oczyściła ranę Boudrigala, każąc oszołomionemu i milczącemu Riaanowi, aby podarł koszulę swego pana na pasy, których będzie można użyć jako bandaży.

– Jeżeli chcesz, pochowamy twego zmarłego – powiedziała bez emocji do jednego z poddanych, gdy zajęta była opatrywaniem rany. – Jesteśmy starzy, ale nadal po sobie sprzątamy.

Służący potrząsnęli przecząco głowami, odpowiadając, że Cajlemu należne są pewne obrządki, których dopełnić może tylko jego rodzina; muszą zawiadomić o jego śmierci, ryzykując, że otrzymają karę nawet za to. Martwy prostak w ogóle nie może być pogrzebany, gdyż zawiódł swego pana. Pozostanie tu jako żer dla ptaków i owadów. Jedynie Boudrigala, rannego, wolno było tym dwóm pozostałym przy życiu zanieść do domu; a i tak gdy wyzdrowieje, będzie musiał być całkowicie oczyszczony z ich dotyku. Dźwignęli swego pana i pobiegli, nie okazując na brudnych, pooranych brudami twarzach żalu ani strachu, złości ani smutku.

Powolne brzęczące cienie usadowiły się już na obu ciałach. Soukyan i Lal popatrzyli na siebie; Riaan spostrzegł, że staruszek drży, a czarna kobieta mocno splata ramiona na piersi, jak gdyby próbowała zapanować nad czymś, co jest bliskie wybuchu.

– Wygląda na to – powiedział Soukyan cicho – że zawsze kopujemy groby przy świetle księżyca.

– Musimy pochować tego, którego zabiłam – odpowiedziała. – O tamtego nie dbam, ale tego musimy pochować.

– Wrócą i go wykopią – rzekł Riaan. – Na pewno, już widziałem, jak kiedyś to robili.

Soukyan w milczeniu skinął głową.

– I co z tego? – westchnęła Lal.

Była już noc, gdy we troje skończyli dłużyć w ziemi płytki rów, a po złożeniu w nim ciała usypali z kamieni wysoki stos. Lal wyszeptała coś w swoim języku, a Soukyan rzekł uroczyście:

– Nie chcieliśmy cię zabić. Przebaczymy ci, choć uczyniłeś nas zabójcami. – Odsunął się na bok i spojrzął na Riaana.

Chłopiec przez chwilę patrzył bezmyślnie; potem ukląkł przy kopcu.

– Stenyi, byłeś głupcem i umarłeś za nic. Kochałem cię. Żegnaj. – Wolno powstał z kolan, oczy miał suche i w świetle księżyca bardzo smutne.

– Nos pewnie bardzo cię boli. – Soukyan schwycił Riaana od tyłu mocno jedną ręką, a złamany nos drugą. Chłopak zaskowy-czał jeden raz, krótko. – Dobrze już – rzekł starzec. – Więcej nic nie zrobię. Zagoi się. – Odwrócił się w kierunku Lal. – Nic ci nie jest?

Do cholery, wszędzie jestem poobijana – powiedziała rozdrażniona. Mocno masowała lewe ramię i trochę krzywiła się z bólu przy każdym oddechu. – Bogowie, czy zawsze można mnie było posiniaczyć tak łatwo? Nie miałam pojęcia, że zrobiłam się taka delikatna. Przez dwie minuty pchałam i przerzucałam parę nie uzbrojonych kmiotków i jestem potłuczona jak jabłko. Oburzające!

Soukyan uśmiechnął się na tyle, na ile pozwalały mu rozbite, obrzmiałe wargi. Stracił boczny ząb, jedno oko miał podbite i spuchnięte.

– To moja wina – mamrotał do siebie, gdy schylił się, aby podnieść łuk. – Mogliśmy tego uniknąć.

– Nie masz racji – rzekła Lal.

Oboje odwrócili się w kierunku Riaana, który zacerwienił się pod ich spojrzeniem, co sprawiło, że wyglądał na jeszcze młodszego.

– Przykro mi, że tyle przecierpeliście, ratując mi życie – odezwał się z zadziwiającym dostojeństwem – ale nie musicie się dłużej mną zajmować. Teraz sam się o siebie zatroszczę. Żegnajcie. Jestem wam wdzięczny.

Ruszył drogą, którą przyjechali, próbując nawet nucić wesoło, tak jak robiła to Lal. Zdołał przejść jakieś dziesięć kroków, zgął się i upadł. Soukyan utykając podszedł i podniósł go bez trudu, patrząc na Lal krzywo.

– Sądzę, że mimo wszystko jest nasz.

– Posadź go na mojej churfie, z przodu – powiedziała. – Mogę go podtrzymać.

– Churfy nie poniosą dwojga, Lal.

– Motyl poniesie.

– Motyl? – Soukyan ze zdziwienia omal nie upuścił chłopca.

– Nazwałam ją tak. Albo jego, *to* bez znaczenia. A jeżeli nie poniesie nas dwojga, pójdę pieszo. Potrzebuję ruchu.

Churfa najpierw niezwykle silnie i wyraźnie okazała gniew, a potem poniosła ich oboje i jechali bez ustanku aż do zachodu księżyca, z obawy przed pościgiem. Riaan przespał całą drogę, mówiąc coś przez sen płacząco, ale nie obudził się ani razu, nawet gdy został zdjęty z churfy, położony ostrożnie na suchej trawie, gdzie nie było kłujących chwastów, i okryty postrzępionym zapasowym płaszczem Soukyana. Lal i Soukyan, rozmawiając sennie, położyli się w pobliżu.

– To moja wina, moja wina. Powinienem pamiętać, jaki lud zamieszkuje tę krainę. Gdybym Boudrigala nie przeszył strzałą, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej...

Tak uważasz? – Głos czarnej kobiety był cichy i spokojny. – Gdyby on cię zabił, a Cajli zabił mnie... tak, przypuszczam, że wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Jednak muszę przyznać, że ten szalony chłopak bardziej mi się podoba.

– Nie uzbrojone kmiotki – powiedział z goryczą Soukyan. – Nawet tamci dwaj to też słabe, bezbronne kmiotki. Żalose. Żalose. Pomyśl tylko, gdzie bywaliśmy, *co* przeżyliśmy, *co* widzie-liśmy i zrobiliśmy, i musieliśmy zrobić, jakich mieliśmy przyja-ciół i wrogów – strasznych, walczących zgodnie z nakazami honoru wrogów – i żeby tak skończyć! Jak rzeźnicy! Jest mi bardzo wstyd, Lal. Żałuję, że dożyłem świtu.

– Jestem pewna, że Boudrigal czuje to samo – odparła. – Jestem mniej dumna od ciebie. Dla mnie śmierć to śmierć; zawsze jest jednakowa, a honor nie ma z tym nic wspólnego. Szkoda, że musiałam zabić tych ludzi, ale stało się. No cóż, musimy się dostać do Kulpai.

– Kulpai. Co mnie opętało? Dlaczego było to takie ważne, że musiałem ciągnąć cię ze sobą w podróż? Wybacz mi, Lal. Wracaj do domu, zostaw mnie z tym drugim głupcem i wracaj do tamtego mądrego, drogo okupionego życia, z którego cię wyrwałem, sam już nie wiem czemu. Nie chcę ci więcej sprawiać kłopotów.

Lal milczała długo i Soukyan w końcu pomyślał, że zasnęła. Omal nie podskoczył z wrażenia, gdy usłyszał jej słowa: spokojne i jakieś dalekie, ale bardzo wyraźne.

– Mam swoje powody, aby z tobą podróżować. Niepokój o pomyłonego starca był tylko jednym z nich.

Potem naprawdę zasnęła i on również, a kiedy się obudzili, słońce zaczęło się już obniżać.

Riaan rozpałił małe ognisko i piekł nad nim trzy małe rybki na odartych z kory gałązkach krzaka *harsi*. Nappełnił bukłaki wodą ze strumienia, gdzie złowił ryby, nakłonił churfy do objedzenia kępek niebieskich jeżyn, które przedkładały nad inne, i siedział teraz blisko ognia, z rękami splecionymi wokół kolan. Nos miał nadal spuchnięty, a twarz siną. Niemniej jednak był ładnym chłopcem, szarookim i czarnowłosym, i wydawał się zadowolony z tego, gdzie jest, gdy tak zapatrzony w ogień czekał, aż się obudzą. Lal przez wiele ranków widziała tak samo cierpliwie czekającą Choushi-wai.

– Nigdy nie byłem tak daleko od domu – powiedział do nich cicho. – Nigdy nie widziałem takich ludzi jak wy. Z wyjątkiem pielgrzymów i domokrażców, nigdy nie widziałem nikogo, kogo nie znałbym całe życie. A wy z pewnością nigdy nie spotkaliście nikogo, kto wiedziałby równie mało jak ja. – Jego niepewny uśmiech sprawił, że wyglądał nawet na mniej niż siedemnaście lat.

– Nie dalej jak wczoraj zabiłam dwóch ludzi – westchnęła Lal.

Chłopiec nerwowo przełknął ślinę, a Soukyan rzekł:

– Jedziemy do Kulpai. Możesz się z nami tam wybrać albo pozostać w Jahmanyar, jak wolisz. Sądzę, że twoi panowie nie będą cię ścigać.

– Nie będą – wyszeptał Riaan. – Też niewielkie mają pojęcie o świecie. Pomyśleliby, że słowa takie jak Kulpai czy Jahmanyar to przekleństwa albo coś do jedzenia. Ja wiem, że to duże miasta, ale nigdy jeszcze żadnego miasta nie widziałem, nie widziałem też innej wsi, tylko moją rodzinę. W chwili gdy was ujrzałem, zrozumiałem, że niczego nie wiem. Nie przydam się wam w podróży, nawet jako towarzysz, będę tylko ciężarem. Zapomnijcie o mnie. Dziękuję wam i zapomnijcie o mnie.

Soukyan usiadł przy ognisku bez słowa. Zdjął z patyka jedną z ryb i zjadł ją od razu.

– Dobra – pochwalił. – Bardzo smaczna.

Lal poklepała Riaana lekko po ramieniu i wzięła swoją rybę.

– Jesteś odważny i potrafisz gotować – stwierdziła. – Zjedz śniadanie, a potem przedstawię cię Motylowi.

Nawet w dolinie noce były już mroźne, często brakowało suchego drewna, które można by dorzucać do ognia aż do rana. Staruszkowie – którzy do tego czasu przyzwyczaili się do odoru – spali coraz bliżej churf. Chłopiec nie skarżył się, ale Soukyan raz podejrzwał, że całą noc chodzi w tę i z powrotem, i zabija ręce dla rozgrzewki. Zniknął wczesnym rankiem jeszcze tego samego dnia i dogonił ich dopiero po zachodzie słońca, a z ramion zwisała mu skóra *guangsu* o gęstej sierści, żyjącego na nizinach dzikiego kuzyna *rishu*.

– W zamian za mięso wieśniacy pomogli mi ją wyprawić – powiedział, zbywając wyrazy wdzięczności ze strony Riaana. – W tym kraju wiedzą, jak szybko wygarbować skórę. Prostacki, niedbały sposób, ale skuteczny.

Riaan spał tej nocy cieplej niż oni, na co kilka razy zwracała uwagę Lal.

Gdy już zeszli ze wzgórz, wokół rozciągały się tereny rolnicze. Najpierw ukazały się pastwiska, najlepsze łąki roily się od tłustych *rishu* i pokrytych meszkiem *jehebhais*; na najslabszych pasły się chude dwunożne *drushindis*, bezwartościowe, pomijając ich łajno, które może być używane zarówno jako opał, jak i dobry nawóz. Wędrowcy całymi dniami nie widywali ludzi. Niebo było wysokie i blade, i stale zamglone, co sprawiało, że oszacowanie odległości stało się prawie niemożliwe. To wszystko fascynowało chłopca, ale Lal była znudzona, a nawet przygnębiona. Soukyan popędzał wierzchowce, prawie nie patrząc na prawo i lewo.

– Wciąż jeszcze możemy dotrzeć do Kulpai, zanim spadnie śnieg, jeżeli będziemy jechać od świtu do zmierzchu. I, oczywiście, jeżeli nie będziemy musieli się zatrzymywać, żeby pochować jeszcze kogoś.

Przyjemniej było jechać wśród sadów. Teren pofałdował się znowu – chociaż nigdzie nie wybrzuszał się na tyle, aby stać się prawdziwymi wzgórzami – a białe niebo rozpadało się na tysiące białych wytwornych chmur. Liście drzew *ki* były już tak złote jak ich wielkie niczym pięść owoce, które roje rozkrzyczanych dzieci zbierały do splecionych w kratkę siatek, zawieszonych na wysokich tyczkach. Widać też było późne maradisy, a nawet jabłka zimowe – Soukyan twierdził, że tu, daleko na południu, są używane wyłącznie jako pasza. Lal zerwała kilka, gdy przejeżdżali pod przecięzionymi gałęziami, i pokazała Riaano-wi, że można je jeść. Pierwszy kęs wypluł, następnie próbował ostrożnie, a potem zjadł wszystkie owoce.

Mniej się jej kępował niż Soukyana. Bardzo cichy w ciągu dnia, wieczorem, kiedy już się położyli w jakimś gęstym, pachnącym gaju, zasypywał ją pytaniami bez końca na temat świata i ich życia. Tego Lal oczekiwała, natomiast zdziwiło ją, że tak wiele pytań dotyczyło jej rodziny i rodziny Soukyana. Kiedy mówiła: „Riaan, naprawdę nie wiem” albo „Riaan, o pewnych sprawach zazwyczaj nie rozmawiamy”, był autentycznie wstrząśnięty i powoli zaczynała rozumieć dlaczego.

– Jak churfy – powiedziała do Soukyana, gdy jechali razem. – Rozmnażają się jak zwierzęta. – Powiedziała to w starym języku, którym mówili oboje, kiedy chłopiec drzemał oparty o jej plecy. – Wie, kim jest jego matka, i to wszystko. Przypuszcza, że ma przyrodnych braci i siostry, ale nie jest tego pewien. Dla niego to cud, że ty i ja znamy swoje rodziny. Zaledwie potrafi wyobrazić sobie taką sytuację. – Głos miała zupełnie bez wyrazu, jak zwykle, gdy była czymś szczególnie rozgniewana.

Może to i lepiej – odparł starzec. – Naprawdę tak myślę i wiem, co mówię. Być może, ludzie w tym nędznym kraju są mądrzejsi, niż nam się wydaje.

– Wiem, co się stało z twoją siostrą – rzekła Lal. – Ty wiesz, co się stało ze mną, gdy mnie wykradziono z domu. Ale to co innego.

– Naprawdę co innego? Moja siostra została sprzedana przez rodziców rozpustnemu durniowi, który ją zabił. Czy bardzo się to różni od tego, co robiono Riaanowi przez całe jego życie? Owszem, on nigdy nie nauczył się nikogo kochać, kogo raptem by mu odebrano na zawsze. Naucz go doceniać ten dar.

Soukyan nie powiedział już ani słowa aż do wieczoru.

Dwa dni później, kiedy rozbili obóz na skraju sadu, jedząc owoce *ki*, resztki suszonych ryb i pijąc wodę z pobliskiego strumienia, Soukyan oświadczył, że dzieli ich dzień drogi do gościńca Churuch i trzy dni od Jahmanyar.

– Najdalej za dziesięć dni będziemy wdychać powietrze Kul-pai. Czy pamiętasz jeszcze zapach Kulpai, Lal?

– Czuć tam zatechłą wodą – powiedziała. – Zepsutymi warzywami. Żadne miasto na wybrzeżu nie pachnie mniej morzem niż Kulpai.

Soukyan szybko usnął, ale Riaan zupełnie nie miał ochoty na sen, a to oznaczało, że i Lal szybko nie zaśnie. Poprosił, aby mu opowiedziała jakąś historyjkę: ponieważ nigdy wcześniej żadnej nie słyszał, z wyjątkiem kilku oderwanych fragmentów, które jego matka była w stanie sobie przypomnieć, słuchał zatem łapczywie, jak dziecko o wiele młodsze. Lal opowiedziała mu ulubioną historyjkę Choushi-wai, w której występowało magiczne drzewo, bliźniaczki – córki królowej i młody mnich, który rozpoczął niebezpieczne poszukiwania, jak również duch poety. Kiedy skończyła, Riaan westchnął zadumany.

– Chciałbym, żeby to była prawda. Chciałbym, żeby wszystkie historie były prawdziwe.

Lal uśmiechnęła się w ciemności.

– Wszystkie historie są zmyślane, tak to już jest. Ale na swój sposób są prawdziwe, każda z nich, a czasami okazuje się nawet, że największe kłamstwo jest prawdą. I nie pytaj mnie, dlaczego tak jest, ponieważ nie potrafię na to odpowiedzieć. Ale tak to już bywa z historiami.

Chłopiec milczał na tyle długo, że Lal prawie zasnęła, ale obudził ją nagle.

– Więc duchy istnieją. Cieszą się. Ten duch w opowieści, który był przyjacielem... dobrze byłoby spotkać takiego ducha. Mógłby mi opowiedzieć o moim ojcu.

– To zależy od ducha – wymamrotała. – Nie wszystkie są takie jak ten, wierz mi. – Dopiero potem uświadomiła sobie jego ostatnie słowa i otrząsnęła się ze snu. – Dlaczego tak cię to interesuje? Dlaczego ma to aż takie znaczenie, który z tych... – bezskutecznie usiłowała znaleźć odpowiednie słowo w jego języku – który z tych złych ludzi cię spłodził?

– Och – odpowiedział zadziwiająco chętnie – ponieważ wiem, że to nie był Cajli, a więc i żaden z pozostałych wielkich panów... Moja matka nigdy niczego na ten temat nie powie, ale sądzę, że mój ojciec nie żyje. Sądzę, że był podobny do nas, podobny do mnie. Sądzę, że... troszczył się o moją matkę. Możliwe, że nie był w stanie jej ochronić, możliwe, że nie mógł być ze mną, ale na pewno troszczył się o nas. Czasami myślę nawet, że stracił życie w naszej obronie. Muszę wiedzieć, Lal, rozumiesz?

– Tak. Musisz. – Owładnęły nią wspomnienia, uporczywe i powolne, i wiedziała, że teraz już nie zaśnie. – Możliwe, że zasmuci cię to, czego się dowiesz, ale to też musisz wiedzieć.

Riaan usiadł, wpatrując się w mrok i szukając po omacku jej ręki, jak przestraszone dziecko.

– Światelka – powiedział. – Lal, co robią te światelka? O tam, spójrz.

Było ich tuzin, może więcej, mikroskopijnych i słabych, balansujących wolno pomiędzy drzewami, krążących niczym tancerze. Od czasu do czasu opadały szybko, prawie do ziemi, potem drżąc szybowały prosto w górę, na wysokość ludzkiego serca. Lal uściśnęła lodowatą dłoń Riaana.

– To tylko nocni zbieracze, nie bój się. Przychodzą zbierać to, co strąci z drzew wiatr, co robotnicy w ciągu dnia ominą albo odrzucają.

– My też to robimy – szepnął Riaan. – Nie w sadach, ale na polach, gdzie rośnie zboże, na polach, gdzie uprawiają jagody. Robimy to samo.

Długo obserwował małe ogieńki, zanim znowu się położył, a Lal zaczęła patrzeć na księżyc i opowiadała sobie bardzo stare legendy aż do rana.

Gościńiec Churuch okazał się całkiem przyzwoity – przynajmniej w porównaniu z porośniętymi jeżynami drogami i ścieżkami dla *rishu*, którymi dotąd podróżowali – i Riaan, oczarowany, stale zsuwał się ze swojego miejsca za Lal, żeby badać wszystko, od nieznanych kwiatów i śladów zwierząt do małych rybek w mrocznych kanałach. Potem musiał biec,

żeby dogonić pędzące truchtem churfy. Wróciła mu siła i wytrzymałość, często biegnąc zataczał koła wokół nich dla przyjemności. Lal skorzystała z okazji i streściła Soukyanowi ich nocną rozmowę. Starzec zaledwie pozwolił jej dokończyć.

– Nie! Nie, absolutnie nie!

– Co nie? – spytała naprawdę zaskoczona. – Co zaproponowałam, o czym sama nie wiem?

Riaan wskoczył na swoje miejsce za nią i nie mogła rozmawiać z Soukyanem aż do wieczoru, kiedy rozbili obóz na dzikiej łące, a chłopak poszedł nabiierać drzewa na ognisko. Soukyan odzierał ze skóry tłuściutką, długouchą *sayao*. Mileżał, jej decyzji pozostawiając, czy zechce poruszyć ten temat, który dotychczas nie stał się jeszcze tematem w pełnym tego słowa znaczeniu. W końcu powiedziała:

– Chce się tylko dowiedzieć, kim był jego ojciec. Nawet bogowie nie potrafiliby dopatrzeć się w tym niczego godnego potępienia.

Soukyan nie spojrzął na nią.

– Jego ojciec nie żyje, czy tak?

– Chłopak tak uważa. Prawdopodobnie ma rację.

– Prawdopodobnie. – Soukyan obrócił się tak nagle, że Lal się przestraszyła. – A ty jeszcze utwierdzasz go w szalonym pomysle, żeby wezwać tamtego zmarłego wieśniaka... nie, gorzej niż wieśniaka, on był pługiem roboczym, łopata, wiadrem na odpadki! Chcesz przywołać to nędzne coś z powrotem ze stanu wiecznego spoczynku, który został drożej okupiony, niż nam się to może wydawać, a wszystko tylko dlatego, że jego synalek przez chwilę był ciekaw tatusia! Nie próbuj nawet zaprzeczać! Między nami mówiąc, to nie jest warte tylu starań. Wybij to sobie z głowy już teraz. Nie, Lal.

Nawet w szybko zapadającym zmierzchu dojrzała wyraz jego oczu. Podeszła i usiadła obok, wyciągnęła rękę, aby wziąć ustrzeloną zdobycz i nóż do odzierania ze skóry.

– Daj mi to, bo posiekasz mięso razem ze skórą i wnętrznościami.

Patroszyłem *sayao*, gdy nie potrafiłaś jeszcze odróżnić ballady od czkawki! – burknął, ale potem się uśmiechnął. Po chwili rzekł zamyślony: – Tak wiele jest zaklęć, a my przez cały czas, jaki spędziliśmy wśród wielkich czarnoksiężników, zdołaliśmy się nauczyć tylko tej szczypty magii. O ile pamiętam, dowiedzieliśmy się również, dlaczego nawet wielcy czarnoksiężnicy obawiają się przyzywać umarłych.

– Wiem, naturalnie, to nie zabawna sztuczka dla poklasku gawiedzi. Ale mimo wszystko czasem przywołują umarłych.

Usłyszeli, jak Riaan śpiewa w oddali pogodną melodię bez słów, jedną z tych, którymi Lal uspokajała churfy.

– Z całym szacunkiem – odezwała się Lal – ale co w tym złego?

– Co złego? Zło tkwi w splocie przypadków, Lal, przypadków, które się zdarzają ponad naszymi pragnieniami. Jeżeli nauczyliśmy się czegokolwiek od jakiegoś czarodzieja, to właśnie tego, że nie ściana oddziela ten świat od... od pozostałych, o których wiemy tak niewiele. Nie ściana, lecz tama. Otwórz ją, w najlepszych intencjach dla jednej całkowicie nieszkodliwej duszyczki, a żadne z nas nie odgadnie, co się razem z nią przedostanie tutaj. Ale oboje bardzo dobrze wiemy, co mogłoby się tu wedrzeć. – Zaczął dramatycznie wymachiwać wypatroszoną *sayao*. – Oni nie powinni być tutaj, przeningdy, wszechświat tego nie znosi. Lal, daj temu spokój.

Śpiewanie słyhać było coraz bliżej; dostrzegali już w ciemności obładowanego drewnem chłopca.

– Masz rację – potaknęła Lal. – Nie spieram się z tobą. Masz rację.

Soukyan popatrzył na nią niezwykle podejrzliwie.

– Ostatnim razem, gdy słuchałaś mnie tak potulnie, nie minęło nawet dziesięć minut, a już byliśmy w najgorszych opałach, jakie przydarzyły się nam w ciągu całego życia.

Chłopiec zrzucił na ziemię drewno i natychmiast zabrał się do przygotowania ogniska. Nie mogli rozmawiać dalej, dopóki nie usłyszał historyjki i nie zasnął; a do tego czasu Soukyan obchodził teren. Jak każdego wieczoru przeszukiwał łąkę i pobliski las, dopóki nie zapoznał się z okolicą lepiej niż rdzenni mieszkańcy. Lal zakopała resztki posiłku i usiadła przy ogniu, pilnując, aby nie zgasł, i oddając się cowieczornemu rytuałowi czyszczenia zębów ułamaną gałązką. Od czasu do czasu wypowiadała szeptem kilka słów w języku, który brzmiał tak, jak gdyby kości łamano w olbrzymich szczękach. Próbowwała wymawiać te zwroty wciąż od nowa, zmieniając szyk i akcent, najwyraźniej wciąż niezadowolona z rezultatów. Płomień ogniska nadał jej oczom i kościom policzkowym barwę czerwonego złota, jaką miały palące się kawałki drewna.

– Co za szczęście, że nigdy nie potrafiłaś wymówić poprawnie *g'reuilljk* – odezwał się Soukyan tuż za nią. – W przeciwnym razie trudno przewidzieć, co by się z nami stało.

Lal przez całe życie ćwiczyła się w panowaniu nad sobą, więc nawet nie odwróciła głowy. Wrzuciła gałązkę do ognia i splunęła.

– Wymawiam to zaklęcie równie dobrze jak ty. Ale nie pamiętam, co należy zrobić, zanim się je wymówi.

– To całkiem proste – odparł Soukyan. – I przedmioty, które musisz mieć, są bardziej dostępne, niżbym tego sobie życzył. Na szczęście księżyc nie jest we właściwej kwadrze ani Ogrodnik – wskazał zasnutę chmurami niebo – nie ma teraz przewagi. Dlatego możesz od razu zaniechać pomysłu, który kiełkuje pod tym wspaniałym nakryciem białych włosów... bardzo twarzowych, czy już wspomniałem o tym? Całkowicie wprowadzających w błąd, ale twarzowych. – Gdy Lal nie odpowiedziała, położył delikatnie dłoń na jej ramieniu. – To ma większe znaczenie, niż przypuszczałem. Dlaczego?

– Bo ja jestem Riaanem – odpowiedziała staruszka. Twarz miała ściągniętą, wzrokiem błędziła gdzieś daleko. – Ponieważ wiem, co mu zrobiono, lepiej niż on sam. I wiem, jak takie życie może wpłynąć na dziecko. Tak jak tamten dozorca więzienny i jego syn martwią cię, tak wspomnienie o Riaanie nie dawałoby mi spokoju przez cały czas, jaki mi jeszcze został, gdybym nic dla niego nie zrobiła.

Usiedli razem, w milczeniu wpatrując się w ciemność. Ponad nimi wiatr jęczał słabo w koronach drzew i nawet trzask płomieni przypominał dźwiękiem gałęzie łamiące się pod ciężarem śniegu. *Korevu* zakrzyczał żałośnie gdzieś w pobliżu.

– Dziwne – wymamrotał Soukyan. – Cholerne zwierzęta, powinny już zapaść w zimowy sen. – Przynął swój łuk bliżej i szturchnął płonące drwa, aby się lepiej zaczęły palić.

– A co potem, po Kulpai? – spytała Lal.

– Nie wiem. – Soukyan nie patrzył na nią. – Masz dokąd wrócić. Moja pokuta, moje zadośćuczynienie człowiekowi, którego tak skrzywdziłem, było moim jedynym celem przez tak długi czas, że zapomniałem, co to jest dom. Z pewnością się starzeję. – Rozłożył ręce nad ogniem, przypatrując się bliźnim. – Nie wiem, gdzie pójdę potem, Lal. Na coś się jednak zdecyduje.

Lament *korevu* powracał raz po raz, na pozór ze wszystkich stron, jak to zwykle bywa. Soukyan nie powiedział już ani słowa, ale założył strzałę, naciągnął bez widocznego celowania i wypuścił prosto w ciemność. W odpowiedzi nie dobiegł ich żaden syk bólu ani alarm na trwogę, ale nieznośne zawrodożenie już się nie powtórzyło tamtej nocy, chociaż siedzieli bez ruchu aż do świtu.

W przeciwieństwie do Doule, Jahmanyar to prawdziwe miasto, i do tego piękne, położone na tyle blisko wybrzeża, żeby obfitować w towary przywożone z wysp południowych i zamorskich krajów. Byłby najprawdziwszym wielkim portem, tylko że nie leży na brzegu morza. Riaan absolutnie wszystko widział po raz pierwszy – ulicznych tancerzy i poetów układających wiersze na zamówienie, sprzedawców rozwożących na wózkach ryby *jai*, skradających się handlarzy trucizną, wielkie kurtyzany niesione na umówione spotkania przez służących odzianych w liberię. Jedynie surowe groźby powstrzymały go od zsunienia się z churfy Lal i zniknięcia na zawsze w jednych z setek drzwi o złożonych kotarach albo w jednej ze stu zdumiewająco anonimowych i tajemniczych uliczek.

Spędziła noc w gospodzie Pod Złotym Morskim Kaczorem. Była usytuowana na bocznej ulicy, ale takie odgłosy bijatyk, krzyków i śpiewów rozbrzmiewały pod ich oknami przez cały czas, że równie dobrze mogli rozbić obóz na rynku. Lal natychmiast zleciła, aby posiłek przyniesiono im na górę, ale Riaan tak bardzo chciał wejść do głównej sali, że pomimo złych przeczuć ustąpili i zeszli na dół. Po drodze Soukyan powiedział do Lal cicho:

– Oto co znaczy być dziadkami. Już tego nie znoszę.

– Tak uważasz? A więc musieliśmy mieć ładną córkę – powiedziała łagodnie Lal. – Naprawdę ładną.

Na głównej sali panował zupełny chaos, co odpowiadało Riaanowi całkowicie. Mimo że byli w portowym mieście, jadłospis, jaki oferował właściciel gospody, ograniczał się do zbyt wysmażonych kotletów i nie, dopieczony eh pasztecików z zielonego węgorka oraz wina, co do którego pojawiło się pewne podejrzenie, że jeszcze niedawno było wodą w stawie. Soukyan zmierzył wzrokiem pijanych mężczyzn, którzy przepychali się przy ich stole, powstrzymał Lal przed wypędzeniem jednego, który miał zamiar oddać mocz na jej nogę, i ponaglił Riaana, żeby jadł szybko, bo muszą wyjść najdalej za pół godziny.

– Dlaczego? – zdziwił się chłopak.

– Ponieważ dzisiejszego wieczoru jest tu z tuzin zawadiaków i przynajmniej tyleż samo marynarzy z frachtowców, stojących u nabrzeża. Pół godziny, może mniej.

– O, czarodziej – zauważył zdumiony Riaan.

Rzeczywiście, niski, wyglądający na poirytowanego mężczyzna, ubrany na czarno i szaro, co wskazywało, że był niższą rangą w swoim rzemiośle, stał na szynkwasiu i strzelał palcami, aby wykrzesać z ich koniuszków ogień. Riaan wstrzymał oddech.

– Trzeciorzędni zawsze tak zaczynają – mruknęła Lal. Widownia nie zwracała na magika uwagi, dopóki nie tupnął nogą w pewien określony sposób i coś o podekscytowanych żółtych oczach, długich żółtych zębach i czerwonych jak krew skrzydłach nie przemknęło wysoko pod stropem, dźwięcząc jak miecz uderzający o kamień. Okrzykiwały się, pochylając się złośliwie nad przerażonymi pijakami, i zniknęło w kominie z oguszającym pierdnięciem. Riaan zaczął wznosić entuzjastyczne okrzyki i czarodziej wyraźnie skinął głową w jego stronę, co sprawiło, że Soukyan prychnął niczym poirytowana churfa, a Lal szepnęła:

– Nie odbieraj mu przyjemności. Widzisz, jak się cieszy.

– Dobrze, babciu, będę cicho – wymamrotał w odpowiedzi Soukyan.

Od tej chwili czarodziej kierował swoje sztuczki wprost do Riaana, zawadiaki i marynarze byli już zbyt pijani, żeby zwracać uwagę na cokolwiek z wyjątkiem starej wzajemnej nienawiści. Chłopiec siedział zachwycony, zapomniawszy o jedzeniu, a magik zonglował kufkami i podrzucał je w powietrze, by spływały w dół niczym płatki kwiatów. Potem w pustych rękach czarodzieja pojawiały się małe ptaszki, wreszcie piwo – lepsze od tego, jakie kiedykolwiek podawano w Złotym Morskim Kaczorze – popłynęło strumieniami z jego uszu, nosa, czubka głowy, z kieszeni płaszcza. Nawet marynarze na krótko zwrócili uwagę na te występy, nawet Soukyan zaczął się śmiać.

– Niech będzie, drugorzędny – mruknęła Lal.

Na koniec czarodziej poprosił o ciszę, ale nikt go nie usłyszał. Klientela szybko zbliżała się do punktu kulminacyjnego zabawy. Ktoś ryknął i rzucił krzesłem. Chybiło celu, rozbiło się o bar. Czarodziej rozgniewał się, odrzucił do tyłu szary płaszcz i skłonił głowę szybko i dyskretnie. Wyjął garść czerwonego proszku z ukrytej kieszeni, garść niepozornie wyglądających ziół z innej, cisnął to na szynkwias przed sobą, splunął trzy razy i wypowiedział słowa, których ani Lal, ani Soukyan nie mogli usłyszeć w tym zgiełku. Białe jak kość, białe jak larwa, ohydnie białe stworzenie zaczęło przybierać realne kształty w gęstym od dymu powietrzu. Rósł tak samo, jak rośnie perła albo dziecko, rozwijając się wokół jednej promiennej iskielki, od miejsca, gdzie powinno być jego serce. Ale był martwy, martwy od bardzo dawna i nie umarł spokojną śmiercią ani nie znalazł wytchnienia za grobem. Okrywały go szaty sztywne i brązowe od zakrzepłej krwi, a z jego przezroczystej twarzy o pustych oczodołach znać było wściekłą zawiść o to, co żyje. Skulił się w powietrzu, zasy-czał cicho, na próżno próbując wymierzyć cios niepozornemu człowiekowi, który go przywołał. Czarodziej udaremnił to jednym słowem, nie przestając się uśmiechać.

Co to było za słowo? Nikt nie usłyszał w ogólnym rozgardiaszu. Pewien marynarz rzucił w zjawę butelką, choć najprawdopodobniej była przeznaczona dla pijanego zawadiaki, który uniósł dwóch marynarzy ponad podłogę, każdego trzymając za gardło i nie przestając im mozolnie tłumaczyć jakiegoś punktu etykiety. Butelka przeleciała przez widmo i walnęła w głowę właściciela gospody, który ze swobodą, jaką daje długie doświadczenie, wy dostał z za baru pałkę i zaczął okładać nią wszystkich dookoła. Zawadiaka cisnął podduszonych marynarzy we właściciela gospody i sam przeskoczył przez kontuar. Kilku pijanych poszło za jego przykładem.

– Wychodzimy – zdecydował Soukyan i razem z Lal, łukiem i laską torując drogę wśród walczących, odciągnęły Riaana od stołu, który chwilę potem przewrócił jakiś zawadiaka, śpieszący na ratunek kolegom. Chłopiec nie protestował,

ale obrócił się w drzwiach, by popatrzeć jeszcze raz na czarodzieja. Ten niepozorny człowiek stał przy bocznej ścianie, ignorowany nadal, a wywołane przez niego widmo mamrotało bezsilnie ponad głowami walczących. Czarownik otarł czoło i strzelił palcami, aby je wypędzić. Spostrzegłszy trójce wychodzących, uklonił się uroczyście Riaanowi, obrócił się szybko na palcach, tak jak to zwykle robią czarodzieje, i zniknął w tym samym obłoku dymu co i zjawa. Pozostała po nich tylko niemila woń butwiejących kwiatów.

– Wychodzimy, wychodzimy, wychodzimy! – ponaglał Soukyan.

Spędzili resztę wieczoru w pokoju, przysłuchując się dyspacie prowadzonej pod schodami do późna w nocy. Riaan nie powiedział prawie ani słowa, raz tylko zapytał:

– To był duch, prawda? Prawdziwy duch?

– Mówiłam ci, że nie wszystkie są jak ten w opowieści – odrzekła Lal.

Riaan w milczeniu skinął głową. Soukyan, który sypiał równie czujnie pod dachem, jak pod gołym niebem, coraz to budził się tej nocy. Za każdym razem widział, jak chłopiec z otwartymi oczyma leży nieruchomo w łóżku pod oknem, a promienie księżyca posrebrzają jego twarz.

Równie spokojny był w ciągu następnych dni, gdy podążali drogą do Churuch. Pomiedzy Jahmanyar i Kulpai ciągną się ba-gniska. Są urokliwe, rozbrzmiewają krzykiem wodnego ptactwa, pachną różami najpóźniejszych odmian oraz *lurav-eli*, której krótkotrwałe przeurocze kwiaty zwiastują nadejście pierwszych chłódów. Czasem podróży spłoszy z legowiska kozę z bagien i jej młode o cienkich gałązkowatych nóżkach, które pośród lilii wodnych pędzą wielkimi susami, szukając bezpiecznych leży. Zazwyczaj Riaan szczebiotał jak ptaszek w czasie podróży, zagadując towarzyszy nawet o najpospolitsze kwiatki czy niewyraźne tropy; teraz jego milczenie rozpraszało. Jechał głęboko zamyślony.

– Prawdziwi dziadkowie wiedzieliby, co mu powiedzieć – powiedziała dyskretnie Lal do Soukyana.

– Prawdziwi dziadkowie nie zachęcaliby go do myślenia o duchach i wzywaniu zjawy ojca. To twoja sprawa. Ach, Kulpai... to będą prawdziwe wakacje, karnawał w porównaniu z tym.

Lal obserwowała chłopca uważnie, ani przez chwilę nie spuszczać go z oczu, nawet gdy myślał, że jest inaczej. Soukyan robił to samo. Poruszanie się po naturalnych groblach na błotnistym terenie wymagało jazdy gęsiego, ale na trzy dni przed dotarciem do Kulpai Lal zmusiła Motyla do jazdy obok churfy Soukyana.

– A kiedy już tam dotrzemy, co wtedy?

Riaan, który jechał za nią, był tego dnia zupełnie nieobecny myślami. Fantazjował? Rozpamiętywał? Marzył? Motyl, który zazwyczaj jęczał głośno, kiedy chłopiec ładował się na jego grzbiet, teraz szedł cicho, jakby nie odczuwał ciężaru.

Soukyan przygarbił ramiona.

– Nie wiem. Chyba zajrzę do więzienia i jeśli go tam nie będzie, rozpytam o jego rodzinę każdego, kto mógłby o nim coś wiedzieć. Potem... – urwał.

– Co potem? – ponagliła. – Odszukasz go albo nie, ale kiedy to się dla ciebie skończy? Nie mam ochoty spędzić całej zimy w Kulpai.

– Nie prosiłem cię, byś ze mną jechała – powiedział szorstko.

– Nigdy o to nie prosiłem. – Po chwili się uspokoił. – Jeden dzień, Lal. Jeden dzień. Jeżeli w Kulpai jest ktoś, z kim powinienem pomówić, znajdę go do tego czasu. Jeżeli nie... Tak czy owak, jeden dzień.

Lal skinęła głową. Przechyliła ją nieco do tyłu, wskazując Riaana, który chyba nie słyszał z ich rozmowy ani słowa. Soukyan bezradnie potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

Tej nocy ani jedno, ani drugie nie spało dobrze. Soukyan w żaden sposób nie mógł wygodnie się ułożyć na wilgotnej ziemi; podnosił się po każdej drzemce, nie mogąc na dłużej zmrużyć oczu. Z kolei Lal nawiedzały sny, jakich nie miała od wielu lat. Była pewna, że jej nie odnajdą, ale krążyły wokół niczym drapieżne ptaki, podstępne i uparte. Żaden z jej starych sposobów i uników, żeby się ich pozbyć, nie pomógł. Obudziła się nagle, uciekając przed człowiekiem, który od dawna nie żył, a teraz gonił ją, śmiejąc się głośno. Soukyan natychmiast się ocknął, gdy tylko krzyknęła, i podszedł, aby ją przytulić.

– Kto to był? – zapytał.

– Shavak – wyszeptala. – Shavak. Nie ja go zabiłam, ale zawsze jest najgorszy ze wszystkich. Co to za światła?

– Jakie światła? – Odwrócił się i również je zobaczył, balansujące i tańczące w oddali, przesuwające się z wolna bliżej siebie, i tak jak ona wcześniej odrzekła Riaanowi, powiedział teraz: – Nocni zbieracze, znowu, biedactwa. Nic więcej.

Usiadła wyprostowana, odepchnęła go od siebie.

– Jacy nocni zbieracze? Tutaj? Gdzie chłopiec? Odpowiedź nadeszła chwilę później: dobiegł ich głos Riaana, sprawiający wrażenie bardzo odległego, ale był tylko wyciszony i pełen trwogi. Lal nie zrozumiała słów, które monotonicznie wypowiadał, ale Soukyan zerwał się z miejsca.

– Bogowie, ależ on przyzywa ducha!

Światła zaczęły poruszać się coraz szybciej. Soukyan już tam biegł, robił długie, zapierające dech susy w ciemnościach.

– Nie zna zaklęcia, nie zna! – wołała Lal, biegnąc za nim. – Nigdy go nie wypowiadałam, gdy był w pobliżu. – Pędziła jak szalona, tak jak we śnie, jak gdyby w ogóle się nie obudziła.

– Czarodziej... – odpowiedział Soukyan, ciężko łapiąc oddech i nie odwracając głowy. My nie słyszeliśmy... w hałasie... ale chłopiec usłyszał... i zapamiętał...

– Przecież to nie to samo zaklęcie! Księżyc jest w złej kwadrze... i Ogrodnik...

– W końcu to sobie skojarzyłem... więc zachowałeś się... Jest wiele zaklęć na przywołanie ducha... – Odwrócił się, twarz miał posępną i wymizerowaną, wyglądał naprawdę staro. – Prędeż, Lal!

Głos chłopca był teraz wyraźniejszy, brzmiał śmieiej. Riaan powtarzał kilka słów wciąż od początku. Lal nie widziała go w ciemności, ponieważ światła zaczęły się łączyć, zlewając ze sobą nawzajem, aż w końcu stały się jedną pokrytą brzdami, poplamioną jasnością, wyglądało to, jak gdyby księżyc przeświecał przez muł i korzenie. Postać zaczęła przy-

bierać realne kształty, a głos chłopca stał się o kilka tonów wyższy pod wpływem uniesienia. Lal potknęła się o coś i upadła jak długa, ale Soukyan biegł dalej.

– Prędej, Lal, prędzej! – krzyczał do niej.

Usłyszała, jak zwycięski i radosny głos Riaana nagle zmienia się w krzyk grozy, i już z powrotem była na nogach, i biegła.

Teraz było jedno światło. Kształt stał się prawie kompletny, tylko twarz była jeszcze niewyraźna, ale Riaan już wiedział, kto to jest. Lal również, dzięki pyszałkowej postawie postaci o mocnych ramionach i pięknym butom. Zjawą podeszła do Riaana, wyciągając po niego potężne ręce, z uśmiechem na rozpromienionej twarzy.

– Cajli – wyszeptała Lal, a jednocześnie Riaan z jękiem wymówił to imię.

Światło znacznie przygasło, stwór zmaterializował się całkowicie. Jego twarz nie była już matowo czerwona, lecz biała jak mięsz grzyba, okolona czarną brodą.

– Riaanie Cajlego – powiedział, a brzmiało to daleko bardziej okropnie, niżby ktokolwiek inny przemówił zza grobu. – Co za spotkanie, co za spotkanie, Riaanie Cajlego!

– Cajli, *skay'vas*, Cajli! – krzyczał Soukyan, nadal jakieś pięćdziesiąt kroków dalej. Biegając wykonywał gesty obiema rękami.

Duch wyśmiał go. Śmiech ten zmroził Lal, tak jak chłopca: przez chwilę nie czuła ani skóry, ani myśli, ani nóg, choć wciąż próbowała biec. Ale ona to nie to samo co Riaan, duchy spotykała już wcześniej i nie zagrażał jej chłód tego chichotu.

– Riaanie Cajlego – powiedział duch. – W twoim świecie czy moim, należysz do mnie i nic tego nie zmieni. Ani za twego życia, ani po śmierci. Pójdź do mnie, Riaanie Cajlego.

Chłopiec nie był w stanie się poruszyć, nawet gdy dobiegł Soukyan i mocno objął go ręką.

– *Skay'vas*, Cajli! Usłysz mnie, nieboszczyku, *skay'vas, tujal* – Wywijał wspaniałym starym łukiem jak czarodziejską różdżką.

Duch Cajlego zatrzymał pusty wzrok na Soukyanie.

– Dziadku, nie wchodź pomiędzy nas, na zbawienie swojej duszy. Co było moje wcześniej, jest moje i teraz, przestań więc niepotrzebnie ślinić usta gadaniem i nie podchodź bliżej.

Soukyan spostrzegł małą ranę w piersi zjawy, gdzie wcześniej ugodziła szpada Lal.

Wówczas i staruszka tam dotarła. Biegła zbyt szybko na niedołączonych nogach, potykając się wpadła pomiędzy Riaana i białą postać. Z trudem łapała oddech.

– Odejdź od niego! Odejdź! Nie znam słów, które by cię wygnały z powrotem, ale raz cię już wysłałam w zaświaty i przysięgam, że zrobię to znowu! – Wyciągnęła szpadę i chociaż nogi jej drżały, czarna dłoń ani drgnęła.

– Nieważne czy jesteś duchem, demonem, czy chodzącą kupą zgniętego mięsa, odejdź od niego albo umrzesz po raz drugi! – Soukyan stanął obok niej z naciągniętą strzałą.

Duch nagle ryknął śmiechem tak przygnębiającym, że porównać go można chyba do posępnego krzyku *koreuu*.

– Trzymaj się ode mnie z daleka, babciu. Co mogłaś mi zrobić, już zrobiłaś. Dotknij mnie teraz tą swoją igłą do szybia worków, a uschniesz tam, gdzie stoisz. Podejdź do mnie, a dowiesz się, jak zimno jest tam, gdzie teraz przebywam. – Stwór wyciągnął rękę, jak gdyby chciał zmierzyć Riaanowi włosy, ale Soukyan odepchnął stojącego bez ruchu chłopca. Duch znowu zaśmiał się okropnie. – Ach, nie bój się, dziadku! Dlaczego miałbym skrzywdzić mego oddanego sługę? Czyż nie wysłał mnie chytrze do wyższego świata? A teraz tęskni za swym panem. Tak, wolność to marnotrawstwo dla takich jak on, i wie o tym, nawet jeżeli wy nie wiecie. – Jeszcze raz wyciągnął do Riaana grube blade ręce. – Do mnie, chłopcze! Szybko, zanim stracę cierpliwość. Znasz mnie przecież.

Soukyan wypuścił strzałę. Przeszła przez ciało Cajlego, jak butelka przez widmo w gospodzie; ale strzała zapłonęła mdłym żółtoczerwonym światłem i odskoczyła do tyłu, aż do rąk Souky-ana. Starzec upadł u stóp Riaana.

Lal już zadawała cios, gdy strzała zapłonęła, i nie mogła zmienić biegu ostrza szpady. Kiedy broń zetknęła się z duchem, staruszka doznała takiego zimna, że jej ciało ledwo rozpoznało to jako ból. Upadła twarzą na brudną trawę, szamocząc się jak ryba wyciągnięta z wody. Zdołała tylko przewrócić się na plecy i leżała patrząc bezradnie w księżyc, który wyglądał jak zgnięty owoc. Duch uśmiechnął się nad nią szeroko.

– Ostrzegalem cię, babciu. Leż tu i rozmyślaj, po co weszłaś mi w drogę. A teraz mam sprawę do mego sługi.

Kątem oka ujrzała, że Riaan w końcu otrząsnął się z bezwładu i chyłkiem zaczął się oddalać. Duch podążył za nim, bez pośpiechu, chichocząc groźnie.

– Dość gadania, musimy iść daleko i jeszcze dalej. Urodziłeś się, żeby mi wiecznie służyć, Riaanie Cajlego, i będziesz mi lepiej służył na tamtym świecie niż na tym albo będziesz mieć całą wieczność, żeby tego żałować. Weź mnie za rękę.

Riaan jeszcze trochę przesunął się w bok.

– Weź mnie za rękę, chłopcze! – burknął duch.

W świetle księżyca twarz Riaana była równie biała jak twarz upiora, a jednak odpowiedział pełen dumy.

– Nie ciebie wzywałem. Nawet gdyby ktoś mi groził śmiercią lub męczarniami, nie wymówiłbym twego imienia nigdy więcej. Wzywałem mego ojca. I teraz go wzywam.

Lal usłyszała, jak wykrzyknął to nieznosne, powodujące skrzywienie kości słowo. Zaczęła w oszołomieniu powracać do sił. Obróciła się, z trudem łykając powietrze, powstała na kolana i zobaczyła, że Riaan patrzy w twarz duchowi Cajlego, nieustraszony jak ktoś, kto balansuje na najdalszej krawędzi przerażenia. Soukyan stał – Lal wyszeptała w swoim ojcystym języku konwencjonalny zwrot wyrażający wdzięczność najwyższym siłom – ale Cajli znowu zrobił gwałtowny ruch w kierunku chłopca. Soukyan z trudem zrobił krok i zaraz się przewrócił. Riaan odskoczył w bok, wykrzykując zaklęcie po raz drugi jeszcze głośniejsze. Lal zataczając się ruszyła, aby pomóc Soukyanowi.

Nic się nie wydarzyło. Gwiazdy i księżyc nadal przyświecały z nieba równie wilgotnego jak bagno. Śmiech ducha zmienił się w ryk.

– Patrz, oto twoja odpowiedź, oto twój ojciec. Synu niczyj, dziecko bez przodka, nie ma nawet ducha, który znałby twoje imię. Popiół, pył, nie masz nikogo na całym świecie... poza mną. Więc witaj, witaj po dwakroć Riaanie Cajlego.

Chłopiec skulił ramiona jak pod batem.

Później, dwa oceany od tamtego miejsca, czasem sobie o tym opowiadała, powtarzając słowo w słowo, jak jedną z historyjek, której chciała nauczyć małą Choushi-wai na pamięć. „Och, jedLal i Soukyan! (j) nak on się nie poddał, ten Riaan, nie zgodził się na samotność gorszą od tej, jaką znał dotychczas. «Nie! – zahuczał w odpowiedzi jak wiosenny deszcz. – Nie wierzę ci! Żywemu ani umarłemu, nie wierzę ci!» I zawołał jeszcze raz, wołał skradzionymi słowami, których nie rozumiał, wołał kogoś, kogo nie znał, kogoś, kto był tak rozpaczliwie daleko w tym bezkresnym mroku. I tak, tak, tak, ten ktoś przyszedł”.

Tym razem nie było świateł ani rozedrganych błysków łączących się w grobowy blask. Pojawiła się jedynie drobna, nieokreślona postać, która przybierała kształt przed nimi tak wolno, że wydawało się, iż musiała wcześniej pokonać czarną pustynię, o wiele większą od piasków, które przebył Soukyan, nim dotarł do drzwi Lal. Riaan wstrzymał oddech. Soukyan szukał po omacku dłoni Lal.

Nie widziała twarzy widma wyraźnie, ale jego sylwetka była równie smukła i muskularna jak Riaana, a rozważny zdecydowany chód dokładnie taki sam, chociaż tę przygarbioną postać dawno opuściła młodzieńcza lekkość. Za życia utrudzony na śmierć, i teraz nie był bliżej końca swego zmęczenia; po prostu wyprawił się w jeszcze jedną podróż, żeby wykonać jeszcze jeden rozkaz.

– Jestem – powiedział monotonnym głosem wieśniaka. Duch Cajlego zasyczał niczym rozszluszczony *shukri*, ale nic nie powiedział. Riaan wydał pełne ciekawości, lekkie westchnienie, którego Lal nie zapomniała do końca życia.

– Ty? Ty? – wyszeptał. – Czy to ty?

Duch długo nie mówił ani słowa... a może była to tylko chwilka? Lal nie wiedziała. Oczy widma były równie puste jak oczy zjawy Cajlego. Nagle odniosła wrażenie, że coś zadrżało pod tą pustką, prawie rozbłysło ludzkim światłem.

– Riaan? – wyszeptał tak cicho, że bicie serca Lal omal nie zagłuszyło jego słów.

Riaan zaszlochał.

– Nazwałem cię po imieniu – powiedział duch. Wyciągnął ręce do chłopca, otworzył dłonie. – Czy to ty? Dlaczego płaczesz? Przecież jestem.

Riaan upadł na ziemię i zaczął łkać, nie głośno, ale tak jak gdyby nigdy nie miał przestać. Lal mocniej ścisnęła rękę So-ukyana.

I staliby tak pewno do świtu, gdyby nie duch Cajlego. Podeszedł dumnie.

– Pamiętam cię – rzekł. – Pomocnik w polu, tak, to ty, oracz, nigdy nie widziałem cię bez worka gówna na plecach. Dopiero teraz.

Drugi duch nie zwracał na Cajlego uwagi. Wzdychał głęboko, nie próbował dotknąć płaczącego chłopaka, ale patrzył oczyma zbyt zdumionymi i smutnymi jak na umarłego.

– Eliath – odezwał się. – Nazywam się Eliath.

Riaan zdołał opanować płacz. Otarł wciąż jeszcze bolący nos, podniósł czoło i powiedział:

– Więc jestem Riaanem Eliatha. – Dwa te słowa doprowadziły Cajlego do wściekłego ryku, na co Riaan uśmiechnął się i zaczął wyśpiewywać je wciąż od nowa: – Riaan Eliatha, Riaan Eliatha. Jestem Riaanem Eliatha.

I to również mogło trwać do rana, a nawet dłużej, gdyby nie duch Cajlego.

– Nie! – krzyknął. – O nie! Śmieć nie ma ojca, worek gówna nie zostawia po sobie spadkobierców, prostak nie ma rodziny, tylko pana swojej matki. – Bezkrwistą dłonią schwytał przedramię Riaana. – Idziemy!

Opinie Soukyana i Lal na temat tego, co stało się potem, były odmiennie. Kiedyś rozmawiali o tym długo i uświadomili sobie, jak bardzo się w tej kwestii różnią, toteż nie powracali więcej do tematu. Zdaniem Lal Eliath, zmęczony mały upiór, nagle schwytał ducha Cajlego za rękę ruchem tak szybkim i porażającym, że można by go porównać do spadającej gwiazdy. Tego była pewna: poza tym obrazem zachowała w pamięci jedynie wciąż powracające wspomnienie rąk obu duchów, do pewnego stopnia przezroczystych, zamazanych i zlewających się ze sobą w nagłej zamieci białego światła. Gdzieś w oddali churfy ryczały przeraźliwie.

Soukyan też pamiętał to światło, ale ujrzał w nim poruszające się postacie, jakby wyrwane z otaczającej je nocy: nieludzkie sylwetki, prawie bezkształtne, prawie złączone, kołyszące się na przemian w przód i w tył, tancerze otoczeni białym ogniem. Obaj wydawali jakiegoś grzmiące, pozbawione słów dźwięki – takie wydają wodospady w oddali albo drzewa w czasie burzy. Nie można było odróżnić ducha Eliatha od Cajlego ani przewidzieć, który zwycięży czy co w ogóle zwycięstwo będzie oznaczać. Bezlitosna mleczność unosiła się, zarazem rozjaśniając nie do zniesienia i rozrywając, zaczynała niweczyć walczące postacie, strzegąc je niczym znoszony jedwab. Soukyan nie widział Riaana, lecz słyszał, jak chłopiec znowu krzyczy, tym razem nie z bólu, ale rozpaczliwie, ze strachu. Na pewno nie o siebie się bał.

– To wszystko było nie tak – tłumaczył Lal wtedy, gdy o tym rozmawiali. – Nigdy nie powinni być tam razem, tych dwóch, mówiłem ci, i nie powinni byli ze sobą walczyć. Im dłużej walczyli, tym wyraźniej było widać, że nie powinni tego robić, aż napięcie stało się zbyt duże dla... nie wiem. Dla kogoś? Dla czegoś? A ty naprawdę niczego nie widziałaś?

– Tylko dłonie. Ręce, więcej nic.

Ale widziała też trzecią dłoń. Mała i niewyraźna w tym świetle, jednak nie stopiła się z pozostałymi, wręcz przeciwnie, wydawało się, że odszukała i schwytała gwałtownie jedną z rąk walczących duchów. Lal widziała to jedynie przez chwilę; potem mleczna biel pochłonęła niebo; i usłyszała dźwięk przypominający łoskot zatraskiwanych przez przeciąg drzwi wielkiego pustego domu.

A potem usłyszała wołającego chłopca.

– Lal! Lal, Soukyanie, to mój ojciec!

Nie zdawała sobie sprawy, że ma mocno zaciśnięte powieki. Otworzyła oczy i stwierdziła, że nadal jest noc, ciemna i cicha – chociaż księżyc znajdował się nisko, a z tyłu, nad groblą, widać było oznaki fałszywego świtu – i że Riaan stał przed nią z duchem niewolnika rzucającym nieśmiało nikle światło u jego boku. Po duchu Cajlego nie pozostał ślad ani najmniejsze echo.

– To Eliath, mój ojciec – powtórzył Riaan. Lal skłoniła głowę.

– Ma pan dzielnego syna, panie Eliath.

Duch odwzajemnił ukłon, ale nie odrywał oczu od Riaana. Soukyan podszedł do chłopaka, zupełnie nie zwracając uwagi na ducha.

– Pokaż mi rękę – zażądał. – Dlaczego trzymasz ją w ten sposób? Pokaż.

Riaan miał prawą rękę zwisającą bezwładnie, trochę sztywno. Niechętnie wysunął ją teraz do przodu i Lal aż wstrzymała oddech, gdy zobaczyła cztery równoległe znaki na jego przedramieniu, w kolorze światła księżyca, i pojedynczy szeroki ślad na grzbiecie dłoni, ślad od kciuka. Soukyan zaklął cicho.

– Odmrożenia. Tu i tu, i tu. Boli?

Nie bardzo – rzekł pospiesznie Riaan. – Zobacz, mogę nią poruszać. – Zaciskał i rozprostowywał dłoń, chociaż z bólu mrużył oczy. – Musiałem go przepędzić, musiałem zmusić Cajlego, żeby sobie poszedł. W przeciwnym razie... nie wiem, musiałem, bo w przeciwnym razie...

– W przeciwnym razie i tak by sobie poszedł – powiedział So-ukyan. – Wszystko na tym świecie próbuje zmusić duchy do powrotu na ich miejsce, zwykle do świtu nie starcza im tu nawet gruntu pod nogami. Cajli mógł dotrwać, dopóki dotrwał, lecz nie dłużej.

– Ale mógł mnie zabrać ze sobą – stwierdził chłopak. Souky-an skinał potakująco głową. – A ty i Lal nie mogliście nic zrobić. Mój ojciec mnie ocalił. – Wybuchnął śmiechem z taką radością, że nawet duch Eliatha się uśmiechnął. – I ja go ocaliłem, tylko pomyślcie! Ja, Riaan Eliatha, ocaliłem swego ojca od pójścia tam, gdzie poszedł Cajli! – Szurając i przytupując, rozpoczął taniec zwycięstwa. Wirował jak liść na wietrze. Nagle się obrócił, aby schwycić Eliatha za rękę i pociągnąć do tańca.

– Nie! – Głos Soukyana zadźwięczał niczym ostrze noża, które zahaczyło o kość. – Na własne życie zaklinam cię, nie dotykaj go znowu! Spójrz na niego. On o tym wie.

Duch odsunął się nagle, wymykając się Riaanowi, tak jak chłopak wcześniej Cajlemu. Riaan popatrzył buntowniczo dookoła, zanim spuścił głowę. Prawą dłoń wyciągnął przed siebie – chociaż nie mógł jej całkiem rozprostować – i obejrzał uważnie osobliwe blizny.

– W każdym razie cieszę się, że je mam – powiedział cicho. – Cieszę się.

Lekki wietrzyk wraz z jego głosem przyniósł szum morza, musnął w przelocie policzek Lał, pędząc w stronę ranka.

– Zostało mało czasu – rzekła staruszka. – Poczekamy na ciebie trochę dalej.

Soukyan zwlekałby, obserwując zafascynowany uradowanego syna i od dawna zmarłego ojca, ale Lal wzięła go za łokieć i odeszli na błotnisty pagórek, pod ogromne drzewo paproci – takie drzewa rosną jedynie na bagnach na północ od Kulpai. W gałęziach obudziły się ptaki i Lal dostrzegła kilka małych, powolnych obłoczków, przepływających poniżej blednących gwiazd. Niedorzeczne, ale uświadomiła sobie, że jest głodna.

– Mówiłem ci – cicho powiedział Soukyan. – Nie powinno się to zdarzyć.

Lal potrząsnęła białą głową.

– O nie. On musi wiedzieć. Tak jak ty.

Soukyan odchrząknął, potarł dłonią kark i westchnął.

– Spójrz na nich – skinał głową w kierunku Riaana i Eliatha.

Stali twarzą w twarz, w odległości nie większej niż pół kroku. Nie było słychać, o czym mówią. Noc nikła szybko, czyniąc ich wyraźnie widocznymi na tle wodnistej nieba. Riaan nadal trzymał prawą rękę opuszczoną i z dala od ciała, jak gdyby uspokajał zwierzę.

– Gdybym cię nie odszukał... – powiedział Soukyan. – Gdybyśmy nigdy nie wędrowali do Kulpai... albo gdybyśmy tam przyплыnęli, tak jak kiedyś. Gdyby ten chłopak trzymał buzię na kłódkę albo pokornie zapłodnił dziewczynę, którą mu podsunęli. Gdybyśmy my trzymali buzie na kłódkę...

Lal położyła mu dłoń na ramieniu.

– Gdybyśmy przynajmniej zdołali jakoś, po tylu latach, zaprzecić się naszych serc. Sprzedać je, oddać w zastaw, porzucić w rowie i pospiesznie odejść. Gdy tylko próbowaliśmy, myślałeś... – Nie dokończyła.

– Nie ja, ty! – stwierdził Soukyan żartobliwie. – Ty myślałaś.

Duch Eliatha stał się słabiej widoczny i bardziej zamglony;

pod pewnym kątem nie było go widać wcale i wydawało się, że Riaan mówi do kępki mchu albo zwałonego drzewa. Lal nieco się odwróciła, plecami na wschód, pod wpływem niedorzecznego wrażenia, że powstrzyma na kilka sekund promienie wschodzącego słońca.

– Odszedł – powiedział Soukyan, ale duch nie odszedł, niezupełnie. Lal nadal mogła dostrzec nawet cienką bliznę od uderzenia bicia, biegnącą wzdłuż prawego policzka Eliatha, która wyglądała jak duch łyzy, lecz zaczęła blednąć, gdy skupiła na niej wzrok. Eliath również bledł, aż w końcu pozostał tylko Riaan i delikatne, świeże tchnienie żaloby, które mogło pochodzić od nich obu albo od samej Lal. Tego nie była pewna.

Oboje z Soukyanem zaczęli iść do Riaana, jednak zaraz zawrócili i szybko odeszli. Riaan zjawił się na postoju dużo później. Twarz miał bladą, brudną i bardzo zmęczoną, ale jego deszczowoszarze oczy były jasne jak wczesny poranek i uśmiechał się nieco, dyskretnie, jak kochanek wracający do domu.

– Mój ojciec przyjdzie znowu, jeżeli tylko będę chciał, ale nie zechcę.

Ulice pełne kwaśnego zaduchu, smutni ludzie mieszkający w ciasnych, pochylonych domach – Kulpai nie było pięknym miastem. Takie je Lal zapamiętała. Odkrycie to zdecydowanie podniosło ją na duchu.

Gospoda, która proponowała najbardziej bezpieczny nocleg i jedzenie, nadal stała, prowadzona przez wdowę po dawnym właścicielu. Soukyan pozostawił w niej śpiących towarzyszy następnego dnia po przyjeździe i wyszedł. Lal obudziła się zaraz i stanęła przy oknie. Widziała Soukyana, który nieco sztywnym krokiem zmierzał w stronę aresztu pod murami miasta. Kiedy zniknął z pola widzenia, wróciła do łóżka i spała, aż do południa, nie śniąc o niczym, a kiedy się obudziła, Riaana też już nie było.

– O nie – powiedziała głośno. – Nie dzisiaj, dziecko. Dzisiaj skazany jesteś jedynie na siebie.

Wykąpała się i umyła włosy w wątpliwej czystości wodzie, którą jej przyniesiono, spróbowała oczyścić swoje ubranie podróżne, bez skutku, potem zeszła na dół i pogroźkami wymusiła na kucharzu przyniesienie czegoś do jedzenia, w rezultacie już wkrótce pojawiło się coś, co nawet przypominało posiłek. Zjadła, zadała właścicielce gospody wiele pytań

i poszła do portu. Znalazła tam Riaana – siedział na słupku na końcu nabrzeża. Nietypowe dla tej pory roku ciepłe słońce zamieniło wodę w iskrzącą się szkarłat, a przysadziste małe statki żeglugi przybrzeżnej już wyruszyły po nocny półow *tejadi* na zawietrzną stronę Wysp Niewidocznych. Trzy czy cztery kupieckie statki kotwiczyły tuż przy mołu, statki zaopatrzonemu i galary uderzały o ich burty niczym kozły z bagien, gdy przeładowywano na nie towary. Załoga dalekomorskiego kutra wyciągnęła go na plażę i przechyliła tak, że chytra twarz demona na dziobie została zagrzebana w piasku. Kilkunastu rybaków zeszkrobywało grubą warstwę śmierdzącego *fa* z kadłuba.

Lal podciągnęła zwiniętą wokół słupka linę okrętową i usiadła na niej wygodnie.

– Jesteś tu cały dzień.

Riaan skinął potakująco, nie odwracając głowy.

– Gdy pierwszy raz zobaczyłam morze – ciągnęła Lal – myślałam, że to wielkie zielone zwierzę. Próbowałam je pogłaskać...

– Urwała, potem dokończyła zmienionym głosem. – Przypuszczam, że omal nie utonąłam.

– Potrafię pływać w rzekach i nie tylko – powiedział Riaan.

– Matka mnie nauczyła. – Wtedy popatrzył na Lal i zobaczyła, że oczy miał zbyt szeroko otwarte, a twarz prawie przezroczystą, jak u widma jego ojca. – To dla mnie za dużo – wyszeptał. – Za dużo światła poza moją wioską, za dużo nieba, a teraz ta woda. To dla mnie za trudne. Miałdży mnie to, nawet gdy o tym myślę. Boję się, Lal.

– Ty?! Masz więcej odwagi niż Soukyan i ja razem wzięci. Riaanowi nie dodało to otuchy.

– Co się ze mną stanie? Gdzie mam pójść z Kulpai, Lal?

– A gdzie każde z nas ma pójść z Kulpai? – zapytała łagodnie. – Czy wrócę do opowiadania historyjek na pustyni? Czy Soukyan ma nadal błąkać się po świecie, niczym liść miotany wiatrem? On i ja nigdy nie mieliśmy żadnego celu w życiu poza przetrwaniem, zemstą albo dumą... tak, albo pokutą, dlaczego nie? Postąpisz mądrzej od nas, wierz mi. – Ujęła lekko jego prawą dłoń, bacznie oglądając nie gojące się rany. – Wiesz, że możesz iść razem z nami. Z każdym z nas, jeżeli zechcesz. Ale ja na twoim miejscu bym poczekała. Poczekałabym tu, aż przemówi do mnie morze.

Riaan zaśmiał się krótko, zbyt dojrzałe jak na swój wiek i znowu odwrócił wzrok.

– Jesteś żeglarką Lal, urodzoną na statku. Morze zawsze będzie do ciebie mówić. Dlaczego miałoby kłopotać się o kogoś, kto go nie widział aż do dzisiejszego ranka?

– Nie znam powodów, jakimi kieruje się morze. Zaczekaj, Riaanie, morze akurat teraz na ciebie patrzy i próbuje powziąć decyzję. Jeżeli się zdecyduje, wkrótce przemówi. Siedź spokojnie i posłuchaj.

I tak siedzieli na nabrzeżu cały dzień, aż statki żeglugi przybrzeżnej zniknęły w połyskującej mgielce, a dzieci zaczęły gonić za długonogimi ptakami chodzącymi po mokrym piasku po odpływie morza. Między sobą mówili niewiele, nikt ich nie zagadnął, chociaż widzieli rzucane w ich kierunku spojrzenia kobiet niosących na nabrzeże cebry z czerwonym piwem. Przyglądali się wysokim haczykowatym płetwom grzbietowym *panyar*, dryfującym leniwie u wejścia do portu; a raz Lal pokazała mu wielkiego niebieskoszarego ptaka, bez końca przecinającego niebo.

– *Kulishai* – powiedziała. – Nie mają nóg, rodzą się na klifach i staczają się wprost w powietrze, kiedy ich czas przychodzi. To padlinożercy i są zawsze same. Ludzie tu wierzą, że nigdy nie łączą się w pary i nigdy nie umierają.

Riaan milczał. O zachodzie słońca dzieci z plaży zawołano do domów, rybacy zakończyli oczyszczanie dna kutra, a statki handlowe wznosiły się wysoko i lekko w pocętkowanej przez słońce wodzie, gdyż ich ładownie były puste. Soukyan jeszcze nie wrócił. W milczeniu poszli do gospody coś zjeść. Właścicielka już skończyła pracę, a w szynku podawała kobietą, której wcześniej nie widzieli – w średnim wieku, o miłej twarzy. Jej czerwone włosy i jaskrawa przepaska na szyi wskazywały na to, że jest Nounouri, a garstka gości zwracała się do niej Deshka.

Posiłek dawno już się skończył i w szynku nie było nikogo z wyjątkiem Lal i Riaana, kiedy w drzwiach pojawił się Soukyan. Wyglądał, jak gdyby przez długi czas chodził po deszczu, choć cały dzień nie padało. Przysiadł się do nich, nie mówiąc ani słowa, a Deshka sama przyniosła mu kubek *tamtha*, mocnej, oleistej brandy z Kulpai. Poszła po drugi, gdy w końcu zaczął mówić.

– Nazywał się Haruk. Haruk syn Rzeźnika, tak go nazywano. Kilku go pamięta, lubili go i byli zmartwieni, gdy umarł. Dwadzieścia trzy lata temu.

– A chłopak? – spytała Lal. – Co się stało z jego synem?

Soukyan potrząsnął głową.

– Pewien starszynek twierdzi, że ożenił się z kobietą z Arakli i tam się przeniósł, ale kto inny powiedział, że zaciągnął się na statek. Tylko te dwie osoby w Kulpai coś o nim wiedzą. Więc oczywiście miałas rację, Lal, miałaś rację. Nie ma śladu, w ogóle żadnego śladu.

– Ale warto to było zrobić, naprawdę warto. – Ku swemu zaskoczeniu Lal odkryła, że delectuje się buntowniczą obroną całkowicie niedorzecznej i bezcelowej misji przed jej autorem. – Sama podróż była twoimi przeprosinami, wiesz to i podróż to wie, i tylko to się liczy.

Riaan przyglądał się zdumiony to jednemu, to drugiemu z nich.

– Chyba tak – westchnął Soukyan zmęczony. – To chyba prawda. – Milczał, kiedy Deshka przysłała, żeby postawić przed nim drugi kubek *tamtha*. – Dziwne – stwierdził później. – Wygląda na to, że nikt nie przypomina sobie naszej ucieczki. Opróżniliśmy wtedy całe więzienie, co nieczęsto się zdarza w Kulpai. A jednak po całym dniu poszukiwań nie znalazłem nikogo, kto by to pamiętał. Nie mówiłem o tym nikomu przez ten czas, a sam Haruk syn Rzeźnika prawdopodobnie nie chciał wspominać o tej przykrej dla niego sprawie.

Barmanka Deshka, która już nieco odeszła od ich stołu, zatrzymała się i odwróciła.

– To była twoja sprawa? Czarna kobieta i wysoki opalony mężczyzna to wy?

Spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Nie – uśmiechnęła się – nie jestem krewną Haruka, chociaż znałam go trochę, gdy byłam mała. Ale mój stryjeczny dziadek Gauvara był jednym z tych, których uwolniliście. Często mi o tym mówił... i nic dziwnego, był przecież niewinny...

– Wszyscy byliśmy niewinni – powiedziała półgłosem Lal, patrząc w sufit, a Riaan zachichotał. Deshka patrzyła na nich podejrziwie.

– U Nounouri więzienie to wielki wstyd, czy ktoś jest niewinny, czy nie. Mój stryjeczny dziadek nigdy was dwojga nie zapomniał i na pewno życzyłby sobie, abym wam okazała wdzięczność. – Postawiła ostrożnie na stole puste kubki, które niosła do mycia, i ukloniła się z głęboką czcią, dotykając dłońmi i czołem kolan dwojga starszków i szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa. Potem wstała szybko i znowu była po prostu miłą barmanką. – Chcesz jeszcze *tamtha* – powiedziała do Soukyana. – Potrafię to odgadnąć.

Soukyan śmiał się długo.

– Tak, chcę. Deshko, przybyłem tu z daleka, ciągnąc tych dwoje przyjaciół ze sobą, aby prosić o przebaczenie człowieka, którego za młodu okryłem hańbą. Chciałem zapytać jego, jego syna albo wnuka: „Co mogę dla ciebie zrobić, jak mogę ci pomóc, żebym mógł odzyskać spokój?” Teraz dowiaduję się, że już od dawna nie ma w Kulpai jego ani nikogo z rodziny, i oto spotykam wnuczkę... och, mniejsza z tym, mniejsza z tym! – Nie przestał śmiać się bezradnie, próbując opróżnić swój kubek, ale więcej brandy rozlał, niż wypił.

Lal wstała.

– Riaan, pomóż mi odprowadzić starszka na górę. Nigdy nie miał mocnej głowy do tego płynu do polerowania zapinek.

Deshka zrozumiała Soukyana i mu współczuła.

– Pokuta ma i dla nas wielkie znaczenie. Wszyscy umrzemy nie rozgrzeszeni przez kogoś, nic na to nie można poradzić. Ale przynajmniej mamy potrzebę pokuty. – Zaśmiała się, najwyraźniej coś zabawnego przyszło jej na myśl. – Och, jaka szkoda, że nie moją rodzinę pan obraził, panie Soukyanie. Mój syn ożenił się i wyjechał, a mężowi brakuje rąk do pracy przy rumplu i przy sieciach. Nawet tak wielki pan byłby użyteczny. Bogowie, nawet dziecko z chorą ręką. – Odwróciła się nagle, porzucając ten temat. – Przepraszam, to moje kłopoty, nie wasze. Będę w kuchni, gdybyście jeszcze czegoś potrzebowali.

Riaan popatrzył za nią, Lal spojrzała na Riaana, a Soukyan otarł usta i zaczął im się obojgu bacznie przyglądać, gdyż Lal powiedziała rzecz zastanawiającą:

– Możliwe, że morze właśnie się zdecydowało.

Riaan pożegnał się z nimi następnego ranka, wychodząc z kuchni, gdzie pomagał Deshce, dopóki łódź jej męża nie wróciła. Ranek był zimny, mróz skrzypiał pod nogami, trochę płatków śniegu posypało się z niskiego nieba. Churfy śliniły się okropnie. Ich zimowe futro rosło szybko i było ciemniejsze od zwykłej sierści, a nawet gorzej śmierdziało.

– Nie znoszę tak się żegnać – powiedział Riaan drżącym głosem.

– Nie ma jakiegoś właściwego sposobu – odparł Soukyan. – Gdyby był, Lal i ja już byśmy go znali.

Riaan wycałował ich oboje, uroczyście i delikatnie, tak jak się całuje własnych dziadków.

– Nigdy nie przestanę być wam wdzięczny za to, co dla mnie zrobiliście.

Lal prychnęła niczym churfa.

– Jakie to banalne. Gdybyś kiedyś przestał, przyślij po nas, a wtedy cię odwiedzimy.

Szybko wzięła w objęcia Riaana, potem ścisnęła nozdrza Motylowi, a gdy przykląkł, usiadła na szerokim, pokrytym gęstą siercią grzbiecie. Soukyan rzucił przez ramię:

– Bądź ostrożny na łodzi; zawsze coś się może przekreślić i uderzyć cię w głowę. Nigdy nie ufaj cholernej łodzi.

– Skąd będę wiedział, gdzie jesteście? – krzyknął Riaan smutno.

Lal i Soukyan patrzyli na siebie przez chwilę.

– Zapytaj żeglarzy, jacyś zawsze ci powiedzą. Żegnaj, Riaanie Eliatha.

Opuścili już posępne Kulpai, gdy Soukyan odezwał się cicho:

– Mogłaś powiedzieć chłopcu, że wracasz do domu na pustyni, do swojej chatki, swoich opowieści. Co w tym złego?

Nie wracam do domu – odparła. Soukyan spojrział na nią zdumiony, więc dodała: – Nie, nie do tamtego domu. Mam zamiar zrobić coś jeszcze bardziej szalonego niż twoja pogoń za niemożliwym do uzyskania przebaczeniem. Wracam do miejsca, gdzie się urodziłam. – Soukyan zdziwił się, widząc w złotych oczach łzy, zamarzające natychmiast na rzęsach. – To mi nie daje spokoju, Soukyanie – wyszeptła. – Tamten kraj, o którym nigdy nie myślę, tamten język, którym nigdy nie mówię. Są duchy i duchy, mówiłam to Riaanowi. Już dawno powinnam się odwrócić i zobaczyć mojego ducha.

Soukyan mocno schwycił jej rękę.

– A jeżeli i tobie przydarzy się to samo? Jeżeli nie spotkasz tam nikogo, kto by cię znał, z kim mogłabyś się cieszyć ze spotkania, wspominać, jeżeli nie ma już nikogo, kto by się zastanawiał, co się stało z małą Lal? Co wtedy?

– Wtedy? – Lal wzruszyła ramionami. – Wtedy pójdę w inne miejsca, które zawsze pragnęłam zobaczyć, może zrobię coś, co zawsze chciałam zrobić, tylko o tym zapomniałam, do czasu aż mnie omamiłaś tą niemądrą podróżą. Wsiądę na statek w Ilu, to niecałe dwa dni jazdy stąd... – Zmarszczyła czoło, gdyż coś ważnego przemknęło jej przez myśl. – Choushi-wai! Nie mogę pozwolić, aby do końca życia czekała na mnie w chacie. Ona by to zrobiła, tak. Zapomniałam o Choushi-wai!

– W takim razie... – zaczął Soukyan i urwał, gdyż churfy zaczęły się ślizgać po świeżym śniegu. – W takim razie mógłbym tam wrócić i powiedzieć jej o tym.

Lal zatrzymała Motyla i zaczęła się Soukyanowi przyglądać z namysłem.

– Myślałem, że tam odpocznę przez jakiś czas – mówił dalej. – Ty chcesz się trochę powłóczyć po świecie, a ja doszedłem do punktu zwrotnego. Potrzebuję teraz spokoju, Lal.

Nie przestawała się w niego wpatrywać, dopóki nie klepnął jej po ramieniu, bynajmniej nie lekko.

– Dalej, ruszaj, jest zbyt zimno, żeby stać. Ruszaj, cholerny Motylu!

Nie podróżowali teraz groblą, którą jechali do Kulpai, ale węższą ścieżką wzdłuż wybrzeża. Morze było prawie ukryte we mgle i padającym śniegu. O pół dnia drogi leżał boczny szlak wiodący do Gościńca Królowej, gdzie się kiedyś rozstali. Jechali w milczeniu przerywanym jedynie przez gorzkie użalanie się churf, dopóki Soukyan nie zapytał:

– Czy sądzisz, że ludzie ze wsi będą mieli coś przeciwko temu?

Nie, nie widzę powodu, dla którego byliby temu przeciwni. Opowiesz im własne historie, na pewno odmienne od moich. – Nagle zaśmiała się, a w jej głosie zabrzmiała zarówno ironia, jak ulga. – Choushi-wai będzie poruszona aż do podeszew butów, jeżeli kiedykolwiek włoży buty. Nauczy cię wszystkiego, co powinieneś wiedzieć, i przy odrobinie szczęścia wkrótce będziesz wyglądał jak *jejebhai* tuczony na Dzień Złodziei. Tak, sądzę, że powinieneś, to zrobić. Świetny pomysł.

– A zatem u schyłku życia zamieniamy się miejscami?

– Owszem, dlaczego by nie? Wydaje się to najbardziej naturalną rzeczą na świecie, jak sam mówisz.

– Więc dlaczego jesteś rozgniewana? – Nawet przez śnieg widziała, że przygląda jej się w sposób, jakiego nigdy nie znosiła, ponieważ widoczne w tym spojrzeniu uczucie nie pozostawiało jej miejsca na prywatność. Kiedy nie odpowiedziała, dorzucił: – Stary przyjacielu. Mój stary nieznośny przyjacielu. Mam prawo to wiedzieć.

– Jestem zła, ponieważ nigdy się już nie zobaczymy – wybuchnęła. – Wiesz to równie dobrze jak ja, wiesz też, że nic nie można na to poradzić. Zegnaliśmy się przez czterdzieści lat. To by mi wystarczyło, a jednak pozwoliłam sobie na jeszcze jedno pożegnanie. – Gdy chciał wziąć ją za rękę, cofnęła się gwałtownie. – Jestem rozgniewana sama na siebie, Soukyanie, pozwól mi na tę złość.

Z powodu gęstego śniegu o mało nie przeoczyli drogi prowadzącej w głąb łądu; Lal pierwsza zauważyła koleiny po wozach. Zatrzymali churfy i długo patrzyli sobie w oczy pomimo ostrego wiatru.

– Wiesz – rzekł w końcu starzec – mimo wszystko może się okazać, że chłopiec nie nadaje się na rybaka. Możliwe, że jeszcze będziemy mu potrzebni.

– Do widzenia, Soukyanie. Szczęśliwej podróży. Pomagaj Choushi-wai w nauce czytania. – Lal pociągnęła Motyla za prawe ucho i zwierzę posłusznie zaczęło zawracać w kierunku drogi prowadzącej na wybrzeże.

Odpowiedziało jej pełne oburzenia milczenie, a potem krzyk:

– I to wszystko? To wszystko? Po czterdziestu latach?!

– Mówiłam już. To o jedno pożegnanie za dużo! – zawołała nie odwracając głowy. Motyl podreptał dalej.

Dotrzymała postanowienia, że się nie odwróci; zaczęła nawet śpiewać, żeby przestać myśleć o zakłopotaniu i padającym śniegu z deszczem. Gdy jednak zobaczyła obok siebie idącego So-ukyana, który jedną ręką prowadził churfę, a drugą wpychał zwierzęciu do gardła, aby powstrzymać je od ryku, omal nie spadła ze swego wierzchowca.

– Zsiadaj – powiedział bez emocji, choć efekt wypowiedzi psuł nieco brak tchu. Wryła się kolanami w bok Motyla, ale churfa ryknęła i pozostała na miejscu. Śnieg, który stłumił kroki Soukyana, był także w jego włosach i teraz stały się równie białe jak jej.

Zsunęła się na ziemię. Gdy stawała, potknęła się o kawałek lodu, ale Soukyan ją złapał. Długo stali, obejmując się i tuląc, mówiąc coś cicho. Wiatr nieco zelżał, ale śnieg padał dalej, a oni wciąż stali objęci. Druga churfa podeszła do nich, dla towarzystwa, wydając żałośnie pompatyczne ryki.

– Czuję się jak Riaan – wyznała Lal. – Znalazł ojca, stracił ojca, zobaczył ocean po raz pierwszy w życiu. To ponad moje siły, Soukyanie. Pozwól mi odejść.

Pogłaskał ją po wilgotnych włosach.

– Wciąż jeszcze mamy szansę skończyć w tym samym areszcie. O tym pewno nie pomyślałaś.

– Ależ tak. Tym razem pomyślałam. Do widzenia, Soukyanie. Do widzenia, do widzenia. – Pocałowała go z niewinną dzikością młodej dziewczyny, a potem znów wsiadła na churfę. – Niech na twojej drodze zawsze świeci słońce – powiedziała go, jak gdyby łączył ich tylko wspólnie zjedzony posiłek, niewielki odcinek razem przebytej drogi albo jedna wspólnie spędzona noc. Motyl już ruszył drogą prowadzącą na wybrzeże.

– I na twojej! – zawołał za nią Soukyan. – Przynajmniej wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś mnie potrzebowała.

– Och, zawsze cię będę potrzebowała. – Płachta śniegu, która się raptem pojawiła, zasłoniła ją przed nim, ale wiatr przywiał jej słowa. – I do cholery, z czasem będę cię potrzebować jeszcze bardziej.

Nie popatrzył za nią, poczyniwszy własne przyrzeczenie; chociaż, gdy dosiadł churfy, nie ruszył od razu. Sądził, że może jeszcze usłyszy jej śpiew.

– Mleko się kwasi na dźwięk jej głosu – zrzędził. – Tylko churfy kochają tę jej muzykę. – Zwierzę czknęło z oku końców, Soukyan uśmiechnął się od ucha do ucha, krzywiąc zziębniętą twarz aż do bólu. – No dobra, rusz to swoje stare śmierzące cielsko. Przed nami daleka droga do domu. Powinniśmy zobaczyć zagrody rolników za kilka godzin. Idź już!

Churfa ruszyła, powłócząc nogami. Wkrótce mgły otuliły ich zupełnie.

Opowieść Choushi-Wai

Uważajcie, uważajcie! Nie zapomnijcie pomodlić się za biednych, umiłowanych bogów i nie zapomnijcie pomodlić się za bogów, którzy nie mają przyjaciół poza biednymi. Posłuchajcie mnie, *inbarati* Choushi-wai, córki S'dif elan, posłuchajcie opowieści o Tai-sharm i śpiewającej rybie, którą opowiedziała mi Lalkhamsin-khamsolal, której opowiedziała ją sama Sulij, a tej z kolei wielka Vaivolkar, a jej Ti'hadri. Ja, Choushi-wai, opowiem wam ją teraz.

Otóż to było tak. Bardzo dawno temu, gdy jeszcze stały tu góry, a potężni władcy rządzą państwami o wiele większymi niż te parę wsi, które dzisiaj nazywamy królestwem, w Baraquil panował pewien król. Starzał się nie mając ani żony, która mogłaby się starzeć u jego boku, ani dziecka, które troszczyłoby się o nich oboje. I wcale go to nie martwiło, jako że bardzo sobie cenił samotność. Jednak pierwszy minister przypominał mu coraz częściej, że jeżeli umrze nie pozostawiając spadkobiercy, w państwie nastanie chaos, i król po pewnym czasie, aczkolwiek niechętnie, zgodził się z jego zdaniem. Przerozkał pierwszemu ministrowi ruszać w kraj i wybrać mu żonę, jednak bez zbytniego pośpiechu.

– Robię to tylko dla spokoju kraju – powiedział – a nie z namyślności czy z własnej chęci.

– To zrozumiałe, miłościwy panie – stwierdził pierwszy minister – ale bądź łaskaw powiedzieć, jakiej królowej oczekujesz. Ma być wesoła czy smutna? Figlarna czy nieśmiała? Olśniewająco piękna czy tylko miła dla oka? Powinna pochodzić ze starego dobrego rodu czy z nowej szlachty? Władca pragnący wejść w związek małżeński musi to starannie rozważyć.

Król odpowiedział mu krótko:

– Nie pragnę niczego poza spokojem. A jeżeli muszę się ożenić, to na brudne szyje wszystkich bogów, znajdź mi kobietę choć trochę mądrą, niech będzie zdolna do prowadzenia ciekawej rozmowy w czasie posiłków. Resztę zostawiam twemu osądowi, pierś czy łydke wybierz według własnego uznania. Dla mnie wszystkie kobiety są takie same.

I tak pierwszy minister zaczął szukać kobiety, która miała zostać królową, a potem królową matką. I trzeba tu jasno powiedzieć, że szukał królowi oblubienicy tak gorliwie, jak gdyby był uczciwym człowiekiem. Powiedział sobie: „Jeżeli nie będzie ani naprawdę mądra, ani naprawdę subtelna, ani naprawdę wykształcona, co ją do mnie zrazi? Kiedy on umrze, ona i małe dziecko będą na mojej łasce i czy poprzez nich nie będę mógł rządzić wedle własnej woli?” Ilekroć spotykał kobietę, o której był zdania, że odpowiada zarówno jemu, jak i królowi, wiódł ją prosto do pałacu, choćby tego nie chciała. I zawsze król jadł z nią śniadanie, a czasem obiad, a w porze kolacji wracała już do domu i każdy oddychał z ulgą. Każdy z wyjątkiem pierwszego ministra, który znowu ruszał na poszukiwania mądrej królowej.

W tamtych czasach, w chłodnym, położonym na wyżynie, wschodnim zakątku królestwa, znanym jedynie z sera i miodu dzikich pszczoł, żyła kobieta o imieniu Sharm z córką, którą nazywano Tai-sharm, gdyż tak córki są tam nazywane do dzisiejszego dnia. Syn miałby własne imię, ale córka dzieli imię z matką, co Tai-sharm najzupełniej odpowiadało. Była z tego imienia dumna, gdyż podziwiała matkę bardzo, a ojca nie знаła zupełnie. Każdego dnia pracowała z matką na ich skrawku pola, ramię przy ramieniu, od bladego świtu, kiedy mogły dostrzec glebę, którą orały, aż do późnego wieczoru, dopóki nie stało się zbyt ciemno, aby zobaczyć chwasty i kamienie, które na kłęczkach wyciągały z ziemi. Gdy miała siedemnaście lat, jej małe ręce były tak silne jak ręce matki i podobnie brudne, o połamanych paznokciach, a kolana, łokcie i bosa stopy twarde jak rogi *rishu*. Z tego Tai-sharm była również dumna.

O swoim wyglądzie nie wiedziała nic, bo i skąd? Przyznamy to i my, którzy wciąż jeszcze żyjemy tak, jak wtedy żyła Tai-sharm. Podobnie jak my nigdy nie widziała odbicia swojej twarzy, chyba że przejrzała się w mętnej kałuży, a w niej wyglądała podobnie jak inne dzieci z wioski. Szła się myć, o ile nie zużyto całej wody do pojenia zwierząt i podlewania upraw, i w każdy dzień targowy czesała zakurzone poplątane włosy. Kiedy jedna *badrique* – takie nadal noszą tam kobiety – rozleciała się w strzępy, matka tkła jej nową. I taka była Tai-sharm – pracowała, spała, jadła, znowu pracowała.

Do tego jednak Choushi-wai musi jeszcze coś dodać, coś, o czym sama Tai-sharm nigdy by nie wspomniała. W głębi duszy Tai-sharm wierzyła, że jest głupia. „Zakuty łeb”, „bezmyślna”, „pusta głowa” – tak siebie nazywała od czasu, gdy była mała. Któż to wie, czemu tak o sobie myślała? Na pewno nie przyczyniła się do tego Sharm, która była najbardziej oddaną matką. Dzieci często potajemnie wymagają od siebie rzeczy niemożliwych; tylko one to wiedzą. Sharm smuciła się i gniewała na córkę, i nigdy tego nie zrozumiała.

Troszczyła się o córkę bardzo, w czym przejawiała dużo sprytu, dobrze rozumiejąc, co może się stać z młodzieńką wieśniaczką, jeżeli wpadnie w oko jakiemuś paniczykowi. Pomimo to nie oszpeciła Tai-sharm, jak robiło wiele matek, lecz bardzo się starała, aby jej dziecko wyglądało na brzydkie, brudne i obszarpane, i aby obcy jej nie oglądali. Na wieść, że przybywa pierwszy minister króla, posłała Tai-sharm na wzgórze, na lekcje do wujka Rynna, który był kowalem i nawdałem i potrafił, położywszy ręce na zwierzęciu, uleczyć je z każdej choroby. Tak więc, gdy w końcu minister odnalazł drogę do wsi, nie powinien był tam zastać Tai-sharm.

Jeśli jednak jakaś rzecz ma się zdarzyć, jakże temu *może* zapobiec wieśniaczka, a nawet mistrz sztuki czarnoksięskiej? Tak się złożyło, że Rynn zachorował i majaczył w gorączce. Troskliwie opiekowała się nim żona i dwóch synów; więc cóż mogła zrobić Tai-sharm? Ucałowała wuja w rozpalone czoło i wróciła do domu, do matki. Zjawiła się na jednym końcu drożki prowadzącej do ich małej chatki akurat wtedy, gdy pierwszy minister i jego orszak ukazali się na drugim. Czy można było czemuś takiemu zapobiec?

Śluchajcie dalej. Co ujrzała Tai-sharm, gdy spotkała pierwszego ministra króla u progu domu matki? Choushi-wai mówi wam, że zobaczyła wysokiego, bladego, otyłego mężczyznę o delikatnych ustach i bystrych małych oczkach wielkości główek od éwieków, ciągnący się po ziemi brzeg jego żółtej urzędowej szaty był ochlapany błotem, ale o to pierwszy minister, zobaczywszy Tai-sharm, nie dbał zupełnie. Z kolei on spostrzegł drobną dziewczynę z kruczoczarnymi włosami, która patrzyła na niego oczami wielkości, kształtu i koloru fig *nardou*, jakie rosną na tym właśnie dziedzińcu. Nie była piękna na żaden z dwudziestu siedmiu uznanych sposobów; ale chociaż pierwszy minister nie był uczciwym człowiekiem, nie był również głupcem i skłonił się Tai-sharm tak głęboko, jak mu na to pozwalały stanowisko i brzuch.

– Pani, zechciej przyjąć moje pozdrowienia. Wybacz mi, ale możliwe, że bogowie przysłali mnie tu, bym cię spotkał.

Otóż Tai-sharm nikt nigdy nie nazwał panią, ale nie w tym rzecz; nigdy wcześniej nie widziała pierwszego ministra ani nikogo z tam obecnych. Jediną urzędową szatą, jaką znała, był wytarty szkarłatny ornat wiejskiego kapłana. Co więcej, nie podobały jej się nieszczerze spojrzene osób z orszaku ministra. Nasunęła spłowieły szal na ramiona i odrzekła zuchwale:

– Szanowny panie, w takim razie bogowie musieli mieć gorszy zmysł kierunku niż czcigodny pan. Z pewnością zamierzali pokierować pana do jakiegoś miasta, do Ceth na Bata albo może Sarn, gdzie mieszkają damy, które rozumieją taką mowę. Jeżeli o mnie chodzi, czeka mnie praca i kolacja.

Zamierzała wyminąć pierwszego ministra, ale zaszedł jej drogę.

– Moje dziecko, zdradź mi swoje imię.

– Nie jestem twoim dzieckiem, lecz córką Sharm – rzekła Tai-sharm poirytowana, gdyż była zmęczona długą wędrówką. – Nazywam się Tai-sharm. A teraz pozwól mi przejść, głupcze.

– Ach, coraz lepiej! – Pierwszy minister pogłaskał się _ po okrągłym policzku. – Powiedz mi zatem, Tai-sharm, jak się nazywa ta wieś? – Nie wiedział o niej więcej niż my albo niż królowa w Fors na Shachim wie o nas, i niech tak zostanie, o tak, niech tak zostanie.

– Jak się nazywa? – Śmiech Tai-sharm był jak delikatny szum pierwszego wiosennego deszczu. – Z pewnością ma tyle nazw, ilu mieszkańców. „Tu” albo „to miejsce”, albo „dom”. Każdy z nas nazywa ją po swojemu, ale wszyscy wiemy, gdzie to jest. Czy mogłoby być u nas inaczej?

Wtedy pierwszy minister uśmiechnął się znowu.

– A kto jest władcą tego królestwa?

– Władca? – Tai-sharm wyśmiała go po raz drugi. – Starcze, tu nie ma króla, tylko wiatr, szarańcza i wyschnięta studnia. Czyż mogłoby być u nas inaczej?

– Rzeczywiście, nie inaczej – mruknął pierwszy minister, jak gdyby prowadził ze sobą rozmowę. – Powiedz mi jeszcze jedną rzecz, Tai-sharm, która nie jesteś dzieckiem. Powiedz głupcowi swoje najskrytsze pragnienie.

Zobaczyć rybę – bez chwili namysłu odparła Tai-sharm. – Nie starą wyschniętą rybę, jakie sprzedają na targu, ale żywą, pływającą i mieniającą się wszystkimi kolorami.

Podobno na myśl o tym uśmiechnęła się tak delikatnie, że na jedną chwilę pierwszy minister stał się uczciwym człowiekiem. I kto wie, jaki byłby koniec tej opowieści, gdyby stara Sharm nie usłyszała głosów i nie wyszła, żeby zobaczyć, kto przyszedł do jej chatki. Poznała żółtą szatę i zbesztła dziewczynę za jej niegościnnosć.

– Proszę wejść, panie – powiedziała. – Twoja służba również niech wejdzie.

Co by zrobiła, gdyby naprawdę weszli, to wiedzą jedynie bogowie, gdyż chatka ledwo mieściła ją i Tai-sharm. Ale pierwszy minister w kilku słowach rozkazał orszakowi poczekać na podwórku, a potem uprzejmie schylił głowę, aby przejść przez drzwi domu Tai-sharm.

I oto tam są, spójrzcie na nich. Śniada Tai-sharm w łachmanach, jej zgarbiona matka – „nawykła do schylania”, jak mówi o sobie lud – siedzą z pierwszym ministrem króla przy stole, zrobionym z koła od fury, minister z podkurczonymi nogami i kolanami aż pod brodą, a Sharm podaje mu kubek po kubku herbatę z pajęczej trawy z przyprawami i nalega, aby spróbował jeszcze sucharka *guigui*, które sama robiła. Niewiele wtedy rozmawiał z Tai-sharm, pragnął oczarować matkę, uspić jej czujność. Wyliczał rozległe dobra należące do władcy, mówił o jego szlachetnym sercu, dobroci i samotności. Był zdumiewająco sprytny.

Stara Sharm rzucała kątem oka spojrzenia Tai-sharm i szturchała pod stołem jej nogę. Tai-sharm nie zważała na to, tylko siedziała wpatrując się w ramię pierwszego ministra i co myślała, to myślała. A pierwszy minister nadal nie zwracał na nią uwagi, lecz zaczął poufnie rozmawiać z Sharm o tym, jak trudno sprostać wymaganiom króla co do jego przyszłej żony.

– Jeden rodzaj mądrości może się objawiać w nieprzebranych głębiach filozofii, jak u pani; inny w płynnym doborze i brzmieniu słów; jeszcze inny w roztropności, która pozwoli przetrwać jakiś fatalny dzień. – Na to stara Sharm posepnie skinęła głową, a pierwszy minister ciągnął: – Możliwości jest tyle, ile ptaków w powietrzu, owadów w trawie, pochlebców na dworze. Dobra matko, opierając się na własnej mądrości, powiedz, co zrobiłabyś na moim miejscu, aby wypełnić wolę władcy. Wezmę pod uwagę twoje zdanie.

Teraz popatrzcie na starą Sharm. Chwieje się na rozklekotanym zydłu, unosi ręce, aby uderzyć nimi o uda, pochyla się do przodu, aż jej guzowaty nos zatrzymuje się na tej samej wysokości co cienki nos pierwszego ministra.

– Cóż, mój panie, nie ma matki, która by nie uważała, że jej córka jest dobrą partią dla najlepiej urodzonego, czyż nie tak? Ale nie zawaham się tego powiedzieć, jeżeli chodzi o rozsądek – rozsądek, tak, jak również prawdziwą mądrość – twój król mógłby długo jeszcze szukać i nie znalazłby takiej dziewczyny jak moja...

Ale tu Tai-sharm skoczyła na równe nogi, omal nie przewróciła stołu, a twarz miała napiętą, bladą i starszą od twarzy matki.

– Nie – odparła. – Nie, nie chcę o tym słyszeć! Wiem, kim jestem, i nie chcę, aby ze mnie kpiono.

Wyszła z chatki i dalej ścieżką w dół, a pierwszy minister króla pozostał, wpatrując się ponad kołyszącym się stołem zrobionym z koła od fury na równie zaskoczona wieśniaczkę z resztkami zębów; oboje byli równie oniemiałi. Zobaczcie ich, jak tak siedzą, tak jak widzi ich Choushi-wai.

– Och, kochane dziecko – wzdycha w końcu stara Sharm. Zakłopotana wyciera brudną dłonią usta, mrużąc to, o czym już wiemy: że Tai-sharm od dzieciństwa uważała się za bezdennie głupią. – Pochwal ją tylko – lamentuje Sharm – a jest już pewna, że to kpina; nazwij ją chociaż rozgarniętą, a już się z tobą spiera albo ucieka, żeby całą noc płakać w stodole, tak jak teraz. – Sharm znowu ociera usta, czka i przeprasza. – Och, kochane dziecko! No cóż, tak to już z nią jest, tak jest. Przypuszczam, że teraz przestanie pana interesować jako żona dla króla?

– Ach, matko, obawiam się, że tak – mówi smutno pierwszy minister. Zjada jeszcze jeden sucharek *guigui* i żegna się.

Jeszcze tej samej nocy, po paru godzinach, gdy Tai-sharm w końcu zasypia przytulona do ciepłego boku jedynej *rishu* matki, służby pierwszego ministra dostają się do stodoły bez najmniejszego hałasu, niczym chłodna mgła przez szpary w ścianach. Tai-sharm obudziła się, gdy była już związana, rzucono ją na siodło, na którym podskakiwała jadąc do króla, którego imienia nie znała. Stara Sharm spostrzegła, że córki nie ma, dopiero w porze dojenia *rishu*.

Dotychczas nie było zwyczajem pierwszego ministra towarzyszenie w drodze do pałacu nowej kandydatce na żonę. Pozostawiając to swojej służbie, zwykle jechał dalej, wciąż zawzięcie szukając małżonki swemu panu. Jednak tym razem dzień i noc sam jechał u boku Tai-sharm. Przeklinała go, prosiła, aby ją uwolnił, czasem odmawiała w ogóle rozmowy, a on mimo to gawędził wesoło, opowiadając jej o cudach Baraquil, o wielkich zwycięstwach króla podczas walk, o jego wiedzy i jego mądrości. Dwukrotnie Tai-sharm ześlizgiwała się z siodła w środku tego bajdurzenia i dwukrotnie na nowo ją tam zarzucano. Pierwszy minister po prostu czekał, aż mu ją przyniosą z powrotem, i spokojnie kontynuował wychwalanie cnót swego pana. Naprawdę był cierpliwym człowiekiem, Choushi-wai wam to mówi. Często mawiał do Tai-sharm:

– Moja służba i ja robiliśmy wszystko co w naszej mocy, aby obchodzić się z tobą łagodnie i z należnymi honorami. Jeżeli w jakiś sposób uchybiliśmy ci, było to nie zamierzone i mam szczerą nadzieję, że nie będziesz żywiła do nas urazy, gdy już zostaniesz królową.

– Nie lękaj się tego – za każdym razem Tai-sharm odpowiadała mu chłodno – gdyż nigdy nie będę królową. Twoje kłopoty zaczną się dopiero wtedy, gdy król zda sobie sprawę, jaka jestem głupia. Wysłał cię, abyś znalazł mądrą kobietę, która by mu dotrzymała towarzystwa przy śniadaniu, a ty wracasz z idiotką. Nie będzie zadowolony.

– Ach, dziecko, kto zgadnie, co zadowoli króla i na jak długo? Kiedy przyjedziemy, może stwierdzić, że jest oczarowany twoją głupotą. Wielcy panowie mają kaprysy... – Pierwszy minister surowo popatrzył jej w oczy, w jakiś inny niż zazwyczaj sposób. – Chyba udajesz, że wierzysz w swoją głupotę. Znam cię już cztery dni i nie zauważyłem w tobie żadnych oznak tępoty. Czemu tak o sobie myślisz?

Tai-sharm nie odpowiedziała, więc ciągnął dalej:

– Nie bądź dzieckiem, twoja matka jest przynajmniej tak bystra jak połowa dworaków w Baraquil. Dlaczego miała być się od niej różnić, powiedz mi? Nie sądzę, abyś była od niej głupsza.

– Och, gdyby to była prawda! – szepnęła wtedy Tai-sharm tak cicho, że pierwszy minister musiał się nachylić, żeby ją usłyszeć. – Gdyby to mogła być prawda!

Coś w tych prostych słowach i w jej głosie sprawiło, że pierwszy minister poczuł się nieswojo. Nie przemówił już do niej ani tego dnia, ani nocą, jaka im jeszcze została do końca podróży, lecz jechał przodem, zostawiając ją pod nadzorem trzech ludzi ze swego orszaku. Ale Tai-sharm nie próbowała już uciekać – bo gdzie mogła zbiec ta, która nigdy nie oddalała się od domu dalej niż do chaty wuja na wzgórzach? Jechała w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

Było już dobrze po wschodzie księżyca, gdy dotarli do pałacu, więc tego wieczoru nie zaprowadzono Tai-sharm przed oblicze króla. Służba uprzejmie ją przywitała i odprowadziła do komnaty wyłożonej skórą drapieżnych *sheknath* i obwieszanej portretami groźnych mężczyzn. Tam, w balii wielkiej jak staw leżący za jej wioską, i nawet głębszej, była mocno szorowana, dopóki nie zaczęła protestować, że zedra jej skórę. Wtedy położono ją do łóżka tak wspaniałego i miękkiego, że poczuła, iż się w nim zapada, przygnieciona przez zwierzęce skóry i atlas. Zaledwie służba pożegnała ją, życząc dobrej nocy i zamknęła drzwi, Tai-sharm wygramoliła się na podłogę i zrobiła sobie miejsce na gołych twardych deskach, tak jak zwykle spała w domu. I tak nie usnęła ani na chwilę. A wy byście spali? Leżała spokojnie w kącie, z plecami wciśniętymi pomiędzy dwie ściany, ale w myślach chodziła tam i z powrotem, tak jak to robią w swoich zagrodach nasze na wpół dzikie *hamadri* każdej nocy – tam i z powrotem i dookoła, podczas gdy księżyc prześwieca im między rogami. Tak też i Tai-sharm czyniła w myślach, aż do świtu.

Służba zastała ją w wielkim łożu. Odślonili okna, nakarmili dziewczynę szczodrze i znowu wykąпали, oj, nasza biedna Tai-sharm, która mogłaby policzyć na palcach kąpiele całego swojego życia, gdyby się nad tym nieco zastanowiła. A potem wyperfumowano ją, aż zaczęła kichać, jej czarne włosy spleciono i upięto wysoko na głowie; ubrano ją w strój, którego w żaden sposób nie mogła sobie wyobrazić, nawet gdy miała go na sobie, i zaprowadzono ją do króla.

Co, czyżby Choushi-wai nie opisała wam jeszcze cudów tego pałacu i Baraquil? Cierpliwości, cierpliwości, sama Tai-sharm nie wiedziała wiele o tych wspaniałościach, gdyż wcześniej była zmęczona, zagubiona i wylekniiona. Zauważyła je wprawdzie – stare zbroje, wspaniałe lustra, stoły, komody, draperie – ale one jej nie widziały, czy rozumiecie? Nie było tam naprawdę Tai-sharm, którą mogłaby zobaczyć. Cierpliwości, cierpliwości. Dowiedcie się tego, co wie Tai-sharm, gdy ona to będzie wiedziała.

Słuchajcie dalej. Służba się wycofała. Tai-sharm usłyszała znajomy głos i gdy podniosła głowę, zobaczyła pierwszego ministra, a z nim mężczyznę, który jest tak wysoki jak minister, ale Opowieść Choushi-wai] gg nie tak okrągły i pulchny. Kształtem przypomina kamienny blok, jakiego używa się do budowy, wszystko jest w nim zbite, szerokie i szare. Nawet jego wysadzana klejnotami korona wygląda szaro w półmroku sali tronowej.

– Przybliż się, Tai-sharm – rzekł król. To rozkaz, ale Tai-sharm uderza w głosie władcy posępna delikatność – smutek nawet. On nie jest jedną bryłą, myśli dziewczyna i odnajduje w sobie odwagę, żeby podejść. Minister mówi coś, lecz Tai-sharm nie zwraca na niego uwagi.

Gdy dzieliła ją od władcy tak mała odległość jak mnie od was, zatrzymała się. Król rzekł tym swoim smutnym głosem:

– Dziewczyno, czy kiedykolwiek widziałas króla?

– A gdzie miałam go widzieć? – odpowiedziała śmiało Tai-sharm. Nie zamierzała być zuchwała, ale jest przecież córką starej Sharm, a jej matka nigdy by nie zniosła głupiego pytania. Ku jej zaskoczeniu król uśmiechnął się nieco.

– To prawda, gdzie? Dużo łatwiej ja bym spotkał wieśniaka, choć jeszcze mi się to nie zdarzyło. Więc oboje znaleźliśmy się w takiej sytuacji po raz pierwszy, przynajmniej to nas łączy. – Siadł na tronie i odwrócił się do pierwszego ministra, który zacierał ręce, w jednej chwili wyglądał na niespokojnego, a w następnej był tak pyszny, jak *jejebhai* o dwóch ogonach. – Opowiedz mi coś o niej, Majaku.

Tai-sharm była równie zaskoczona jak wy, gdy uświadomiła sobie, że pierwszy minister ma imię, jak każdy inny człowiek. Majak pokazał królowi w uśmiechu wszystkie zęby, poklepując Tai-sharm, jak gdyby była *rishu* wystawioną na targ.

– Panie mój, jeżeli chodzi o pochodzenie, wiem tylko tyle, że się urodziła. Ale ma charakter, jest wystarczająco silna, aby urodzić ci wielu synów, i muszę przyznać, że jest urodziwa na swój sposób. I, jak sobie szczególnie zażyczyłeś, wydaje się całkiem inteligentna. Nie mówię: wykształcona, zauważ proszę – nic nie wspominałeś o wykształceniu – ale z pewnością inteligentna. – Zobaczcie teraz, zobaczcie, jak skwapliwie odgarnia czarne włosy Tai-sharm, żeby pokazać królowi jej czoło. Ona uderza go po rękę.

Na to król zaczął się śmiać. Był to nieoczekiwany wybuch śmiechu, prawie kaszlnięcie, tak boleśnie zabrzmiało.

– Możliwe... – zaczął, ale Tai-sharm weszła mu w słowo, tak jak zawsze przerywała matce, wołając:

Nie! Nie, Wasza Królewskość! – Dziwicie się? Więc kto z was wie, jak się powinno zwracać do monarchy? – To nieprawda. Jestem tylko zwykłą wiejską dziewczuchą i głupią jak stołowa noga. Każdy we wsi wam to powie. Nie mam ani rozumu, ani wdzięku, ani umiejętności prowadzenia rozmowy. Nawet matka wstydzi się mojej głupoty. Panie, jeżeli jesteś tak mądry i dobry, jak on to stale powtarza, miej litość i odeślij mnie do domu.

Próbowała upaść przed nim na kolana, ale suknia, w którą zasznurowała ją służba, okazała się na to za sztywna i... oho! Oto Tai-sharm zaraz upadnie. Minister szybko postawił ją na równe nogi, a król nie przestawał na nią patrzeć, oparłszy na rękę ciężki podbródek.

– Majaku, odejdz – rozkazał nagle.

Popatrzcie na pierwszego ministra! Jego oczka wielkości główek od gwoździ otwierają się szeroko – nos pędzi do góry, chcąc dogonić brwi, ale te skryły się już we włosach. Chce mówić, lecz cóż wydobywa się z piersi? Odgłosy jak z nieszczelnego czajniczka do herbaty, jak gdyby jajka smażyły się w zbyt dużej ilości tłuszczu. Król lekko strzelił palcami i pierwszy minister rzucił Tai-sharm tak palące spojrzenie, że mogłoby ono osmalić lotki *nishoru*, i odchodzi. I oto zostali sami. Tai-sharm i król.

Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło. Tai-sharm rozglądała się ostrożnie, jak gdyby było to zabronione, a król ją obserwował. Dziewczyna zaczęła uświadamiać sobie, w jak dużej jest sali: bez trudu pomieściłyby się tutaj dwie chaty

z jej wioski – tak, i jeszcze wspólny wiejski spichlerz. Tai-sharm na zawsze zapamięta nie wspaniałe gobeliny przedstawiające triumfy króla ani zwycięskie trofea – znajdowały się tam czaszki na podpórkach, oprawione w złoto i srebro jak klejnoty – ale wiekowe cienie w rogach sali. Lite niczym skała, lecz włochate i dyszące jak wielkie zwierzęta. Pałac w Baraquil jest stary i wielu królów w nim mieszkało.

– Mała Tai-sharm – odezwał się wreszcie król. – Lubię cię.

– Och, panie, nigdy byś tego nie powiedział, gdybyś mnie znał – odpowiedziała mu Tai-sharm. Gdy odszedł pierwszy minister, dziewczyna czuła się dziwnie swobodnie rozmawiając z królem, tak jakby był kolegą z jej rodzinnej wioski, kimś, kogo zna od dzieciństwa. – Panie, nie mówię tak z braku szacunku, ale jesteś dla mnie zbyt stary i zbyt wielki, a ja jestem dla ciebie zbyt głupia i niewykształcona. Potrzebujesz prawdziwej królowej; powinieneś poślubić damę, która pasowałaby do tej sali, która wiedziałaby, jak spać w łóżku takim, jakie tu masz...

– Nie chcę żadnej królowej, Tai-sharm – przerwał jej król. – Nawet ciebie. – Uśmiechnął się i Tai-sharm ujrzała, że jest przystojny, choć posepny. – Dziewczyno, nie pragnę tego ślubu, podobnie jak ty, ale co mamy robić? Majak twierdzi, że muszę zatroszczyć się o następców. Ma rację. Mogę jeszcze być ojcem, a jeżeli twoi przodkowie są niskiego stanu... cóż, moi kiedyś też tacy byli, nie mam najmniejszej wątpliwości. I powiedziałem, że cię lubię, a to więcej niż się kiedykolwiek spodziewałem. Czy to możliwe, żebyś polubiła mnie z czasem? Jak sądzisz?

– Polubiłabym – jękając się odpowiedziała Tai-sharm. – Tak myślę, tylko... tylko nie...

– Nie w ten sposób. – Król potakująco skinął głową. Nie był rozgniewany; jego uśmiech stał się bardziej delikatny. – No cóż, to rozumiałe. Ale i tak zostaniesz moją żoną, Tai-sharm. Przepraszam, ale nic nie można na to poradzić.

– Moja matka zawsze to powtarza – szepnęła Tai-sharm. – Nic nie można na to poradzić, nic nie można na to poradzić... Czy dzięki temu łatwiej jest żyć?! – I wybucha płaczem.

– Nie płacz. – Król był skrepowany i wyglądał jak każdy wiejski chłopak pracujący w polu. – Proszę, Tai-sharm. Nie oczekiwałem, że poczujesz się zaszczyciona poślubiając mnie, lecz i nie przypuszczałem, że będzie to dla ciebie koniec świata.

Patrzcie, nasza Tai-sharm jest tutaj, z dala od domu, bez wpływu na swoją przyszłość i wciąż płacze, a król nie potrafi nic powiedzieć, co powstrzymałoby ten płacz. Konie, sokoły, jej służba i jej własny orszak, para myśliwskich *shukris*, suknie z najwspanialszego jedwabiu z Stimezst i szwaczka, którą sprowadzono z Fors na Shachim, aby je szyła – nic nie skutkuje, nic nie pomaga. W końcu doprowadzony do rozpacz i prawie że sam we łzach, król woła:

– Rok! Cały rok minie, zanim ślub się odbędzie. Przez ten czas zdołasz się przyzwycząić do nowego życia, do obcego miejsca, nawet do mnie, nie znanego ci starca. Dam ci ten rok, Tai-sharm, pod jednym warunkiem.

Tai-sharm przestała płakać, choć bardziej pod wpływem ciekawości niż dlatego, że ją to pocieszyło.

– Rok łaski – mówił dalej król – jeżeli tylko mi powiesz, dlaczego uważasz, że jesteś głupia. Umowa stoi? – I wyciągnął do niej dłoń, jak przyjaciel, aby przypieczerować umowę.

Tai-sharm nie podała ręki. Nic nie mówiła przez cały czas, tylko stała tam, cała wystrojona, patrząc to tu, to tam, nadal szukając w mroku – czego? Mądrej rady? Odrobiny nadziei? Nie znalazła.

– Myślę za dużo – wymamrotała pod nosem. – O to chodzi.

– Myślisz za dużo – ostrożnie powtórzył król. Powoli zdjął swoją szarą koronę, aby podrapać się w królewską głowę. – Tai-sharm, to nie jest typowe dla głupców.

– Panie, moi przodkowie to wieśniacy od wielu pokoleń. Żaden z nich nie chodził do szkoły, żaden nie myślał o niczym, tylko co posiać i kiedy. Żyli nędźnie, byli tego świadomi, ale byli również na swój sposób zadowoleni. Tylko ja, Tai-sharm, zawsze gdy kopię, orzę albo pielę, spoglądam w górę, żeby pomyśleć o... rybie. O tym co bogowie jedzą na śniadanie. O takich głupich rzeczach, o pieśniach i błyskawicy, o statkach żeglujących po morzu, o tym czy niebo po drugiej stronie świata jest tego samego koloru. O powietrzu, właśnie, o powietrzu, czy potrafisz, panie, to pojąć? Nigdy nie byłam nieszczęśliwa, ale szczęśliwa też nigdy nie byłam – nie tak jak oni, jak ludzie z mojej wioski, moja rodzina, nie tak jak oni. To rozumiałe, jestem głupia nawet jak na wieśniaczkę. Lepiej uczyniłbyś poślubiając kamień albo drzewo, Wasza Królewskość, bo one przynajmniej znają siebie i nie zadają pytań. Na Tai-sharm tracisz czas i wodę do kąpieli.

Król znowu się śmiał – tym razem prawdziwym śmiechem, bez domieszki chłodu. Trząśł głową i klepał poręcz tronu, tak samo jak zrobiłaby to ze swoim krzesłem stara Sharm.

– Rok – powiedział w końcu. – Jeden rok, Tai-sharm, i bądź pewna, że nawet pierwszy minister nie uzyskałby tyle ode mnie. – Wyciągnął dłoń, aby wziąć Tai-sharm pod brodę i podnieść jej twarz ku sobie. Może jego uśmiech stał się bolesny? Choushi-wai nie jest tego pewna, ale z pewnością rzekł wtedy: – Dziewczyno, nie będzie tak źle. Daję ci na to królewskie słowo. A teraz idź.

Służba wróciła bezgłośnie, bez wezwania króla, i zaprowadziła Tai-sharm z powrotem do jej komnaty, gdzie czekał już pierwszy minister. Siedział wyprostowany, ze splecionymi na brzuchu rękami.

– Jeżeli powiedział ci coś, czego miałaś mi nie powtarzać, możesz wyjawić mi to teraz – oświadczył dziewczynie. – I tak się dowiem, jak zawsze.

– Zostanę tu rok, a potem mam poślubić króla, nic więcej. Tai-sharm była tak smutna, że pierwszego ministra nieco to poruszyło.

– Cóż, czy jest to takie złe? Przecież zostaniesz królową, Tai-sharm znikąd, tak przypuszczałem. Moje gratulacje. Chciałbym ci dodać otuchy, bo na to zasługujesz. Jest dobrym człowiekiem jak na króla, o czym na pewno byś wiedziała, gdybyś spotkała ich tak wielu jak ja. Masz być za co wdzięczna losowi, a ja także. Rozstańmy się teraz i niech każde z nas zastanowi się nad tym.

Ale gdy dostrzegł błędzący wzrok Tai-sharm ponad oknami, skrycie wydał polecenia, aby co najmniej dwóch służących obserwoowało ją przez cały czas, ponieważ król zarządził, że Tai-sharm może swobodnie poruszać się po pałacu i przyległych doń terenach, w obrębie murów. Pierwszy minister rozumiał doskonale, kogo by obwiniono, gdyby dziewczyna uciekła, co najwyraźniej zamierzała zrobić. Za każdym razem gdy o tym myślał, zmieniał rozkazy – trzech służących miało teraz pilnować Tai-sharm, potem czterech, pięciu... wreszcie każda chyba para oczu w pałacu była w nią utkwiona dzień i noc. Gdyż pierwszy minister bardziej szanował wolę Tai-sharm niż ona sama.

Tak, oczywiście, że wiedziała – czy ktoś z was nie spostrzegłby, gdyby wszystkie cienie kryły jakichś szpiegów, wszystkie lustra odbijały jeszcze kogoś poza wami? Ale odkryła również zadziwiającą rzecz, o której powie wam Choushi-wai: gdy wszyscy obserwują, co robisz, jest tak, jakby nikt na ciebie nie patrzył, jakbyś był w pewnym sensie niewidzialny.

Tai-sharm, wykradziona z rodzinnego domu, więzień w olbrzymim pałacu, poruszała się po nim jak wolna kobieta, która nie ma żadnych sekretów. Wędrowała, gdzie tylko chciała, przez ogromne trawniki i wspaniałe ogrody. Niewiele pozostało miejsc w prywatnej królewskiej posiadłości, których by nie obejrzała, pomimo to nigdy nie podchodziła do zewnętrznych murów, nigdy ich nie oglądała z bliska. Nie nakłaniała służby, aby przemyślała dla niej wiadomości – tak, i można by powiedzieć, że prawdopodobnie była jedyną osobą na dworze, która nawet nie próbowała przekupić pałacowej straży.

No cóż, oczywiście, że to zaniepokoiło pierwszego ministra. Rozkazał nie zostawiać jej samej ani na chwilę. I oto nagle naszą Tai-sharm otacza więcej twarzy niż dotychczas poznała w całym swoim życiu. Kobiety ubierały ją i rozbierały, i znowu ubierały nieczym ulubioną lalkę; uczyły ją tańczyć i malować się, i oduczały wiejskiej gwary. A mężczyźni tańczyli i rozmawiali z nią przy każdej sposobności, zabierali na przejażdżki konne i polowania – och, była dobrze pilnowana, bez obaw – nauczyli ją gry w karty, a nawet odrobinę z nią flirtowali, jeżeli można to nazwać flirtem, gdy jednego oka cały czas nie spuszcza się z króla. Tai-sharm nie sprawiało to różnicy – wiedziała, że jest więźniem, nawet kiedy poluje lub tańczy.

Zdarzyło się, że pewnego dnia Tai-sharm zwróciła uwagę na zaniedbany żywopłot z krzaków *targary*. Te przysadziste żółte krzewy wyglądają na postrzępione, nawet gdy są odpowiednio przycięte, a te nie były, i to od bardzo dawna. Wrzecionowate, rzadkie i cienkie jak trawa, widać było, że umierają. Tai-sharm pojęła, że stoi w labiryncie, a właściwie w tym, co z niego zostało po wielu latach zaniedbania. Oczywiście nigdy dotąd nie widziała labiryntu, ale słyszała o podobnych od podróżnych. Ten miał kształt ryby zjadającej inną rybę, która też zjadała rybę. Ależ tak, Tai-sharm sądziła, że widzi jeszcze inne ryby pożerające następne. Zaczęła się przeciskać wśród krzewów, odłamując uschnięte gałązki krzewów *targary* po prawej i lewej stronie; wtedy po raz pierwszy usłyszała ten śpiew:

Tu i tam, i dookoła – kto mą pieśń usłyszeć zdoła? W górę, w dół – to droga ma, kto chce wiedzieć to co ja?

Była to jakaś dziwna, niepewna melodia, trudno wręcz ją nazwać melodią. Tai-sharm nie potrafiła wyobrazić sobie, kto mógłby tak śpiewać, gdyż ten głos nie posiadał ani głębi typowej dla męskiego głosu, ani kobiecej miękkości. Coś z nim było nie tak, jak gdyby czegoś mu brakowało albo czegoś miał w nadmiarze. Gdyby zaczął śpiewać umarły albo nie narodzone dziecko, ich głosy mogłyby tak brzmieć.

Tai-sharm zdziwiona ruszyła powoli w głąb labiryntu i nagle tuż u swoich stóp dostrzegła – co? Kałużę? Nie, to sadzawka, nieruchoma i cuchnąca, pokryta gnijącymi liśćmi. Z tej sadzawki dochodził śpiew.

Córo słońca, córo dżdżu, córo znoju, marzeń stu, przywieziona królowi w dani, odpowiadam na twe wołanie.

Nagle cuchnąca woda zawirowała, żółtawy pysek odsunął na boki suche gałązki *targary*... jedno wylupiaste oko pojawiło się w środku tego wiru. Tai-sharm po raz pierwszy zobaczyła rybę. Tak, to ryba! Bardzo brzydka, pokryta czerwonymi i żółtymi plamami, ogon i strzępiaste płetwy miała nieproporcjonalnie małe w stosunku do grubego ciała. To jedyne widoczne oko było tylko trochę jaśniejsze od wody; drugie ukryła szlamowata płatanina wodnego ziała, które owinęło tę szpetną rybę niczym wieniec barda. Tai-sharm stoi tam i się przygląda.

– Dziecko – odezwała się ryba tym swoim dziwnym głosem – pomóż mi, dziecko.

Tai-sharm padła na kolana i w mgnieniu oka uwolniła rybę. Ta jednak nie od razu znikła, jeszcze przez chwilę pozostała pomiędzy dłońmi dziewczyny, aby uświadomiła sobie jej chłód i prawdziwość tego zdarzenia. Potem wyslizgnęła się jej delikatnie i odpływając zaśpiewała:

Tai-sharm, nigdy nie puszczam w niepamięć, ni przysług mi oddanych, ani nieprawości.

Wiele przeżyłam i wiele doznałam, wzrost potęgi pałacu widziałam.

Jesteś więźniem, jak i ja – w przeszłości, wezwij mnie, a doświadczysz mojej szlachetności.

– W takim razie – rzekła Tai-sharm, podnosząc głos na tyle, aby ryba mogła ją usłyszeć – pomóż mi stąd uciec. Muszę wrócić do domu, rybko. Proszę, chcę uciec.

– Na to jeszcze nie czas! – zawołała ta szpetna ryba w odpowiedzi i znikła na dnie sadzawki.

Tai-sharm smutna powędrowała z powrotem do pałacu, a w uszach jeszcze dźwięczała jej pieśń. Ale przynajmniej zobaczyła rybę, z tego mogła się cieszyć. I tej nocy Tai-sharm spała na podłodze swojej wspaniałej komnaty tak słodko, jak gdyby znowu leżała przytulona do chrapiącej *rishu* w domu matki.

Tak, oczywiście, że wróciła nad sadzawkę – nie następnego dnia ani drugiego z kolei, ani po tygodniu czy nawet po dziesięciu dniach. Dlaczego miałyby doznać rozczarowania wcześniej niż to konieczne? Ale gdy przypadkiem spostrzegła kuchcika z królewskiej kuchni, biegnącego w kierunku labiryntu z linką od wędki w brudnych dłoniach, bez namysłu podążyła za nim. I dobrze zrobiła, gdyż ujrzała brzydką śpiewającą rybę już na haczyku, wyciągniętą z wody, trzepoczącą i ciężko łapiącą powietrze. Kucharczyk wywijał nią triumfalnie ponad głową. Tai-sharm dopadła chłopca niczym sokół *starik*, wysłała go do pałacu z natartymi uszami, linką od wędki zawiniętą wokół szyi i poobijanym zadkiem. Wyjęła haczyk z pyszczką śpiewającej ryby i, zanim jeszcze ucichło wycie kuchcika, wpuściła ją z powrotem do sadzawki.

– Dwukrotnie wyświadczyłam ci przysługę. Pomóż mi teraz, tak jak obiecałaś.

Ale nie, ryba bez słowa podziękowania oddaliła się, śpiewając tak:

Tai-sharm, nigdy nie puszczam w niepamięć, ni przysług mi oddanych, ani nieprawości. Wielu przychodziło korzystać z mojej mądrości. Tobie zalecam jedno:

uzbrój się w cierpliwość i czekaj stosownej chwili, ryba w swych radach nigdy się nie myli.

Tai-sharm nie wróciła już nad sadzawkę.

A co się działo z królem przez ten czas? Tai-sharm nie widywała go po całych dniach, zajęta i samotna jak on; ale każdego ranka jedli razem śniadanie przed nastaniem świtu (gdyż król wstawał tak wcześnie jak stara Sharm) i zazwyczaj jadal wspólnie obiady, chyba że przyjmował ministrów albo zagranicznych ambasadorów, tańczył, polował, oglądał samotnie gwiazdy z dachu pałacu. Ogromnie to lubił i często zapraszał Tai-sharm, aby mu towarzyszyła, lecz za każdym razem odmawiała, choć uwielbiała niebo nocą i naprawdę lubiła króla. Musicie pamiętać, że właściwie nie znała mężczyzny, a ponadto żaden nie poświęcał jej tyle uwagi co król. W stosunku do niego była zawsze uprzejma i pełna szacunku, ale powstrzymywała się przed okazywaniem mu prawdziwej dobroci, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Król to wiedział i ona wiedziała, że on wie, i w tym tkwił problem.

Słuchajcie dalej. Spędziła na dworze już pół roku – a tak, czas ten ciążył jej niczym kajdany, ale nie zawsze tak było, nie zawsze – i król zapytał ją pewnego dnia:

– Tai-sharm, jak się tu czujesz? Czy nadal jest ci przykre życie na dworze i taki stary człowiek jak ja, czy zaczynasz się trochę czuć jak w domu?

Na pewno nie jak w domu – odrzekła Tai-sharm, szczerza jak zawsze. Lekko dotknęła ramienia króla. – Ale nie jest to również przykre.

– Ach, i nic więcej? – zmartwił się król.

Było późne wiosenne popołudnie i spotkali się na spacerze, nie we wspaniałych kwiatowych ogrodach, gdzie pierwszy minister przyprowadza innych ministrów króla na spacer i rozmawiają półgłosem, ale w kuchennym ogrodzie, w pobliżu królewskich stajni. Melony *ardeet*, małe wczesne *jashimus* i czerwone dynie *zizo* rosły tu trzy razy większe i bardziej aromatyczne niż w wiosce Tai-sharm. Wyglądały na wypolerowane; nie było na nich ani odrobiny pyłu.

– Jak by to było miło, gdybyś był młodszy i nie był królem – rzekła dziewczyna w końcu.

Król zaśmiał się nieoczekiwanie gorzkim śmiechem, który przypominał warknięcie.

– Wtedy nawet byś na mnie nie spojrzała. Nie musiałabyś, byłabyś wolną kobietą wśród błotnistych uliczek swojej wsi, a nie jeńcem przechadzającym się po moich ogrodach.

Wziął ją pod rękę, zdecydowanie, i poszli dalej. Nieco utykał; prawdopodobnie nigdy byście tego nie zauważyli, ale Tai-sharm wyczuwała nieznaczne szarpnięcia przy każdym kroku. Król nie miał teraz korony.

– Spójrz na to, spróbuj tego. – Podnosił liść, aby jej pokazać prawie dojrzałe *dolmiri*, albo wkładał jej do ust garść słodkich lodowych jagód. Tak by się mógł zachowywać zwykły wieśniak z górskiego kraju, tyle że ludzie z gór nie bywają tak dumni ze swych osiągniętych w trudzie, pomarszczonych przez słońce zbiorów.

Król znowu się zatrzymał i chwycił Tai-sharm za ramiona. Twarz miał jak stary kamień, taką samą jak zwykle, i ręce miał takie same, ale jego oczy... och, Choushi-wai mówi wam, jeżeli oczy potrafią drzeć, to te na pewno drżały.

– Tai-sharm, Tai-sharm, po co to jeszcze odkładać? Nie zmienisz się, podobnie jak ja. Pobierzmy się teraz, a nie za sześć miesięcy. Niech się stanie, co stać się musi, choćby i dzisiaj.

Tai-sharm nie cofnęła się, nie odtrąciła rąk króla. Przecząco potrząsnęła głową.

– Dlaczego nie, ty uparta chłopko, dlaczego nie?! – krzyknął król. – Na co czekasz?

Puścił jej ramiona tak nagle, że dziewczyna omal nie upadła, i szybko odszedł, potykając się o rząd krzaczków *jashimus*. Nie oglądał się za siebie, królowie nigdy tego nie robią.

Tak, tak, każdy z nas z łatwością by rozpoznał, że król jest zakochany, ale Tai-sharm nic o miłości nie wiedziała, a poza tym miała inne sprawy na głowie. Czekala – co do tego król się nie mylił. Czekala na Sharm.

Nie sądzicie, że ponieważ stara Sharm była niewykształconą wieśniaczką, pozostała beczynna, gdy jej wykradziono jedyne dziecko. Możliwe, że brakowało jej zębów, ale rozum i pomysłowość – nigdy. Gdy za wsią natrafiła na ślady kopyt koni pierwszego ministra, ponuro skinęła głową, wróciła do domu, spakowała sakwę z suszonym mięsem i poprosiła sąsiadkę, aby przez kilka dni zajęła się jej domem i jej *rishu*. Potem wyruszyła pieszo do miasta Fulicha.

Nie. Choushi-wai powiedziała, że działo się to wtedy, gdy jeszcze były tu góry. Teraz Fulicha już nie istnieje, nie było jej nawet wtedy, gdy wprowadziliśmy nasz kalendarz. Ale w czasach, o których mówię, istniała. Była to senna miejscina, w której trudno by znaleźć choć jednego przestrzegającego prawo człowieka. Nie mieszkali tu bandyci, jak w Cheth na'Deka – ale przemytnicy, w większości przewożący to i tamto, tu i tam, nie płacąc złamanego grosza podatku czy innych opłat. Mieszkali tu również fałszerze pieniędzy, oczywiście, i nie brakowało rzezimieszków, i gdybyście nalegali, znalazłoby się ze dwóch rozbójników. Ich hersztem był w tamtych czasach wysoce poważany handlarz trucizny, a najlepszą gospodę prowadził podpalacz w stanie spoczynku. Takiego miasta jak Fulicha nigdy nie widzieliście.

A stara Sharm szukała złodzieja.

Nie byle jakiego złodzieja, ale prawdziwego mistrza w tym fachu. Nazywał się po prostu Złodziej i Sharm wiedziała, że mieszkał w tym mieście, choć nie wiedziała gdzie; była jednak cierpliwa – tego ją nauczyło życie – i potrafiła zadawać pytania. O świcie piątego dnia wędrowki przykucnęła przy drzwiach chaty nie większej niż jej własna, czekając w milczeniu, aż drzwi otworzą się we właściwym czasie.

Wkrótce wyszedł śniady, szczupły mężczyzna i stanął na kamiennym progu, ziewając do słońca. Miał bardzo inteligentne oczy srebrnoszarego koloru i najpiękniejsze dłonie, jakie stara Sharm kiedykolwiek widziała u mężczyzny, niemal zbyt długie w stosunku do cienkich nadgarstków i pełne wdzięku, niczym obłoczki.

Posłuchajcie, jak trzeszczą kości Sharm – niczym płonący las – gdy stara podnosi się na nogi i pyta wprost:

– Czy jesteś Złodziejem?

Śniady mężczyzna nie odwrócił się.

– Kto chce wiedzieć? – rzekł do wschodzącego słońca, cytując wiekopomnego poetę Dhaj'mula.

– Jestem Sharm. Król ukradł mi córkę, zwróć mi ją. Złodziej nie okazał zdziwienia, ale Sharm czuła, że kątem oka patrzy na nią.

– A jeśli to uczynię, to naturalnie dasz mi w zamian każdą sumę pieniędzy, jakiej zażadam, i rękę swojej córki?

Na samą myśl o tym kobieta zaczęła rechotać, a jej suchy starczy śmiech sprawił, że Złodziej popatrzył wprost na nią i nieco się uśmiechnął.

– Chłopcze, na pierwszy rzut oka poznać, że nie mogę ci niczego zaofiarować z wyjątkiem głodnych pcheł, a mimo to nie zamknąłeś mi drzwi przed nosem. Coś z tego, co powiedziałam, zaciekało cię... co to może być? – Sharm podeszła do Złodzieja, uśmiechając się wyzywająco.

– Chyba jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś mnie wynajął do okradzenia króla – rzekł zdziwiony Złodziej.

– Nie wynajmuję ciebie! – zaprotestowała Sharm. – Ja cię proszę, a to nie to samo.

– Nie? Jaka szkoda! – Teraz Złodziej zaczął się jej bacznie przyglądać, oczy miał bystre, przyjazne i wesołe, a Sharm zrozumiała, że nie potrafi niczego z nich wyczytać.

– Z pałacu z pewnością można ukrąść dużo więcej, nie tylko moją córkę. A ona jest naprawdę piękna. I dobrze wychowana.

Złodziej milczał jeszcze przez kilka chwil. Potem, tak szybko jak mucha, która siada na żabie, wskoczył do domu i równie chyżo wrócił z tacą razowca i sera. Zaprosił Sharm na śniadanie. Usiedli razem na progu, w ciepłych promieniach słońca i obserwowali szcwanych ludzi, którzy całą noc spędzili poza domem, robiąc bogowie jedni wiedzą co, a teraz szli do domów spać.

– A który to król? – zapytał Złodziej starą Sharm.

– Skąd ja mam to wiedzieć? Rządzi w Baraauil. – I opowiedziała Złodziejowi o wszystkim – o wizycie pierwszego ministra, o życzeniu króla, żeby mieć mądrą żonę, o ucieczce Tai-sharm z kuchni, o jej płaczu i w końcu jej nocnym zniknięciu ze stodoły. Złodziej słuchał, kiwał potakująco głową, zjadał chleb z serem i nie mówił ani słowa, dopóki Sharm nie skończyła.

– Cóż – westchnął wtedy. – To nie będzie łatwe; ryzykowałbym życie, a ty nie masz mi czym zapłacić. Czy coś pomogę?

– Nie – odpowiedziała Sharm ponuro. – Jedyne to, że jest piękna. Masz trochę piwa?

– Nie, nie mam. Z reguły nie kradnę ludzi, tylko pieniądze, biżuterię, konie, tajne dokumenty. Kiedyś nawet ukradłem statek pełen skarbów, z portu w Leishai. Gdyby twojej córce skradziono coś cennego, coś rzadkiego, prawdopodobnie mógłbym jej to zwrócić.

– Zwróć jej wolność.

Złodziej znowu westchnął. Wstał i spojrzał w dół na jej siwą głowę, kciuki zaczął o pasek. Choushi-wai sądzi, że oczy miał nieco bardziej zamyślane i surowe. Ale może się myli.

W końcu Złodziej rzekł:

– Niegodziwa, przebiegła kobieto. Przypuszczasz, że jestem równie dobrze wychowany jak twoja nieszczęsna córka i nie zostawiasz mi w tej sprawie żadnego wyboru. Och, dobrze ci radzę, staruszkko, nie kłam. Czy to dziecko jest przynajmniej tak ładne jak ty? – Zmierzył włosy Sharm i wszedł do domu.

Sharm klasnęła w dłonie, uśmiechnęła się od ucha do ucha do przechodzącej obok pary złodziejaszków, zajmujących się okradaniem mogił, i pobiegła za Złodziejem.

Odszukanie Tai-sharm zabrało Złodziejowi nieco czasu. Nie dlatego że nie wiedział, gdzie jest albo jak się tam dostać, ale nigdy nie szedł do celu prostą drogą. Gdy dowiedział się już dość o Baraauil, chyłkiem opuścił Fulichę o świcie, a potem krążył i chodził dwakroć i trzykroć po swoich śladach, aby pozbyć się zawistnego orszaku naśladowców, którzy zawsze chcieli być tam gdzie on – zabrało mu to trochę czasu. Ale Złodziej się nigdy nie spieszył.

I rzeczywiście, nawet gdy dotarł do Baraauil, podskakując na grzbiecie nędznego kucyka, tak małego, że dzieci się śmiały, widząc jak pięty jeźdźca prawie szorują po ziemi, nie uczynił nic godnego uwagi. Odstawił zwierzę na popas do stajni i spędził popołudnie na bezcelowym wałęsaniu się po mieście. Och, mógł wypić odrobinę tamtejszego *jaru* w jakiejś pomniejszej gospodzie, możliwe, że kupił kilka upominków dla krewnych, których, jak mówił, ma w Bitavie, i zadał kilka pytań typowym dla Fors na' Shachim dialektem. Powiedziano mu, że król się żeni z młodą księżniczką z innego kraju, którą nawet teraz ukrywa w pałacu – tam, zobacz, błyszczy ponad wzgórzem. Kiwał potakująco głową, udając zainteresowanie z grzeczności. Ludzie szybko przestali się nim interesować. Zawsze tak bywa.

Nadszedł zmierzch, a Złodziej nadal włóczył się po ulicach, kłaniał się to temu, to tamtemu i pogwizdując dotarł do zewnętrznych murów królewskiej rezydencji. Ten wieczór, podobnie jak następne wieczory lub bardzo wczesne ranki w ciągu następnych dwóch tygodni upłynął mu na chodzeniu wokół pałacu. Okrążał las, park i łąkę, jezioro i pastwisko, skalisty pagórek i nieoczekiwane piętrzący się wodospad. Tam, gdzie pojawiły się mury, pojawiał się i Złodziej, nigdy się nie spiesząc; i chociaż wartownicy byli na straży, nie kłopotał się, że zostanie zauważony. Po dwóch tygodniach wiedział o pałacu wszystko, czego można było się dowiedzieć, obserwując go spoza otaczających murów.

To znaczy prawie nic. Złodziej z pewnością zdawał sobie z tego sprawę. W kilku miejscach, gdzie mury znajdowały się bliżej pałacu, udało mu się jeden czy dwa razy dostrzec młodą kobietę; za każdym razem była w towarzystwie wielkiego siwowłosego mężczyzny i wydawało się, że jest zadowolona. Nigdy nie miał możliwości, aby zwrócić na siebie jej uwagę, ani razu, nie mógł też przekazać jej wiadomości.

Rozumiecie teraz, że Złodziej nie był człowiekiem odważnym. „Kiedy robisz to co ja – mawiał często znajomym – odwaga staje się twoim największym wrogiem. Gdy chcesz kraść, potrzebny ci rozum i tylko rozum, i jeszcze sprawna para rąk. A co do śmiałości – tu zwykle wrzasał ramionami – wystarczy jej niewiele. Jest potrzebna potem, gdy już opowiadasz swoją historię”. Wśród ludzi takich jak stara Sharm, którzy interesowali się tymi relacjami, jego kradzieże stały się wprost legendarne, ale tak naprawdę popisywał się tchórzostwem, popisywał się niczym wspaniałym złotym skarbem. Choushi-wai mówi wam to po to, abyście zrozumieli, jak bardzo był zaniepokojony, gdy musiał przeleźć przez pałacowy mur.

Na porę swojej wizyty wybrał czas przed świtem, a na miejsce, z którego rozpoczął akcję, wierzbę rosnącą na stoku ponad pałacem. Samo wspinanie się przebiegło spokojnie: bez uszczerbku dla jego najlepszego roboczego ubrania i bez najmniejszego alarmu. Złodziej opadł na pokryty roszą miękkim gruntem niczym spadający liść, potoczył się pomiędzy drzewa, aby się tam schronić – gdyż strażę grasowały zarówno w obrębie murów, jak i poza nimi – i natrafił wzrokiem na słodkie głupie oczy wielkiego niebieskiego *jalduk*. Tak, przez nas są traktowane jak żarłoczna i niszcząca ogrody plaga, ale król je uwielbiał i pozwalał wędrować im swobodnie po pałacowych gruntach. Złodziej spłoszył go i bardzo ostrożnie zaczął przesuwać się w dół wzgórzka.

Tego dnia pozostał tam niedługo, nie doszedł nawet do cienia pałacu. Tai-sharm nie widział w ogóle. Zdarzyła się jedna tylko rzecz godna uwagi – gdy tą samą drogą opuszczał ogród, wydawało mu się, że słyszy śpiew. Przez chwilę sądził, że może to ona śpiewa, ale głos nie był kobiecy. Męski też nie był. Złodziej zawahał się, zawisł w bezruchu po zewnętrznej stronie muru, próbując uchwycić słowa. Ale śpiew skończył się tak nagle, jak się rozpoczął, a Złodziej odszedł, nie widziany przez nikogo, nie złapany i ani krzty mądrzejszy. I nawet jeżeli wypił w nocy i był rozdrażniony, mimo to wrócił przez mur tuż przed świtem i nie ma znaczenia, czy szumiało mu w głowie, czy też nie. Na swój sposób był tak cierpliwy jak stara Sharm.

Tym razem usłyszał śpiew, gdy jeszcze się wspinał, wyraźny i bliski jak bicie jego serca, tym razem trafił też w zupełnie inne miejsce niż wczorajszego dnia. Tu zbrocze było prawie pozbawione drzew, o wiele za bardzo odsłonięte i widoczne dla każdego bystrych oczu, wyglądających z pałacu. Złodziej dostrzegł labirynt i szybko ruszył w jego kierunku. Śpiew teraz dobiegał z bliska.

Ale my już znamy tę pieśń:

Tu i tam, i dookoła, kto ma pieśń usłyszeć zdoła? W górę, w dół – to droga ma, kto chce wiedzieć to co ja?

– Nie do wiary – szepnął Złodziej. Ostrożnie szedł dalej i ani myślał zawołać, aby nie wszczynać hałasu. Pieśń wciąż brzmiała:

Labirynty zbudowano dla kochanków, by tu szukali miłości, a nie dobrobytu. Kto szuka tu miłości, nie mnie? Co ten lotr robić tu śmie?

– No, no – burknął Złodziej i oburzony kroczył dalej, w głąb zaniedbanego labiryntu, rozglądał się na prawo i lewo, próbując odnaleźć tego, kto układa o nim tak szydercze pieśni.

Ale zupełnie nikogo nie było widać – wokół jedynie na wpół obumarły żywopłot z *targary*, kruchy i łamliwy niczym skórka chleba. Złodziej błądził tu i tam po labiryncie i wciąż nie znajdował nikogo, kto tak złośliwie śpiewa. Słońce już wzeszło, zmieniły się straża na murach. Złodziej musiał umykać, solennie sobie przyrzekał, że o zachodzie księżyca będzie już wracał do domu. Spał cały dzień, obudził się o zmierzchu i o zachodzie księżyca znowu był za murami posiadłości króla, ponownie szukając córki Sharm. Był Złodziejem. Dlatego tak się nazywał.

Tym razem nie słyszał śpiewu, tylko szuranie podkutych butów i kwilenie ptaków, że nie czas jeszcze wstawać. Zniecierpliwiony podszedł tak blisko pałacu, że widział migoczące światła we wspaniałych kuchniach i cienie kucharzy, którzy już szykowali poranny posiłek. Zza wysokich wąskich okien dolatywało go chrapanie; dostrzegł nawet jakiś ruch na dachu pałacu, ciemnym na tle ciemności – tam król śledził gwiazdy, chociaż Złodziej o tym nie wiedział. Wiedział natomiast, że nie znalazł nikogo podobnego do Tai-sharm: tej nocy jedynie senne falowanie gałęzi drzewa *deshi* obok wysoko położonego balkonu przypominało kobiece ruchy. Złodziej westchnął głęboko.

– Niegodziwa starucha – mamrotał pod nosem. – Dość mam tego, jej też mam dość!

Po tych słowach wspiął się na drzewo *deshi* jak po szczeblach i poszedł po gałęzi do balustrady balkonu. Czy okno będzie zamknięte? Czy zostanie z dołu zauważony? Czy po prostu spadnie z drzewa? Ale złodziejskie szczęście go nie opuszczało: okno było zamknięte, lecz nie na dobre, i Złodziej już skoczył do środka, zanim jeszcze gałąź przestała się kołysać. Mrużył oczy, rozglądając się dookoła w gęstej ciemności, i od razu wiedział, że pokój jest pusty. Złodziej musi wiedzieć takie rzeczy. Ostrożnie uchylił drzwi. Zobaczył światło niknącej pochodni i wiele drzwi do różnych pokoi – bez straży. Czy któreś z nich to drzwi Tai-sharm? Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Mijając korytarz za korytarzem, Złodziej przesunął się chyłkiem, każdy szmer ścinał mu krew w żyłach, każde drzwi próbował otworzyć tak delikatnie, że nawet same drzwi chyba o tym nie wiedziały, podobnie jak śpiący nie są świadkami tego, że ich ciało porusza się we śnie. Złodziej zobaczył mnóstwo ludzi – młodych dworzan i starych ministrów, śpiących z żonami lub z kochankami. Samotna czy leżąca u boku mężczyzny – żadna z kobiet nie odpowiadała wizerunkowi, jaki nakreśliła stara Sharm. Złodziej szedł cichcem dalej.

Strażnicy po dwóch szli w jego kierunku, stąpając ciężkimi krokami, ale za każdym razem go mijali obojętnie. Patrzyli wprost na Złodzieja, nie widząc go – być może dlatego, że ze strachu robił się przezroczysty niczym lód, jak sądzić? Wartownicy utyskiwali na zbyt częste pełnienie wart i brak snu z powodu jutrzejszego – dzisiejszego, poprawił ich w myśli Złodziej – ślubu. Ach, przynajmniej raz dla wszystkich starczy piwa i *varu*. Król jest dobrym panem, złego słowa nie można powiedzieć, ale za mało pije i uważa, że inni piją za dużo. I tak dalej, i tak dalej, głosy strażników słyhać było wyraźnie z sąsiedniego korytarza, na szczęście dla Złodzieja, ale nie dla tych, których budzili.

– Dzień ślubu – mruknął ze złością Złodziej. – Nikt mi o tym nie mówił.

Nieprawda. Słyszał rozmowę w mieście – podслуchiwał nawet wartowników na murach, żartujących grubiańsko na temat zbliżającego się ślubu króla. Ale to był Złodziej, rozumiecie, Złodziej i nawet czas wie, co to znaczy. Czas płynie wolniej akurat dla niego, zawsze tak było. Zabłąkane minuty, godziny, od czasu do czasu nawet dodatkowy dzień, leżą uporządkowane, tylko po nie sięgnąć, gdy naprawdę będzie ich potrzebował. Teraz jednak czas i nierozważna próżność zgubiły go pospołu; jeżeli nie zdoła zwrócić Tai-sharm matce, będzie w takim samym stopniu winny, jak król czy pierwszy minister. Tego, co Złodziej mówił głośno w korytarzu, Choushi-wai nie może wam powtórzyć, a jeśli nikt w pałacu nie słyszał tych brzydkich wyrazów, to tylko dlatego, że wszyscy naciągnęli na uszy poduszki, kiedy przechodziły straża.

Ale w końcu Złodziej wzruszył ramionami, nawet się uśmiechnął i pomyślał: Co ma robić głupiec? Skoro zabrnął, niech brnie dalej ze swoją głupotą. Jeszcze znajdzie córkę Sharm, a jeśli mnie pojmają, dostanę to, co mi się i tak należy. I jał maszerować, tupiąc środkiem korytarza – jak jakiś bohater, który idzie z wizytą do pałacu pełnego zaproszonych na ślub gości. A zwykle przecież skradał się pod ścianami, bo tego wymagał jego fach. Choushi-wai może wam to powiedzieć, że nigdy, w całym swoim długim życiu, Złodziej nigdy do końca sobie nie wybaczył. „Złodziej ma kraść – mawiał poirytowany – a nie odnosić właścicielowi to, co już zostało skradzione. Wiedziałem o tym równie dobrze wtedy, co i teraz. Ha-niebna sprawa”.

Na szczęście skręcił w kolejny korytarz i zobaczył sześciu ludzi pod bronią – nie zwykłą straż, ale prawdziwych królewskich żołnierzy – na warcie, kroczących w tę i z powrotem przed drzwiami, które wcale nie różniły się od innych. Mówię: na szczęście, ponieważ szaleństwo opuściło go natychmiast i Złodziej odruchowo skrył się w pobliskim cieniu. Przez przypadek i dzięki bucie, przynajmniej to, w końcu odnalazł Tai-sharm.

Złodziej nigdy w życiu nie nosił broni, nawet *jiyak* używanej przez kłusowników, nawet małego noża, który można schować w bucie. Toteż gdyby Tai-sharm liczyła na to, że wyskoczy z ukrycia na jej strażników i wytnie ich w pień w pojedynkę, spotkałoby ją wielkie rozczarowanie. Złodziej, ukryty w mroku, chłodno rozważał sposoby na odwrócenie uwagi straży, dzięki czemu drzwi Tai-sharm mogłyby pozostać nie strzeżone przez jakieś pół minuty, akurat tyle potrzebował. Mógł krzyczeć, oczywiście – mamrotać, zawodzić, jak duch podstępnie zamordowanego; takie duchy nawiedzają każdy zamek w każdym królestwie i w każdym czasie. Mógł też udawać głosy, takie, które dobiegają ze wszystkich stron, wyśmiewając i strasząc każdego, kto ma coś na sumieniu. Złodziej dobrze naśladują takie głosy, a nasz Złodziej był w tym mistrzem.

Ale tej nocy nie musiał się popisywać. Z komnaty wyszła staruszka, szybko zamknęła za sobą drzwi, tak że nie zobaczył przez nie niczego z wyjątkiem światła świec. O co pytasz? Staruszka, na pewno staruszka, bo była opatulona w podobny do namiotu *sals'yaan*, typowy w tym kraju dla bon, czarownic i staruszek. Przygarbiona, drobna kroczyła niczym marionetka, a siwe włosy wmykały jej się spod kaptura. Oczy miała przekrwione i kaprawe, a na grzbietach dłoni pomarańczowobrózowe plamki.

– Dziecko było nadmiernie podniecone – odezwała się piskliwie do żołnierzy. – Tak, nawet taka stara wiedźma jak ja pamięta ten zapach. Przyrządziłam jej specjalny napój z korzeniami, będzie spać głęboko, aż do rana. A teraz pójde już. Przepuście mnie, piękni panowie.

Żołnierze rozstąpili się, trochę zaskoczeni, ale niczego nie podejrzewali. Staruszka przeszła i mamrocząc ruszyła dalej, do końca korytarza. Skręciła w następny, a tu ktoś dłonią zasłonił jej usta, długim ramieniem zagarnął ją zgrabnie do nisz i cicho szepnął do ucha:

– W końcu się spotkaliśmy, córko Sharm. Matka cię pozdrawia.

Przy tych słowach Złodziej zwołał uścisk. Staruszcze kaptur spadł na ramiona.

– Kim jesteś? Skąd znasz moją matkę? – Przeszła mówić gderliwym głosem, ale rozsądnie pytała szeptem. – Skąd mnie znasz?

Złodziej uważnie się jej przyglądał.

– Włosy są świetne – rzekł prawie do siebie. – Ręce? Tak, te plamy to zwykle łajno *rishu* rozcieńczone czerwonym piwem. W tym świetle wygląda dobrze. A w oczach sok z barwiących kwiatów; sam go używam. Piecze, prawda?

Kobieta patrzyła na niego spod przekrwionych powiek i milczała.

– W tych ogrodach jest mnóstwo barwiących kwiatów, widać je na każdym kroku – ciągnął Złodziej. – Ale te włosy, włosy... Co z nimi zrobiłaś? Próbowałem z barwiącymi liśćmi *chena*, jakich stosują aktorzy, używałem wstrętnej tajemnej *papaki*, o której wiedzą wszyscy złodzieje, a nawet próbowałem własnej mikstury, mieszając sproszkowane kości z popiołem i odrobiną białka jajek, żeby to wszystko połączyć. Ale twoje włosy... nie, nigdy bym tak nie potrafił. Powiedz mi, dziewczyno, błagam...

– Muszę odnaleźć przyjaciółkę. – Tai-sharm schyliła głowę, przechodząc mu pod ramieniem i już była w drugim końcu korytarza – nie jak wcześniej utykając, lecz krocząc szybko, jak wiejska dziewczyna, gdy jakieś zwierzę ryczy, bo wpadło w tarapaty. Złodziej podążył za nią.

Śluchajcie – cały pałac już się obudził. Dogasały pochodnie w korytarzach, chociaż mrok przed świtem był bardziej czarny niż szary. Za wieloma z drzwi Złodziej słyszał głosy: ospały śmiech, przekleństwa, narzekanie i znaną sobie muzykę, gdy ludzie zaczynają siusiać do nocników. Poza tym słyszał delikatne pobrzękiwanie srebrnych półmisek na srebrnych tacach – służba rozpoczęła już pracę, niesie śniadanie do tego pokoju, bez wątplenia do tego, jest tam ślubny strój panny młodej.

W którą iść stronę? W każdej chwili Tai-sharm i on mogli zostać dostrzeżeni i aresztowani, a wtedy... Złodziej nie ma złudzeń co do własnego losu.

– Powoli! – krzyknął za nią. – Pędź tak dalej, a będziemy zgubieni. Musisz iść wolno, wolno, jak gdybyś miała coś do załatwienia. Idź wolno, głupia!

Tai-sharm nie zwracała na niego uwagi, nadal pędziła do przodu i wpadła w boczny korytarz, gnała przez ogromną salę balową, gdzie echo ich własnych kroków dudniło im złowieszczą za plecami. Wymknęli się bez trudu do ukrytego tunelu dla służby, który Złodziej wcześniej przeoczył. Tunel wiódł wprost do pałacowych kuchni. Tai-sharm zwołała kroku, nagle stała się znowu starą czarownicą powłóczącą nogami, z wyrazem twarzy na wpół uprzejmym, na wpół złośliwym. Złodziej wziął staruszkę pod rękę, pochylił się nad nią troskliwie, i tak minęli gwarną kuchnię, w której praca wrzała, nikt nie miał wolnej chwili, aby na nich spojrzeć, poza młodym uczniem cukiernika, który uniżenie poprosił o jakieś błogosławieństwo dla swoich ciasteczek. Otrzymał je i na dodatek jeszcze jedno, dla swoich pięknych oczu. Tai-sharm bawiła się aż zbyt dobrze.

– Wynośmy się stąd, córko Sharm – warknął jej w ucho Złodziej. – Wynośmy się stąd, bo zacznę krzyczeć. Nie chcesz, abym krzyczał, prawda?

Uśmiech przemknął przez twarz staruszki niczym spadająca gwiazda.

– Uzbrój się w cierpliwość, młodzieńcze, wszystko będzie dobrze – rzekła Tai-sharm gderliwie, a potem o oktawę niżej, własnym już głosem: – Czy moja matka naprawdę przysłała cię do mnie? Po co?

– Żebym cię uwolnił. Przeszła kawał drogi, aby zapytać, czy zechciałbym cię uwolnić.

Tai-sharm już się odwróciła do niego plecami, szła chwiejnie, mamrocząc coś pod nosem, tak jak to robią starcy. Złodziej usunął się na bok, aby ominąć ostry rożen, odskoczył do tyłu niczym szalony kapłan *zuli-gaji*, bo inaczej zostałby stratowany przez olbrzymiego kucharza dźwigającego dymiące wazy, i dogonił Tai-sharm dopiero w drugim końcu kuchni, gdy zniknęła w okopconych drzwiach. Były tam schody, tak strome i śliskie, że można je nazwać drabiną. Tai-sharm zobaczył wysoko nad sobą w zimnym mroku. Zaczął wspinać się za nią.

Na końcu klatki schodowej znajdowała się malutka garderoba, niewiele większa od kredensu – tu królewscy kucharze i cukiernicy przebierali się w fartuchy. Dalej był jeszcze jeden korytarz, szerszy niż droga, która prowadziła do wsi Tai-sharm, a w jego końcu, nareszcie, tylne drzwi do pałacu, naprawdę wspaniałe. Były zamknięte i zaryglowane. Tai-sharm i Złodziej nie mieli chyba żadnych szans, aby otworzyć je w tak krótkim czasie, jaki im pozostał. Złodziej, który potrafił wyłować uchem, jak stróż dłubie w zębach o dwa domy dalej, już słyszał pogoń zbliżającą się do kuchni. Nie trząsał się ze strachu ani nie pociał, ale wargi miał białe.

Tai-sharm bez wahania rzuciła się wprost na najbardziej oddalony, najniższy kaseton po lewej stronie drzwi i już przy nim majstruje – szturcha to wygięcie, przekreśla tamto wybrzuszenie, pcha ozdobny guz. Ale nic się nie stało. Dziewczyna powtarzała wszystkie czynności po raz drugi, krzycząc:

– One się otwierają, otwierają, widziałam, jak pewien żołnierz kiedyś to robił! Każdego wieczoru powtarzałam przy ścianie jego ruchy, aby moje palce ich nie zapomniały. Teraz nie potrafię, nie potrafię...!

Złodziej odepchnął ją na bok, wcale nie delikatnie. Bez słowa kucnął przed kasetonem, cicho gwizdząc przez zęby. Pościg był już przy schodach – Tai-sharm mogła nawet rozróżnić desperackie wrzaski pierwszego ministra. Dopiero wtedy zaczęła się bać. Złodziej sapnął i wtem kaseton odskoczył z trzaskiem, drzwi się otworzyły na srebrzyste poranne słońce i błyszczące od rosy trawniki. Dziewczyna wyszła za próg zwinnie, niczym *shukri*, a Złodziej za nią.

– Tędy! – Pokazała w światło słońca. – Mur jest tutaj najbliższej!

Ale nie, Tai-sharm skrzyła w dół skarpy, w kierunku zaniebanego labiryntu z krzewów *targary*, w którym nie można się ukryć. Złodziej przypuszczał, że dziewczyna oszalała ze strachu. Biegł co sił i krzyczał, że tu nie mają żadnych szans, że żywopłot nie jest nawet na tyle wysoki, aby uchronić przed pościgiem kogoś tak niskiego jak ona. Jak królowa, którą być nie chciała, Tai-sharm nie odwróciła się ani razu.

A skoro już mowa o władcach, z pałacowego dachu dał się słyszeć krzyk. Złodziej zobaczył króla, z pewnością to król, ciemny na tle bladego nieba, pochyla się nad parapetem, wskazuje Tai-sharm i coś wrzeszczy. Do uszu Złodzieja dochodzą tylko dwa słowa: „Ryba... Ryba...!” Żołnierze gramolili się przez zbyt ciasne dla nich drzwi, doprawdy kłowni w kolczugach – ale go zobaczyli! Złodziej pobiegł zdesperowany do labiryntu.

Przez chwilę nie widział Tai-sharm, gdyż labirynt wciąż jeszcze więził we wnętrzu odrobinę nocy. Ale oto i ona, klęczy przy maleńkiej, zdławionej przez liście sadzawce, porusza wargami. Co mówi? Nagle Złodziej znowu usłyszał ten głos, ten ani męski, ani kobiecy głos, który śpiewa tę samą dziwną melodię:

Głębiej, coraz głębiej, prawie że bez końca, tam gdzie nie dochodzi żaden promień słońca, stamtąd gdzie próżne na światło czekanie, jednak odpowiadam na twoje wołanie...

Leniwy wir – silne uderzenie ogona – i ukazała się ryba. Brzydka śpiewająca ryba.

– Dziecko, czego chcesz ode mnie?

A Tai-sharm odpowiedziała tak spokojnie, jak gdyby były same i królewscy żołnierze z wrzaskiem nie dobiegali już do labiryntu.

– Kiedyś błagałam cię, abys pomogła mi uciec. Powiedziałas, że to jeszcze nie czas.

– Tak było, przynajmniej – rzekła śpiewająca ryba.

Złodziej potrząsnął ramieniem Tai-sharm.

– Dziewczyno, wskakuj do wody, zerwiemy trzciny i będziemy przez nie oddychać.

Tai-sharm nie zwracała na niego uwagi, podobnie jak na ludzi króla, którzy byli tuż-tuż.

– Po pewnym czasie znowu poprosiłam cię o pomoc i znowu mi powiedziałas, że czas jeszcze na to nie nadszedł.

– Tak uczyniłaś i ja rzeczywiście tak ci odpowiedziałam – odrzekła śpiewająca ryba.

Złodziej oniemiał. Widział już osłonięte szyszakami głowy ponad wyschniętym żywopłotem z *targary* i po raz pierwszy żałował, że nie wziął nawet małego noża, by podciąć sobie gardło. Obok niego Tai-sharm nadal uprzejmie rozmawiała z brzydką rybą.

– Może teraz nadszedł właściwy czas? Jak pani sądzi?

– Też tak uważam – zgodziła się śpiewająca ryba.

I po tych słowach wszystko się zmieniło. Tai-sharm raptem zniknęła Złodziejowi z oczu. W jednej chwili tam była, w następnej fiuu! – jak gdyby złowił ją rybak z innego świata. Potem – bez najmniejszego plusku, zauważcie, bez najmniejszego dźwięku – i on wpadł głową w dół do brudnej sadzawki. W ogóle nie czuł, że jest brudna albo mokra. I nie tonął, nie dusił się w wodzie: nie, nie, nie, uwierzcie Choushi-wai, czuł się, jakby latał, wznosił się do światła jak ptak, a nie maleńka rybka. Lecz właśnie zauważył kawałek swego ogona, bladezielonego jak młodziutka wiosenna trawa, gdy spojrzął pod właściwym kątem. Obok jeszcze jedna ryba, koloru morza w słońcu, zuchwale trącała go z boku i Złodziej uświadomił sobie, że to Tai-sharm.

Słyszał teraz głosy, mnóstwo głosów, z oddali. Nie potrafił pojąć znaczenia słów, nie rozumiał ludzkiej mowy, ale w myślach rozbrzmiał mu spokojny głos brzydkiej ryby, przyjaciółki Tai-sharm:

– Zanurz się głębiej, głębiej. Król tu jest.

Złodziej chciał się ukryć. Ciało ryby było mu posłuszne, cudownie szybkie. Kierował się wprost w dół, ku ciemnym głębinom, których istnienia nie podejrzewał, gdy patrzył z brzegu na sadzawkę przypominającą brudną balię. Ale gdy spojrzął do tyłu – pomyślcie tylko, jakie to uczucie mieć oczy po obu bokach głowy, ha! – zobaczył, że Tai-sharm nie tylko nie podąża za nim, ale w ogóle jej nie widać. Zaklął szpetnie i zawrócił.

Tai-sharm drżała pod powierzchnią wody, uważnie przyglądając się twarzom, które wpatrywały się w sadzawkę poprzez butwiejące liście. Większość z nich przesłaniała stal, jedną tylko wieńczyła czupryna kamiennoszarych włosów i Złodziej pojął, że to król. Oczy króla, gdy napotykały małą rybkę koloru morza, stały się głębokie jak sadzawka. Monarcha wolno wyciągnął rękę, jakby chciał rybkę schwycić – i chyba mógłby to zrobić, gdyż Tai-sharm nie była w stanie się ruszyć.

Ale król cofnął rękę.

– Tai-sharm – odezwał się Złodziej, słysząc, jak jego własny głos bulgocze mu w głowie. – Tai-sharm, twoja matka czeka.

Wtedy Tai-sharm dzięki jednemu ruchowi ogona zniknęła królowi z oczu. Złodziej podpłynął, bliżej powierzchni, żeby ostatni raz spojrzeć na tego, który sądził, że weźmie ślub dzisiejszego ranka. Twarz króla nie była smutna, a oczu Złodziej nie widział. Ale nie potrafił odpłynąć. I znowu usłyszał głos śpiewającej ryby.

– Głębiej. Zanurz się głębiej!

Wreszcie Złodziej zanurzył się, jeszcze raz goniąc wzrokiem za słabym migotaniem łusek Tai-sharm. Czy ta sadzawka nie ma dna? Czy ten mrok nie ma końca? Od niedawna był rybą i wszystko w nim domagało się, aby z powrotem płynął w kierunku światła, nieba i unoszących się na wodzie gałązek *targa-ry*. Ale czuł, że za nim płynie śpiewająca ryba, popędzając ich oboje wciąż głębiej, głębiej i dalej. I nawet tu śpiewała:

Choć będziecie rybami tylko oka mgnienie, poznajcie to królestwo, które ja tak cenię. Choć przybywacie ze świata innego, odczujcie powab i czar życia tego.

I rzeczywiście, Złodziej stwierdził, że jest zadowolony, będąc rybą. Woda i jego ciało przepływały jakby przez siebie, nie zauważał wyraźnej granicy, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Zawsze był szybki i czujny, ale teraz poruszał się prędzej od własnej myśli. Dobrze się czuł w tym małym zielonym ciałku – skrzela oddziaływały powietrze od wody, zabawne rybnie wąsy mówiły mu, co jest dobre do jedzenia, a co chciałoby jego zjeść, płetwy falowały zgrabnie, ogon, taki mały, a dawał tyle siły – naprawdę, wspaniale być rybą. Złodziej śmiał się z radości i czuł, że Tai-sharm także się śmieje, gdzieś daleko, na przedzie.

Rybie wąsy i smak wody – odczuwanej nie językiem, zauważcie, lecz raczej jako mrowienie w skrzelach – mówiły Złodziejowi, że właśnie opuścili sadzawkę i szybko płyną jakimś kanałem do... dokąd? Nie widział ścian, ale jego nowa skóra mówiła, że są z kamienia i gliny, i że korzenie drzew z obu stron próbują chwytać wodę i jego. Z przodu Tai-sharm, mała i błyszcząca, z tyłu – nie kończąca się, zagadkowa pieśń:

Nie bądźcie podszyci trwogą, nawet ryby śpiewać mogą. Wśród rzęsy i sitowia – śpiewać jestem gotowa.

Jak długo to trwało, tego Złodziej nie dowie się nigdy – ryby nie martwią się takimi rzeczami – ale wkrótce mrowienie w skrzelach stało się inne. Znowu znaleźli się w sadzawce. Ta była spokojna, czysta, płytka. Tai-sharm i Złodziej odpoczywali z przyjemnością. Śpiewająca ryba ukazała się nad nimi, mała jak na rybę, ale olbrzymia w porównaniu ze stworzeniami mniejszymi, i brzydka, nawet dla innej ryby, z łbem żółtym, w kolorze moczu i obwisłym, podbarwionym na czerwono brzuchem.

– Tu jesteście bezpieczni. Mury zostały z tyłu.

– Dziękujemy ci – odpowiedział Złodziej, kiedy już złapał oddech. – Gdybyś łaskawie zechciała przywrócić nam dawną postać, wróciłbym do gospody po konia i zawiózł tę młodą osobę wprost do jej matki.

– To niemożliwe. Dzisiaj żołnierze króla obleżą całe Bara-quil niczym mrówki padlinę. I chociaż jesteś sprytny, zacny Złodzieju, nie przejedziesz za miastem nawet mili, nie z młodą dziewczyną. Ale jako wędrowiec niosący kosz z dwiema rybami, może będziesz miał jakąś szansę.

– Z dwiema rybami? – zdziwił się Złodziej. – Z dwiema?

Śpiewająca ryba chichocze po rybiemu.

– A dlaczego nie? Czyż nie mam prawa podróżować? Zanim wrócisz starej Sharm narzeczoną króla – a jest twoja – zanieśesz mnie do morza i tam wypuścisz. To moja cena za udzielenie wam pomocy.

Jednak Złodziej to Złodziej, nawet gdy rozmawia z rybą.

– Zaraz, zaraz! Po pierwsze, Tai-sharm dwukrotnie uratowała ci życie, więc nic ci nie jest winna. Po drugie, nie przeżyjesz ani jednego dnia w słonej wodzie. Więc o co ci właściwie chodzi?

– Chcę zobaczyć ocean – odpowiedziała śpiewająca ryba. – Wyobrażam go sobie od dawna. Czy przetrwam tam dzień, czy minutę, to moja sprawa, nie wasza. Jeżeli chcecie wrócić do swoich domów, zróbcie to, co mówię.

Złodziej chciał jeszcze coś dorzucić, ale Tai-sharm wysunęła się do przodu. Minęła go szybko, podpływając do śpiewającej ryby.

– Zrobimy to, pani, i cieszymy się, że mamy taką szansę. Nie zwracaj, proszę, na niego uwagi. Wynajęła go moja matka, a jest już stara.

Stało się tak, jak powiedziała Tai-sharm. Złodziej, co prawda, protestował bardzo przeciwko pozostawieniu kucyka, ale nie miał racji. Gdybyś ty albo ty, albo Choushi-wai przechadzała się tamtego wieczoru po Bara-quil, moglibyśmy wtedy zobaczyć śniadego mężczyznę, pogrążonego we własnych myślach, wędrującego wąską uliczką, która za chwilę zmieni się w boczną drogę prowadzącą poza miasto. Niósł czworokątny, ciasno pleciony kosz wylepiony gliną, jakie robią rybacy, aby złapane przez nich ryby były świeże pomimo długiej drogi na targ. W drugiej ręce miał mniejszy kosz, pełen delikatnego brzęczenia, drapania i szurania. Ryby potrzebują jedzenia, a śpiewająca ryba była pod tym względem wyjątkowo wymagająca.

I tak Złodziej z dwoma koszami w swoich zręcznych dłoniach przeszedł pieszo całą drogę z Bara-quil nad morze. Niektórzy mówią, że przy każdym kroku wymyślał nowe przekleństwo na ryby, ale to nieprawda. Zabrakło mu pomysłów już czwartego dnia.

Tak jak ostrzegęła śpiewająca ryba, ludzie króla szukali Tai-sharm wszędzie. Złodziej wciąż był zatrzymywany przez różne kompanie wojska i za każdym razem rewidowany pod groźbą użycia broni. Kiedy go pytano, dlaczego niesie dwie żywe ryby w stronę odwrotną do tej, gdzie znajduje się targ, patrzył na nich głupio i odpowiadał, że zabiera je do domu, żeby mieć potem mnóstwo małych i nie stać całymi dniami w zimnej wodzie, zarzucając sieci raz po raz. Żołnierze wymieniali między sobą spojrzenia, śmiali się, poklepywali go po głowie i odjeżdżali. A Złodziej szedł dalej.

W nocy układał się do snu w rowie albo w grocie i musiał słuchać Tai-sharm i śpiewającej ryby rozmawiających w koszu. Śpiewająca ryba opowiadała o królach i księżniczkach spędzających czas na swawolach w labiryncie, kiedy był jeszcze nowy, i o tych czasach, gdy nie było jeszcze ani labiryntu, ani pałacu, jedynie ona w sadzawce, mądra i samotna, marząca o otwartym morzu. Tai-sharm zwykle mówiła o swojej wiosce i o matce, o ich kamienistych, mało urodzajnych

poletkach, o ich jedynej starej *rishu*, która pracowała tak ciężko jak one na kęs siana i garść zboża. A Złodziej, chociaż bardzo zmęczony, leżał i słuchał.

Pewnego razu usłyszał, jak Tai-sharm pyta śpiewającą rybę:

– Czy chociaż ty możesz mi powiedzieć, dlaczego jestem taka? Głowę mam pełną pomysłów, którymi ani dachu się nie pokryje, ani pola nie obsieje. Co taka głupia głowa robi na wieśniaczym ciełe, we wsi bez nazwy? Może powinnam być rybą.

Śpiewająca ryba nie odpowiadała tak długo, że Złodziej czekając omal nie usnął. Wreszcie się odezwała:

– A co to za ryba, która rezygnuje z życia w zamian za nic, żeby tylko poskakać i poigrać godzinę pomiędzy potężnymi falami? Żeby zobaczyć krakeny i zielone morskie kaczory, choćby przez chwilę zanim mnie zjedzą? Czy to nie zupełna głupota? Tam gdzie pływam, „głupi” to tylko słowo, tak jak szaleństwo czy miłość.

I tam, w koszu Złodzieja, zaczęła śpiewać raz jeszcze:

Choć wieku mi nie brak ani roztropności, i wielu przewyższam w zdobytej mądrości, gdy jednak receptę na życie i śmierć poznać chcemy – okazuje się, dziecko, że obie o tym nic nie wiemy.

Po tygodniu już znaleźli się nad morzem – nie w wielkim porcie, zauważcie, ani nawet w rybackiej wiosce, lecz nad otwartym morzem, gdzie kończy się ląd. Właśnie zaczynał się przyływ, z rzadka mała fala rozbijała się o brzeg; nie widać było żadnych wielkich statków, tylko dwa żaglowce daleko na horyzoncie. Złodziej miał jeszcze do przejścia kamienisty stok, kosz trzymał wysoko nad głową i gramoląc się wychłapywał na siebie wodę. Kucnął na grubym żwirze.

– No, i jesteśmy.

– Dziękuję ci – odpowiedziała śpiewająca ryba niezwykle uprzejmie. – Teraz wypuść mnie do morza. Wykonałeś swoje zadanie.

Złodziej jednak się zawahał.

– Pani, czy jesteś tego pewna?

– Nie, nie! Nie rób tego! – krzyknęła Tai-sharm w koszu. Uderzała na wszystkie strony płetwami i ogonem, rozpryskując wodę wprost na twarz Złodzieja.

– Nie płacz, dziecko – uspokajała ją śpiewająca ryba. – To moje pragnienie, moje marzenie. Wyjmij mnie teraz, zacny Złodzieju, a tobie, Tai-sharm, moja przyjaciółko, nakazuję, bądź taka jak wcześniej. Przybierz znowu właściwą sobie postać.

– Nie! – Tai-sharm upierała się jak krnąbrne dziecko. – Chcę być rybą i popłynąć w morze razem z tobą. To moje pragnienie.

Śpiewająca ryba prawie na nią nie zważała, gdy Złodziej ostrożnie składał dłonie wokół niej, uniósł i spieszył do wody. A gdy otworzył ręce, zobaczył Tai-sharm, taką jak zawsze, choć wyglądała głupio, stojąc w koszu na ryby. Szybko wyszła, aby przykucnąć obok niego, i patrzyła w wodę, na brzydką czerwono-żółtą rybę kosztującą morza po raz pierwszy.

– Interesujące – rzekła śpiewająca ryba. – Cierpkie, słone, ale niezwykle interesujące.

Fale stały się większe: spróbujmy je sobie wyobrazić, my, którzy nigdy nie widzieliśmy fali ani żaglowca, ani zabarwionego przez obłok *kulishai*, szybującego samotnie ponad gwarnym cuchnącym portem. Są to długie, niskie, jedwabiste walce, z odrobiną przesuwającej się bieli na szczycie i czymś w rodzaju marmurowych żył tam, gdzie się zakrzywiają. Poruszają nawet płyciznę i śpiewająca ryba musi mocno machać płetwami, aby pozostać w miejscu.

– Zegnajcie – usłyszeli. – Zegnaj, zacny Złodzieju, który dotrzymałeś słowa. Zegnaj, Tai-sharm. Pamiętaj moją pieśń, gdy już zapomnisz o królach i pałacach, i o pięknych dworzanach, i nawet o tym, że byłaś rybą i podróżowałyśmy razem. Pamiętaj moją pieśń.

Odepchnęła się postrzępionym ogonem i odpłynęła z następną falą, zniknęła z zasięgu wzroku ot tak, i tylko niemelodyjny wiersz dobiegł ich uszu, tak słaby, jak krzyk wygłodzonego *kulishai*:

Złodzieju, wiedz, że zyskałeś coś, co na kolana cię rzuci wcześniej niż chciałeś.

Tai-sharm, pielegnij cenną głupotę, jaką posiadasz, w ten sposób życiu swemu sens nadasz.

A wszyscy, jak długi i szeroki świat, zważcie, wartość człowieka to nie blask jego szat.

Tai-sharm wyteęzała wzrok, aby choć jeszcze zobaczyć ją przez chwilę, przemykającą wśród fal, przeskakującą ponad nimi, tak jak o tym marzyła. W końcu Złodziej rzekł:

– Odpłynęła, Tai-sharm.

– Nie! – odpowiedziała mu gwałtowniej niż kiedykolwiek odpowiadała królowi, pierwszemu ministrowi czy matce. – Nie, nadal ją widzę! – patrzyła jeszcze długo, aż musieli się zacząć cofać przed syczącym, ryczącym przyływem i nie widać już było nic oprócz wody i kamieni.

Złodziej wytrząsnął piasek z butów.

– Chodź, czeka cię daleka droga do matki. A długo byłaś rybą i pewnie zapomniałaś, jak używa się nóg. Czy wciąż masz ochotę na robaki? Jeśli nie, musimy znaleźć jakąś gospodę przed zapadnięciem zmroku, bo inaczej pójdziemy spać głodni. No chodź.

Już chciał wrzucić kosz do morza, ale Tai-sharm go powstrzymała.

– Byłam tu szczęśliwa – powiedziała cicho, nie wiadomo do kogo. – Przyjemnie być rybą, nawet w koszu.

– Tak, wiem. – Złodziej objął ją ramieniem. – Pomyśl, jakie miny będą miały nasze dzieci, gdy usłyszą, że ojciec niósł matkę w koszu do ryb, aby uchronić ją przed zaślubieniem królowi. Pospieszmy się, nie mogą się doczekać, aby im o tym opowiedzieć.

Tai-sharm nie odepchnęła jego ręki, ale długo patrzyła mu w oczy, zanim zaczęła się uśmiechać.

– Wołałam towarzystwo śpiewającej ryby – mruknęła, a nasza Tai-sharm nigdy w życiu nie mruczała.

Złodziej odwzajemnił jej uśmiech.

– Nie wątpię. Przecież sama byłaś wtedy rybą. Porozmawiajmy o tym po drodze. Jedną z córek możemy nazwać jej imieniem. Albo syna, jak wolisz. Albo raczej poradzimy się twojej matki.

Zrobiło się późno, cienie się wydłużały – czy widzicie ich, jak odchodzą razem, jedna ciemnowłosa głowa niewiele wyżej od drugiej? Czy słyszycie ich głosy? Zamknijcie tylko oczy i pozostańcie bez ruchu.

– Któregoś dnia odkryją, że mogły być księżętami i księżniczkami, zamiast dziećmi Złodzieja i wieśniaczki. Co im wtedy powiesz? – zapytała Tai-sharm.

Posłuchajcie, posłuchajcie, wstrzymajcie oddech, a wtedy usłyszycie dźwięczny śmiech Złodzieja.

– Powiem im: „Przynajmniej wszystkie macie przyzwoity zawód. Ile królewskich brzdąców może powiedzieć to samo?”

Nie, teraz naprawdę odeszli, jak śpiewająca ryba i smutny król w swoim pałacu w Baraquil, jak pierwszy minister ze swoimi sekretami i służbą, jak stara Sharm – wrócili do kosza, któremu na imię Choushi-wai. Pomódlcie się za biednych, pomódlcie się za bogów i rano nie zapomnijcie przynieść Choushi-wai czerwonych melonów *ardeet* – inne są jeszcze zbyt kwaśne. Idźcie bezpiecznie wieczornymi ścieżkami do domu.

Olbrzymie Kości

Chłopcze, zawołaj mnie jeszcze raz, a będziesz tego żałował do bardzo późnej starości. Mówię po raz ostatni, *jejebhai* już wkrótce będzie miała młode, to tylko kwestia godzin – wygląda na to, że to dwojaczki – i jeżeli mnie wtedy przy niej nie będzie, najpewniej zadusi jedno, gdy będzie wydawać na świat następne, bo taka jest niespokojna. Nie mam czasu opowiadać ci bajek ani poprawiać koca, ani przynosić wody. Twoja matka powinna być tutaj, zamiast w Chun, gdzie dogląda twojej ciotki, ponieważ tej idiotce zabrakło rozumu, by w porze deszczowej nie zajądać się czerwonymi *kalyary*. Matka mogłaby się z tobą bawić całą noc, ja nie mogę. A jeżeli wejdziesz tu na poddasze jeszcze raz dzisiaj wieczoru, to tylko z wierzbową różgą w rękę. Rozumiesz?

Co? Co jest pod twoim łóżkiem? Skalne *targi*? Na tej podobnej do spłaszczonego tyłka farmie nigdy nie było ani jednego, wiesz o tym równie dobrze jak ja. One żyją w górach, nie schodzą poniżej granicy wiecznych śniegów, nie mówiąc już o wciskaniu się pod łóżko małego chudego chłopczyka. Nie ma ich nawet w wysoko położonych częściach naszego kraju. Olbrzymy je przepędziły, *targi* nadal się ich boją, nawet teraz.

Co? Nie, pod twoim łóżkiem nie siedzi też żaden olbrzym. Olbrzymów również już nie ma, od bardzo dawna. Ani jednego, od czasów twojego praprapradziadka, mogę za to ręczyć. A teraz bądź grzeczny i idź już spać.

Dlaczego płaczesz? Że nie ma olbrzymów? Czy o to chodzi? Synku, czasami... co? Och, nie zaczynaj znowu, słyszysz? Nie jesteś za mały! Co, ja to powiedziałem? Nie, twój wuj Tavdal, a on jest głupcem. Ale wysokim głupcem, taki ty kiedyś będziesz, więc przestań grymasić. Jesteś mały jak na swój wiek, to prawda, ale tak samo było z twoimi siostrami Rii i Sardur. I z Jada-makiem – był dużo starszy od ciebie, gdy naprawdę zaczął rosnąć. I powiem ci jeszcze coś...

Cicho bądź, myślałem, że to beczy *jejebhai*... Nie, chyba nie. Nie w tym rzecz, że gdyby zaczęła, musiałaby mieć prawdziwy powód – jest taka jak ty, woła i woła, i zawraca głowę, a jak już tam pójdę, widzę tylko, że czuła się trochę samotna. Nie zdziwiłbym się, jeśli wyda je na świat dopiero o świcie, tak jak poprzednim razem. Złośliwe zwierzę, zawsze takie było. Jak twoja ciotka.

Skąd wiem, że urośniesz? Teraz ja z kolei zapytam – czy widziałeś, aby ktokolwiek w naszej rodzinie był niski? Zastanów się. Znasz choćby jednego? Wśród wszystkich wujków, kuzynów, dalszych kuzynów i dalszych krewnych... Nie? Aha! Nie, więc i ty również nie będziesz niski. Każdy w naszej rodzinie jest wysoki, mężczyzna czy kobieta, mądry czy durny. Tak to już z nami jest, tak samo jak z tymi Mundrakathisami w dole kanału, wszyscy są bladzi, a mężczyźni mają dodatkowe małe palce u rąk. Tylko że z nami jest trochę inaczej, dłużej by o tym opowiadać. Poproś kiedyś matkę, opowie ci o tym.

Powiedziałem: matkę. Nie. Nie, bezwzględnie nie, schodzę natychmiast do obory. Poza tym matkę powinieneś pytać o takie rzeczy. To ona opowiada historyjki, śpiewa stare mądre pieśni, wprawia wszystko w ruch, kiedy przychodzi na to czas. Ja zajmuję się zwierzętami. Robimy co innego, choć oboje pchamy ten sam pług. Teraz idę, a ty już śpij.

Nie, powiedziałem, nie! Przestań, synu, zanim naprawdę mnie zdenerwujesz. Nie mogę pozwolić sobie na stratę choćby jednego młodego *jejebhai*, nie mówiąc już o dwóch, nie teraz, gdy cena warzyw jest tak niska, że nie warto wieźć ich na targ. Dobranoc, do widzenia i idź, do cholery, spać.

Ponieważ wiem, dlatego! Z powodu twojego praprapradziadka i olbrzymów z góry Torgry, dlatego! Masz dziewięć lat, powinna była już ci o tym opowiedzieć, porozmawiam z nią, gdy wróci, jeżeli w ogóle wróci. Może zechce zostawić wszystko na mojej głowie.

Dobrze. Już dobrze – ale jeden wrzask z obory i matka opowiada ci resztę, umowa stoi? I dotrzymasz jej jak dorosły? Bez marudzenia, bez pochlipywania? Uważaj więc.

No cóż... nie mam wprawy w opowiadaniu historii – nie wiem, gdzie powinno się zacząć i jak snuć wątek. Dlatego zamierzam zacząć od twoego praprapradziadka, tylko że nie mogę go ciągle nazywać tak długo, więc nazwę go dziadkiem Selsi-mem. Chyba tak się nazywał albo bardzo podobnie. Kto by spamiętał, tyle lat minęło. Otóż dziadek Selsim jako pierwszy przybył na te tereny. Nie miał takiego zamiaru, o ile mi wiadomo, z zawodu nie był rolnikiem, lecz kotlarzem – tak, naprawiał garnki, a od czasu do czasu handlował końmi, mówię prawdę. Ale mieszkał na północy, za górami, czasy były ciężkie, a ziemia droga. Naprawiaczowi garnków było wtedy dobrze, widzisz, ponieważ ludzie reperowali wszystko wiele razy, zamiast kupować tylko nowe rzeczy, tak jak twoja ciotka w Chun i ten tłusciuch, którego poślubiła. Ale nie było wcale dobrze handlarzowi końmi ani nikomu, kto chciał się gdzieś osiedlić i założyć rodzinę. Sam byłem kiedyś na północy, pracowałem tam, zanim kupiliśmy te trochę ziemi i zanim się urodziłeś. Nie bardzo mi się tam podobało.

Otóż pewnego ranka dziadek Selsim wstał i rzekł:

– Nic tu po mnie.

Wskoczył na narowistą, gryzącą po nogach churfę, na której zawsze jeździł, i ruszył prosto na południe. Nie miał pojęcia, dokąd jedzie, bez przyjaciół ani krewnych, z wyjątkiem Rhyaka. Cały swój niewielki majątek szybko i tanio sprzedał, aby mieć się za co wyżywić w drodze. Wciąż jechał na południe, patrząc na słońce i góry, które leżały przed nim. To był twój praprapradziadek Selsim.

Słyszałeś coś? Powiedz mi, jeżeli tak, pamiętaj, że i tak się dowiem. Jest taki dźwięk, który wydaje, kiedy młode... nie, nie, jeszcze nie. W porządku. Na czym to ja skończyłem?

Słusznie. Dziadek Selsim był już tu i tam, i wiedział, że góry nie zawsze są tak blisko, jak się to wydaje, ale mimo wszystko zapasy żywności już mu się kończyły, gdy dotarł do pogórza. Och, tak, drutował trochę garnków po drodze, za co

dostał posiłek czy dwa, i prawdopodobnie nawet zebrał, gdy nie było innego sposobu. Są tacy w naszej rodzinie, którzy za nic by się do tego nie przyznali, ale ja ci mówię – rób, co tylko da się zrobić. Nie byłoby nas tu dzisiaj, gdyby dziadek Selsim wstydził się zebrać. A może myślał o nas już wtedy. Co? Kto wie?

Nigdy nie byłeś nawet w pobliżu góry, więc lepiej opowiem ci, jak to jest w górach. Jest zimno, to jedno – może nie przez cały czas, ale bardzo często. I drogi są złe, o ile w ogóle są, i mijają ci całe godziny na pełzaniu, gramoleniu się na czworakach. I przez cały czas powietrze staje się coraz rzadsze, aż czujesz się za słaby, żeby podrapać się w głowę. Właśnie tam są skalne *targi*.

Nie wiesz, jak wygląda skalny *targi*, prawda? Po całym tym zawracaniu głowy, że są pod twoim łóżkiem, nie wiesz nawet... Pamiętasz, jak twój kuzyn Baj zabił młodego *lourijakh*? Otóż *lourijakh* jest trochę podobny do skalnego *targi*, tylko mniejszy, oczywiście, o wiele mniejszy. I skalne *targi* mają twarze w jakiś niewytłumaczalny sposób bardziej ludzkie, i prawie że mówią – nie, to prawda, nic nie zmyślam. Nieczęsto się je teraz spotyka, ale w tamtych czasach wciąż jeszcze było ich dużo na stokach Torgry i na całym północnym paśmie gór. Z powodu *kagi*, kiedyś było mnóstwo dzikiej *kagi* wysoko na turniach. Ale to nie ma znaczenia – skalne *targi* zawsze są głodne, zawsze polują. I wołają jeść ludzi. Twojemu *lourijakh* nie sprawia różnicy, co je, ale skalny *targi* wyczuje cię na milę pod wiatr, zostawi świeżą zdobycz i pójdzie za tobą. Nie, nie wiem dlaczego, skąd mam wiedzieć? Tak już z nimi jest.

Otóż twój dziadek Selsim niewiele wiedział o skalnych *targi* niż ty. Mówiłem ci, że one nie schodzą na niziny, dzięki bogom choć za to. Górale też ich zazwyczaj nie widzą, chyba że jest już za późno.

Co? Teraz się boisz? A dałbyś ty mi wreszcie spokój! Najpierw wierzysz mi dziurę w brzuchu i chcesz, abym ci opowiadał wszystko o olbrzymach i skalnych *targi*, i pytasz, skąd wiem, że będziesz tak duży jak reszta naszej rodziny – a chwilę później, proszę, chowasz się pod kocem. Po prostu zawracasz głowę! Czy mam przerwać opowiadanie? Wciąż jestem na początku, jest to dużo trudniejsze, niż się spodziewałem. Twojej matce przychodzi to z taką łatwością każdego wieczoru, nie wiem, jak ona to robi. Potem ty zaśniesz, a ja zdrzemnę się przy *jejbhai*. Wcześniej czy później podda się i wyda na świat te... co? Nie. Dobrze.

Twój dziadek Selsim nie wiedział, jak wysokie są te góry ani co w nich rośnie i żyje, ani co jest po drugiej stronie. Niektórzy ludzie z podgórza dawali mu jakąś pracę i trochę jedzenia, a gdy pytał, jak przejść przez górskie pasmo, wszyscy opowiadali, że nie ma tam innej przełęczy poza jedną – obok góry Torgry. Nie była to prawdziwa przełęcz, ale do tego jeszcze dojdę. Dzisiaj można ją ominąć, jadąc dookoła – trwa to prawie wieczność, ale można to zrobić. Wtedy nie było drogi, tylko górską ścieżka. A twój dziadek Selsim nie należał do tych, którzy obchodzą cokolwiek dookoła, ludzie zawsze to mówili.

Tak, naturalnie, każdy go ostrzegał przed skalnymi *targi*. Wszyscy mówili, że powinien poczekać do zimy, kiedy zwierzęta stają się nieco ospałe i widać je lepiej na śniegu, więc ma się przynajmniej jakąś szansę na ucieczkę. Ale zimą nie można przejść tego cholernego górskiego pasma – ani wtedy, ani dzisiaj. I wszyscy ci ludzie mówili dziadkowi Selsimowi, najpierw trochę, a potem jeszcze coś dodawali, jak wyglądają skalne *targi* i co robią, i wkrótce pojął, że nikt niczego nie wie na pewno. Więc gdy znowu ruszył w drogę, powiedział do churfy:

– Będziemy jechać ostrożnie, ty i ja. Uważajmy na wszystko i miejmy się na baczności, a możliwe, że przejedziemy bez szwanku. Skoro już nas przyniosło tak daleko... Najważniejsze to mieć trochę oleju w głowie.

Ale przypuszczam, że tak naprawdę pokładał wiarę w swoim starym wielkim nożu *dashko*, który kiedyś dostał od ojca. Był to prawdziwy wyrób Wysp Południowych, o podwójnym ostrzu i tak długi, że wystawał nieco z obu stron zwiniętego koca. Nie widziałem takiego od lat... Co? Nie, już go nie mamy. Za chwilę powiem dlaczego. Czy matce też tak przerywasz każdego wieczoru, gdy opowiada ci jakąś historię? Nie wiem, jak ona to znosi.

Dobrze, słuchaj. Dziadek Selsim wspinał się tą lichą wijącą się drogą, wyginającą i kulącą się pod nogami, aż tu nagle okazało się, że nie ma już drogi, jedynie góra Torgry i musiał zsiąść z churfy i ją prowadzić. Twój praprapradziadek chyba dowiedział się bardzo dużo o górach w bardzo krótkim czasie. Tam zawsze chce ci się pić, choć jest zimno, ponieważ rozrzedzone powietrze wyciąga z człowieka wodę. Wspinasz się godzinami, a potem patrząc w dół możesz przysiąc, że jesteś prawie na tej samej wysokości, na której zaczynałeś wspinaczkę, a w dodatku tam na dole jest dużo ładniej i słońce świeci, a tu na górze – zimno, wietrznie i nieprzyjemnie. I przekonał się twój praprapradziadek, że nic nie dorównuje spokojowi w górach, a dźwięki i zapachy są wyraziste aż do bólu i wydają się dobiegać z dużo mniejszej odległości. Nie jest to zaleta, jeżeli próbuje się usłyszeć jakieś potwory i zwietrzyć ich leże. Ale nie można pomylić zapachu skalnego *targi* z niczym innym, nawet jeżeli go nigdy nie widziałeś. Nawet gdybyś nie wiedział, jak się nazywa to, co tak śmierdzi.

O nie. Znowu się przestraszysz, jeżeli ci powiem – nie mam zamiaru przechodzić przez to po raz drugi, dziękuję bardzo. Poza tym jedynie zwietrzyłem kilka miejsc, w których były dużo wcześniej, a to się nie da porównać z tym, co poczuł dziadek Selsim. Powiem ci tylko tyle – wystarczył cię zapachu i z przerażenia sikałem po nogach. Och, to ci się spodobało! Zabawne, prawda? A zatem będziesz się śmiał do utraty tchu, gdy świeży odór mógł wpłynąć na dziadka Selsima. Wiem tylko, że jego churfa zaczęła ryczeć niczym sam diabeł, który ma właśnie powić młode, potem stanęła dęba i zrzuciła go, właśnie tam, i uciekła drogą, którą przyjechali. Nigdy jej więcej nie zobaczył.

Jak myślisz, co wtedy zrobił? Gdy zwierzę poniosło na grzbiecie wszystko, co posiadał? Oczywiście popędził za nim, i dobrze się stało. Naturalnie, że go nie dogonił, ale znalazł zwinięty koc – tak, tak, a w nim nóż *dashko* i inne rzeczy – zaplątany w zaroślach, przez które przedzierała się churfa. Więc przynajmniej spał ciepło, a ten wielki nóż dodawał mu otuchy. W każdym razie przez jeden czy dwa dni.

O ile mi wiadomo, przez te dwa dni nic go w ogóle nie niepokoiło, tylko że nie miał co jeść. Na pewno w niższych partiach gór wykopywał korzenie *tanku*, których tak nie znosisz, a w wyższych partiach żywił się dziką górką rzodkiewką. Nie jest to prawdziwa rzodkiewka, ale można ją jeść na surowo, więc dziadek Selsim nie wchodził zbyt głodny na Torgry. Po zapadnięciu zmroku musiał spać pod gołym niebem – miał dość rozsądku, żeby nie wchodzić do grot. Była późna wiosna, więc mogło to być tym bardziej niebezpieczne.

Ale trzeciego dnia wspiął się powyżej granicy wiecznych śniegów.

Nie mówię, że wszystko zmienia się w chwili, gdy stawiasz pierwszy krok w pierwszą zaspę śnieżną. Ptaki nie przestają śpiewać, rośliny nadal rosną – chociaż w większości są to już tylko krzewy malin i małe drzewka *sulsawi*. Nie,

nie widzisz porozrzucanych szkieletów ani skalne *targi* nie wyskakują na ciebie z każdej strony. To nie tak. Po prostu cisza staje się jeszcze cichsza, a gdy wchodzisz wyżej, robi się coraz zimniej i cienie migają coraz szybciej na śniegu. Czasem widzisz stado *kag* w oddali na górskim grzbiecie. Są niebieskie, z falistymi rogami, piękne. Tylko że przez cały czas gdy je obserwujesz, musisz myśleć, co jeszcze może je obserwować. I ciebie również.

Skalne *targi* polują w dzień. Jeżeli dotrwasz bezpiecznie do zachodu słońca, będziesz żył aż do rana. Ludzie mówią, że skalne *targi* boją się księżycy, ale nie wiem czy to prawda. W każdym razie dziadek Selsim ruszyłby prosto na szczyt Torgry jeszcze pierwszego dnia i prawdopodobnie byłby z siebie zadowolony, że idzie mu tak dobrze, ruszyłby sam, pieszko, bez zapasów żywności. Wtedy by jeszcze nie wiedział, ale następny szczęśliwy dzień zawiódłby go na sam szczyt, a droga stamtąd w dół byłaby stosunkowo łatwa. I gdyby się tak stało, kto wie, gdzie byśmy teraz wszyscy byli... Co? Bogowie, to ona! Przepraszam, chłopcze, ale zawarliśmy umowę. Muszę iść... nie, nie, ona tylko czka. Często tak robią, kiedy się zbliża ich pora. Nie, nie drażniłem się z tobą, naprawdę sądziłem... dobrze, przepraszam, bądź cicho! Czy chcesz poznać resztę opowieści? Więc ani słowa, słyszysz? Ani słowa!

Dobrze. Nie wiem, gdzie i kiedy skalny *targi* wytropił na śniegu twojego dziadka. Wiem tylko jedno. Dziadek w ogóle nie słyszał, jak *targi* podchodził, bo tego się nie słyszy; są ciche jak dym. Nie został wtedy zabity jedynie dlatego, że się odwrócił – za ptakiem albo czerwono-złotym obłokiem – i atakujące zwierzę rozdarło mu lewe ramię, obróciło nim i rzuciło dwanaście stóp dalej. Wyobraź sobie, wszędzie krew, on prawie nieprzytomny. Dziadek Selsim miał bliźnię do końca życia i nigdy już ramieniem nie władał w pełni. I nie widział na jedno oko. *Targi* zahaczył również o jego lewe oko.

Mówiłem ci, sam nigdy nie widziałem skalnego *targi* z bliska i chyba nie spotkasz nikogo, komu się to udało. Ale ludzie mówią, że kiedy stoją nad tobą, gulgoczą tą swoją prawie mową, gotowe rozerwać cię na strzępy, a ich twarz ślizga się w górę i w dół, pokazując całą czaszkę. Nie wiem jak to możliwe, nie potrafię sobie tego wyobrazić, może to nieprawda. Ale tak ludzie mówią. Kiedy zwierzę znowu ruszyło na niego, dziadek Selsim miał jeszcze tyle siły i przytomności umysłu, żeby wyciągnąć swój nóż *dashko* i umieścić go na brzuchu, ostrzem do góry. Faktem jest, że te bestie najpierw zawsze atakują brzuch. Ale skalny *targi* uderzeniem wytrącił dziadkowi nóż i przegryzł na pół. Dokładnie na pół. Wiem, że to prawda, ponieważ widziałem te dwa kawałki – twój wuj Lenelosi ma je teraz, możesz je zobaczyć, kiedy odwiedzimy ich następnym razem. Co? Ponieważ jest starszy ode mnie, i już! Tak, jestem pewien, że je dostaniemy, gdy wuj Lenelosi umrze. Będziesz ty cicho?!

Zgoda. Nie powiem, że dziadek Selsim dał za wygraną, ale zupełnie nie wiem, co jeszcze mógł zrobić, gdy mu to zwierzę zasłoniło niebo i rozwarło potrójny rząd kłów. Ich ślina piecze, jeżeli na ciebie spadnie, wiedziałeś o tym? Dziadek nosił też kilka takich bliźni aż do grobowej deski. Mówiono mi o tym.

A wtedy...

Wtedy para rąk tak dużych jak... tak dużych jak... no nie wiem, dziadkowi Selsimowi musiały się wydawać wielkie jak dwa pługi – złapały skalnego *targi*, jedna za prawie ludzki kark, a druga za tylne kończyny, które już odrywały się od ziemi, aby rozpruć dziadkowi brzuch. Przez chwilę jak *targi* zwiisał nad dziadkiem, wyglądał niepozornie i głupio, zbyt oszolomiony, aby capnąć zębami. Ręce potrząsnęły nim raz, potrząsnęły nim w taki sposób, w jaki twoja matka strzepuje mokre prześcieradło, zanim je rozwiesi na sznurze. Dziadek słyszał, jak pęka zwierzęciu krzyż, i zaraz zemdłał. Chociaż możliwe, że zemdłał zaraz potem, jak te ręce wyciągnęły się w jego kierunku. To zdarzyło się dawno i mnie przy tym nie było.

W każdym razie dziadek Selsim nie pamiętał niczego, dopóki się nagle nie ocknął i nie poczuł bólu w całym ciele, a nigdy w życiu nic go nie bolało. Ktoś porządnie opatrzył mu ramię jego własną koszulą i dziadek leżał teraz na kupie liści, wpatrywał się jedynym zdrowym okiem w coś, o czym sądził, że to drzewa, ogromne postrzępione drzewa z ciemnymi księżycami pływającymi w ich gałęziach. Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że to nie księżycy, ale olbrzymie, okolone brodami twarze, nie okolone brodami, ale wręcz zasłonięte przez brudne czarne włosy, które tak naprawdę wcale nie były podobne do brody. I ich wielkość... nie były co prawda tak duże jak drzewa, ale niewiele im brakowało, naprawdę niewiele. Nikt tego nie wie, ale jak słyszałem, były wysokie na dwanaście do czternastu stóp. Otóż twój wuj Tavdal twierdzi, że nie mogły być aż tak wysokie, że żadne kości nie mogłyby udźwignąć tak wielkich ciał. Ale wuj Tavdal jest głupcem.

Te wielkoludy rozmawiały ze sobą. Dziadek Selsim bardziej czuł te słowa, niż słyszał, dźwięki trzęsły nim i bębniły mu w kościach. Głosy tych olbrzymów były aż tak niskie, rozumiesz. Na początku wydawali mu się podobni do skalnych *targi*, które naśladują krzyki swych ofiar. Ale potem uświadomił sobie, że te słowa układają się w zdania i przypominają dialekt, jakim mówią ludzie na podgórzu, choć przeplatane są dziwnymi pomrukami i bulgotem. A po naprawdę długim czasie pojął, że zdania mają sens. Wielkoludy mówiły o nim. Próbowaly zdecydować, co z nim począć.

Nie potrafił ich wtedy odróżnić. Natomiast stwierdził, że większość ich była za tym, by się go pozbyć, wykończyć go... Co mówisz? Hm, skąd mam wiedzieć? Wystarczyło, żeby go tam zostawili, umarłby z głodu i zimna albo wykrwawił się na śmierć. Możliwe, że stanęliby mu na głowę, i daj mi już wreszcie spokój! Jeżeli chcesz usłyszeć dalszy ciąg historii, ani jednego pytania. Nie mogę uwierzyć, że matce zadajesz tak wiele pytań.

Dlaczego olbrzymy chciały go zabić? Właśnie do tego zmierzałem, gdy mi przerwałeś. Dziadek Selsim pojął, że obawiały się, iż powie o nich innym ludziom. Uważali, że gdy już raz ludzie o nich usłyszą, stanie im się krzywda. I chyba mieli rację.

Widzisz, olbrzymy z góry Torgry były ostatnie na świecie i wiedziały, że innych już nie ma. „Olbrzymy wiedzą, kiedy odchodzą” – tak podobno dziadek Selsim mawiał. Dziwne, ale w owych czasach właśnie dzięki skalnym *targi* nie odkryto olbrzymów. Ludzie tak się bali skalnych *targi*, że nigdy nie przepawali się przez góry, chyba że zimą, a i to rzadko. Nie wiem, czy olbrzymy wiedziały, że skalne *targi* je chroniły przez sam fakt, że tam były, no i że były, jakie były. Chyba nie miało to większego znaczenia.

Ale wracajmy do dziadka Selsima. Leżał na kupie liści i wysoko widział wielkie kudłate twarze. Och, niech bodaj jeden olbrzym wstawi się za nim! Chociaż dlaczego miałby to zrobić? Może ze względu na ząbkujące dzieci, żeby miały co gryźć, tak jak ty pogryzłeś na kawałki wypchanego *sheknath*, którego ci zrobiłem. Dziadek leżał bez ruchu i ciągle miał nadzieję.

I rzeczywiście, jeden olbrzym wstawił się za nim. Dziadek już uwierzył, że nadszedł jego koniec, a tu wreszcie jeden olbrzym przemówił.

Och, wiedziałeś, że się tak stanie? No i proszę, jakie sprytnie dziecko, ale przerwałeś ojcu jeden raz za dużo. Więc wiesz, co powiedział olbrzym i co z tego wynikło, a ja idę do obory, dobranoc. *Jejebhai* znowu beczy.

Nie? Naprawdę? A jednak, sam przyznajesz, że jeszcze coś z tej historyjki warto usłyszeć. Trzymam cię za słowo, nie myśl, że zapomnę. Wracaj do łóżka, przykryj się i leż cicho.

Olbrzym, który wstawił się za dziadkiem Selsimem, był z nich największy, najbardziej kudłaty i najgorzej śmierdział. Chociaż wszyscy śmierdzieli podobnie... Co? Bo tak było i już. Wszyscy mieli taki zapach, gorszy nawet niż skalne *targi*. Tak, jestem pewien, że dla nich ten zapach był miły. Co mi właśnie obiecałeś?

Wracajmy do tematu. Dziadek zrozumiał, że ten największy mówi do pozostałych:

– Zatrzymam tego małego. To ja zabiłem skalnego *targi*, więc on należy do mnie i mam ochotę go zatrzymać. Nie mówmy więcej o tym.

Pozostali tak zaczęli krzyczeć, że dziadek zwinął się w kłębek i zatkał sobie uszy. A jak myślisz, jakiego się doznaje uczucia, gdy gromada olbrzymów wrzeszczy i spiera się, i wszystko huczy w twoim ciele? Trwało to długo.

Ale cały ten zgiełk i wycie nie zmieniły niczego. Największy olbrzym był wśród nich kimś naprawdę ważnym, pozostali musieli go usłuchać. Więc w końcu dali za wygraną, zaczęli odchodzić jeden po drugim, hucząc w oddali niczym grzmoty, i zniknęli pomiędzy drzewami. Po prostu zniknęli. Dziadek Selsim nigdy nie mógł się przyzwyczaić do sposobu, w jaki te straszliwe olbrzymy znikają bez najmniejszego dźwięku, gdy tylko chciały. Podobno w końcu sam potrafił to robić, chociaż nie przysięgnę, że to prawda.

A wtedy? Dziadek uświadomił sobie, że może już wstać, więc chwycił się niskiej gałęzi i podniósł na nogi. Był niewysoki... otóż to ważne, jak myślisz, dlaczego, do cholery, opowiadam ci tę historię? Mówiono mi, że sięgał do kolan temu stworzeniu, które spoglądało na*niego z góry, nie mówiąc ani słowa, tylko obserwując go swymi ocienionymi czarnymi oczyma. Dziadka Selsima szybko to znużyło, przechylił więc do tyłu głowę i krzyknął:

– Czy mnie słyszysz?!

Olbrzym nie odpowiedział, więc dziadek krzyknął jeszcze głośniejsze, na całe gardło:

– Czy mnie rozumiesz?! – To okropnie denerwujące, gdy ktoś gapi się na ciebie i nic nie mówi. Nieważne kto to jest.

Wtedy olbrzym zaczął się śmiać. Dziadek musiał się mocno schwytać gałęzi, żeby nie upaść, ponieważ ziemia zaczęła drzeć mu pod nogami, ale możliwe, że tylko tak ludzie gadają. Może był tak zdziwiony na samą myśl, że wielkoludy potrafią się śmiać. Olbrzym uderzył się po udach – hałas musiał być podobny do trzasku drzew, gdy jest taki mróz, że soki zamarzają – i przykucnął. Dziadek Selsim nawet się nie cofnął. Olbrzym odezwał się bardzo niskim głosem:

– Nazywam się Dudrilashashek – czy jakoś tak, dziadek nigdy nie był tego pewien. – Masz jakieś imię, mały?

– Oczywiście, że mam imię! – dziadek zawył prosto w tę wielką brodatą twarz. – Dlaczego miałbym nie mieć imienia?

– Nie musisz krzyczeć – odparł olbrzym. Sam prawie szeptał, ale przy każdym słowie, jakie wymówił, włosy zwiewały dziadkowi z tyłu. – Jest was tak wielu i tak się wszędzie tłoczycie, piszcząc i szczebiocąc. Skąd mamy wiedzieć, czy wszyscy macie imiona? A jeżeli myślicie o sobie jako my?

W taki sposób rozmawiali, nie zmysłam. Dziadek Selsim mówił, że tak właśnie rozmawiali.

Wyjaśnił sprawę szybko, możesz mi wierzyć. Tak, mamy imiona, a moje to Selsim – tak, wiemy kim jesteśmy – tak, rozmawiamy ze sobą – tak, kochamy się i płaczymy, śmiejemy się i cierpimy, i nie jesteśmy w tym gorsi od cholernych olbrzymów. Nie był pewien, czy jego zuchwalstwo nie rozzłościło olbrzymia, ale sam był zbyt rozłoszczony, żeby się o to troszczyć. Gdyż mówił mu o nas, o nas wszystkich, a nie o jednej rodzinie. O nas wszystkich, wrzeszcząc na całe gardło.

Kiedy skończył albo, co również możliwe, kiedy zabrakło mu tchu, olbrzym Dudrilashashek – nadal pozostał w kuckach, w tej pozycji był o cztery stopy wyższy od dziadka – utkwiał w niego wzrok i bardzo wolno zaczął się uśmiechać. Dziadek zawsze mówił, że wszystkie olbrzymy mają piękne zęby, o ile zdoła się je dostrzec wśród splątanych tłustych włosów. Żaden z nich często się nie uśmiechał, ale kiedy się już uśmiechali, trudno było tego nie zauważyć. Tak przynajmniej słyszałem.

– Co do tego miałem rację – powiedział olbrzym. – Wiedziałem, że mam rację. Kto by pomyślał, że wy, mali, coś czujecie, a nie jesteście tylko jak rojące się wszędzie owady? Całkowicie zdumiewające. Och, wiedziałem, że mam rację, gdy nagałem, abyś został wśród nas. Zdumiewające.

– Został, ja?! O czym ty mówisz?! – Dziadek Selsim przestraszył się nie na żarty, bardziej nawet niż gdy patrzył prosto w rozwartą paszczę skalnego *targi*, bardziej nawet niż gdy pierwszy raz zobaczył kłócące się olbrzymy. – Chcecie mnie zatrzymać? Po co?

– Po co? Żeby cię poznać, dokładnie obejrzeć oczywiście – odpowiedział Dudrilashashek. – Jesteśmy bowiem myślącym ludem i poświęcamy wiele czasu na badanie wszystkiego, co w życiu napotkamy – skalnych *targi* czy najmniejszych wodnych insektów. Wszystko jest dla nas ważne. My, Qu'alo, oglądamy, badamy, rozważamy, dociekamy, co kryje się pod kłodami czy kamieniami, jak i pod poszczególnymi pojęciami. W tym i tylko w tym celu zostaliśmy stworzeni.

Co? Tak siebie nazywali, Qu'alo. To znaczy „prawdziwi ludzie”, o ile dobrze pamiętam. Aha! Nigdy nie uważali siebie za olbrzymów. Po prostu sądzili, że istoty ludzkie są karłowate.

No cóż, wtedy dziadek Selsim miał naprawdę zły dzień. Wziął się pod boki, zadarł głowę i krzyknął olbrzymowi w twarz:

– Źle wybrałeś, duży! Możesz mnie zabić, ale mnie tu nie zatrzymasz, żeby mi się, do cholery, przyglądać! Jeżeli uważacie, że jestem insektem, niech i tak będzie – ale spróbuj upilnować insekta w każdej minucie dnia i nocy. Ten insekt przejdzie pomiędzy twoimi tłustymi, niezdatnymi palcami i zniknie na długo, zanim weźmiesz następną kąpiel. Co, nawiasem mówiąc, radzę zrobić jak najszybciej.

Och, najwyraźniej był wściekły, ale Dudrilashashek nadal nie wpadał w złość. Nie, wciąż się słodko uśmiechał.

– Proszę, mały przyjacielu, jeżeli wydają ci się gruboskórny, wybac. Ja po prostu bardzo się cieszę. Czuliśmy się samotni myśląc, że jesteśmy jedynymi stworzeniami na świecie, które są świadome zarówno świata, jak i siebie. Nie obrażasz się, jeżeli cię podniosę, żeby się lepiej przyjrzeć? Będę niezwykle ostrożny, obiecuję.

No cóż, możesz sobie wyobrazić dziadka Selsima w tej sytuacji. Nigdy nie marzył, by ktoś go podnosił niczym dziecko, niczym ulubione zwierzątko, by zwiśać w tych ogromnych dłoniach albo leżeć na plecach z nogami w powietrzu, kołysany w zgięciu wielgachnego łokcia. Ale Dudrilashashek zapytał bardzo grzecznie, a twój dziadek zawsze cenił sobie grzeczność, szczególnie ze strony olbrzymów.

– Zgoda, lecz rób to delikatnie. I bez odwracania do góry nogami, zrozumiano?

– Daję na to słowo – odpowiedział Dudrilashashek. Podniósł go bardzo ostrożnie, jedną dłoń przeznaczył na miejsce do stania, drugą go tam ustawił, tak delikatnie chwytając dwoma palcami, że dziadek nie poczuł tego prawie. Olbrzym podniósł go na wysokość oczu i zaczął oglądać, wprost cmokając z zachwytu, niczym twoja ciotka Kelya, gdy nie widzi cię przez jakiś czas.

– Nie do wiary! – mówił – masz prawie takie same palce jak my. – I znowu: – Nie do wiary! Mógłbyś zapuścić brodę niczym prawdziwy Qu’alo, gdybyś tylko chciał.

Dziadek Selsim nie wiedział, czy upaść mu w rękę ze śmiechu, czy też stać tam nadal niby nigdy nic. Uświadomił sobie, iż i ludzie, i olbrzymy myślą tak samo – że są jedynymi prawdziwymi ludźmi na świecie.

Nie zaczął się więc śmiać. Zachował spokój i godność, mniej więcej, i pozwolił Dudrilashashekowi obwąchać siebie ze wszystkich stron. Och, nawiasem mówiąc, olbrzymy słyszały lepiej niż widziały, czemu się trudno dziwić, biorąc pod uwagę ich włosy. Potrafiły wyczuć węchem innego Qu’alo na milę i określić, kim jest, co jadł na śniadanie i jak się akurat czuje. Oczywiście wszyscy inni też je wyczuwali węchem z daleka, więc niewiele im z tego przyszło. Ale dziadek stwierdził, że wkrótce przyzwyczał się do smrodu Qu’alo – mówił, że po pewnym czasie przestał w ogóle zwracać na to uwagę. I dlaczego by nie? Skoro ja potrafiłem przyzwycząć się do krewnych twojej matki...

Co? Nie, nie sądzę, aby dziadek kiedykolwiek dowiedział się, jaki ich zdaniem ma zapach.

Dudrilashashek wreszcie skończył obwąchiwać dziadka Sel-sima.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu – powiedział – moi bracia i siostry zrobią to samo. Dla ciebie to z pewnością nużące, ale jeżeli masz zostać z nami, ten rytuał musi być spełniony. Zaniosę cię do nich.

– Co to, to nie – odparł dziadek, nadal o wiele zuchwalej niż choćby ty albo ja, gdybyśmy rozmawiali z olbrzymem. – Jestem zmęczony i głodny, a w dodatku obolały, bo zostałem pogryziony przez skalnego *targi*. Uratowaliście mi życie, za co dziękuję, ale nie chcę, aby teraz ktoś jeszcze mnie obwąchiwał, i nie zamierzam zostać ani dnia dłużej, niż będzie to konieczne. Chcę się gdzieś położyć, więc wybac mi, proszę, lecz odmawiam.

Dudrilashashek nie ustąpił.

– Przepraszam, ale to ważne, choć pewnie trudno ci to sobie wyobrazić. Pozostali muszą poznać twój zapach zaraz po mnie, abyśmy wszyscy mogli cię poczuć w ten sam sposób, w tym samym czasie. Dla nas zapach jest niestały, łatwo zmienia się pod wpływem uczuć, obaw, stanu zdrowia, diety i niezliczonych innych czynników. Ktoś z nas mógłby cię spotkać zaledwie kilka dni później i nie poznać zupełnie. Co mogłoby być fatalne w skutkach dla nas obu. Nie, muszę cię zanieść do nich natychmiast. Wybac, mały przyjacielu.

I przy tych słowach zacieśnił palce na dziadku – och, nieznacznie, ale było to skuteczne – i pomaszerował w las, wołając przyjaciół i krewnych. W zabawny sposób nawoływali się wzajemnie, brzmiało to trochę jak dudnienie, trochę jak pohukiwanie, nie było głośne, ale wydawało się, że trwa całą wieczność. Słyszałem, że gdy dziadek Selsim był już stary, czasami zrywał się w środku nocy twierdząc, że słyszał, jak wołają go Qu’alo z góry Torgry, z tak daleka. Wtedy już powymierali i wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny, a pomimo to... Poczekaj, poczekaj, zrozumiesz.

Wracajmy do tematu. Nie udało mu się wykręcić. Musiał stać w ogromnej dłoni Dudrilashasheka przez godzinę czy nawet dłużej, a pozostali Qu’alo podchodzili jeden po drugim, żeby go dotknąć, przyjrzeć się i powąchać, upewnić się całkowicie, że go znają. Mówił, że wszyscy mieli duże czoła, duże kości policzkowe, małe podbródki, a włosy młodych osobników były szarawobrazowe, a nie zupełnie czarne. Ze zmęczenia nie zauważył dużo więcej, nawet nie potrafiłby odróżnić kobiety od mężczyzny. Gdy się to wreszcie skończyło, Dudrilashashek zabrał go do jaskini, gdzie przyprowadzali chorych, zmienił bandaż na jego ramieniu, nakarmił zupą z grzybów i dzikich porów z miski, w której dziadek mógłby się wykapać, i sam ułożył go w słodko pachnącym łóżku z zielonych wiosennych gałązek.

– Wygodnie ci tu będzie – powiedział bardzo dumny. – Teraz śpij, a kiedy się obudzisz, na pewno wiele rzeczy zobaczysz w innym świetle.

Dziadek Selsim już prawie spał, ale zdołał wymamrotać:

– Nie zostanę długo. Jak tylko trochę dojdę do siebie, ruszę w drogę. Bez względu na skalne *targi*.

Stary Dudrilashashek nie zaprzeczał, jedynie skinął poważnie głową i rzekł tym głosem, który wydawał się dobywać wprost z brzucha dziadka Selsima:

– Gdy wyzdrowiejesz, porozmawiamy o tym. Teraz śpij.

Dziadek zasnął na dwa dni.

Tak, rzeczywiście, na pewno musiał bardzo sikać, gdy się obudził, dziękuję, że mi o tym przypominałeś. I musiał zjeść jeszcze zupy i umyć się, i musiano opatrzyć mu ramię. Dudrilashashek powiedział, że dziadek szybko wraca do zdrowia i ma szczęście, gdyż ugryzienie skalnego *targi* zwykle zatruwa ciało i zabija. Ale Qu’alo przyłożyli coś na ranę i wielkie postrzępione skaleczenie goiło się ładnie, bez żadnego zakażenia. Nadal nie widział lewym okiem, ale nie bardzo go bolało, a Dudrilashashek powiedział, że z czasem widzenie powróci, przynajmniej częściowo. Teraz ranny miał odpoczywać, nabierać sił i nie myśleć o niczym. Szczególnie o podróży.

Dziadek Selsim popatrzył wprost na olbrzymia – w każdym razie na tyle prosto, na ile pozwalało mu tylko jedno sprawne oko – i powiedział stanowczo:

– Trzy dni. Trzy dni, może nawet dwa. Nie ma to nic wspólnego z tobą ani z twoim plemieniem, po prostu nigdzie nie zatrzymuję się dłużej. Jestem naprawiaczem garnków, muszę być ciągle w drodze. Stale wędruję z miejsca na miejsce.

Ale olbrzym potrząsnął głową, uroczyście i ze skruchą.

– To niemożliwe, mały przyjacielu. Pozostali nie zgodzą się na to, a ja nie mogę im tego nakazać. W zamian za pozostawienie cię przy życiu obiecałem im już, że zostaniesz z nami na zawsze, wielu obawia się bowiem, że sprowadziłbyś tutaj swój lud, który by nam dokuczał. Wierzei, że nie zrobiłbyś tego, ale inni nie będą chcieli o tym słyszeć. Przepraszam, Shelshimie – nie śmieję się, mały, Qu'alo nie potrafili inaczej wymówić jego imienia – ale widzę, że chcesz znać prawdę. Taka jest prawda.

– A jeśli obiecuję? – zapytał dziadek. – Jeżeli dam im słowo, że nic nikomu nie powiem? Nasz lud przywiązuje ogromną wagę (Jo danego słowa. Mógłbym przysiąc na wszystko, co dla nas święte.

Dudrilashashek stawał się coraz smutniejszy.

– Ucieknę – stwierdził dziadek Selsim. – Nie zdołacie mnie zatrzymać.

Stary olbrzym był podobno do tego stopnia zmartwiony, że jego ogromna twarz cała się zmarszczyła i zaczęła trząść, niczym ten ohydny różowy deser, który ciotka Kelya zawsze przyrządza na święto Pożegnania Zimy.

– Proszę, Shelshimie, nie rób tego, błagam. Bardzo dobrze polujemy, tropimy i potrafimy wyczuć na całym górskim stoku tę jedną roślinkę, którą pragniemy zjeść. A mamy ogromnie niezdarne palce, co słusznie zauważyłeś. Dla nas wszystkich byłoby to straszne, teraz, gdy już cię znamy, gdybyś przez przypadek został zraniony przy próbie powstrzymania. Albo gdyby skalne *targi* znalazły cię wcześniej od nas...

Nie, nie nazwały ich tak, oczywiście, miały na to własne słowo. Nie wiem, jakie to było słowo. Bądź cicho.

Dziadek Selsim nie znoślił, gdy mu grożono, więc z miejsca odparł:

– Szybciej umrę ze skalnym *targi* u szyi, niż spędzę życie jako zabawka Qu'alo. To niemożliwe, Dudrilashasheku. Nikt nie potrafi zatrzymać mnie tam, gdzie nie chcę być.

Po tych słowach odwrócił się i znowu poszedł spać, co trwało kolejny dzień. Ponoć olbrzym pilnował go przez cały ten czas. Tak, jestem pewien, że musiał też pójść zrobić siusiu. Dziękuję, bym zapomniał.

Więc tak się rzeczy miały i gdy dziadek Selsim ponownie się obudził, nadszedł czas, aby w pośpiechu nauczył się wielu rzeczy. Naprawiacze garnków szybko się uczą. Muszą. Po pierwsze, dowiedział się, że Qu'alo nie miały jednego specjalnego miejsca – grotu, polany czy jakiejś płaskiej skały – gdzie mieszkaliby razem albo gdzie mogliby się zbierać, takiego jak nasza sala spotkań we wsi. Chociaż jeżeli to sala, powiedziałbym, do cholery, że nasz ustęp jest pałacem. Qu'alo wędrowali po górze Torgry, jak im się podobało, sami albo w towarzystwie jednego czy dwóch innych, nie w większych grupkach. Większość czasu poświęcali na szukanie pożywienia, gdyż trudno takiemu wielkoludowi zaspokoić głód, a mięsa i ryb nie jadali, tak jak *rishu*. No tak, pędraki, jadali pędraki i od czasu do czasu owady. Kładli się spać tam, gdzie zastała ich noc, zazwyczaj w jakimś drzewie *sum'yadi*, gdyż tylko one były na tyle wielkie, aby ich pomieścić, i na tyle gęste, aby ich ukryć. Potrafili iść całymi dniami, czasem nawet tygodniami, nie widząc innych olbrzymów. Ale każdy z nich zawsze wiedział, gdzie jest reszta. Skąd? A pomyśl – zawsze wiesz, gdzie masz palce u rąk albo nóg. Nie musisz nawet o tym myśleć, prawda? Tak samo było z Qu'alo, dokładnie tak samo.

Co? Czy możesz posłuchać w ciszy choćby przez minutę? Nie, nie uciekł przy pierwszej nadarzącej się okazji, tak jak wcześniej obiecywał. Gojenie ran trwało długo. Nawet gdy jego ramię było już zdrowe i zaczął widzieć co nieco lewym okiem, nadal odczuwał ból w całym ciele, nadal poruszał się niepewnie, spoglądając za siebie przy każdym kroku. Ludzie mówią, że tak właśnie reagują ci, których zaatakował skalny *targi*. Wiesz, że już jesteś martwy, nawet gdy nikt inny o tym nie wie. Ciągle spodziewasz się, że *targi* wróci, żeby się o ciebie upomnieć.

Dudrilashashek opiekował się dziadkiem przez jakiś czas, pokazując mu, jak szukać dzikich jagód, korzonków i tego wszystkiego, czym żywią się Qu'alo, i w których strumieniach płynię najlepsza woda, i gdzie można spać bezpiecznie. Był bardzo troskliwy – wiedział, że człowiek nie może sypiać w taki sposób jak olbrzymy, które mówiąc ściśle, wiążą gałęzie *sum'ya-di* w węzły, żeby sporządzić sobie posłanie. Twój dziadek zwracał uwagę na wiele rzeczy, nie tak jak niektórzy z nas. Zwracał baczną uwagę na sposób postępowania Qu'alo, ponieważ od tego zależało jego życie.

Najtrudniejsze dla dziadka było rozróżnianie ich między sobą. Wszyscy byli ogromni, wszyscy zarośnięci, wszyscy niemiłosiernie śmierzili churką... dopiero gdy Dudrilashashek zaczął go zostawiać samego od czasu do czasu, poznał innych Qu'alo. I to jedynie dlatego, że nadal bał się zostawać sam, bał się, że właśnie wtedy jakiś skalny *targi* go zaatakuje. Niechby olbrzymy chciały go oglądać na wszystkie strony, jak książkę albo owada, zgodziłby się bez wahania – oby tylko dotrzymały mu towarzystwa i nie zostawiały tam, gdzie mogłyby go dopaść skalne *targi*. Czy wyleczył się z tego? Ze swego lęku, chcesz powiedzieć? Och, po pewnym czasie, do pewnego stopnia, ale nigdy nie był już takim człowiekiem jak przed atakiem *targi*. Nikt z zaatakowanych przez skalne *targi* nigdy nie był już taki sam.

Bogowie, to nie było czkanie! Widziałem ją wystarczająco wiele razy, jak się cieleła, więc wiem! Cholernie złośliwe zwierzę – czekaj no, czekaj, przestała, zupełnie ucihła. Powinieniem tam zejść... nie, jestem pewien, zabawi się ze mną. Takie już są, pamiętaj, *jehebhai* właśnie tak się będą z tobą bawiły, gdy już cię raz poznają. Kiedy umrę, zajmij się hodowlą *rishu*, chłopcze. *Rishu* są sympatyczne i głupie, tego ci trzeba, uwierz mi. *Rishu* nie będą się z tobą bawić.

No cóż, poczekamy. Ale to się może stać w każdej chwili, rozumiesz. A teraz wracajmy do Qu'alo. Dwóch albo trzech z nich nigdy nie powiedziało ani słowa, przynajmniej nigdy ich dziadek Selsim nie słyszał. Podobno gdy się spojrzęło w te czarne oczy, głębokie jak podmorskie grotty, kiedy się już je zobaczyło pod gęstwiną czarnych włosów – było wiadomo, że Qu'alo to naprawdę pogrążony w zadumie lud. Cały czas myśleli o różnych rzeczach. Tyle że nie byli podobni do twego wuja Tավալա – nie uważali, że mówienie jest tym samym co myślenie, pojmujesz? Mówili mało, a niektórzy wcale. Tacy byli.

Chociaż nie wszyscy. Było wśród nich dwóch braci, którzy nazywali się jakoś tak: Calijostylakomo i Galijostylakomo – ani słowa, takie mieli imiona i na tym koniec. Dziadek nazywał ich Cali i Gali, i zawsze ich potrafił odróżnić, ponieważ broda Całego nie była tak gęsta jak brody innych olbrzymów, i to go martwiło. Zaraz, możliwe, że był to Gali, nie potrafię powiedzieć. W każdym razie byli młodzi i mówili nieco więcej od innych, i byli... ty byś powiedział złośliwi, przynajmniej jak na olbrzymów. Lubili zapasy. Dziadek Selsim wspinał się wtedy na drzewo, by zejść im z drogi, choć i tak wiele ryzykował. Bywało, że zamiast położyć się spać o zachodzie słońca jak inni Qu'alo, wyruszali razem, aby całą noc polować na skalne *targi*. Zazwyczaj wywabiali je z nor i spuszczały na nie wielkie głązy. Zapraszali dziadka, aby polował z nimi... Co? Nie, jestem pewien, że nigdy tego nie zrobił. Ponieważ żaden z nas nie jest aż takim głupcem, nawet wuj Tավալա. Nie aż takim.

Dziadek zaprzyjaźnił się z jeszcze jednym olbrzymem, z kobietą Qu'alo – nazywała się Yriadvele. Olbrzymki były nawet bardziej nieśmiałe niż olbrzymy, a dziadek Selsim zamienił z nią kilka słów, bo kiedyś wpadł w pułapkę. Cali i Gali wykopali jamę, aby w nią schwytać skalne *targi*, i miał szczęście, że byli młodzi i zbyt leniwi, by ustawić na jej dnie za-trute paliki. Yriadvele usłyszała jego wołanie, przyszła i szybko go wyciągnęła z jamy. A potem w jakiś niewytłumaczalny sposób miała do niej prawo, tak jak się to czasem zdarza. Zazwyczaj niosła go na ramieniu, gdy szli do lasu albo na odsłonięty stok góry, przed wieczorem, bo wtedy nikt nie mógł ich zobaczyć. Ja też cię kiedyś tak nosiłem, pamiętasz?

Dziadek nie mówił na jej temat przez wiele lat, dopóki naprawdę się nie zestarzał, tak przynajmniej słyszałem. Twierdził, że zawsze potrafił odróżnić Yriadvele od innych, ponieważ wokół ramion miała coś w rodzaju szarawego płaszcza. Mam na myśli włosy, a szare dlatego, że była jeszcze młoda. Dziadek Selsim i ta olbrzymka, która była tak owłosiona i tak cuchnęła, że dopiero po długim czasie przestał zwracać na to uwagę, rozmawiali całymi godzinami. Prawdę powiedziawszy, dziadek zaczął uważać, że na swój sposób jest ładna, z tymi ogromnymi czarnymi oczyma i małymi delikatnymi uszkami. Twierdził, że miała w sobie wiele wdzięku, gdy cicho poruszała się pomiędzy drzewami. Tak jak wszyscy Qu'alo – jeśli nie chciała, żebyś ją zobaczył, nie zobaczyłeś jej. Ale gdy tam była, po prostu była tam, a wtedy drzewa i wielkie głązy niknęły wokół niej, stawały się powietrzem. Dokładnie tak powiedział to dziadek Selsim, słowo w słowo, i tak przekazał mi to mój dziadek.

O czym rozmawiali? No cóż, pytała go, jak żyją ludzie, co jedzą, gdzie śpią i co robią, gdy są chorzy, i o ubranie, i jak się czują takie małe istoty na takim wielkim świecie. I o rozrywki, o to jak się ludzie bawią, nigdy tego nie rozumiała. Qu'alo nigdy się nie bawili, rozumiesz, nie mieli najmniejszego pojęcia, co znaczy to słowo. Prosiła go, aby ciągle jej o tym opowiadać.

Mówiła inaczej niż Dudrilashashek. Nie, nie wiem dlaczego i dziadek także nie wiedział. Zastanawiał się nad tym czasem, nawet chciał zapytać, ale jak tu rozmawiać z olbrzymem? Pewnego razu powiedziała, wolno i z wahaniem, czasem z jedno – lub dwuminutową przerwą pomiędzy słowami:

– Kiedy śpimy, czasem widzimy jakąś historię i siebie w tej historii. A wy?

– To sny – rzekł dziadek. – Tak, śnimy, my również widzimy rozmaite historie. Jak wy, tak samo.

Yriadvele odwróciła swoją wielką głowę i popatrzyła mu prosto w oczy, jej były tak ciemne, że nie zobaczyłybyś w nich ani siebie, ani nieba za sobą, ani zielonego listka czy odrobiny słońca.

– U nas ta sama historia każdej nocy. Zawsze. Skalne *targi*. Nasi bracia.

Dziadek nie był pewien, czy dobrze rozumie.

– Powstaliśmy w tym samym czasie, skalne *targi* i my, Qu'alo – mówiła dalej olbrzymka. – Wtedy wyglądaliśmy tak samo, żyliśmy razem, tacy sami ludzie. Ale my zmieniliśmy się, wolno, wolno, zostawiliśmy ich, straciliśmy ich. Więc teraz każdej nocy przeżywamy ten sen, każdej nocy, jak to było kiedyś. Bogowie karzą nas za te zmiany.

Nie. A jak myślisz? Oczywiście, że nie wiem, czy to prawda. Ale Qu'alo w to wierzyli, i już. Dziadek Selsim nigdy nie powiedział, czy w to uwierzył, ale mówił, że faktycznie zabrzmiało to niczym wyrok bogów.

Czy wiesz, co jej zdaniem było najzabawniejsze na świecie? Opowiadanie żartów – mam na myśli samą ideę opowiadania żartów. Nie od razu uwierzyła, że ludzie wymyślają wesołe historyjki i powtarzają je sobie po to tylko, by siebie nawzajem rozśmieszyć. Ale kiedyś pojęła jeden – stał się jej własnym żartem i chichotała na samą myśl o nim, a ten chichot brzmiał tak, jakby grzmot przetaczał się przez wzgórza w parną noc. Czasem dziadek ją widział, jak się tak bawi swoim ulubionym żartem. A czasem naprawdę zaczynała się śmiać, bez ostrzeżenia. Mówił, że ziemia wtedy drżała, kwiaty i liście fruwały wokoło, ptaki wypadały z gniazd, a ludzkie kości drżały potem przez godzinę. Tak się działo, gdy Qu'alo zaczynali się śmiać.

Pewnego razu zapytał, czy olbrzymy mają rodziny, takie jak ludzie. Prawie nigdy nie widywał więcej niż dwóch Qu'alo, nie mógł być pewien, ilu ich jest na górze Torgry, i nie domyślał się, które z nich mogły być dziećmi. Nie odpowiedziała mu, w ogóle nic nie powiedziała aż do następnego dnia. Już prawie zapomniał o swoim pytaniu, gdy stwierdziła:

– Nie. Kiedyś tak, teraz nie. – Głos miała tak cichy, że nie wyczuł go ciałem, jak zazwyczaj. Powtórzyła trzykrotnie:

– Kiedyś, kiedyś, kiedyś.

Nie próbował uciekać przez pierwsze dwa miesiące, może trzy, i do tego czasu prawie zapomniał, że jest więźniem. Qu'alo go nie wsadzili do klatki, nie ogrodzili płotem ani nie krępowali rąk czy nóg; nigdy nie widział, aby za nim szli, nie pilnowali go, nic z tych rzeczy. Mógł włóczyć się, gdzie chciał. Ale raz w nocy szedł przez najgęstszy las, bynajmniej nie w pobliżu szlaku, jakim wędrował, gdy napadł go skalny *targi*. Zmieniał kierunek, kluczył najpierw tu, potem tam, idąc na szczyt... i nie uszedł więcej niż milę, gdy stary Dudrilashashek zaszedł mu drogę.

– Nie, nie, mały – powiedział łagodnie. – Przepraszam. Chodź, zaniosę cię z powrotem, no chodź. – Zupełnie jakby dziadek był w twoim wieku i chodził we śnie.

Tak było za każdym razem, gdy próbował umknąć Qu'alo, by powrócić do przerwanej podróży, do zwykłego życia naprawiacza garnków. Nigdy ani wymówki, ani groźby, ale zawsze jakiś olbrzym pojawiał się przed nim bez słowa. Od czasu do czasu była to Yriadvele, a ona po prostu podnosiła go i niosła, trzymając w dłoni, nie na ramieniu, jak wtedy gdy gdzieś razem szli. Tak było przez osiemnaście lat.

Osiemnaście lat, właśnie, tak długo mieszkał z Qu'alo. Jedząc to co oni, śpiąc wtedy, gdy oni spali, pozostając w cieniu cały boży dzień, tak samo jak oni. Wydaje się, że to nudne życie, prawda? No cóż, prawdopodobnie ty albo ja byśmy się nudzili, ale inaczej było z dziadkiem Selsimem. Ponieważ po jakimś czasie, chyba po dwóch latach, zaczął myśleć tak jak Qu'alo, rozumiesz? Wielkie myśli, stare myśli pojawiały się w jego głowie niczym ogromna ryba, która wynurza się i faluje na powierzchni wody, ze srebrnym brzuchem połyskującym w słońcu, a zaraz potem znowu płynie w dół. Długie powolne myśli, którymi nawet Qu'alo zaprzęgnięty jest całą wieczność, zanim je zrozumie. Możliwe, że trzeba żyć w taki sposób, aby w taki sposób myśleć. Możliwe, że po pewnym czasie już nic innego nie chce się robić. Nie rozumiesz, chłopcze? Ja też nie. Wiem tylko, że dziadek Selsim spędził osiemnaście lat z tymi śmierzdzącymi olbrzymami i po pierwszych trzech, czterech przestał próbować uciekać. Pozostałby z nimi do końca życia, gdyby mógł, a wtedy nie byłoby tutaj ani ciebie, ani mnie. Zastanów się nad tym trochę.

Zimy? Tak, górskie zimy były surowe, ale Dudrilashashek nauczył go, jak radzili sobie z nimi Qu'alo. Czy wiesz, co robili, gdy opadły liście, potoki zamarzły, a wszystko, co nadawało się do jedzenia, zostało przykryte grubą warstwą

śniegu? Czy wiesz, co wtedy robili Qu'alo? Szli spać. Szukali pustych jaskiń skalnych *targi* – no cóż, może nie zawsze były puste, gdy je znajdowali, ale już wkrótce takie się stawały – i kładli się razem, po dwóch, trzech albo czterech, i tak przespali zimę. A gdy się trochę ociepliło, mogli wstać, kopać w śniegu w poszukiwaniu jakiegoś kaska, a potem znowu szli spać. Ludzie też to potrafią, o ile nauczą się tej sztuczki. Dziadek się nauczył. Uważam, że i ty powinieneś czasem spróbować.

Dlaczego nie mógł zostać? Dobre pytanie. Do tego właśnie zmierzam.

Yriadvele przyszła po dziadka, gdy zmarł pierwszy olbrzym. Było późne letnie popołudnie, miało się ku zachodowi słońca.

– Nie żyje – powiedziała. – Chodź.

Siedział jej na ramieniu, jak zawsze. Nie mówiła, kto to był ani nawet w jakim był wieku. Dziadek Selsim obawiał się, że skalny *targi* w końcu dopadł Całego albo Galego. Pytał i pytał, dlaczego ten ktoś zmarł.

– Qu'alo. Był Qu'alo – usłyszał tylko. Co to miało znaczyć, nie miał pojęcia.

Wszyscy byli na polanie, skupieni wokół zmarłego. Położyli ciało na czymś w rodzaju platformy – wiesz, jak *Nounourisi* umieszczają swoich zmarłych wysoko na drzewach? Qu'alo robili podobnie, tyle że ich rusztowanie nie było wyższe niż dotąd, do mojej klatki piersiowej, i ciało było przykryte świeżo ściętymi gałązkami, które słodko pachniały. Dziadek Selsim nie widział twarzy zmarłego, ale wśród zgromadzonych spostrzegł wszystkich olbrzymów, jakich znał, więc poczuł się lepiej. Nic na to nie poradzimy, tacy już jesteśmy.

Wtedy zauważył, jak niewielu ich było – w sumie szesnastu, wliczając w to i dzieci, a tych było chyba ze troje. Jesteś synem rolnika, wyobraź sobie, że to są *rishu* albo *jejebhai* i policz sobie w myślach. Słusznie – nie utrzymałbyś stada, które rozmnażałoby się w takim tempie, nie miałbyś żadnej szansy. Qu'alo wymierali; ich los był już przesądzony. Czasem się to zdarza.

No cóż, widywałem to już, i ty także, zastanów się tylko. Pamiętasz, jak Jutt hodował *makhyah*? Chciał się wzbogacić na tysiącach jasnoczerwonych jaj, jakie miały znieść – pamiętasz? Wszystkie zdechły, tej samej nocy, co do jednej, i Bala Jutt płacząc prosił mnie, abym poszedł zobaczyć ciała i powiedział, co mogło być przyczyną. Byłeś wtedy mały, ale pamiętasz? Te *ma-khyah* pozdychały, ponieważ nie podobał im się sposób, w jaki je hodował, i zdecydowały, że takie życie nie jest nic warte. Nie chcę przez to powiedzieć, że na zebraniu przeprowadziły głosowanie. Chcę jedynie powiedzieć, że tak zdecydowały. Tak było z Qu'alo. Niezupełnie tak samo, ale podobnie.

Dlaczego? Dziadek Selsim nigdy się tego nie dowiedział, a możliwe, że i sami Qu'alo także nie wiedzieli. Nie sądzę, aby wszystko co ważne próbowali wyrazić słowami, nawet na własny użytek. Proszę, ucisz się i słuchaj.

Dziadek Selsim najprawdopodobniej myślał o tym, gdy Yria-dvele zaczęła tańczyć. Słyszał za sobą ciężkie podwójne uderzenia, a kiedy się odwrócił, zobaczył, jak olbrzymka stąpa ciężko i wolno, w tył i w przód, jedną nogą stawiając obok drugiej. Potem stawiała kroki coraz szybciej, tak że rusztowanie ze znajdującym się na nim ciałem zaczęło drzeć, a potem unosiła ręce do góry, jak gdyby szykowała się do lotu. Twarz miała nieodgadniona jak zawsze.

Reszta dołączyła do niej. Piętnastu olbrzymów tupiących jednocześnie. Teraz trzęsły się drzewa, ziemia podskakiwała niczym skóra na bębnie, a ludzie gadają, że zachodzące słońce podskakiwało również. Nie sądzę, aby był to taniec w naszym rozumieniu – większość z nich po prostu podskakiwała i wymachiwała rękami – ale dziadek mówił, że Yriadvele obracała się, kołysała i pochylała, by dotknąć ziemi, przykłękała i prostowała się, wyciągała ręce, jak gdyby chciała dotknąć czegoś, czego nikt nie widział. Dziadek mówił, że ona tańczyła, ona jedna. Twierdził, że wciąż ją widzi.

Powiedział, że przerażający był nie hałas, lecz cisza. Pod tym hałasem, pod tymi potężnymi nogami uderzającymi o ziemię, nadal był cicho, tam, w dole. I gdy nagle przestali, wszyscy naraz – och, ta cisza stała się wręcz nie do zniesienia. Ukrył się za drzewem. Ale oni nie patrzyli na niego, ani Yriadvele, ani nikt inny. Patrzyli na martwego Qu'alo na rusztowaniu.

Hm...

Zastanawiam się... Nie wiem, czy powinienem ci o tym powiedzieć... Jeżeli zaczniesz miewać koszarne sny, twoja matka... Co? Och, nie gadaj głupstw, jeden właśnie miałeś w zeszłym tygodniu, obudziłeś mnie wyjąc, że wokół ciebie są same *shukń*, że rozrywają cię na kawałki. Nie pamiętasz, nie, oczywiście, że nie. Twoja matka pamięta. Lepiej będzie, kiedy pójdziesz już spać.

Dobrze, dobrze, uspokój się! Nie wrzeszcz tak, bo nie usłyszę naszej *jejebhai*, nawet jeżeli będzie rodzić trojaczki. Bądź cicho, opowiem ci resztę. A jeżeli będziesz miał jakieś złe sny, nie chcę o tym wiedzieć. Ja ani nikt inny, zgoda? Bógowie, jak się w to wplątałem?...

A więc słuchaj, co zrobili. Podchodzili do zmarłego po kolei, każdy schylał głowę i wachał go, w taki sam sposób, w jaki obwąchiwali twego dziadka. Zabrało im to dużo czasu, ponieważ mówili „zegnaj przyjacielu”, a nie „witaj”, i było już zupełnie ciemno, gdy usiedli, aby go zjeść.

Dobrze słyszałeś. Zjedli go. Już wcześniej go oczyścili, w taki sam sposób, jak się czyści rybę, i potem rozpalili wielkie ognisko – wtedy po raz pierwszy dziadek zobaczył, że potrafią to robić, nigdy wcześniej tego nie robili – usiedli razem i zjedli martwego Qu'alo całego. Po raz pierwszy widział również, jak jedzą mięso. Nie rób tych głupich min – mówię ci, tak właśnie zrobili. Trwało to aż do świtu.

Posłuchaj, przestań się wykrzywiać. Czy wiesz, co dziadek Selsim powiedział na ten temat? Powiedział, że to było piękne, że na swój sposób była to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widział. Olbrzymy siedziały wokół rusztowania w ciemności i rozmawiały, ich głosy nie tylko były niskie, lecz również ciche, smutne, delikatne, takich nigdy wcześniej nie słyszał. Nie potrafił rozróżnić ani słowa, nawet siedząc w pobliżu, ale wiedział, że Qu'alo rozmawiali o swoim przyjacielu. I jednocześnie go jedli, wychwalali i szanowali zarazem, i kochali, rozumiesz?

Nie było tak jak u ludzi, którzy mlaskają i bekają przy obiedzie – to było inne, było piękne. Tak dokładnie powiedział twój dziadek.

Trwało to całą noc, jak już mówiłem. W końcu, gdy ranek ukazał się ponad drzewami, na rusztowaniu nie pozostało nic, z wyjątkiem długich, obranych do czysta kości. Tak, czaszka też, a jak myślisz? Nic, tylko olbrzymie kości, zakopywali je potem w jakimś szczególnym miejscu, dziadek nigdy nie powiedział gdzie. Tak postępowali Qu'alo, gdy umierał jeden z nich.

Dudrilashashek wyjaśnił dziadkowi Selsimowi, że robili tak z dwóch powodów.

– Musimy pamiętać o skalnych *targi* – powiedział. – Nauczylimy ich strachu, nigdy by go nie znały, gdyby nie my. Są prawie, prawie że inteligentne, ale niezupełnie, i myślą, że są nas tysiące i nigdy nie umieramy. Gdyby wykopały ciało i uświadomiły sobie, że jesteśmy śmiertelni i jak niewielu nas jest, nigdy już nie zaznałyby spokoju. Ale jest jeszcze inny powód.

Przez jakiś czas nie mówił nic, a dziadek po prostu siedział i czekał. Nauczył się cierpliwości. A Dudrilashashek wreszcie znowu zaczął mówić.

– To nasz sposób, aby na zawsze zatrzymać wśród nas tego, kto umiera. Ciało jest nieistotne i przechodzi przez nas, ale coś przecież zostaje. Nasze przeżycia, nasze myśli, nasze wspomnienia, nasz czas na tym świecie... ostatni Qu'alo pomieści to wszystko w sobie, pomieści nas wszystkich. A kiedy ten ostatni umrze... – Dziadek Selsim powiedział, że olbrzym wzruszył ramionami tak wolno, tak ociężale, że wyglądało to, jakby całe pasmo górskie urodziło się i umarło w tym jednym ruchu.

Osiemnaście lat. Osiemnaście lat dziadek Selsim żył na górze Torgry razem z Qu'alo i widział, jak jeden po drugim umierali. Nie od rany, nie z powodu choroby – po prostu umierali, jeden albo dwóch co roku. Młodzi, starzy, nie zawsze nawet potrafili ich odróżnić. Umarli też jego przyjaciele. Jalayakudrilak, który z kilkutygodniowym wyprzedzeniem potrafił przepowiedzieć pogodę; Tudoguraj, który uwielbiał śpiewać, wyobrazać sobie olbrzyma ćwierkającego i świergoczącego niczym drzewo pełne piskląt; i była taka, którą nazywano Rumirideyol, jedyna Qu'alo, która odmawiała zabijania skalnych *targi*, gdy mogła tego uniknąć, a gdy nie mogła, płakała potem. Cali i Gali odeszli razem – dziadek był z tego zadowolony. Właśnie on ich znalazł leżących obok siebie, głowa jednego brata na ramieniu drugiego i nie widać było na nich nawet skaleczenia. Jeden przy drugim.

Teraz uważaj, zabrzmiało to naprawdę głupio, a nie chcę usłyszeć od ciebie ani prychnięcia. Pamiętaj. Kiedy zostaje tylko garstka olbrzymów, trudne się staje zrobienie tego, co się powinno zrobić ze zmarłym. Śmiejesz się? Lepiej się nie śmieć. Qu'alo radzili sobie dobrze, ale za każdym razem gdy siadali wokół pokrytego gąszczem obrzędowego rusztowania, stawało się to coraz trudniejsze i smutniejsze. Gdy umarł Dudrilashashek, dziadek płakał. Lubił starego gadułę, tęsknił za nim aż do dnia swojej śmierci. Chciał nawet wziąć udział w... no wiesz, w tym, co robili – ale Yriadvele nie pozwoliła. Powiedziała, że tak nie wolno, dopóki żyje chociaż jeden Qu'alo. Ale pozwoliła, aby z nimi tańczył – jego małe podskoki i ciche tupnięcia były niczym cieniem tańca zmarłego olbrzyma. I zawsze pomagał grzebać te wielkie, jaśniejące kości.

Czy nie mógł uciec, gdy tak niewielu olbrzymów pozostało? Oczywiście, że mógł, od dawna przestali go pilnować. Ale nie chciał – do tego czasu był już jednym z nich, czy potrafisz to zrozumieć? Nie chciał ich opuszczać, ponieważ w pewnym sensie stali się jego rodziną. Tyle wiem i tyle mogę ci powiedzieć.

W końcu została jedyna Yriadvele. Po osiemnastu latach. Teraz pozostawali w zażyłych stosunkach, kobieta olbrzymka i dziadek – powiedział, że spali nawet razem, on pod jej pachą, niczym pisklę. Nie wyglądała jak ktoś, kto może umrzeć w każdej chwili, ale inni też przed śmiercią nie wyglądali na umierających, dlatego nie zamierzał ryzykować. Tamtej zimy, w grocie, której używali od tak dawna, śniło mu się, że nadeszła wiosna, a Yriadvele się nie obudziła, śnił o tym bez przerwy i budził się za każdym razem, aby upewnić się, czy ona jeszcze oddycha. Potem znowu zasypiał i znowu mu się to śniło. To tak jak z tobą, gdy czekasz na prezenty urodzinowe.

I ten sen się spełnił. Prawie. Obudziła się, gdy nadszedł czas, ale niezupełnie, nie do końca. Przez pierwsze dni w ogóle nie mogła chodzić. Dziadek Selsim musiał szukać dla niej pożywienia. No cóż, trudno jest znaleźć aż tyle żywności, aby nakarmić olbrzyma wielkiego na dwanaście stóp, zwłaszcza gdy nie jadł przez całą zimę. Może wróciłoby jej zdrowie, gdyby mogła żywić się sama, nie wiem. Dziadek powiedział nawet, że gdy już mogła chodzić, prawie nic nie jadła, ale przez cały czas chciało się jej pić i większość czasu spędzała nad strumieniem, który się właśnie obudził. Oczy miała w kolorze pajęczyny, nie czarne, tak jak zwykle, a jej sierść była gładka i wyglądała na lepką, takiej sierści nie chciałbyś widzieć nawet u *ńshu*, *jejebhai*, czy choćby u marnej *dhrushindi*. Nie mówiła ani słowa, a dziadek nie opuszczał jej na krok i nie wiedział, co może jeszcze zrobić.

W końcu poprosiła:

– Zabierz mnie tam.

– Nie – odparł. – Nie ma takiej potrzeby, nic ci nie jest, jesteś po prostu śpiąca. Powinnaś więcej jeść, to wszystko.

Ale położyła na nim swoje dłonie, w taki sposób, jak nigdy wcześniej. Dotknęła jego ramion i twarzy, i ujęła jego głowę w dłonie, które kiedyś byłyby w stanie skruszyć mu czaszkę niczym zgniły stary orzech *chouka*. Patrzyła na niego smutnymi, przekrwionymi oczyma i uśmiechała się. Nigdy wcześniej, w ciągu tych osiemnastu lat, tak się do niego nie uśmiechała.

– Już czas, Shelshimie – stwierdziła. – Czas, przyjacielu.

Powiedział, że droga zajęła im cały dzień. Yriadvele nie chodziła dobrze, a on nie był w stanie jej podtrzymać, nie potrafił też jej pomóc, gdy upadła. Musiała przypominać padające drzewo, tylko że drzewo nie wydaje żadnego dźwięku, gdy je coś boli, nie może łapać się kurczowo gałęzi, szukać ich po omacku palcami i chwytając, wstawać znowu. Gdy raz upadła do parowu, leżała tam bez ruchu jak martwa, ale gdy do niej zszedł, otworzyła oczy, uchwyciła się jakiegoś korzenia albo gałęzi i zaczęła wędrówkę od początku. O zachodzie słońca stali przy chwiejnym rusztowaniu, na którym spoczęli po raz ostatni wszyscy z jej plemienia. Yriadvele stała prosto, ale głowę miała zwieszoną i zaczęła inaczej pachnieć. Ostatniego dnia, mniej więcej, właściwy Qu'alom smród zniknął, po prostu stawał się coraz słabszy, aż zniknął zupełnie. Teraz pachniała tak jak każde stare stworzenie.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział dziadek Selsim. – Wiesz, że nie mogę. Nawet gdybym zmusił się do tego, jestem człowiekiem. Jestem za mały. Zajęłoby mi to całą wieczność. – Roześmiał się, mając nadzieję, że i ona się roześmieje.

– Kości, Shelshimie. – Yriadvele mówiła teraz takim szeptem, którego już nie wyczuwało jego ciało; musiała nawet podnieść go po raz ostatni i przysunąć do siebie, aby usłyszał. – Kości, Shelshimie. Zakryj mnie, zostaw, potem wrócisz. Proszę, Shelshimie.

Nie rozumiał.

– Chcesz, bym pogrzebał twoje kości? Oczywiście, że zrobię to dla ciebie. Jestem w stanie to zrobić.

Wtedy nim potrząsnęła – nie mocno, zupełnie nie tak, jak potrząsali skalnymi *targi*, mimo to jego głowa zaczęła podskakiwać w przód i w tył, a ramiona lekko trzepotać, chociaż była słaba.

– Zjedz kości, zjedz. W ten sposób nie umrzemy, nie umrzemy. Zatrzymaj nas, Shelshimie.

Były to ostatnie słowa, jakie Yriadvele do niego powiedziała. Położyła się na rusztowaniu, a dziadek przykrył ją najdelikatniejszymi młodymi gałązkami i liśćmi, jakie mógł znaleźć, ona kiwnęła głową, gdyż zrobił to dobrze, i zamknęła oczy. Siedział przy niej cały dzień i noc, ale nie potrafił powiedzieć, kiedy umarła.

Pogrzebałby ją zaraz potem, gdyby mógł, by skalne *targi* nie dowiedziały się, że Qu'alo są śmiertelni i umierają. Ale nic nie mógł zrobić, więc odszedł i czekał, tak jak mu kazała. Nie wiem jak długo – ile trzeba czasu, aby owady, małe zwierzątka obrały z gnijącego ciała olbrzymkę wysoką na dwanaście stóp? Wiem natomiast, że dopóki to trwało, dziadek Selsim żył samotnie w lesie, tak jak wcześniej żył przez osiemnaście lat. Tyle że teraz spał w starych siedliskach olbrzymów, gdyż ich zapach dodawał mu otuchy, i dużo rozmawiał z wyimaginowanymi ludźmi. Ćwiczył się w rozmowie, bo wiele lat myślał jak Qu'alo, w ciszy Qu'alo. I myślał o świecie, którego już prawie nie pamiętał, i o tym, o co go poprosiła Yriadvele, i gdy w końcu wrócił do rusztowania i ściągnął obumarłe gałęzie, zobaczył kości i wiedział, co z nimi robić. Znowu się krzywisz. Przestań!

Nie, nie było tam skalnych *targi*. Nie podeszłyby do miejsca, skąd dochodził zapach Qu'alo, i nadal nie podejdą, po tylu latach. Dziadek brał kości Yriadvele, po jednej, i kruszył je tak jak potrafił, między kamieniami, i potem jadł. Nie, nie wiem, czy zjadł je, czy wypił wraz z wodą, czy też posypał nimi smaczne liście *kami*. Natomiast jestem pewien, że zjadł kości Yriadvele, wszystkie, a wtedy wrócił na szlak prowadzący przez górę Torgry i w dół, na drugą stronę, i nie przestawał iść. Po pewnym czasie doszedł do tej nizinnej mglistej krainy, w której dziś żyjemy, został rolnikiem i założył rodzinę. I to już koniec tej historii, ja wracam do roboty, a ty idziesz spać, dobranoc.

Co? No cóż, mówiłem ci, dlatego wszyscy jesteśmy wysocy, dlatego wiem, że i ty duży urośniesz. Czy teraz mnie rozumiesz? Jesteśmy tym, co pozostało z Qu'alo, ty i ja, i reszta naszej rodziny – są teraz w naszych kościach, dzięki dziadkowi Selsimowi i jego olbrzymiej przyjaciółce. Zauważ, że trochę odziedziczyliśmy po nich wzrost, to wszystko; nie mamy takiego jak oni owłosienia ani zapachu – jednak bogowie robią coś czasem dobrze. I jeżeli któreś z nas otrzymało te wielkie powolne, cudowne myśli, to z całą pewnością tego nie zauważyłem. Ale może są w tobie, kto wie? Kto wie, co myśli mały chłopiec, któremu oczy same się zamykają, tak że nie może zadawać więcej pytań, co? Zatem dobranoc, dobranoc.

Co? Za jakies dziesięć lat, do cholery! Wtedy będę miał wystarczająco dużo sił, aby ci opowiedzieć następną historijkę. Nigdy nie byłem tak wyczerpany jak teraz. Przysięgam, że nie wiem, jak twoja matka radzi sobie z tym każdego wieczoru. I ta cholerna *jejebhai* będzie czekać, dopóki w końcu nie zasnę, wiem to na pewno. Dobranoc synku. Puść moją rękę Dobranoc.